Arthur C. Clarke
Stephen Baxter

Odyseja czasu #1

OKO CZASU

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Jest rok 1885. Przebywający na Granicy Północno-Zachodniej młody dziennikarz, Rudyard Kipling, jest świadkiem niezwykłego spotkania brytyjskich żołnierzy z wytworem nieprawdopodobnie zaawansowanej technologii: unoszącą się w powietrzu kulą, która wydaje się obserwować wszystko wokół. Niebawem zza okolicznego wzgórza wyłania się uszkodzony helikopter z 2037 roku…

- Arthur C. Clarke
  - UWAGA AUTORA
  - CZĘŚĆ PIERWSZA
    - 1. Poszukiwaczka
    - 2. Mały Ptak
    - 3. Złe oko
    - 4. Wyrzutnia granatów
    - 5. Sojuz
    - 6. Spotkanie
    - 7. Kapitan Grove
    - 8. Na orbicie
    - 9. Paradoks
  - CZĘŚĆ DRUGA
    - 10. Geometria
    - 11. Zagubieni w przestrzeni
    - 12. Lód
    - 13. Światła na niebie
    - 14. Ostatnie okrążenie
    - 15. Nowy świat
    - 16. Wejście w atmosferę
    - 17. Deszcze
  - CZĘSC TRZECIA
    - 18. Wysłannicy niebios
    - 19. Delta
    - 20. Miasto namiotów
    - 21. Powrót do Jamrud
    - 22. Mapa
    - 23. Konferencja
    - 24. Polowanie
  - CZĘŚĆ CZWARTA
    - 25. Flota
    - 26. Świątynia
    - 27. Zjadacze ryb
    - 28. Biszkek

        - 29. Babilon
        - 30. Brama bogów
        - 31. Radio
        - 32. Narada wojenna
        - 33. Książę niebios
        - 34. „Mieszkańcy czasu i przestrzeni”
        - 35. Konfluencja
        - 36. Pokłosie
    - CZĘSC PIĄTA
        - 37. Laboratorium
        - 38. Oko Marduka
        - 39. Poszukiwania
        - 40. Miksundra
        - 41. Zeus-Ammon
        - 42. Ostatnia noc
        - 43. Oko Marduka
    - CZĘŚĆ SZÓSTA
        - 44. Pierworodni
        - 45. Po drugiej stronie Oka
        - 46. Chwytaczka
        - 47. Powrót
- notes
    - 1

Arthur C. Clarke
Stephen Baxter
Oko czasu

UWAGA AUTORA

Grody, potęgi i majestaty,
Mierzone czasu miarą bezwzględną,
Niemal tak długo trwają jak kwiaty,
Które codziennie więdną…

Lecz jako z wiosną pączek zielony
Z łodygi zwiędłej odrasta,
Z ziemi ugornej, wyjałowionej
Wciąż nowe rodzą się miasta.

Rudyard Kipling

Książka ta oraz cykl, który otwiera, nie poprzedza ani nie stanowi kontynuacji poprzedniej *Odysei,* lecz sytuuje się niejako pod kątem prostym do niej, podążając w odmiennym kierunku.

Cytat pochodzi z książki Rudyarda Kiplinga *Puk z Pukowej Górki* w przekładzie Józefa Birkenmajera.

CZĘŚĆ PIERWSZA
NIECIĄGŁOŚĆ

1. Poszukiwaczka

Od trzydziestu milionów lat planeta ochładzała się i wysychała, aż na północy kontynenty pokryła warstwa lodu. Pas lasów, które niegdyś porastały Afrykę i Eurazję, ciągnąc się niemal nieprzerwanie od brzegów Atlantyku aż do Dalekiego Wschodu, skurczył się do niewielkich rozmiarów. Istoty, które kiedyś zamieszkiwały owe wiecznie zielone obszary, musiały się przystosować do nowych warunków albo przenieść gdzie indziej.

Gatunek, do którego należała Poszukiwaczka, uczynił jedno i drugie.

Z niemowlęciem uczepionym piersi Poszukiwaczka przykucnęła w cieniu, na skraju małego lasu. Jej głęboko osadzone oczy pod opadającym, kościstym czołem spoglądały na jasny krajobraz. Za lasem rozciągała się równina zalana gorącym światłem słońca. Było to miejsce, gdzie wszystko było proste, a śmierć przychodziła szybko. Ale zarazem było to miejsce pełne możliwości. Pewnego dnia miało stać się granicą między Pakistanem i Afganistanem, zwanym przez niektórych Granicą Północno-Zachodnią.

Niedaleko, na skraju lasu, na ziemi leżała martwa antylopa. Zwierzę zdechło niedawno — z ran wciąż sączyła się lepka krew — ale lwy już najadły się do syta, a inne zwierzęta padlinożercy, hieny i ptaki, jeszcze go nie odkryły.

Poszukiwaczka uniosła się, prostując długie nogi i rozejrzała się dookoła.

Poszukiwaczka była małpą człekokształtną. Jej ciało, pokryte gęstym, czarnym włosem, miało niewiele ponad metr wysokości. Pod zwiotczałą skórą prawie nie było tkanki tłuszczowej. Wysunięta do przodu twarz przypominała raczej pysk, a kończyny stanowiły relikt dawnego nadrzewnego trybu życia, miała długie ręce i krótkie nogi. W istocie bardzo przypominała szympansa, ale jej rasa oddzieliła się od swych kuzynów z głębi lasu dobre trzy miliony lat temu. Poszukiwaczka stała wyprostowana, jak prawdziwa istota dwunożna, a jej biodra i miednica były bardziej ludzkie niż u jakiegokolwiek szympansa.

Należała do rasy padlinożerców, ale niezbyt sprawnych. Jednak jej rasa miała zalety, jakich nie posiadały żadne inne zwierzęta. Żyjąc pod osłoną lasu, żaden szympans nigdy nie wykonał narzędzia tak skomplikowanego jak wprawdzie prymitywny, lecz z mozołem sporządzony topór, który Poszukiwaczka trzymała w dłoni. A w oczach miała coś, jakiś błysk, jakiego nie można było zobaczyć u innej małpy.

Nie było żadnego znaku zwiastującego bezpośrednie

niebezpieczeństwo. Śmiało wyszła na słońce z dzieckiem uczepionym piersi. Za nią nieśmiało postępowali jeden za drugim pozostali członkowie gromady.

Niemowlę zapiszczało i boleśnie uszczypnęło matkę. Istoty te nie miały imion — ich język nadal był tylko nieco bardziej zaawansowany niż śpiew ptaków — ale ponieważ to dziecko, drugie dziecko Poszukiwaczki, od urodzenia zawzięcie trzymało się matki, Poszukiwaczka w myślach nazwała je Chwytaczką.

Obarczona jego ciężarem Poszukiwaczka jako jedna z ostatnich dotarła do padłej antylopy, gdy pozostali swymi wyszczerbionymi kamieniami odcinali chrząstki i skórę, która łączyła kończyny zwierzęcia z resztą ciała. W ten sposób zdobywano mięso; potem kończyny można było szybko zaciągnąć we względnie bezpieczne miejsce w głębi lasu i pożywić się bez zbędnego pośpiechu. Poszukiwaczka ochoczo dołączyła do reszty. Jednak ostre światło słoneczne bardzo jej dokuczało. Minie jeszcze milion lat, zanim dalecy potomkowie Poszukiwaczki, bardziej podobni do ludzi, będą mogli przebywać na słońcu, a ich ciała będą się pocić i magazynować wodę w tkance tłuszczowej, aby móc przetrwać na sawannach.

Kurczenie się lasów stanowiło katastrofę dla małp człekokształtnych, które je niegdyś zamieszkiwały. Ewolucyjny szczyt tej wielkiej rodziny zwierząt leżał w zamierzchłej przeszłości. Ale niektóre z nich zdołały się przystosować. Rasa, do której należała Poszukiwaczka, wciąż potrzebowała cienia; każdej nocy małpy nadal wdrapywały się na wierzchołki drzew, ale w ciągu dnia robiły wypady na odkryty teren, by wykorzystać możliwość zdobycia pożywienia, tak jak teraz. Ryzykowny sposób, ale było to lepsze niż przymieranie głodem. Kiedy las rozpadał się na mniejsze fragmenty, jego brzeg stawał się coraz dłuższy i przestrzeń życiowa mieszkańców tych terenów w istocie rosła. A kiedy zdesperowane małpy przebiegały lękliwie między dwoma światami, włączały się ślepe nożyce zmienności i selekcji.

Teraz słychać było ujadanie i szybki tupot łap. To hieny poniewczasie zwietrzyły krew antylopy i nadbiegały w wielkich obłokach kurzu.

Małpy zdążyły odciąć jedynie trzy kończyny antylopy. Ale nie było już czasu. Przyciskając dziecko do piersi, Poszukiwaczka popędziła za swoją gromadą w stronę chłodnego mroku zbawczego lasu.

Owej nocy, gdy Poszukiwaczka leżała w swym gnieździe w koronie drzewa, coś zbudziło ją ze snu. Chwytaczka, zwinięta w kłębek obok niej, cicho pochrapywała.

Coś wisiało w powietrzu, czuła w nozdrzach słaby zapach, który zwiastował zmianę.

Poszukiwaczka była zwierzęciem całkowicie zależnym od środowiska, w którym tkwiła, i była bardzo wrażliwa na zmiany. Ale było w niej coś więcej niż zwierzęca wrażliwość: kiedy spoglądała na gwiazdy oczyma przystosowanymi do ogarniania niewielkich leśnych przestrzeni, odczuwała jakąś nieokreśloną ciekawość.

Gdyby potrzebowała imienia, Poszukiwaczka pasowałoby doskonale.

To owa iskierka ciekawości, mglista zapowiedź zamiłowania do wędrówek, wyprowadziła jej rasę tak daleko poza obręb Afryki. Kiedy nadeszły epoki lodowcowe, resztki lasów skurczyły się jeszcze bardziej albo całkowicie znikły. Aby przeżyć, mieszkające na obrzeżach lasów małpy musiały podjąć ryzyko pokonania otwartej przestrzeni, żeby dotrzeć do kolejnej kępy drzew, która miała się stać ich nowym domem. Nawet te, którym udało się przeżyć, rzadko odbywały w ciągu swego życia więcej niż jedną taką podróż, odyseję liczącą około jednego kilometra. Ale niektóre z nich przeżyły, a część ich dzieci dotarła jeszcze dalej.

W ten sposób w ciągu tysięcy pokoleń małpy człekokształtne zamieszkujące obrzeża lasów powoli wydostały się z Afryki, docierając aż do Azji Środkowej i przekraczając pomost lądowy w Gibraltarze prowadzący do Hiszpanii. Była to zapowiedź większych migracji, które miały nadejść w przyszłości. Ale małpy człekokształtne zawsze były rozsiane na znacznym obszarze i nie pozostawiły po sobie wielu śladów; żaden paleontolog nigdy by nie podejrzewał, że z Afryki dotarły aż do północno-zachodnich Indii, a nawet jeszcze dalej.

A teraz, kiedy Poszukiwaczka spoglądała na niebo, pojedyncza gwiazda przesunęła się w jej polu widzenia, powoli, z nieubłaganą determinacją, jak skradający się kot. Zobaczyła, że jest na tyle jasna, że rzuca cień. Ciekawość walczyła w niej ze strachem. Uniosła dłoń, ale poruszająca się gwiazda była poza zasięgiem jej palców.

O tak późnej porze Indie były pogrążone w cieniu Ziemi. Ale tam, gdzie powierzchnia obracającej się planety była skąpana w świetle słońca, widać było migotanie — falujące kolory, brązowe, niebieskie i zielone, gdzieniegdzie połyskujące, jakby otwierały się maleńkie drzwi. Fala drobnych zmian przesunęła się przez planetę jak drugi terminator.

Świat wokół Poszukiwaczki zadrżał; mocno przycisnęła dziecko do siebie.

Rano gromada małp była poruszona. Tego dnia powietrze było chłodniejsze, jakby ostrzejsze i przesycone cierpkim zapachem; człowiek powiedziałby, że było naładowane elektrycznością. Światło było dziwne, jasne i jaskrawe. Nawet tutaj, w głębi lasu, lekki wiatr szeleścił liśćmi drzew. Było jakoś inaczej, coś się zmieniło i zwierzęta były zaniepokojone.

Odważna Poszukiwaczka wyszła na otwartą przestrzeń. Popiskująca Chwytaczka podreptała za nią.

Poszukiwaczka dotarła na skraj lasu. Na równinie, jasnej w świetle poranka, nic się nie poruszało. Poszukiwaczka rozejrzała się wokół i w jej głowie zamigotała iskierka zdziwienia. Jej umysł przywykły do lasu nie bardzo potrafił ocenić otaczający krajobraz, ale wydawało jej się, że ziemia jest inna. Z pewnością wczoraj było bardziej zielono, z pewnością widać było skrawki lasu na tle tych gołych wzgórz i z pewnością tą suchą teraz rynną płynęła woda. Ale trudno było mieć co do tego pewność. Jej wspomnienia, które zawsze były chaotyczne, już się zacierały.

A na niebie widać było jakiś obiekt.

Nie był to ptak, bo nie poruszał się, nie leciał i nie była to chmura, bo to coś było wyraźnie zarysowane i owalne. I świeciło, prawie tak jasno jak słońce.

Wyszła z cienia rzucanego przez las na otwartą przestrzeń.

Chodziła tam i z powrotem pod tym czymś, przyglądając się. Było prawie wielkości jej głowy i unosiło się w świetle słońca, czy raczej światło słoneczne falowało odbite od tego obiektu jak od powierzchni strumienia. Nie miało zapachu. Było jak owoc zwisający z gałęzi, tylko że nie było tam żadnego drzewa. Cztery miliardy lat przystosowywania do niezmiennej siły ciążenia Ziemi wpoiło jej przekonanie, że nic tak małego i twardego nie może się unosić w powietrzu bez podparcia, to było coś nowego i dlatego napełniało ją lękiem. Ale to nie spadło na nią ani jej w żaden sposób nie zaatakowało.

Stanęła na czubkach palców, przyglądając się kuli. I ujrzała dwoje oczu, które się w nią wpatrywały.

Chrząknęła i opadła na ziemię. Ale unosząca się kula nie zareagowała, a kiedy znowu spojrzała w górę, zrozumiała. Kula odbijała jej obraz, choć wykrzywiony i zniekształcony; to były jej własne oczy, które przedtem widziała odbite w gładkiej powierzchni nieruchomej wody. Ze wszystkich zwierząt na Ziemi tylko członkowie jej rasy potrafili się rozpoznać w takim odbiciu, bo tylko jej rasa miała świadomość własnego ja. Jednak wydawało jej się mgliście, że dzięki temu odbiciu unosząca się kula patrzy na nią tak, jak ona patrzy na tę kulę, jak gdyby to było ogromne Oko.

Wyciągnęła rękę, ale nawet stojąc na czubkach palców, nie była w stanie swymi długimi rękami dosięgnąć kuli. Gdyby miała więcej czasu, może przyszłoby jej do głowy, by znaleźć coś, na czym mogłaby stanąć, żeby dosięgnąć kuli, jakiś kamień albo stertę gałęzi.

Wtedy Chwytaczka krzyknęła.

Poszukiwaczka opadła na czworaki i popędziła w jej stronę, jeszcze zanim zdała sobie z tego sprawę. Kiedy zobaczyła, co się dzieje

z jej dzieckiem, ogarnęło ją przerażenie.

Nad Chwytaczką pochylały się dwa stworzenia. Przypominały małpy człekokształtne, lecz były wyprostowane i wysokie. Miały jasnoczerwone tułowia, jakby ich ciała były skąpane we krwi, a ich twarze były płaskie i bezwłose. I miały Chwytaczkę. Zarzuciły na dziecko jakieś liany czy pnącza. Chwytaczka szamotała się, wrzeszczała i gryzła, ale dwie wysokie istoty z łatwością unieruchomiły ją tymi lianami.

Poszukiwaczka skoczyła, krzycząc, z obnażonymi zębami.

Jedno ze stworzeń ją zobaczyło. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Miało kij, którym zakręciło w powietrzu i coś niesamowicie twardego trzasnęło ją w głowę. Poszukiwaczka była ciężka i na tyle szybka, że z rozpędu wpadła na to stworzenie, powalając je na ziemię. Ale w jej głowie rozbłysły gwiazdy, a w ustach poczuła smak krwi.

Zza wschodniego horyzontu wypadła czarna, kłębiąca się chmura. Rozległ się daleki grzmot i niebo przecięła błyskawica.

2. Mały Ptak

W chwili Nieciągłości Bisesa Dutt znajdowała się w powietrzu.

Siedząc w tylnej części kabiny helikoptera, miała ograniczone pole widzenia; była to prawdziwa ironia, ponieważ jedynym celem tej misji było obserwowanie ziemi. Ale kiedy Mały Ptak się wzniósł i pole widzenia rozszerzyło się, ujrzała rzędy wybudowanych z prefabrykatów hangarów bazy ustawione równo, jakby w wojskowym szyku. Baza ONZ stała tu już od trzech dziesięcioleci i te „tymczasowe" konstrukcje zyskały swego rodzaju nędzny majestat, a drogi gruntowe wiodące przez równinę były naprawdę zatłoczone.

Kiedy Ptak wzniósł się wyżej, baza rozmazała się w plamę przypominającą maskujący brezent, ginąc w tle. Krajobraz był wymarły, tu i ówdzie upstrzony wysepkami szarej zieleni, w miejscach gdzie jakaś kępa drzew czy niska trawa starały się przeżyć. Ale w oddali, na horyzoncie, wznosiły się wspaniałe, ośnieżone góry.

Ptak przechylił się na bok i Bisesę rzuciło na zakrzywioną ścianę.

Casey Othic, pierwszy pilot, pociągnął za drążek i wkrótce lot znów się wyrównał. Teraz Ptak leciał nieco niżej nad zasłaną kamieniami ziemią. Pilot obrócił się do Bisesy, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Przepraszam. Prognoza nie przewidywała takich podmuchów. Ale co ci jajogłowi tam wiedzą? Wszystko w porządku?

W słuchawkach Bisesy jego głos brzmiał zbyt głośno.

— Mam wrażenie, jakbym była na jakimś statku. Uśmiechnął się szerzej, ukazując białe zęby.

— Nie ma potrzeby krzyczeć. Słyszę cię w radiu. — Postukał w hełm. — *Ra-di-o.* Macie to już w brytyjskiej armii?

Siedzący obok Caseya Abdikadir Omar, drugi pilot, spojrzał na Amerykanina i pokręcił głową z dezaprobatą.

Mały Ptak był helikopterem obserwacyjnym. Był przerobiony z helikoptera atakującego, który latał od końca dwudziestego wieku. W owym spokojniejszym 2037 roku Ptak był wykorzystywany do bardziej pokojowych zadań: obserwacji, poszukiwań i akcji ratowniczych. Jego baniasty kokpit został powiększony, aby mógł pomieścić trzyosobową załogę, dwóch pilotów z przodu i osobę wciśniętą z tyłu.

Casey pilotował swoją wysłużoną maszynę jedną ręką, jakby od niechcenia. Był w randze chorążego i został oddelegowany z Sił Powietrznych i Kosmicznych Stanów Zjednoczonych do tego oddziału ONZ. Był wielki i przysadzisty. Nosił błękitny hełm ONZ, ale ozdobił go absolutnie nieregulaminowymi barwami USA, animowaną flagą falującą w nieistniejącym wietrze. Jego wskaźnik przezierny stanowiła

gruba osłona przeciwsłoneczna, zakrywająca większą część twarzy powyżej nosa, która w oczach Bisesy była czarna, tak że widziała jedynie jego szeroką szczękę.

— Mimo tej głupiej osłony widzę, że mi się przyglądasz — powiedziała lakonicznie.

Abdikadir, przystojny Pasztun, zerknął do tyłu i uśmiechnął się.

— Kiedy spędzisz dość czasu wśród takich małpoludów jak Casey, przyzwyczaisz się.

Casey powiedział:

— Jestem stuprocentowym dżentelmenem. — Lekko się pochylił, aby zobaczyć jej plakietkę. — *Bisesa Dutt.* Co to, jakieś pakistańskie imię?

— Indyjskie.

— Więc pochodzisz z Indii? Ale twój akcent jest… chyba australijski?

Powstrzymała westchnienie; Amerykanie nigdy nie potrafili rozpoznać regionalnych akcentów.

— Pochodzę z Manchesteru. Jestem Angielką od trzech pokoleń.

Casey zaczął mówić jak Cary Grant.

— Witamy na pokładzie, lady Dutt. Abdikadir trącił go w ramię.

— Chłopie, masz takie oklepane chwyty, z jednego stereotypu wpadasz w drugi. Biseso, to twoja pierwsza misja?

— Druga — powiedziała Bisesa.

— Latałem z tym dupkiem dziesiątki razy i zawsze jest taki sam, kto by nie siedział z tyłu. Nie daj się sprowokować.

— Nie ma mowy — powiedziała spokojnie. — On się po prostu nudzi.

Casey zaśmiał się głośno.

— W Bazie Claviusa jest trochę nudno. Ale tutaj, na Granicy Północno-Zachodniej, powinnaś się czuć jak w domu, lady Dutt. Musimy się przekonać, czy uda nam się znaleźć jakiegoś kudłacza, żebyś mogła go zastrzelić z tej twojej strzelby.

Abdikadir uśmiechnął się do Bisesy.

— Czego można się spodziewać po chrześcijańskim palancie?

— A ty sam jesteś cholernym mudżahedinem — odwarknął Casey.

Na twarzy Bisesy Abdikadir dostrzegł wyraz niepokoju.

— Och, nie przejmuj się. Naprawdę jestem mudżahedinem, czy raczej byłem, a on naprawdę jest palantem. Tak naprawdę jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Obaj jesteśmy ekumenistami. Ale nikomu o tym nie mów…

Zupełnie niespodziewanie wpadli w turbulencję. Wrażenie było takie, jakby helikopter opadł o parę metrów przez dziurę w powietrzu. Piloci zajęli się instrumentami i zamilkli.

Mając taki sam stopień jak Casey, Abdikadir, obywatel

Afganistanu, był Pasztunem, pochodził z tego kraju. Podczas swego krótkiego pobytu na placówce Bisesa już go trochę poznała. Miał pełną siły otwartą twarz, dumny nos, który można by nazwać rzymskim i nosił brodę. Oczy miał zaskakująco niebieskie, a włosy rudoblond. Mówił, że zawdzięcza tę karnację armiom Aleksandra Wielkiego, które niegdyś tędy przechodziły. Jako człowiek łagodny, bezpośredni i cywilizowany, zaakceptował swoje miejsce w „porządku dziobania"; chociaż był jednym z niewielu cenionych Pasztunów, którzy przeszli na stronę ONZ, jako Afgańczyk musiał podporządkować się Amerykanom i spędził znacznie więcej czasu w roli drugiego pilota niż pierwszego. Pozostali brytyjscy żołnierze nazywali go „Rudzielec".

Lot trwał. Nie był przyjemny. Ptak był wysłużony, kabina śmierdziała olejem silnikowym i cieczą hydrauliczną wszystkie powierzchnie metalowe były porysowane, a popękane pokrycie ławki, na której siedziała Bisesa, było poklejone taśmą. Hałas śmigieł, wirujących zaledwie parę metrów nad jej głową, był ogłuszający, mimo grubo wyścielanego hełmu. Ale w końcu, pomyślała, zawsze tak było, że rządy wydawały więcej na wojnę niż na pokój.

Kiedy Moallim usłyszał zbliżający się helikopter, wiedział, co musi uczynić.

Większość mieszkańców pobiegła, aby upewnić się, czy zapasy broni i haszysz są dobrze ukryte. Ale Moallim miał inny pomysł. Zabrał swoje rzeczy i pobiegł do okopu strzeleckiego, który wykopał wiele tygodni temu, przygotowując się na taki właśnie dzień.

Po paru chwilach leżał, opierając się o ścianę okopu z wyrzutnią granatów na ramieniu. Kopał ten okop wiele godzin, aż był wystarczająco głęboki, aby ukryć jego ciało przed strumieniem gazów wylotowych, a jednocześnie uzyskać wysokość, jakiej wymagała wyrzutnia. Kiedy znalazł się w środku i zamaskował ciało pyłem i roślinami, był naprawdę dobrze ukryty. Wyrzutnia granatów to był prawdziwy antyk, w istocie pozostałość po rosyjskiej inwazji na Afganistan w 1980 roku, ale porządnie zakonserwowana i oczyszczona wciąż działała, wciąż niosła śmierć. Kiedy helikopter znajdzie się dostatecznie blisko tego miejsca, na pewno mu się uda.

Moallim miał piętnaście lat.

Miał zaledwie cztery, kiedy po raz pierwszy zetknął się z helikopterami z zachodu. Przyleciały w nocy, cała grupa. Leciały bardzo nisko, tuż nad głową, czarne na tle nieba, jak gniewne czarne wrony. Ich jazgot bębnił w uszach, a wiatr, jaki wzniecały, szarpał i rwał ubranie. Stragany przewróciły się, bydło i kozy wpadły w popłoch, a cienkie dachy ich domów zostały zerwane. Choć Moallim sam tego nie widział, słyszał jednak, że pęd powietrza wyrwał jednej kobiecie dziecko, które trzymała w ramionach; dziecko wirując uniosło się do góry i nie widziano go nigdy więcej.

A potem zaczęła się strzelanina.

Później przyleciało jeszcze więcej helikopterów, zrzucając ulotki wyjaśniające „cel" tego nalotu: w obszarze tym nasilił się przemyt broni, podejrzewano, że przez wioskę przechodzą transporty uranu i tak dalej. „Niezbędne" uderzenie miało charakter chirurgiczny i użyło minimalnych sił". Ulotki porwano na kawałki i wykorzystano do podcierania się. Wszyscy winili helikoptery za ich arogancję. Mając cztery lata, Moallim nie umiał słowami wyrazić, co czuł.

A helikoptery wciąż przylatywały. Ostatnie helikoptery ONZ miały wyegzekwować pokój, ale wszyscy wiedzieli, że był to nie ich pokój, a te statki „obserwacyjne" miały na pokładzie mnóstwo broni.

Moallima nauczono, że problemy te można rozwiązać tylko w jeden sposób.

Starsi nauczyli go, jak posługiwać się wyrzutnią granatów. Trafić w ruchomy cel było trudno. Dlatego detonatory zastąpiono urządzeniami czasowymi, tak aby eksplodowały w powietrzu. Jeśli wystrzeliło się dostatecznie blisko, nie trzeba było trafić, aby zestrzelić samolot, a zwłaszcza helikopter, jeśli wymierzyło się w śmigło ogonowe, które stanowiło jego najwrażliwszy element.

Wyrzutnie granatów były duże, nieporęczne i rzucały się w oczy. Trudno się było nimi posługiwać, niewygodnie podnosić i celować, a jeśli pokazałeś się, jak mierzysz na otwartej przestrzeni czy na dachu, już było po tobie. Więc trzeba się było chować i czekać, żeby helikopter się zbliżył. Gdyby nadlecieli z tego kierunku, załoga helikoptera, nauczona, by unikać domów ze względu na możliwe pułapki, zobaczy tylko kawałek wystającej z ziemi rury. Może pomyślą że to tylko pęknięty przewód kanalizacyjny, fragment jednego z wielu nieudanych „humanitarnych" planów, jakie w ciągu dziesięcioleci zrealizowano w tym obszarze. Lecąc nad otwartym terenem, będą myśleli, że są bezpieczni. Moallim uśmiechnął się.

Bisesa pomyślała, że niebo przed nimi jest jakieś dziwne. Kłębiące się gęste czarne chmury pojawiły się nie wiadomo skąd, tworząc zwarty wał, który rozciągał się nad horyzontem, przesłaniając góry. Nawet niebo wydawało się jakieś wyprane z barw.

Dyskretnie wyciągnęła telefon z kieszeni kombinezonu. Trzymając go w dłoni, szepnęła do mikrofonu:

— Nie przypominam sobie, żeby w prognozie wspominano o tworzeniu się burz.

— Ja też nie — powiedział telefon. Był nastawiony na cywilne sieci meteorologiczne; teraz na jego małym ekranie zaczęły przelatywać setki kanałów, przemiatając niewidzialnymi wiązkami ten zakątek Ziemi, w poszukiwaniu zaktualizowanych prognoz pogody.

Był 8 czerwca 2037 roku. Tak przynajmniej myślała Bisesa. Helikopter kontynuował lot.

3. Złe oko

Pierwszą oznaką, jaka dotarła do Josha White'a, wskazującą na dziwne wydarzenia rozgrywające się na świecie, było gwałtowne przebudzenie: twarda dłoń na ramieniu, pełen podniecenia zgiełk, pochylająca się nad nim twarz.

— Mówię ci, Josh, obudź się, człowieku! Nie uwierzysz, to naprawdę coś, jeśli to nie Rosjanie, to zjem twoje owijacze…

To oczywiście był Ruddy. Młody dziennikarz miał rozpiętą koszulę i był bez marynarki; wyglądał, jakby sam przed chwilą wstał z łóżka. Ale na jego szerokiej twarzy, nad którą górowało szerokie czoło, widać było kropelki potu, a oczy, które wydawały się małe za grubymi szkłami, były błyszczące i rozbiegane.

Mrugając, Josh usiadł. Światło słoneczne wpadało do pokoju przez otwarte okno. Było późne popołudnie; drzemał przez godzinę.

— Co, u licha, jest tak ważne, że pozbawia się mnie zasłużonej drzemki? Zwłaszcza po ostatniej nocy… Najpierw muszę umyć twarz!

Ruddy dał za wygraną.

— W porządku. Masz dziesięć minut, Josh. Jeśli to przegapisz, nigdy sobie nie darujesz. Dziesięć minut! — I wypadł z pokoju.

Josh, uginając się przed tym, co nieuniknione, zwlókł się z łóżka i sennie przeszedł przez pokój.

Podobnie jak Ruddy, Josh był dziennikarzem, specjalnym korespondentem *Boston Globe,* który miał przekazywać barwne sprawozdania z Granicy Północno-Zachodniej, owego dalekiego zakątka Imperium Brytyjskiego. Tak, dalekiego, ale być może ważnego z punktu widzenia przyszłości Europy i dlatego interesującego nawet w Massachusetts. Pokój był zwykłą ciasną dziurą w narożniku fortu, musiał go dzielić z Ruddym, wskutek czego był zawalony ubraniami, na poły pustymi kuframi, książkami i papierami; stało tam też małe składane biurko, na którym Ruddy pisał doniesienia dla *CMI and Military Gazette and Pioneer,* swojej gazety w Lahore. Josh wiedział jednak, że ma szczęście, iż w ogóle ma pokój; większość żołnierzy stacjonujących tu, w Jamrud, zarówno Europejczyków jak i Hindusów, spędzała noce w namiotach.

W przeciwieństwie do żołnierzy Josh miał pełne prawo do popołudniowej drzemki, jeżeli jej potrzebował. Ale teraz słyszał, że działo się coś naprawdę niezwykłego: podniesione głosy, odgłos biegnących stóp. Z pewnością nie była to akcja wojskowa ani kolejny atak buntowniczych Pasztunów, bo słyszałby już jakąś strzelaninę. Więc co?

Josh znalazł miskę czystej, ciepłej wody, a obok przybory do golenia. Umył twarz i szyję, spoglądając na swoją niewyspaną twarz w

wiszącym na ścianie małym lustrze. Miał przeciętną twarz, perkaty nos (tak uważał), a tego popołudnia worki pod oczami wcale nie poprawiały jego wyglądu. W rzeczywistości tego ranka głowa nie bolała go aż tak bardzo, ale w końcu aby przetrzymać długie noce w kantynie, nauczył się pić piwo. Natomiast Ruddy od czasu do czasu oddawał się rozkoszom palenia opium, ale wydawało się, że długie godziny, jakie spędzał pykając fajkę, nie pozostawiały żadnych następstw w jego organizmie dziewiętnastolatka. Josh, który mając dwadzieścia trzy lata, czuł się jak weteran wojenny, szczerze mu zazdrościł.

Wodę do golenia przyniósł mu dyskretnie tragarz Ruddy'ego, Noor Ali. Był to rodzaj usług, które bostończyk Josh odbierał jako krępujące: kiedy Ruddy odsypiał swoje szaleństwa, Noor Ali golił go w łóżku, nawet kiedy spał! A Josh z trudem znosił widok chłosty, której zastosowanie Ruddy od czasu do czasu uznawał za konieczne. Ale Ruddy był Anglikiem urodzonym w Bombaju. Josh uświadomił sobie, że to był jego kraj, a on, Josh, jest tutaj po to, aby pisać sprawozdania, a nie osądzać. I tak czy owak musiał przyznać ze wstydem, że dobrze było, budząc się, znaleźć obok ciepłą wodę i kubek gorącej herbaty.

Wytarł się i szybko ubrał. Jeszcze raz spojrzał w lustro i palcami przeczesał niesforną czarną czuprynę. Po namyśle wsunął za pas rewolwer. Po czym ruszył do drzwi.

Było popołudnie 24 marca 1885 roku. Tak przynajmniej myślał.

Na terenie fortu panowało wielkie podniecenie. Przez plac pogrążony w głębokim cieniu żołnierze biegli do bramy. Josh przyłączył się do nich ochoczo.

Wielu Brytyjczyków stacjonujących w Jamrud należało do 72 szkockiej brygady i chociaż niektórzy z nich nosili luźne, sięgające do kolan miejscowe spodnie, inni byli ubrani w kurtki khaki i czerwone, wąskie spodnie w kratę. Ale białe twarze były tu rzadkie; Gurkhów i Sikhów było trzy razy więcej niż Brytyjczyków. Poza tym tego popołudnia zarówno Europejczycy jak i sipaje pchali się i tłoczyli, aby wydostać się z fortu. Przebywając całymi miesiącami w tym odosobnionym miejscu, z dala od swych rodzin, ludzie ci oddaliby wszystko za jakieś zajęcie, odrobinę atrakcji, która by przerwała tę monotonię. W drodze do bramy Josh zauważył kapitana Grove'a, dowódcę fortu, który szedł przez plac z wyrazem wielkiego zaniepokojenia na twarzy.

Kiedy wydostał się na zewnątrz fortu, jaskrawe światło popołudniowego słońca na chwilę go oślepiło. Suche powietrze było chłodne i zdał sobie sprawę, że drży. Niebo było jasnoniebieskie i bezchmurne, ale nisko nad zachodnim horyzontem dostrzegł ciemny pas, przypominający front burzowy. O tej porze roku taka burzliwa pogoda była czymś niezwykłym.

Była to Granica Północno-Zachodnia, miejsce, gdzie Indie graniczyły z Azją. Dla ówczesnych Brytyjczyków ten wielki korytarz, biegnący z północnego wschodu na południowy zachód, między łańcuchami górskimi na północy i Indusem na południu, stanowił naturalną granicę ich indyjskiego dominium, ale było to iście diabelskie miejsce, od którego nienaruszalności zależało bezpieczeństwo najcenniejszej prowincji Imperium Brytyjskiego. A fort w Jamrud tkwił w samym jego środku.

Sam fort był rozległy i otoczony grubymi kamiennymi murami z wielkimi wieżami strażniczymi na rogach. Na zewnątrz murów stożkowate namioty stały w równych rzędach, niczym wojsko. Jamrud został niegdyś zbudowany przez Sikhów, którzy panowali tu przez długi czas, prowadząc wojny z Afganami, ale teraz należał całkowicie do Brytyjczyków.

Jednak dzisiaj nikogo nie zaprzątały myśli o losach imperiów. Ciągnąc tłumnie przez twardo ubity pas ziemi, który służył za plac apelowy, żołnierze zmierzali w stronę miejsca znajdującego się jakieś sto metrów od bramy. Josh zobaczył tam coś, co wyglądało jak piłka unosząca się w powietrzu. Była jakby posrebrzana i lśniła jasno w świetle słonecznym. A pod tą tajemniczą kulą zebrał się tłumek liczący około pięćdziesięciu kawalerzystów, ordynansów i cywilów, ubranych w najrozmaitsze stroje.

W samym środku tego zgromadzenia był oczywiście Ruddy. Nawet teraz panował nad sytuacją, chodząc sztywno tam i z powrotem pod unoszącą się kulą, wpatrując się w nią przez okulary i drapiąc się w brodę, jak gdyby był mędrcem niczym Newton. Ruddy był niski, miał nie więcej niż 165 cm wzrostu, i nieco przysadzisty, można nawet powiedzieć pękaty. Miał szeroką twarz, wyzywające wąsy, a nad zjeżonymi brwiami odsłaniało się wielkie czoło, które uwydatniały rzednące już włosy. Z tą sztywną, choć zarazem pełną wigoru postawą wyglądał na trzydzieści dziewięć lat, nie dziewiętnaście. Policzki szpeciły mu czerwone krosty, „rany z Lahore”, które jak sądził, były skutkiem ukąszeń mrówek i nie poddawały się żadnemu leczeniu.

Żołnierze czasami wyśmiewali się z Ruddy’ego z powodu jego wysokiego mniemania o sobie i napuszonego wyglądu, jednak żaden żołnierz nie miał zbyt wiele czasu dla cywilów. Ale jednocześnie lubili go; w swych doniesieniach dla CMG i opowieściach, jakie snuł w izbach koszarowych, Ruddy błyszczał przed tymi szeregowcami, tak oddalonymi od swych domów, elokwencją, której im brakowało.

Josh przepchnął się przez tłum otaczający Ruddy’ego.

— Nie widzę, co jest takiego dziwnego w tym, co wisi tam w górze, to jakaś sztuczka?

Ruddy chrząknął.

— Raczej jakieś oszustwo cara. Może to nowy rodzaj heliografu.

Dołączył do nich Cecil de Morgan, faktor.

— Jeśli to *jadoo* [Jadoo w języku hindi oznacza magię, czary (przyp. tł.).], chciałbym wiedzieć, na czym polega sekret. Ej, ty. — Podszedł do jednego z sipajów. — Twój kij do krykieta, mogę pożyczyć…? — Chwycił kij i pomachał nim w powietrzu. Przesuwał go wokół unoszącej się w powietrzu kuli. — Widzisz? Niemożliwe, żeby coś ją podtrzymywało, nie ma żadnego niewidzialnego przewodu czy szklanego pręta, choćby nie wiem jak był powykrzywiany.

Sipaje nie byli tak rozbawieni.

— *Asli nahinl Fareib!* Ruddy mruknął:

— Niektórzy mówią, że to jest Oko, Złe Oko. Może potrzebujemy *nuzoo-watto,* żeby odwrócić jego złowrogie spojrzenie.

Josh położył mu dłoń na ramieniu.

— Przyjacielu, myślę, że Indie upoiły cię bardziej, niż jesteś skłonny przyznać. To prawdopodobnie balon wypełniony gorącym powietrzem. Nic ponadto.

Ale uwagę Ruddy'ego odwrócił niższy rangą oficer, który wyglądał na zaniepokojonego, kiedy przeciskał się przez tłum, wyraźnie kogoś szukając. Ruddy pośpieszył, aby z nim porozmawiać.

— Balon, powiadasz? — powiedział de Morgan do Josha. — To jakim cudem unosi się nieruchomo na wietrze? I popatrz! — Zamachnął się kijem nad głową jak siekierą i trzasnął w unoszącą się kulę. Rozległ się głośny brzęk i ku zdziwieniu Josha kij zwyczajnie odbił się od kuli, która pozostała nieruchoma, jakby była osadzona w skale. De Morgan uniósł kij i Josh zobaczył, że drewno rozszczepiło się. — Cholerstwo skaleczyło mnie w palce! Teraz łaskawie mi powiedz, czy widziałeś kiedykolwiek coś takiego.

— Ja nie — przyznał Josh. — Ale jeśli ktoś może ubić na tym jakiś interes, Morgan, jestem pewien, że właśnie pan.

— De Morgan, Joshua — De Morgan był faktorem, który dobrze zarabiał, zaopatrując Jamrud oraz inne forty leżące na Granicy. Miał około trzydziestu lat, był wysokim, otyłym mężczyzną. Nawet tutaj, z dala od najbliższego miasta, miał na sobie nowy strój khaki jasnooliwkowego koloru, błękitny krawat i kask tropikalny, biały jak śnieg. Josh zaczynał rozumieć, że faktor jest typem człowieka, którego pociągały obrzeża cywilizacji, gdzie można było sporo zarobić i niezbyt przestrzegano przepisów prawa. Oficerowie odnosili się z dezaprobatą do niego i jemu podobnych, ale de Morgan cieszył się wśród ludzi niemałą popularnością, dostarczał bowiem piwo i tytoń, a nawet w miarę możliwości prostytutki i od czasu do czasu haszysz dla oficerów, a także dla Ruddy'ego.

Pomimo demonstracji de Morgana wyglądało na to, że przedstawienie dobiegło końca. Kiedy kula nie poruszała się i nie

obracała, ani też nie otworzyła się i nie zaczęła strzelać, widzowie zaczęli się nudzić. Poza tym niektórzy z nich drżeli z zimna w to nietypowo chłodne popołudnie, gdy wiatr z północy nie ustawał. Kilku wróciło do fortu i grupa zaczęła się rozpraszać.

Ale naraz na skraju grupy rozległ się krzyk, pojawiło się jeszcze coś niezwykłego. Wietrząc kolejną okazję, de Morgan z rozszerzonymi nozdrzami pobiegł w tę stronę.

Ruddy szarpnął Josha za ramię.

— Wystarczy tych magicznych sztuczek — powiedział. — Powinniśmy wracać. Obawiam się, że niebawem będziemy mieli mnóstwo roboty!

— Co masz na myśli?

— Właśnie gadałem z Brownem, który rozmawiał z Townshendem, który z kolei usłyszał coś, co mówił Harley… — Kapitan Harley był oficerem politycznym w forcie i podlegał bezpośrednio Agencji Politycznej w Khyber, będącej ekspozyturą administracji tej prowincji, której zadaniem było utrzymywanie kontaktów dyplomatycznych z wodzami plemion Pasztunów i Afganów. Nie po raz pierwszy Josh pozazdrościł Ruddy'emu kontaktów z młodszymi oficerami fortu. — Nasza łączność została zerwana — zadyszanym głosem powiedział Ruddy.

Josh zmarszczył brwi.

— Co masz na myśli, czy znowu przecięto przewód telegraficzny? — Kiedy przerwano połączenie z Peszawarem, trudno było sporządzać kopie dla archiwum; redaktor Josha w dalekim Bostonie nie okazywał zrozumienia wobec opóźnień spowodowanych dostarczaniem wiadomości do miasta na koniu.

Ale Ruddy powiedział:

— Nie o to chodzi. Heliografy też padły. Od świtu nie widzieliśmy najmniejszego błysku światła od strony stacji na północ i na zachód stąd. Według Browna kapitan Grove właśnie wysyła patrole. Cokolwiek się wydarzyło, musi mieć charakter powszechny i być dobrze skoordynowane.

Heliografy były prostymi, przenośnymi urządzeniami sygnalizacyjnymi, składającymi się ze zwierciadeł zainstalowanych na składanych trójnogach. Na wzgórzach między Jamrud a Khyber, jak również w kierunku Peszawaru, rozmieszczono szereg stanowisk łączności wyposażonych w heliografy. Dlatego właśnie kapitan Grove tam, w forcie, robił wrażenie tak zaniepokojonego.

Ruddy powiedział:

— W terenie pasztuńskie dzikusy — albo zabójcy Amira — poderżnęli gardła chyba z setce Brytyjczyków, albo może, co gorsza, uczynili to ci rosyjscy marionetkowi władcy! — Kiedy Ruddy przedstawiał tę makabryczną możliwość, w jego oczach za grubymi

szkłami malował się wyraz ożywienia.

— Cieszysz się ze zbliżającej się wojny, jak może jedynie cywil — powiedział Josh.

Broniąc się, Ruddy odparł:

— Jeśli nadejdzie taka chwila, będę się bronił. Ale tymczasem moimi kulami są słowa… i twoimi także, Joshua, więc mnie nie pouczaj. — Wrócił mu zwykły dobry humor. — To podniecające, co? Nie możesz zaprzeczyć. Przynajmniej coś się dzieje! Chodź, bierzmy się do roboty! — Po czym obrócił się i pobiegł z powrotem do fortu.

Josh ruszył za nim. Wydawało mu się, że słyszy jakby łopot skrzydeł wielkiego ptaka. Odwrócił się. Ale w tym momencie wiatr zmienił kierunek i dziwny dźwięk ucichł.

Kilku kawalerzystów wciąż bawiło się Okiem. Jeden z nich wspiął się na ramiona drugiego, chwycił Oko obiema dłońmi i na chwilę zawisł w powietrzu. Następnie, śmiejąc się, puścił się i spadł na ziemię.

Kiedy Ruddy znalazł się z powrotem w pokoju, natychmiast poszedł do biurka, przyciągnął do siebie stos papieru, odkręcił kałamarz i zaczął pisać.

Josh patrzył na niego.

— Co masz zamiar napisać?

— Za chwilę będę wiedział. — Pisał, nie przestając mówić. Był niechlujny: w ustach jak zwykle tkwił mu turecki papieros, a kropelki atramentu rozpryskiwały się wokół. Josh już się nauczył, żeby chować przed nim swoje rzeczy. Ale mógł tylko podziwiać jego biegłość.

Josh ospale położył się na łóżku, zaplótłszy dłonie pod głową. W odróżnieniu od Ruddy'ego musiał uporządkować myśli, zanim był w stanie cokolwiek napisać.

Podobnie jak dla poprzednich zdobywców Granica miała dla Brytyjczyków strategiczne znaczenie. Na północ i na zachód od niej leżał Afganistan, przepołowiony pasmem Hindukuszu. Niegdyś przełęczami tych gór maszerowały armie Aleksandra Wielkiego oraz hordy Czyngis-chana i Tamerlana, znęcone tajemniczością i bogactwem leżących na południu Indii. Sam fort w Jamrud zajmował kluczowe położenie, leżąc w jednej linii z przełęczą Khyber, między Kabulem a Peszawarem.

Ale sama prowincja była czymś więcej niż tylko korytarzem dla obcych wojsk. Miała mieszkańców, którzy uważali tę krainę za swoją, Pasztunów, rasę wojowniczą, dziką, dumną i przebiegłą. Pasztunowie byli żarliwymi muzułmanami, którzy kierowali się własnym kodeksem honorowym zwanym *pakhtunwali*. Dzielili się na plemiona i klany, ale to rozczłonkowanie było źródłem znacznej płynności. Bez względu na to, jak dotkliwej klęski doznało jakieś plemię, z gór przybywali jego pobratymcy ze staromodnymi strzelbami o długich lufach,

swymijezails. Josh poznał kilku Pasztunów, których Brytyjczycy wzięli do niewoli. Uważał ich za najbardziej zamkniętych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał. Jednakże brytyjscy żołnierze darzyli ich pewnym szacunkiem. Niektórzy Szkoci mówili nawet, że *pakhtunwali* nie różnił się zbytnio od ich własnego kodeksu honorowego.

W ciągu wielu stuleci liczne armie najeźdźców spotykała klęska za klęską na Granicy, którą jeden z administratorów Imperium nazwał „ciernistym i nieprzycinanym żywopłotem". Nawet teraz władza potężnego Imperium Brytyjskiego rozciągała się niewiele dalej niż do szlaków komunikacyjnych; wszędzie indziej prawo stanowiły plemiona i broń.

A dzisiaj Granica znów była areną międzynarodowej intrygi. Zazdrosne imperium znów spoglądało głodnym wzrokiem na Indie. Tym razem była to Rosja. Zainteresowanie Wielkiej Brytanii było oczywiste. Rosji czy popieranej przez Rosję Persji w żadnym wypadku nie można było pozwolić na wejście do Afganistanu. Dlatego przez dziesiątki lat Brytyjczycy starali się pilnować, aby w Afganistanie rządził Amir, skłonny do współpracy z Anglikami, a gdyby to się nie udało, byli przygotowani do prowadzenia wojny o Afganistan. W końcu tłumione starcia doprowadziły do wrzenia. Właśnie w tym miesiącu Rosjanie, wprawdzie z wolna, lecz stale, posuwali się do przodu od strony Turkiestanu i teraz zbliżali się do Pandjeh, ostatniej oazy przed afgańską granicą, obskurnej gospody, która nagle stała się przedmiotem uwagi całego świata.

Josh uważał, że cała ta międzynarodowa gra jest przerażająca. Wskutek prostej geograficznej logiki było to miejsce, gdzie ścierały się wielkie imperia i pomimo oporu Pasztunów ta straszna konfrontacja miażdżyła ludzi, którzy mieli nieszczęście tam się urodzić. Czasami zastanawiał się, czy tak będzie w przyszłości, jeśli to pechowe miejsce było skazane na to, by zawsze było areną wojny i o jakie niewyobrażalne skarby ludzie mogliby tutaj walczyć.

— A może pewnego dnia — kiedyś powiedział do Ruddy'ego — ludzie zapomną o wojnach, tak jak dorastające dziecko zapomina o zabawkach z czasu swego dzieciństwa.

Ale Ruddy tylko prychnął przez wąsy.

— Ba! I czym się zajmą, przez cały dzień będą grali w krykieta? Josh, ludzie będą zawsze prowadzili wojny, ponieważ zawsze będą ludźmi, a wojna to zawsze *zabawa.* — Josh był naiwny, jak Amerykanin z klapkami na oczach, z dala od domu, a „młodość musi się wyszumieć", stwierdził dziewiętnastoletni Ruddy.

W niecałe pół godziny Ruddy skończył pisać. Odchylił się w krześle, patrząc przez okno na czerwieniejące światło i utkwiwszy swe krótkowzroczne oczy w czymś, czego Josh nie widział.

— Ruddy — jeżeli to poważna sprawa — myślisz, że nas odeślą

do Peszawaru?

Ruddy prychnął.

— Mam nadzieję, że nie. Po to tu jesteśmy. — Przeczytał ze swego rękopisu. — „Pomyślcie o tym! Daleko, za Hindukuszem, maszerują — w swych zielonych lub szarych kurtkach — maszerują pod znakiem dwugłowego orła cara. Wkrótce przekroczą przełęcz Khyber. Ale na południu gromadzą się jeszcze liczniejsze kolumny, ludzie z Dublina i Delhi, Kalkuty i Colchester, których połączył wspólny cel, są gotowi oddać życie za Wdowę z Windsoru”… Zawodnicy są na stanowiskach, sędziowie gotowi, zakłady zamknięte. A my tutaj na linii końcowej! Co o tym myślisz powiedz, Josh…

— Naprawdę potrafisz być denerwujący, Ruddy.

Ale zanim Ruddy zdążył odpowiedzieć, do środka wpadł Cecil de Morgan. Faktor miał zaczerwienioną twarz, był zasapany, a jego ubranie pokryte było kurzem.

— Musicie przyjść, chłopaki, och, chodźcie zobaczyć, co znaleźli!

Josh z westchnieniem wygramolił się z łóżka. Czyż tego dnia dziwnym wydarzeniom nie będzie końca?

Szympans — to była pierwsza myśl Josha. Szympans, schwytany w siatkę maskującą, leżący biernie na podłodze. A koło niego mniejszy kłębek z drugim zwierzęciem, zapewne dzieckiem. Uwięzione zwierzęta zostały przyniesione do obozu na żerdziach wetkniętych w siatkę. Dwóch sipajów rozplątywało większy kłębek.

W pobliżu kręcił się de Morgan.

— Złapali je na północ stąd — dwóch szeregowych, którzy byli na patrolu — zaledwie o jakąś milę od obozu.

— To po prostu szympans — powiedział Josh. Ruddy szarpał wąsy.

— Ale ja nigdy nie słyszałem o szympansie w tej części świata. Czy w Kabulu jest zoo?

— On nie jest z zoo — wysapał de Morgan. — I to nie jest szympans. Ostrożnie, chłopaki…

Sipajowie zdjęli ze zwierzęcia siatkę. Jego futro było przesiąknięte krwią. Zwinęło się w kulę, z nogami przyciągniętymi do piersi i długimi rękami owiniętymi wokół głowy. Mężczyźni trzymali żerdzie jak pałki i Josh dojrzał na grzbiecie zwierzęcia ślady po uderzeniach.

Zwierzę zdało sobie chyba sprawę, że zdjęto siatkę. Opuściło ręce i nagłym, płynnym ruchem poturlało się i przykucnęło, lekko opierając się knykciami o ziemię. Ludzie cofnęli się ostrożnie, a zwierzę spojrzało na nich.

— Mój Boże, to samica — wyszeptał Ruddy.

Jeden z sipajów, krzepki mężczyzna, z ociąganiem wystąpił naprzód. Wyciągnął żerdź przed siebie i szturchnął zwierzę w zad.

Warknęło i kłapnęło wielkimi zębami. Ale sipaj nie przestawał. W końcu zwierzę z wdziękiem — i swoistą godnością, pomyślał Josh — wyprostowało nogi i wstało.

Josh usłyszał, jak Ruddy gwałtownie wciągnął powietrze.

Zwierzę miało ciało szympansa, co do tego nie było żadnych wątpliwości, obwisłe piersi, powiększone narządy płciowe i różowe pośladki; kończyny także miały proporcje typowe dla małpy człekokształtnej. Ale stało wyprostowane na długich nogach, które jak wyraźnie widział Josh, były połączone z miednicą jak u człowieka.

— Wielki Boże — powiedział Ruddy. — Ona jest jak karykatura kobiety — to monstrum!

— Żadne monstrum — powiedział Josh. — Pół człowiek, pół małpa. Czytałem, że współcześni biologowie dyskutują o takich sprawach, o stworzeniach, które sytuują się między nami a zwierzętami.

— Widzicie? — de Morgan zerkał to na jednego, to na drugiego z wyrazem wyrachowania na twarzy. — Czy kiedykolwiek, kiedykolwiek widzieliście coś takiego? — Obszedł zwierzę dookoła.

Krzepki sipaj powiedział z silnym akcentem:

— Niech pan uważa, *sahib*. Ma tylko cztery stopy wzrostu, ale potrafi drapać i kopać, mówię panu.

— Nie małpa, ale *człowiek-małpa*… Musimy zabrać ją do Peszawaru, a potem do Bombaju i do Anglii. Pomyślcie, jaką sensacją będzie w ogrodach zoologicznych! A może nawet w teatrach… Nic takiego nie ma, nawet w Afryce! To bez wątpienia sensacja.

Mniejsze zwierzę, wciąż owinięte siatką, wydawało się wracać do przytomności. Przetoczyło się i zamamrotało słabym głosem. Samica zareagowała natychmiast, jak gdyby dotąd nie zdawała sobie sprawy, że jej małe też tu jest. Skoczyła w stronę dziecka.

Sipajowie natychmiast zdzielili ją pałkami. Zakręciła się i kopnęła, ale przycisnęli ją do ziemi.

Ruddy rzucił się na nich ze zjeżonymi brwiami.

— Na miłość boską, nie tłuczcie jej tak! Nie rozumiecie? To matka. I patrzcie na jej oczy, patrzcie! Czyż ich wyraz nie będzie zawsze was prześladował?… — Ale człowiek-małpa wciąż walczył, sipajowie wciąż walili go pałkami, a de Morgan wrzeszczał przestraszony, że jego skarb ucieknie albo co gorsza, zostanie zabity.

Josh pierwszy usłyszał brzęczący dźwięk. Obrócił się na wschód i zobaczył chmury pyłu unoszące się w powietrzu.

— Znowu tu jest, słyszałem to już przedtem… Ruddy, zdenerwowany gwałtowną sceną, mruknął:

— Co tam znów, u licha?

4. Wyrzutnia granatów

Casey zawołał:

— Jesteśmy prawie nad bazą. Schodzimy w dół.

Helikopter zaczął opadać jak szybkobieżna winda. Pomimo wyszkolenia, jakie przeszła, Bisesa poczuła ściskanie w dołku.

Przelatywali teraz w pobliżu wioski. Przez pole widzenia przelatywały drzewa, pokryte rdzą blaszane dachy, samochody, sterty opon. Helikopter przechylił się i zaczął krążyć w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara po kole o dużym promieniu. Ale ponieważ Bisesa była skulona na małej ławce, nie widziała nic oprócz nieba. Kolejna ironia, pomyślała. Westchnęła i spojrzała na małą tablicę sterowniczą przymocowaną obok niej do ściany. Zainstalowane w gondoli podwieszonej pod kadłubem maszyny kamery, liczniki Geigera, czujniki ciepła, radar, a nawet czujniki składu chemicznego powietrza, były skierowane na ziemię.

Ptak był wyposażony w najnowocześniejszy system łączności, jakim dysponowała armia. Gdzieś nad głową Bisesy znajdował się wielki helikopter C2 — C2 oznaczało dowodzenie i kierowanie — ale był to tylko wierzchołek ogromnej odwróconej piramidy technologicznej, obejmującej latające na wysokim pułapie zdalnie sterowane samoloty zwiadowcze i patrolowe, a nawet satelity wyposażone w kamery i radar, których elektroniczne zmysły były wycelowane w ten obszar. Strumienie danych, które gromadziła Bisesa, były analizowane w czasie rzeczywistym przez inteligentne systemy zainstalowane na pokładzie Ptaka, w maszynach unoszących się wyżej oraz w centrum dowodzenia, w bazie. Wszelkie anomalie niezwłocznie przekazywano do Bisesy celem potwierdzenia za pośrednictwem bezpośredniego połączenia, niezależnego od połączenia pilota z dowódcą sił powietrznych poprzez sieć dowodzenia.

Wszystko to było bardzo skomplikowane, ale tak jak samo pilotowanie helikoptera gromadzenie danych podczas misji było w znacznej mierze zautomatyzowane. W trakcie prowadzenia obserwacji misja szybko stawała się rutynowa i znudzeni piloci znowu zaczęli żartować.

Bisesa wiedziała, jak się czuli. Została wyszkolona jako Technik ds. Kontroli Walki, specjalistka zajmująca się koordynacją łączności ziemia — powietrze podczas konfliktu zbrojnego. Jej podstawowym zadaniem, po zrzuceniu w terenie walk, było określenie z maksymalną dokładnością kierunku ataku rakietowego. Nigdy jeszcze nie musiała wykorzystywać nabytych umiejętności, które czyniły ją idealną kandydatką do roli obserwatora, ale nie potrafiła zapomnieć, do jakich

zadań ją przeznaczono.

Oddelegowano ją do tych firmowanych przez ONZ sił nadzorujących i pokojowych na tydzień, ale miała wrażenie, że trwa to o wiele dłużej. Wojsko było zakwaterowane w koszarach, które zaadaptowano z dawnych hangarów. W tych wysokich, pustych, stale cuchnących paliwem samolotowym i olejem, zbyt gorących za dnia i zbyt zimnych nocą, pozbawionych charakteru pudłach z blachy falistej i plastiku było coś przytłaczającego. Nic dziwnego, że ich mieszkańcy ochrzcili je imieniem Claviusa, nawiązując do nazwy wielkiej międzynarodowej placówki na Księżycu.

Żołnierze mieli codziennie ćwiczenia fizyczne, musieli odbywać warty, konserwować sprzęt i zajmować się innymi przyziemnymi sprawami. Ale to nie wystarczało, żeby wypełnić im czas, czy zaspokoić potrzeby. W rozbrzmiewających głośnym echem hangarach grali w siatkówkę albo w ping-ponga, a ponadto były tam kluby, w których bezustannie grano w pokera lub w remika. Chociaż kobiet było mniej więcej tyle samo co mężczyzn, miejsce to było gniazdem szalonych seksualnych uciech. Można było odnieść wrażenie, że niektórzy mężczyźni rywalizują ze sobą, aby osiągnąć orgazm w najbardziej niezwykłej czy trudnej sytuacji — na przykład wisząc w uprzęży spadochronowej.

Pomyślała, że nic dziwnego, iż w takiej atmosferze ludzie pokroju Caseya Othica dostawali lekkiego bzika.

Sama Bisesa trzymała się od tego wszystkiego z daleka. Potrafiłaby bez trudu dać sobie radę z takimi jak Casey, nawet teraz brytyjska armia wcale nie była oazą równości seksualnej i dobrych zasad. Odrzuciła uprzejme zainteresowanie Abdikadira. W końcu miała ośmioletnią córkę, Myrę, cichą, poważną i bardzo kochającą dziewczynkę, która teraz znajdowała się tysiące mil stąd, pod opieką babci w londyńskim mieszkaniu Bisesy. Bisesę nie interesowały te gry ani seksualne igraszki, których celem było zachowanie zdrowia psychicznego; tę rolę spełniała Myra.

Poza tym motywowało ją znaczenie tej misji.

W 2037 roku obszar graniczny między Pakistanem i Afganistanem stanowił punkt zapalny, tak jak to było od wieków. Po pierwsze, miejsce to było przedmiotem nieustającego ogólnoświatowego konfliktu między chrześcijaństwem i islamem. Jeśli nie liczyć gorących głów i agitatorów po obu stronach, wszyscy byli radzi, że nigdy nie doszło do ostatecznej „wojny cywilizacji". Ale mimo to, w takim miejscu, gdzie wojska głównie chrześcijańskich krajów pilnowały porządku w obszarze zamieszkiwanym głównie przez muzułmanów, zawsze mógł się znaleźć ktoś, kto byłby gotów wywołać krucjatę albo dżihad.

Panowały tam także niezwykle groźne lokalne napięcia. Impasu w

stosunkach między Indiami i Pakistanem nie zmniejszyła wojna w 2020 roku, która spowodowała zniszczenie w wyniku ataku atomowego miasta Lahore, mimo że obie strony konfliktu oraz ich stronnicy w końcu powstrzymali się, będąc niebezpiecznie blisko wywołania bardziej rozległych spustoszeń. Tę skomplikowaną mieszankę dodatkowo potęgowały emocje, aspiracje i trudna sytuacja miejscowej ludności: dumni Pasztunowie, którzy choć zdołano ich wciągnąć do cywilizowanej dysputy, wciąż uparcie trwali przy swojej tradycji i nadal pragnęli bronić ojczyzny do ostatniej kropli krwi.

Do tych zadawnionych sporów teraz dochodziła jeszcze ropa naftowa, która przyciągała resztę świata jak magnes do tego zapalnego obszaru. Chociaż długofalowe perspektywy, jakie zapewniała zimna synteza jądrowa, najbardziej obiecująca spośród nowoczesnych technologii, były zadziwiające, jej wykorzystanie na skalę przemysłową wciąż nie było dostatecznie ugruntowane, a światowe zasoby węglowodorów spalano równie szybko, jak wydobywano. Tam, gdzie kiedyś Brytyjskie Imperium i carska Rosja rywalizowały o bogactwa Indii, teraz Stany Zjednoczone, Chiny, Sojusz Afrykański i Unia Euroazjatycka, które zależały w ogromnym stopniu od rezerw ropy w Azji Środkowej, znalazły się w martwym punkcie.

Celem misji ONZ było utrzymanie pokoju poprzez obserwację i patrolowanie tego obszaru. Uważano go za najlepiej nadzorowane terytorium na całej planecie. Misja pokojowa była niedoskonałą, niezręczną operacją, która, jak Bisesa czasami myślała, rodziła równie wiele napięć i urazów, co rozwiązywała. Ale jako tako działała i to od wielu dziesięcioleci. Może to było najlepsze, co zwykli ludzie i skomplikowana, pełna wad, ale stabilna operacja ONZ mogła zapewnić.

Wszyscy mieszkańcy Claviusa rozumieli znaczenie tego zadania. Ale dla młodego żołnierza niewiele rzeczy było równie nudnych co utrzymywanie pokoju.

Nagle zaczęło ich silniej rzucać. Bisesa poczuła, że jej puls przyspiesza; może ta misja mimo wszystko nie była taka całkiem rutynowa.

Kiedy pomimo turbulencji helikopter nie przestawał krążyć, Casey i Abdikadir pracowali, jednocześnie rozmawiając ze sobą. Abdikadir próbował złapać kontakt z bazą.

— Alfa Cztery Trzy, tutaj Primo Pięć Jeden, odbiór. Alfa Cztery Trzy… — Casey klął z powodu utraty łączności z satelitą lokalizacyjnym, a Bisesa domyślała się, że dostawszy się w niespodziewaną turbulencję, pilotuje helikopter ręcznie.

— Au! — odezwał się telefon żałośnie. Podniosła słuchawkę.

— Co się dzieje?

— Straciłem sygnał. — Ekran wyświetlał rozmaite dane. — Nigdy

mi się to dotąd nie zdarzyło — powiedział. — To dziwne.

Abdikadir zerknął na nią.

— Nasza łączność też nie działa. Brak kontaktu z siecią dowodzenia.

Bisesa poniewczasie sprawdziła własny sprzęt. Nie było łączności między stacją naziemną a satelitą.

— Wygląda na to, że straciliśmy także sieć satelitarną.

— No tak — powiedział Abdikadir. — Padła zarówno sieć wojskowa, jak i cywilna.

— Co o tym sądzisz, burza elektryczna? Casey burknął:

— Nie, według tego, co przewidywały te dupki z meteo. Poza tym latałem już podczas burzy, ale żadna nie wywoływała takich skutków.

— Więc co to może być?

Przez kilka sekund wszyscy milczeli. W końcu znajdowali się w obszarze odległym zaledwie o kilkaset kilometrów od miejsca, gdzie zastosowano broń jądrową i centrum miasta zostało obrócone w równinę stopionego szkła. Łączność padła, nie wiadomo skąd powiał wiatr; trudno było nie zakładać najgorszego.

— Musimy założyć — powiedział Abdikadir — że jest to co najmniej zagłuszanie.

— Oj! — powiedział telefon.

Zaniepokojona obracała telefon w dłoniach. Miała go od dziecka. Było to zwykłe urządzenie, dostarczane przez ONZ każdemu, kto ukończył dwanaście lat, w ten sposób ta stara, chwiejąca się w podstawach organizacja starała się zjednoczyć świat za pośrednictwem powszechnej łączności. Większość ludzi wyrzuciła te drętwe rządowe gadżety, ale Bisesa rozumiała, jaki motyw stał za tym darem i swój telefon zawsze nosiła przy sobie. Myślała o nim jak o przyjacielu.

— Nie przejmuj się — powiedziała do niego Bisesa. — Matka mówiła mi, że kiedy była młoda, telefony stale traciły sygnał.

— Możesz sobie mówić — powiedział telefon. — Ja zostałem poddany lobotomii.

Abdikadir skrzywił się.

— Jak możesz to wytrzymać? Ja zawsze wyłączam te obwody współczucia. Są takie irytujące.

Bisesa wzruszyła ramionami.

— Wiem. Ale w ten sposób tracisz połowę funkcjonalności.

— I dozgonnego przyjaciela — dodał telefon. Abdikadir prychnął.

— Tylko mu nie współczuj. Telefony są jak matki-katoliczki — znawczynie poczucia winy.

Helikopterem znowu zatrzęsło. Ptak przechylił się, po czym wyrównał lot i lecąc nisko nad ziemią, oddalił się od wioski.

— Manewr zbierania danych zakończony — zawołał Casey.

— Trudno utrzymać kurs.

Abdikadir uśmiechnął się triumfalnie.

— Fajnie wiedzieć, że badamy granice twoich umiejętności, Casey.

— Wsadź to sobie w dupę — warknął Casey. — Ten wiatr nadlatuje z każdej możliwej strony. Popatrz na wahania naszej prędkości względem Ziemi. Hej, co to takiego? — Wskazał na ziemię poniżej.

Bisesa pochyliła się i wyjrzała. Rzadka roślinność falowała pod wpływem prądu powietrza wywołanego obrotem śmigła, odsłaniając coś znajdującego się na ziemi. Dostrzegła ludzką sylwetkę, która coś trzymała w dłoni — długą, czarną rurę — *broń*.

Zachodzące słońce oślepiło ją na chwilę odwracając uwagę.

Helikopter przestał krążyć i zmierzał prosto w jego stronę, z lekko pochyloną pękatą kabiną i uniesionym ogonem. Moallim wyszczerzył zęby w uśmiechu i zacisnął dłonie na wyrzutni granatów. Zdał sobie sprawę, że serce mu wali, palce ma śliskie od potu, a w oczach pełno pyłu, tak że zaczął mrugać. To będzie pierwsza ważna akcja w jego życiu. Gdyby zestrzelił ten helikopter, natychmiast zostałby okrzyknięty bohaterem i wszyscy by go podziwiali, bojownicy i matka. I była też pewna dziewczyna… Nie wolno mu teraz o tym myśleć, bo musi spełnić swoje zadanie.

Ale teraz wewnątrz baniastego kokpitu helikoptera zobaczył ludzi. Rzeczywistość tego, co widzi, nagle nim wstrząsnęła. Czy za chwilę naprawdę ich wykończy, rozgniecie jak robaki?

Helikopter znalazł się nad nim, a prąd powietrza rozgarnął jego lichą osłonę. Możliwości wyboru skurczyły się do jednej; nie wolno mu się wahać, bo zginie, zanim spełni swój obowiązek.

Śmiejąc się, wystrzelił granat.

Abdikadir krzyknął:

— Wyrzutnia granatów!

Casey pociągnął za drążek. Bisesa zobaczyła błysk i pędzącą w ich stronę smugę dymu. Nastąpił potężny wstrząs, jak gdyby helikopter wpadł w powietrzu na jakąś niewidzialną przeszkodę. Nagle przód kabiny z rykiem uniósł się w górę, a z rozdarcia w kadłubie wionął wiatr.

— Jasna cholera! — krzyknął Casey. — Odstrzelił nam kawałek śmigła sterującego.

Kiedy Bisesa spojrzała do tyłu, ujrzała plątaninę metalu i delikatną mgiełkę oleju tryskającego z pękniętej rurki. Samo śmigło wciąż pracowało i helikopter leciał dalej. Ale w tym momencie wszystko uległo zmianie; smagana wiatrem i ogłuszona hałasem poczuła się odsłonięta, straszliwie bezbronna.

Casey powiedział:

— Wszystko w normie, oprócz ciśnienia oleju. I straciliśmy część

skrzyni biegów.

— Przez jakiś czas możemy lecieć bez oleju — powiedział Abdikadir.

— Tak mówi podręcznik. Ale będziemy musieli zawrócić, jeżeli chcemy się dostać do domu. — Casey na próbę poruszył drążkiem, jakby sprawdzając odporność uszkodzonej maszyny. Ptak zadygotał i podskoczył.

— Powiedz, co się dzieje — mruknęła Bisesa.

— To była wyrzutnia granatów — powiedział Abdikadir. — No przecież brałaś udział w odprawie. Tutaj codziennie ktoś ginie.

— Nie mam na myśli wyrzutni granatów. Chodzi mi o to. — Pokazała przez okno, na zachód od kierunku lotu, w stronę czerwieniejącego, zachodzącego słońca.

— To tylko słońce — powiedział Casey, najwyraźniej mając trudności ze skupieniem się na czymkolwiek poza kokpitem. Ale po chwili usłyszała: — O!

Kiedy wystartowali, z pewnością nie więcej niż trzydzieści minut temu, słońce stało wysoko. A teraz…

— Powiedz, że spałem przez sześć godzin — powiedział Casey. — Powiedz, że śnię.

Telefon Bisesy rzekł:

— Wciąż nie mam kontaktu. I boję się. Bisesa zaśmiała się niewesoło.

— Jesteś odporniejszy niż ja, ty mały sukinsynu. — Pociągnęła zamek błyskawiczny z przodu kombinezonu i wsunęła telefon głęboko do kieszeni.

— Zabieramy się stąd — powiedział Casey. Zaczął skręcać. Silnik zawył.

Nagłe gorąco rury sparzyło go, a gorący dym kłębiący się wokół głowy sprawił, że się zakrztusił. Ale usłyszał syk granatu pędzącego przez powietrze. Kiedy granat eksplodował, odłamki zaczęły świstać wokół i chłopiec skulił się ze strachu, zasłaniając twarz.

Kiedy spojrzał w górę, zobaczył, że helikopter oddala się od wioski, ciągnąc za sobą smugę gęstego, czarnego dymu wydobywającego się z części ogonowej.

Moallim podniósł się i ryknął, ścierając brud z twarzy i wywijając pięścią w powietrzu. Odwrócił się i spojrzał na wschód, w stronę wioski, bo ludzie z pewnością widzieli, jak wystrzelił granat i zobaczyli, że uszkodził helikopter. Z pewnością przybiegną, żeby go powitać.

Ale nikt się nie pojawił, nawet jego matka. W ogóle nie widział wioski, chociaż znajdował się nie więcej niż sto metrów od jej zachodniego skraju i niedawno dokładnie widział prymitywne dachy oraz pochyłe ściany domostw, dzieci i kozy, wałęsające się między

domami. Teraz to wszystko znikło, a skalista równina ciągnęła się aż po horyzont, jak gdyby wioska została starta z powierzchni ziemi. Moallim był sam, sam koło swego okopu strzeleckiego i dymiącej wyrzutni granatów, a wielka kolumna dymu powoli rozwiewała się nad jego głową.

Sam na ogromnej równinie.

Gdzieś zaryczało jakieś zwierzę. Był to cichy pomruk, jakby ogromnej maszyny. Pojękując, wstrząśnięty Moallim wgramolił się z powrotem do swojej jamy.

Skręt to było za wiele dla uszkodzonego śmigła. Kadłub maszyny wokół Bisesy zadrżał i rozległo się wysokie wycie, kiedy suche wałki w skrzyni biegów zatarły się.

Nie upłynęła nawet minuta od chwili trafienia granatem, pomyślała.

— Będziesz musiał wylądować — szybko powiedział Abdikadir.

— Jasne — odparł Casey. — Ale gdzie? Abdi, tutaj nawet urocze drobne staruszki noszą wielkie noże, żeby ci urżnąć jaja.

Bisesa wskazała przez ramię.

— Co to jest? — Była to budowla z kamieni i ubitej ziemi, nie więcej niż parę kilometrów od nich. Trudno ją było dostrzec w oślepiających promieniach tego nienormalnego słońca. — Wygląda jak forteca.

— Ale nie nasza — powiedział Abdikadir.

Helikopter przelatywał teraz nad grupą rozproszonych, biegnących ludzi; niektórzy z nich mieli na sobie jasnoczerwone kurtki. Bisesa była na tyle blisko, iż zobaczyła, że mieli usta otwarte z przerażenia.

— Jesteś ekspertem w sprawach wywiadu — warknął Casey. — Kim oni są, u licha?

— Naprawdę nie mam pojęcia — wymamrotała Bisesa. Rozległ się głośny huk. Ptak zakołysał się i zaczął wirować.

Zespół śmigła sterującego rozpadł się. Kiedy ciężar śmigła zniknął, kadłub helikoptera przechylił się do przodu, a ponieważ nie było już śmigła sterującego, nic nie mogło powstrzymać maszyny przed wirowaniem wokół osi wirnika nośnego. Chociaż Casey wcisnął pedały do oporu, wirowanie nie ustawało — a nawet przyśpieszało — aż Bisesę przycisnęło do ściany kokpitu, a widoczne za wypukłymi oknami żółta ziemia i błękitno-białe niebo zupełnie się rozmazały.

Coś wyłoniło się zza niskiego pagórka. Josh ujrzał wirujący metal, niby ostrza miecza, który dzierżył jakiś niewidzialny derwisz. Poniżej widniał jakby pęcherz ze szkła, a pod nim jakiś rodzaj szyn. Była to maszyna, która wirowała, terkotała, unosiła w górę kłęby pyłu, ale nigdy nic takiego dotąd nie widział. I nie przestawała się wznosić, aż owe szyny znalazły się wysoko nad ziemią, dziesięć lub dwadzieścia

stóp. A z jej ogona wydobywała się smuga dymu.

— O rany! — wysapał Ruddy. — Miałem rację, Rosjanie, przeklęci Rosjanie!…

Latająca maszyna nagle runęła w dół.

— Chodźmy — zawołał Josh, już biegnąc.

Casey i Abdikadir męczyli się przy dźwigniach silnika, usiłując zapobiec wirowaniu spowodowanemu siłą odśrodkową. Wreszcie udało im się wyłączyć silnik i wirowanie helikoptera nagle zwolniło. Ale pozbawiony siły nośnej helikopter zaczął spadać.

W oczach Bisesy ziemia zaczęła się gwałtownie zbliżać, kawałki skał i skarłowaciałe rośliny, widoczne teraz aż nadto wyraźnie, rzucały długie cienie w świetle nisko wiszącego słońca. Zastanawiała się, który fragment mało pociągającej ziemi stanie się jej grobem. Ale pilotom coś się udało. W ostatniej chwili bania kabiny przechyliła się i zawisła prawie poziomo. Bisesa wiedziała, jakie to ważne; oznaczało to, że może wyjdą z tego cało.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był biegnący w stronę uszkodzonego helikoptera człowiek, który celował z karabinu.

Helikopter uderzył w ziemię.

5. Sojuz

Kola ledwie odczuł nieciągłość. Zaczęła się utratą sygnału, zaburzoną perspektywą, jakby zabłądził.

Nadszedł czas odłączenia promu kosmicznego Sojuz od Stacji Kosmicznej. Wymieniono ostatnie uściski dłoni, zamknięto ciężkie podwójne włazy i chociaż Sojuz pozostawał fizycznie połączony ze Stacją, Kola już opuścił orbitujący statek, w którym spędził trzy miesiące życia. Teraz czekała go tylko krótka podróż do domu, zaledwie czterysta kilometrów w dół, przez atmosferę do powierzchni Ziemi, gdzie ponownie połączy się ze swoją rodziną.

Pełne imię i nazwisko Koli brzmiało Anatolij Konstantinowicz Kriwałapow. Miał czterdzieści jeden lat i ten okres służby na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej był czwartym z kolei.

Kola, Musa i Sabie, którzy stanowili załogę promu, przecisnęli się przez przedział mieszkalny Sojuza, zmierzając do modułu powrotnego. Poruszali się niezdarnie w grubych, pomarańczowych skafandrach kosmicznych, z kieszeniami wypchanymi pamiątkami, które zamierzali ukryć przed obsługą naziemną. Przedział mieszkalny zostanie odrzucony podczas wchodzenia w atmosferę, w której spłonie, był więc pełen rupieci, które należało usunąć ze Stacji. Znajdowały się tam na przykład odpady medyczne i zniszczona bielizna. Sabie Jones, jedyna Amerykanka w trzyosobowej załodze, szła przodem, głośno narzekając w żargonie z południowego wybrzeża:

— Jezu, co to jest, kozackie ochraniacze na jaja?

Musa, dowódca Sojuza, spojrzał na nią bez słowa.

Moduł powrotny stanowiła ciasna buda, w której znajdowały się trzy koje. Sabie przeszła przeszkolenie w zakresie obsługi systemów statku, ale podczas tego skoku z powrotem na Ziemię miała być właściwie pasażerem. Weszła więc do kabiny jako pierwsza i wgramoliła się na koję po prawej stronie. Idący za nią Kola umieścił się na koi po lewej. Podczas schodzenia w dół miał pełnić funkcję inżyniera pokładowego. Pomieszczenie było tak małe, że kiedy posuwał się w stronę najdalszego punktu kabiny, zahaczył o nogi Sabie, która spiorunowała go wzrokiem.

Teraz do środka wpadł Musa z hełmem w dłoni, niczym jasnopomarańczowy pocisk. Był zwalistym mężczyzną, tym bardziej w tym skafandrze. Koje były tak blisko siebie, że kiedy leżeli, nogi mieli przyciśnięte do siebie i kiedy Musa nieporadnie próbował zapiąć pasy, popychał Kolę i Sabie we wszystkie strony.

Reakcja Sabie była do przewidzenia.

— Gdzie oni to zrobili, w fabryce traktorów?…

To była chwila, na którą Musa czekał.

— Sabie, słuchałem twojego jazgotu przez ostatnie trzy miesiące, a ponieważ byłaś dowódcą, nic nie mogłem na to poradzić. Ale tutaj, na pokładzie Sojuza, to ja, Musa Kiromanowicz Iwanow, jestem dowódcą. I dopóki nie zostanie otwarty właz i obsługa naziemna nie wyciągnie nas na zewnątrz, łaskawa pani, jak to się mówi po angielsku? *Zamknij się, do kurwy nędzy!*

Twarz Sabie pozostała niewzruszona. Musa był pięćdziesięcioletnim weteranem i sam był kiedyś dowódcą stacji, a nawet brał udział w wyprawie na Księżyc, jednak nie kierował stacją międzynarodową. Wszyscy wiedzieli, że reprymendę, jaką dał Sabie, słyszeli ich towarzysze na stacji, a co ważniejsze kontrola naziemna.

Sabie powiedziała przez zaciśnięte zęby:

— Zapłacisz za to, Musa.

Musa wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu i odwrócił się.

Moduł powrotny był zagracony. Znajdowały się tam główne układy sterowania statku kosmicznego, jak również przedmioty, potrzebne podczas powrotu na Ziemię: spadochrony, tratwy, sprzęt umożliwiający przetrwanie, żelazne racje. Ściany były wyłożone elastycznym tworzywem sztucznym i pokryte materiałami ze Stacji, mianowicie próbkami krwi i stolca z programu biomedycznego oraz sadzonkami groszku i drzew owocowych, które sam Kola próbował hodować. Wszystko to upchnięto, przenosząc z kadłuba, uszczuplając w ten sposób jeszcze bardziej miejsce dla ludzi.

Ale wśród tych rupieci, na lewo od Koli, znajdowało się okno. Widział przez nie czarną przestrzeń kosmiczną, kawałek jasno oświetlonej Ziemi, rozporki i małe wgłębienia od uderzeń mikrometeorytów oraz samą Stację, połyskującą jasno w ostrym świetle słonecznym. Sojuz, wciąż połączony ze Stacją, powoli obracał się wraz z nią i przez pole widzenia Koli przesuwały się cienie.

Musa sprawdził listę kontrolną, rozmawiając z Ziemią i z załogą Stacji. Kola nie miał wiele do roboty, najważniejszą sprawą była kontrola ciśnienia w skafandrze kosmicznym. To był rosyjski statek i w odróżnieniu od amerykańskiej tradycji pilotowania ręcznego większość układów była zautomatyzowana. Sabie nadal zrzędziła, sięgając do kolejnych przełączników, umieszczonych wokół kapsuły w różnych miejscach i pod różnymi kątami. Do niektórych z nich tak trudno było się dostać, że doświadczeni kosmonauci wciskali je, posługując się drewnianym patykiem. Ale Kola czuł perwersyjną dumę z praktycznej, tradycyjnej konstrukcji statku.

Sojuz był jak pieprzniczka, z koronkowymi ogniwami słonecznymi na skrzydłach przymocowanych do cylindrycznego korpusu. Z okien Stacji Kosmicznej Sojuz, skąpany w jaskrawym świetle słonecznym, wyglądał jak nieforemny owad; w porównaniu z

nowymi amerykańskimi samolotami kosmicznymi rzeczywiście był jak niezdarny stary ptak. Ale był to pojazd godny szacunku. Narodził się w okresie Zimnej Wojny i w rzeczywistości był przeznaczony do podróży na Księżyc. Warto zauważyć, że Sojuz latał już dwa razy dłużej, niż Kola był na tym świecie. Oczywiście teraz, w 2037 roku, ludzie powrócili na Księżyc i tym razem byli wśród nich i Rosjanie! Ale podczas takich egzotycznych podróży dla Sojuza nie było miejsca, ponieważ te wierne konie pociągowe miały jedynie kursować na zdezelowaną Stację Kosmiczną której nieliczne cele naukowe już dawno zostały przejęte przez projekty księżycowe i której splendor odebrały misje marsjańskie, a mimo to Stacja wciąż pozostawała na orbicie, trwając dzięki politycznej inercji i dumie.

Nadeszła chwila, gdy Sojuz w końcu odłączył się od Stacji. Kola usłyszał kilka delikatnych stuknięć, poczuł jakby leciutkie szturchnięcia i ogarnęło go uczucie smutku. Jako odrębny statek kosmiczny Sojuz miał sygnał wywoławczy Stereo i Koli dodały otuchy słowa Musy, który cierpliwie wywoływał Ziemię:

— Stereo Jeden, tu Stereo Jeden…

Zostały jeszcze trzy godziny do chwili planowanego schodzenia w dół i załoga miała się teraz zabrać do sprawdzania stanu zewnętrznej powłoki Stacji. Musa uruchomił program na komputerze pokładowym i Sojuz, odpaliwszy silniki sterujące, rozpoczął serię prostoliniowych ruchów wokół Stacji. Każde uruchomienie silników brzmiało, jakby ktoś walił młotem w kadłub pojazdu, i Kola widział, jak z małych dyszy tryskają gazy wylotowe i fontanny kryształków lecących po idealnie prostoliniowych torach. Ziemia i Stacja wirowały wokół niego w powolnym tańcu. Ale Kola nie miał zbyt wiele czasu na podziwianie tego widoku; razem z Sabie, siedząc przy oknach, fotografowali Stację, aby oprócz zdjęć z automatycznych urządzeń zamocowanych na zewnątrz Sojuza mieć fotografie zapasowe.

Było to trudne zadanie, bo każde z nich miało na dłoniach ciężkie rękawice.

Każdy manewr silników sterujących powoli oddalał Sojuz od Stacji. W końcu bezpośredni kontakt radiowy zaczął się rwać i załoga Stacji na pożegnanie nadała dla nich muzykę. Kiedy dźwięki walca Straussa przedostawały się przez szumy i trzaski zakłóceń, Kolę ogarnęła nostalgia. Polubił Stację. Nauczył się wyczuwać delikatne obroty potężnej arki i wibracje, gdy wielkie baterie słoneczne zmieniały położenie, rozpoznawał szczęki i trzaski skomplikowanego systemu wentylacyjnego. Po tak długim pobycie na jej pokładzie owe uczucia w stosunku do Stacji zakorzeniły się w nim głębiej niż wobec jakiegokolwiek domu, w którym przedtem mieszkał. Zresztą jaki inny dom utrzymuje cię przy życiu, minuta po minucie?

Muzyka urwała się.

Musa siedział, marszcząc brwi.

— Stereo Jeden, tutaj Stereo Jeden. Ziemia, tutaj Stereo Jeden. Zgłoś się, tu Stereo Jeden…

Sabie powiedziała:

— Ej, Kola. Widzisz Stację? Teraz powinna być w moim polu widzenia.

— Nie — powiedział Kola, wyglądając przez okno. Nie było ani śladu Stacji.

— Może znalazła się w cieniu — powiedziała Sabie.

— Nie sądzę. — Sojuz rzeczywiście wchodził wraz ze Stacją w cień Ziemi. — Tak czy owak powinniśmy widzieć jej światła. — Czuł się dziwnie nieswojo.

Musa warknął:

— Możecie być cicho? Straciliśmy kontakt z satelitą. — Wcisnął jakieś guziki. — Przeprowadziłem testy diagnostyczne i próbowałem uruchomić układy rezerwowe. Stereo Jeden, Stereo Jeden…

Sabie zamknęła oczy.

— Powiedz, że twoi spece znów czegoś nie sknocili.

— Zamknij się — groźnie powiedział Musa. Nie przestawał wywoływać Ziemi, podczas gdy Sabie i Kola słuchali w milczeniu.

Powolny obrót statku sprawił, że teraz Kola miał przed sobą ogromną tarczę planety. Zobaczył, że przelatują nad Indiami, poruszając się w stronę zachodzącego Słońca; widział długie cienie rzucane przez łańcuchy górskie na północ od subkontynentu. Ale wydawało się, że na powierzchni Ziemi coś się zmieniło, widział na niej jakieś cętki, przypominające grę świateł na dnie wzburzonego jeziora.

6. Spotkanie

Josh i Ruddy dotarli do strąconej maszyny z pierwszą grupą żołnierzy. Szeregowcy trzymali karabiny i ostrożnie obchodzili dokoła maszynę z rozdziawionymi ustami i rozszerzonymi oczyma. Nikt spośród nich niczego takiego jeszcze nie widział.

Wewnątrz wielkiej szklanej kabiny znajdowały się trzy osoby: dwóch mężczyzn na przednich siedzeniach i kobieta z tyłu. Z wysoko podniesionym rękami patrzyli, jak okrążają ich uzbrojeni żołnierze. Ostrożnie zdjęli jasnoniebieskie hełmy. Kobieta i jeden z mężczyzn wyglądali na Hindusów, a drugi mężczyzna był biały. Josh widział, jak krzywi się z bólu.

Wziąwszy pod uwagę, jak gwałtownie wylądowała maszyna — oraz to, że była na tyle lekka, iż mogła latać w powietrzu — wydawała się zupełnie nienaruszona. Wielka szklana skorupa znajdująca się na przedzie była w paru miejscach poobijana, ale nieuszkodzona, a łopaty wciąż trzymały się obrotowej piasty, nie były wygięte ani połamane. Ale część ogonowa, system rur i rurek, stanowiła jedynie kikut. Słychać było syczenie, jakby puściła jakaś uszczelka, na kamienistą ziemię ściekał olej o gryzącym zapachu. Było oczywiste, że ten mechaniczny ptak już nigdzie nie poleci.

Josh syknął do Ruddy'ego:

— Nie rozpoznaję tych niebieskich hełmów. Co to za wojsko? Rosjanie?

— Może. Ale popatrz, ten ranny ma na hełmie wymalowane barwy Stanów Zjednoczonych!

Nagle ktoś odbezpieczył broń.

— Nie strzelajcie! Nie strzelajcie… — To była kobieta. Pochyliła się do przodu, próbując zasłonić rannego pilota.

Żołnierz — Josh zobaczył, że jest to Batson, chłopak z Newcastle, jeden z rozsądniejszych szeregowców — celował z karabinu w głowę kobiety.

Zawołał:

— Mówisz po angielsku?

— Jestem Angielką.

Batson uniósł brwi. Ale powiedział ostrożnie:

— Więc powiedz swojemu kumplowi, żeby uniósł ręce, tak abym mógł je wiedzieć. *Mdi!*

Kobieta powiedziała nerwowo:

— Zrób to, Casey. Broń może jest i staroświecka, ale jest też naładowana.

Pilot z ociąganiem zastosował się do polecenia. Wyciągnął spod pulpitu sterowniczego lewą rękę, w której trzymał jakiś przedmiot.

Batson postąpił krok do przodu.

— Czy to jest broń? Daj mi to.

Casey przesunął się na siedzeniu i najwyraźniej doszedł do wniosku, że nigdzie się nie wybiera. Podał broń Batsonowi, kolbą do przodu.

— Widzieliście to kiedyś, kmioty? Nazywamy go szprycer. To MP-93, pistolet maszynowy, kaliber 9 mm. Niemiecki…

— Niemcy — syknął Ruddy. — Wiedziałem.

— Ostrożnie, bo sobie odstrzelisz pieprzoną głowę. — Casey miał niewątpliwie amerykański akcent, który w uszach Josha brzmiał szorstko, jak głos mieszkańca slumsów Nowego Jorku, natomiast kobieta robiła wrażenie Brytyjki, choć jej głos brzmiał jakoś bezbarwnie i obco.

Kobieta nachyliła się nad Caseyem.

— Myślę, że masz złamaną kość piszczelową — powiedziała. — Zmiażdżoną przez siedzenie… Na twoim miejscu podałabym producenta do sądu.

— Rusz dupę, wasza wysokość — powiedział Casey przez zaciśnięte zęby.

Kobieta powiedziała:

— Mogę stąd wyjść?

Batson kiwnął głową. Położył lśniący „pistolet maszynowy" na ziemi i skinąwszy na nią, cofnął się. Batson dobrze spełniał swe obowiązki, pomyślał Josh; trzymał na muszce troje intruzów i nieustannie spoglądał na stojących wokół żołnierzy, aby się upewnić, czy obserwują teren.

Kobieta musiała się namęczyć, żeby wygramolić się z miejsca za dwoma przednimi siedzeniami, ale w końcu jej się udało i stanęła na kamienistej ziemi. Drugi pilot, Hindus, także wydostał się na zewnątrz. Miał karnację sipaja, bladoniebieskie oczy i zdumiewająco jasne włosy. Cała załoga miała na sobie pokaźnych rozmiarów kombinezony, które ukrywały ich kształty i sprawiały, że niezbyt przypominali ludzi; głowy mieli oplecione jakimiś drutami.

— Myślę, że mogło być gorzej — powiedziała kobieta. — Nie spodziewałam się, że wyjdę z tego cało.

Ten drugi odparł:

— Myślę, że Casey przez jakiś czas nie będzie mógł chodzić. Ale te ptaki zaprojektowano tak, aby wytrzymały nawet najtwardsze lądowanie. Spójrz, gondola z czujnikami uległa zgnieceniu i w znacznej mierze złagodziła uderzenie. Fotele pilotów też są zaopatrzone w amortyzatory wstrząsów, podobnie jak twoje siedzenie z tyłu. Myślę, że wskutek wirowania fotel Caseya przechylił się na lewo i to sprawiło, że noga mu uwięzła, miał pecha…

Batson przerwał tę wymianę zdań.

— Dość tego gadania. Kto tu dowodzi?

Kobieta zerknęła na pozostałych i wzruszyła ramionami.

— Jestem zwykłym żołnierzem. To jest starszy chorąży Abdikadir Omar, a w helikopterze siedzi starszy chorąży Casey Othic. Ja jestem Bisesa Dutt, porucznik Brytyjskiej Armii, przydzielona do sił specjalnych Organizacji Narodów Zjednoczonych z zadaniem…

Ruddy wybuchnął śmiechem.

— Na Allacha! Porucznik Brytyjskiej Armii! I ona jest *babul*. Bisesa Dutt obróciła się i spiorunowała go wzrokiem. Ruddy zarumienił się i Josh pomyślał, że to dobrze o nim świadczy. Josh wiedział, że *babu* jest pogardliwym angielsko-indyjskini określeniem wykształconych Hindusów, którzy aspirowali do wyższych stanowisk w administracji.

Bisesa powiedziała:

— Musimy Caseya stamtąd wyciągnąć. Macie tu lekarzy? — Josh pomyślał, że udaje silną, co było godne podziwu, zważywszy że właśnie przeżyła wyjątkowy wypadek i cały czas była na muszce. Ale wyczuł, że w głębi duszy się boi.

Batson zwrócił się do jednego z szeregowców:

— McKnight, biegnij i sprowadź kapitana Grove'a.

— Już się robi. — Żołnierz, niski i krępy, odwrócił się i pobiegł boso po nierównej ziemi.

Ruddy szturchnął Josha.

— Chodź, Joshua, musimy się w to włączyć! — Poderwał się. — Psze pani, służymy pomocą.

Bisesa patrzyła na Ruddy'ego, na jego pokryte pyłem czoło, krzaczaste brwi i wyzywające wąsy. Była od niego wyższa i spoglądała na niego z pogardą, pomyślał Josh, chociaż z osobliwym zdziwieniem, jakby go rozpoznawała.

Powiedziała:

— Pan? Chce pan przyjść z pomocą zwykłej *babul?*

Josh zrobił krok do przodu, przywołując na usta najbardziej czarujący uśmiech, jaki potrafił.

— Nie powinna pani przejmować się Ruddym. Ci ekspatrianci mają swoje dziwactwa, a żołnierze nie przestają w was mierzyć. Bierzmy się do roboty. — I podwinąwszy rękawy, podszedł do „helikoptera".

Abdikadir skinął na Ruddy'ego i Josha.

— Pomóżcie mi go wydostać.

Abdikadir podtrzymywał rannego, podczas gdy Ruddy chwycił go za plecy, a Josh ostrożnie podłożył mu ręce pod nogi. Ktoś przyniósł koc i położył go na ziemi.

Abdikadir zakomenderował:

— Raz, dwa, trzy, hop.

Casey krzyknął, kiedy go podnieśli z fotela i jeszcze raz, gdy Josh zawadził jego uszkodzoną nogą o kadłub „helikoptera”. Ale po paru chwilach Casey znalazł się na zewnątrz i spoczął na boku na rozłożonym kocu.

Oddychając ciężko, Josh przypatrywał się Abdikadirowi. Był rosłym mężczyzną, a wydawał się jeszcze większy przez swój kombinezon, i miał przedziwne oczy.

— Jesteś Hindusem?

— Afgańczykiem — spokojnie odparł Abdikadir. Patrzył na zaskoczonego Josha. — W istocie jestem Pasztunem. Zakładam, że w waszym wojsku nie ma wielu takich jak ja.

— Niezupełnie — powiedział Josh. — Ale w końcu to nie moje wojsko. — Abdikadir nic nie powiedział, ale Josh wyczuł, że ten człowiek zrozumiał lub odgadł więcej, jeśli chodzi o tę dziwną sytuację, niż ktokolwiek inny.

Przybiegł zasapany McKnight i powiedział do Bisesy i Abdikadira:

— Kapitan Grove chce was widzieć w swoim gabinecie.

Batson kiwnął głową.

— Ruszajcie.

— Nie — stęknął Casey z koca. — Nie opuszczajcie statku. Znasz zasady, Abdi. Wyczyść tę przeklętą pamięć. Nie wiemy, kim są ci ludzie…

— Ci ludzie — powiedział Batson groźnie — mają duże karabiny, wycelowane prosto w was. *Choop* i *cheł*.

Bisesa i Abdikadir wydawali się zdezorientowani tą mieszaniną dialektu z okolic Newcastle i żargonu pograniczników, ale znaczenie było dostatecznie jasne: „zamknijcie się i ruszajcie”.

— Myślę, że w takiej sytuacji nie mamy wyboru, Casey — powiedziała Bisesa.

— A ty, koleś — powiedział Batson do Caseya — jedziesz do izby chorych. — Josh zobaczył, że Casey próbuje ukryć niepokój wobec takiej perspektywy.

Bisesa odwróciła się, ruszając za McKnightem w eskorcie kilku uzbrojonych żołnierzy.

— Przyjdziemy do ciebie tak szybko, jak to możliwe, Casey.

— Tak — zawołał Abdikadir. — A w międzyczasie nie daj im niczego wynieść.

— Cha, cha, ty kutasie — warknął Casey. Ruddy mruknął:

— Wygląda na to, że żołnierskie poczucie humoru ma charakter uniwersalny, bez względu na pochodzenie.

Josh i Ruddy próbowali pójść za Bisesą i Abdikadirem, ale Batson ich odprawił grzecznie, lecz stanowczo.

7. Kapitan Grove

Bisesę i Abdikadira zaprowadzono do fortu, który przedtem dostrzegli z powietrza. Stanowił ogrodzone miejsce w kształcie pudła, otoczonego grubym, kamiennym murem, z owalnymi wieżami strażniczymi na rogach. Solidna baza i najwyraźniej dobrze utrzymana.

— Ale ja nie widziałam go na żadnej mapie — nerwowo powiedziała Bisesa. Abdikadir nie odpowiedział.

Murów pilnowali żołnierze w czerwonych kurtkach lub mundurach khaki. Niektórzy nosili nawet kilty. Wszyscy byli niscy i żylaści; wielu z nich miało zepsute zęby i cierpiało na jakąś chorobę skóry; ich rynsztunek był połatany i znoszony. Miejscowi czy obcy, wszyscy wpatrywali się w Bisesę i Abdikadira z wyraźną ciekawością, a jeśli chodzi o samą Bisesę, z nieskrywanym seksualnym zainteresowaniem.

— Tu nie ma kobiet — mruknął Abdikadir. — Nie przejmuj się.

— Nie przejmuję się. — Mówiła sobie, że dziś przydarzyło się jej zbyt wiele, aby niepokoiło ją kilku kawalerzystów w białych hełmach i kiltach, rzucających na nią pożądliwe spojrzenia. Ale w rzeczywistości żołądek podchodził jej do gardła; pojmanie nigdy nie wychodziło kobiecie na zdrowie.

Ciężkie wrota były otwarte i właśnie przejeżdżały przez nie wozy ciągnione przez muły. Coś, co wyglądało jak rozebrane działo, spoczywało na grzbietach kilku innych mułów. Prowadzili je hinduscy kawalerzyści — jak usłyszała Bisesa, biali żołnierze nazywali ich sipajami.

Wewnątrz fortu panowała atmosfera krzątaniny i zorganizowanego działania. Ale, pomyślała Bisesa, bardziej godne uwagi było to, czego tu brakowało, mianowicie jakichkolwiek pojazdów mechanicznych, anten radiowych czy satelitarnych.

Zaprowadzono ich do czegoś w rodzaju poczekalni, mieszczącej się w głównym budynku. Kiedy się tam znaleźli, McKnight rozkazał:

— Rozbierzcie się. — Powiedział, że starszy sierżant nie dopuści ich przed oblicze kapitana bez dokładnego sprawdzenia, co ukrywają pod grubymi kombinezonami.

Bisesa zmusiła się do uśmiechu.

— Myślę, że po prostu chcecie zerknąć na mój tyłek. — Z zadowoleniem zobaczyła, że na twarzy McKnighta pojawił się wyraz prawdziwego zaskoczenia. Wtedy zaczęła zdejmować kolejne warstwy swego stroju, zaczynając od butów.

Pod kombinezonem miała uprząż, w której kieszeniach znajdowały się manierka z wodą, mapy, noktowizor, kilka paczuszek

gumy do żucia, mała apteczka, pozostałe wyposażenie ratunkowe i sprzęt — oraz telefon, który miał na tyle rozumu, żeby się nie włączać. Wepchnęła bezużyteczny mikrofon do zewnętrznej kieszeni. Następnie zdjęła koszulę i spodnie. Kiedy byli już w T-shirtach i krótkich spodenkach, powiedziano im, że to wystarczy.

Byli nieuzbrojeni, jeśli nie liczyć noża bagnetowego, który Abdikadir miał przypięty pod uprzężą. Wręczył go McKnightowi z pewnym wahaniem. McKnight wziął noktowizor i przytknął do oczu, wyraźnie zdumiony. Małe plastikowe pudełka z narzędziami otworzono i przeszukano.

Wtedy pozwolono im znów się ubrać i zwrócono większość ekwipunku, z wyjątkiem noża i jak zauważyła Bisesa z rozbawieniem, gumy do żucia.

Następnie, ku zdziwieniu Bisesy, kapitan Grove kazał im czekać.

Siedli obok siebie w jego gabinecie, na twardej drewnianej ławie. Koło drzwi stał żołnierz z bronią gotową do strzału. Pokój kapitana wyróżniał się pewnym komfortem, a nawet elegancją. Na drewnianej podłodze leżały plecione z sitowia maty, a na jednej z pomalowanych na biało ścian wisiały kaszmirowe dywaniki. Był to najwyraźniej gabinet zawodowca. Na dużym drewnianym biurku piętrzyły się stosy papierów i tekturowe teczki, a w kałamarzu tkwiło pióro. Było też kilka osobistych akcentów, jak leżąca na biurku piłeczka polo i wielki zegar szafkowy, który żałośnie tykał. Ale nie było światła elektrycznego, a jedynie lampy naftowe, których blask uzupełniał słabnące światło padające z małego okna.

Bisesa zmusiła się do szeptu:

— To jest jak muzeum. Gdzie są radia, telefony? Wszędzie tylko papiery.

Abdikadir powiedział:

— A mimo to oni władają imperium. Popatrzyła na niego.

— Oni? Jak myślisz, gdzie my jesteśmy?

— W Jamrud — powiedział bez wahania. — To forteca — dziewiętnastowieczna forteca — zbudowana przez Sikhów i utrzymywana przez Brytyjczyków.

— Byłeś tutaj?

— Widziałem zdjęcia. Studiowałem historię, w końcu to mój region. Ale książki przedstawiają to jako ruiny.

Bisesa zmarszczyła brwi, nie pojmując.

— Jednak teraz to nie są ruiny.

— Ich wyposażenie — mruknął Abdikadir. — Zauważyłaś? Owijacze i pasy z szelkami naramiennymi. A ta ich broń — to karabiny jednostrzałowe odtylcowe Martini-Henry'ego i Snidera. Wyjątkowo przestarzałe. Nie używano ich od czasu, gdy Anglicy byli tu w dziewiętnastym wieku, ale nawet oni zastąpili je karabinami Lee

Metforda, Gatlinga i Maxima, jak tylko stały się osiągalne.

— Kiedy to było? Abdikadir wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien. Chyba pod koniec dziewiętnastego wieku.

— Dziewiętnastego wieku?

— Próbowałaś uruchomić radio ratunkowe? — Oboje mieli urządzenia sygnalizacyjne wszyte w uprząż, jak również miniaturowe nadajniki radiowe, których na szczęście nie wykryto podczas kontroli.

— Nie udało mi się. Telefon też nie działa. Brak kontaktu, tak samo jak przedtem, w powietrzu. — Lekko zadrżała. — Nikt nie wie, gdzie jesteśmy ani gdzie spadliśmy. Ani też czy żyjemy. — Wiedziała, że to nie sama katastrofa ją przeraża. Było to poczucie utraty kontaktu — odcięcia od świata, w którym tkwiła od urodzenia. Dla obywatela dwudziestego pierwszego wieku było to niespotykane, zbijające z tropu uczucie odizolowania.

Dłoń Abdikadira dotknęła jej dłoni i Bisesa była wdzięczna za ten dotyk pełen ludzkiego ciepła. Abdikadir powiedział:

— Wkrótce zacznie się akcja poszukiwawczo-ratunkowa. Ten rozbity Ptak to wyraźny znak rozpoznawczy. Chociaż już robi się ciemno.

Jakoś zapomniała o tej dziwnej okoliczności.

— Jest za wcześnie na zmierzch.

— Tak. Nie wiem, jak ty, ale ja jestem zmęczony, jak po długiej podróży…

Wpadł kapitan Grove, któremu towarzyszył ordynans; na ten widok, wstali. Grove był niskim, zaaferowanym mężczyzną koło czterdziestki. Miał lekką nadwagę i był ubrany w mundur khaki. Bisesa zauważyła, że miał zakurzone buty i owijacze; pomyślała, że praca jest dla niego ważniejsza niż wygląd zewnętrzny. Jednak miał wielkie, sumiaste wąsy, największe, jakie widziała Bisesa poza ringiem zapaśników.

Grove stanął przed nimi z rękami na biodrach, spoglądając gniewnie.

— Batson powiedział mi, jak się nazywacie i jakie są wasze stopnie. — Mówił w sposób urywany i dziwnie staromodny, jak brytyjscy oficerowie w filmach z czasów Drugiej Wojny Światowej. — I poszedłem obejrzeć tę waszą maszynę. Bisesa powiedziała:

— Braliśmy udział w pokojowej misji rozpoznawczej. Grove uniósł brwi.

— Widziałem waszą broń. To była misja „rozpoznawcza”?! Abdikadir wzruszył ramionami.

— Jednak mówimy prawdę.

Grove powiedział:

— Proponuję, abyśmy przeszli do rzeczy. Najpierw chcę was poinformować, że zajęliśmy się waszym człowiekiem, najlepiej jak

umieliśmy.

— Dziękuję — chłodno powiedziała Bisesa.

— Zatem… kim jesteście i co robicie w moim forcie?

Bisesa zmrużyła oczy.

— Nie możemy wam niczego zdradzić, poza nazwiskiem, stopniem, numerem identyfikacyjnym… — Zamilkła, gdy spostrzegła na twarzy Grove'a wyraz zdumienia.

Abdikadir powiedział łagodnie:

— Nie jestem pewien, czy nasze konwencje wojenne mają tutaj zastosowanie, Biseso. A poza tym mam wrażenie, że cała ta sytuacja jest tak dziwna, że dla nas wszystkich najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy otwarcie. — Patrzył na kapitana wyzywająco.

Grove szorstko skinął głową. Usiadł za biurkiem i roztargnionym gestem kazał im usiąść na ławie. Powiedział:

— Przypuszczam, że na chwilę mogę zapomnieć o najbardziej prawdopodobnej możliwości, że jesteście szpiegami pracującymi dla Rosji lub jej sojuszników, którym powierzono jakąś misję destabilizacyjną. Może nawet doprowadziliście do utraty łączności, która nas dotknęła… Jak mówię, zostawmy to. Mówicie, że zostaliście czasowo oddelegowani z brytyjskiej armii i jesteście tutaj, aby zapewnić pokój. Ja także po to tu jestem. Powiedzcie, w jaki sposób latanie tym wirującym dziwolągiem może temu służyć. — Był pełen werwy, ale wyraźnie niepewny.

Bisesa wzięła głęboki oddech. Krótko przedstawiła sytuację geopolityczną: impas w stosunkach między wielkimi mocarstwami w sprawie ropy naftowej w tym obszarze i skomplikowane lokalne napięcia. Wydawało się, że Grove rozumie, nawet jeśli większość była dla niego nieznana i niekiedy okazywał wielkie zdziwienie.

— Mówicie, że Rosja jest sojusznikiem…?

— Pozwólcie mi powiedzieć, jak ja widzę tę sytuację. Znajdujemy się w obszarze napięć, ale napięcia istnieją między Anglią a Rosją. Moim zadaniem jest pomoc w obronie granic imperium, a w dalszej kolejności bezpieczeństwo kraju. Z tego co zrozumiałem z twojej mowy, macie problem z Pasztunami. Bez obrazy — zwrócił się do Abdikadira.

Bisesa nie mogła tego pojąć. Wciąż powtarzała tylko:

— Kraj? Imperium?

— Wygląda na to — powiedział Grove — że prowadzimy tutaj różne wojny, pani porucznik.

Ale Abdikadir potrząsał głową.

— Kapitanie, miał pan w ciągu ostatnich kilku godzin kłopoty z łącznością?

Grove zawahał się, wyraźnie zastanawiając się, co powiedzieć.

— No cóż, tak. Około południa padły połączenia telegraficzne, a

nawet stacje heliografów. Od tego czasu nie pisnęły i wciąż nie wiemy, co się dzieje. A wy?

Abdikadir westchnął.

— Okres czasu jest trochę inny. Utraciliśmy łączność radiową tuż przed katastrofą, czyli kilka godzin temu.

— Radiową?… Nieważne — powiedział Grove, machając ręką. — Więc mamy podobne kłopoty, wy z waszą latającą karuzelą, a ja w mojej fortecy. Jak myślicie, co może być tego przyczyną?

Bisesa powiedziała pośpiesznie:

— Otwarta wojna. — Rozmyślała nad tą możliwością od chwili katastrofy; pomimo grozy tamtych chwil i szoku spowodowanego tym, co się stało, nie była w stanie wyrzucić tego z głowy. Powiedziała do Abdikadira: — Impuls elektromagnetyczny, cóż innego mogło jednocześnie zniszczyć łączność zarówno cywilną, jak i wojskową? Dziwne światła, które widzieliśmy na niebie, pogoda, nagłe porywy wiatru…

— Ale nie widzieliśmy smug kondensacyjnych — powiedział Abdikadir spokojnie. — Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że od chwili katastrofy nie zauważyłem ani jednej.

— Powtarzam — powiedział Grove z irytacją — że nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówicie.

— Chodzi o to — powiedziała Bisesa — że obawiam się, iż wybuchła wojna jądrowa. I to właśnie dopadło nas wszystkich. Zresztą to już się przedtem wydarzyło w tym obszarze. Minęło zaledwie siedemnaście lat od chwili, gdy Hindusi zniszczyli Lahore.

Grove gapił się na nią.

— Zniszczyli, powiedziałaś? Skrzywiła się.

— Całkowicie. Nie możecie o tym nie wiedzieć.

Grove wstał, podszedł do drzwi i stojącemu koło nich żołnierzowi wydał jakiś rozkaz. Po kilku minutach do środka wszedł lekko zadyszany zaaferowany młody cywil imieniem Ruddy, najwyraźniej wezwany przez Grove'a. Drugi cywil, młody człowiek imieniem Josh, który pomagał Abdikadirowi wydostać Caseya ze strąconego helikoptera, też wepchnął się do pokoju.

Grove uniósł brwi.

— Powinienem był się spodziewać, że i pan się tu wciśnie, panie White. Ale przypuszczam, że ma pan swoją robotę. Ty! — wymierzył palec w Ruddy'ego. — Kiedy ostatnio byłeś w Lahore?

Ruddy myślał przez chwilę.

— Myślę, że jakieś trzy, cztery tygodnie temu.

— Możesz opisać to miejsce, tak jak je wtedy widziałeś? Ruddy wydawał się zaskoczony tym żądaniem, ale zastosował się do niego.

— Stare, otoczone murem miasto, jakieś dwieście tysięcy Pendżabczyków i parę tysięcy Europejczyków i mieszańców, mnóstwo

pomników Mongołów, od czasu buntu stało się centrum administracyjnym oraz odskocznią dla ekspedycji wojskowych, w celu zneutralizowania rosyjskich zagrożeń. Nie wiem, co chciałby pan wiedzieć, sir.

— Tylko to. Czy Lahore zostało zniszczone? Czy zostało obrócone w perzynę siedemnaście lat temu?

Ruddy zarechotał.

— Prawie. Pracował tam mój ojciec. Zbudował dom na Mozang Road!

Grove warknął na Bisesę:

— Dlaczego kłamiesz?

Bisesa miała ochotę się rozpłakać. *Dlaczego mi nie wierzysz?* Obróciła się do Abdikadira. Ale ten milczał; patrzył przez okno na czerwieniejące słońce.

— Abdi? Pomóż mi. Abdikadir powiedział łagodnie:

— Ty jeszcze tego nie widzisz.

— Czego? Zamknął oczy.

— Nie winię cię. Sam nie chcę tego widzieć. — Zwrócił się do Brytyjczyka: — Wie pan, kapitanie, najdziwniejsze z tego, co dziś się wydarzyło, to słońce. — Opisał nagłą zmianę położenia słońca na niebie. — Jest południe, a po chwili — późne popołudnie. Jak gdyby przeskoczył jakiś trybik w maszynie czasu. — Popatrzył na zegar szafkowy, którego wyblakła tarcza pokazywała kilka minut przed siódmą. Zapytał Grove'a: — Czy to jest dokładna godzina?

— Tak myślę. Sprawdzam każdego dnia rano. Abdikadir podniósł dłoń i spojrzał na zegarek.

— A u mnie jest dopiero piętnasta dwadzieścia siedem, czyli w pół do czwartej. Biseso, czy tak?

Sprawdziła.

— Tak.

Ruddy zmarszczył brwi. Podszedł wielkimi krokami do Abdikadira i ujął jego dłoń.

— Nigdy nie widziałem takiego zegarka. To na pewno nie Waterbury! Ma liczby, a nie wskazówki. Nawet nie ma tarczy. I te liczby przechodzą jedna w drugą!

— To zegarek cyfrowy — powiedział Abdikadir łagodnie.

— A to, co to jest? — Ruddy wymienił liczby. — Osiem sześć 2037…

— To jest data — wyjaśnił Abdikadir.

Ruddy zmarszczył brwi, próbując zrozumieć.

— Data w dwudziestym pierwszym wieku? — Tak.

Ruddy podszedł do biurka Grove'a i zaczął grzebać w stosie papierów.

— Proszę mi wybaczyć, kapitanie. — Nawet budzący

onieśmielenie Grove wydawał się zagubiony; bezradnie uniósł ręce. Ruddy wyciągnął jakąś gazetę. — Jest sprzed paru dni, ale to wystarczy. — Podniósł ją tak, aby Bisesa i Abdikadir mogli zobaczyć. Była to cienka gazeta o nazwie *Civil and Military Gazette and Pioneer*. — Widzicie datę?

Data pokazywała marzec 1885 roku. Zapanowała długa cisza.

Grove powiedział żywo:

— Wiecie, myślę, że wszystkim nam dobrze by zrobiła filiżanka herbaty.

— Nie! — Drugi młody człowiek, Josh White, wydawał się bardzo wzburzony. — Przepraszam, ale wszystko teraz nabiera sensu — myślę, że tak jest — och, wszystko pasuje do siebie doskonale!

— Uspokój się — powiedział Grove stanowczo. — Co ty pleciesz?

— Człowiek-małpa — powiedział White. — Mniejsza o herbatę, musimy im pokazać człowieka-małpę!

I razem z Bisesą i Abdikadirem, stale pod strażą, gromadnie opuścili fort.

Zbliżyli się do czegoś w rodzaju obozu, oddalonego o około sto metrów od murów fortu. Wznosił się tam stożkowaty namiot z siatki. Grupka żołnierzy stała wokół niego, paląc beztrosko cuchnące papierosy. Szczupli, umorusani, z wygolonymi głowami żołnierze wpatrywali się w Abdikadira i Bisesę ze zwykłą mieszaniną ciekawości i pożądania.

Bisesa zobaczyła, że pod siatką coś się porusza — coś żywego, chyba jakieś zwierzę — ale zachodzące słońce już dotykało horyzontu i światło było zbyt słabe, a cienie tak długie, że nie była w stanie nic dojrzeć.

Na rozkaz White'a odciągnięto siatkę. Bisesa spodziewała się zobaczyć maszt, jak w namiocie. Ale zamiast tego w górze unosiła się w powietrzu, najwyraźniej przez nic nie podtrzymywana, srebrzysta kula. Żaden z miejscowych nawet na nią nie spojrzał. Abdikadir zrobił krok w przód, zmrużył oczy, widząc swoje odbicie w unoszącej się kuli i przesunął pod nią dłoń.

— Wiecie — powiedział — każdego innego dnia wydawałoby się to niezwykłe.

Bisesa nie mogła oderwać wzroku od unoszącego się w powietrzu obiektu, patrząc w zniekształcone odbicie swojej twarzy. To jest klucz, pomyślała. Myśl ta nagle pojawiła się w jej głowie.

Josh dotknął jej ręki.

— Biseso, dobrze się czujesz?

Bisesę uderzył jego akcent, który w jej uszach brzmiał jak bostoński, ale jego twarz wyrażała autentyczny niepokój.

Zaśmiała się niewesoło.

— W tych okolicznościach myślę, że daję sobie radę całkiem

dobrze.

— Nie patrzysz na to, co trzeba… — Miał na myśli stworzenia na ziemi.

Spróbowała się skupić.

Na początku myślała, że to szympansy, ale o lekkiej, jakby pełnej gracji budowie. Może jakaś miniaturowa odmiana. Jeden z nich był mały, drugi większy i ten drugi tulił w ramionach tego mniejszego. Na znak Grove'a dwaj rekruci postąpili do przodu i odciągnęli dziecko, chwyciwszy matkę za przeguby i kostki i przygniatając ją do ziemi. Stworzenie kopało i prychało.

„Szympans" był istotą dwunożną.

— Jasny gwint — mruknęła Bisesa. — Myślicie, że to australopitek?

— Tak, to Lucy — mruknął Abdikadir. — Ale pitekantropy wymarły. Jak dawno? Jakiś milion lat temu?

— Czy to możliwe, żeby ich grupa jakimś cudem przeżyła w naturalnym środowisku, może w górach…?

Popatrzył na nią, jego oczy były jak dwie czarne studnie.

— Sama w to nie wierzysz.

— Nie wierzę.

— Rozumiecie? — krzyknął White z podnieceniem. — Widzicie tego człowieka-małpę? Czyż to nie jeszcze jeden uskok czasu?

Bisesa zrobiła krok w przód i zajrzała w udręczone oczy pitekantropa. Zobaczyła, że wysila się, żeby dosięgnąć dziecka.

— Zastanawiam się, co myśli. Abdikadir chrząknął.

— Zupełnie jak w filmie.

8. Na orbicie

Po kilku godzinach bezowocnego wywoływania Musa usiadł na koi.

Troje kosmonautów leżało tuż obok siebie w skafandrach kosmicznych, niczym wielkie pomarańczowe robaki. Tym razem przytulność kapsuły Sojuza, fakt, że byli przyciśnięci do siebie tak blisko, dodawał im otuchy.

— Nie rozumiem tego — powiedział Musa.

— Już to mówiłeś — mruknęła Sabie.

Zapanowała ponura cisza. Od chwili gdy utracili łączność, atmosfera wewnątrz kapsuły w każdej chwili groziła wybuchem.

Po trzech miesiącach życia ze sobą tak blisko Kola myślał, że zaczyna rozumieć Sabie. Czterdziestoletnia Sabie pochodziła z biednej nowoorleańskiej rodziny o skomplikowanej historii. Niektórzy Rosjanie, którzy z nią służyli, podziwiali jej siłę charakteru, która zaprowadziła ją tak wysoko, w Biurze Astronautyki NASA nawet teraz, jeśli się nie było mężczyzną i członkiem amerykańskiej elity, stanowiło to wyraźny minus. Inni kosmonauci, mniej życzliwi, żartowali, jak należałoby zmienić manifest ładunkowy rakiety, gdyby Sabie znalazła się na pokładzie, biorąc pod uwagę ogromny chip, jaki nosiła na ramieniu. Większość zgadzała się co do tego, że gdyby była Rosjanką, nigdy nie zdałaby testów psychologicznych wymaganych od każdego kosmonauty, potwierdzających jego przydatność do służby w przestrzeni kosmicznej.

Podczas trzymiesięcznego pobytu na Stacji Kola był w całkiem dobrych stosunkach z Sabie, może dlatego, że stanowili przeciwstawne typy charakteru. Kola służył jako oficer Sił Powietrznych i miał rodzinę w Moskwie. Dla niego loty kosmiczne były przygodą, ale kierował się lojalnością wobec rodziny oraz powinnością wobec kraju i był zadowolony, że jego kariera rozwija się w taki sposób. Kola wyczuwał w Sabie zaciekłą, spalającą ją ambicję, która nie zostanie zaspokojona, dopóki nie osiągnie granic swoich możliwości; dopóki nie zostanie dowódcą Bazy Claviusa, a może nawet uczestniczką lotu na Marsa. Może Sabie uważała, że Kola nie stanowi zagrożenia dla jej błyskotliwej kariery.

Ale Kola rozumiał, że powinien mieć się przed nią na baczności. I teraz, w tej trudnej, przerażającej sytuacji czekał na jej wybuch.

Musa klasnął w dłonie, obejmując dowodzenie.

— Jest chyba oczywiste, że jeszcze teraz nie możemy wejść w atmosferę. Nie powinniśmy się przejmować. W dawnych czasach sowieckie statki kosmiczne miały kontakt z Ziemią jedynie przez dwadzieścia minut podczas każdego dziewięćdziesięciominutowego

okrążenia i dlatego Sojuz został tak zaprojektowany, aby funkcjonować niezależnie…

— Może to nie nasza wina — powiedziała Sabie. — A jeśli przyczyna znajduje się na Ziemi?

Musa powiedział drwiąco:

— Jaka przyczyna mogłaby zniszczyć cały łańcuch ziemskich stacji naprowadzających?

— Wojna — powiedział Kola. Musa powiedział stanowczo:

— Takie spekulacje są bezużyteczne. Za jakiś czas, bez względu na przyczynę, Ziemia przywróci łączność i podejmiemy realizację naszego programu lotu. Musimy tylko poczekać. Ale w międzyczasie mamy coś niecoś do zrobienia. — Wygrzebał spod siedzenia kopię listy zadań orbitalnych.

Ma rację, uświadomił sobie Kola. Mały statek nie mógł funkcjonować samodzielnie, a jeśli miał tkwić na orbicie jeszcze przez jedno okrążenie — a może dwa albo trzy? — załoga musiała pomóc. Czy ciśnienie w kabinie było odpowiednie, czy mieszanina gazów była właściwa? Czy statek obracał się odpowiednio, poruszając się po długiej, krzywoliniowej orbicie, tak aby płytki ogniw słonecznych stale były skierowane w stronę słońca? Trzeba było upewnić się co do wszystkich tych kwestii.

Wkrótce cała trójka zajęła się dobrze znanymi i jakoś uspokajającymi rutynowymi czynnościami, jak gdyby, mimo wszystko, byli panami swego losu, pomyślał Kola.

Sojuz znowu wchodził w cień planety. Kola wyjrzał przez okno, szukając żółto-pomarańczowej łuny miast, w nadziei, że to mu doda otuchy. Ale Ziemia była ciemna.

9. Paradoks

Josha intrygowała ta kobieta z przyszłości, jeżeli rzeczywiście nią była! Bisesa miała ładną, proporcjonalną, może też piękną twarz, silnie zarysowany nos i kwadratową szczękę, ale jej oczy były jasne, a krótko obcięte włosy lśniły. Można w niej było wyczuć siłę, nawet fizyczną, jakiej nie widział przedtem w żadnej kobiecie; znalazłszy się w tej bezprecedensowej sytuacji, była pewna siebie, choć wyraźnie zmęczona.

Przez cały wieczór chodził za nią krok w krok, jak szczeniak.

To był długi dzień — jak powiedziała Bisesa, najdłuższy dzień w jej życiu, nawet jeśli straciła kilka godzin, a rada kapitana Grove'a, by przybyszom dano coś do jedzenia i pozwolono odpocząć, wydawała się rozsądna. Ale oni upierali się, że przedtem muszą coś zrobić. Abdikadir chciał zajrzeć do Caseya, drugiego pilota. I wrócić do maszyny, którą nazywali „Małym Ptakiem".

— Muszę wymazać banki pamięci urządzeń elektronicznych — powiedział. — Są tam poufne dane, zwłaszcza awionika… — Josh był urzeczony tymi słowami o inteligentnych maszynach i wyobrażał sobie, że powietrze przenikają niewidzialne przewody telegraficzne, po których tam i z powrotem płyną tajemnicze i ważne wiadomości.

Grove był skłonny zgodzić się na to żądanie.

— Nie widzę, jaką moglibyśmy odnieść szkodę, jeśli pozwolimy na zniszczenie czegoś, czego i tak nie rozumiem — powiedział sucho. — A poza tym mówicie, że to wasz obowiązek, chorąży. Respektuję to. Czas i przestrzeń mogą się rozpływać jak toffi, ale obowiązek to obowiązek.

Bisesa ze swej strony chciała odtworzyć trasę helikoptera przed katastrofą.

— Zostaliśmy zestrzeleni. Myślę, że to się wydarzyło zaraz po tym, jak zauważyliśmy, że słońce tańczy na niebie. Rozumiecie? Jeżeli jakimś cudem przeniknęliśmy przez coś w rodzaju bariery w czasie, to ten, kto nas zestrzelił, także musi być po tej stronie…

Grove uważał, że tę wyprawę lepiej odłożyć do rana, bo podobnie jak Josh widział, że Bisesa jest zmęczona. Ale ona nie chciała przestać działać — jeszcze nie — jak gdyby zaprzestanie działania oznaczało akceptację realności tej niezwykłej sytuacji. I Grove wyraził zgodę. Josh podziwiał jego ocenę sytuacji i współczucie, jakie okazywał. Grove rozumiał to, co się tutaj działo, nie lepiej niż inni, ale najwyraźniej próbował wyjść naprzeciw potrzebom ludzi, którzy na jego terenie dosłownie spadli z nieba.

Zorganizowano grupę wypadową, w której skład weszli Bisesa oraz Josh i Ruddy, którzy uparli się, że muszą jej towarzyszyć, oraz

niewielki oddział żołnierzy pod dowództwem szeregowca Batsona, który jak się wydawało, tego dnia wywarł na kapitanie na tyle dobre wrażenie, że zasługiwał na awans.

Kiedy wyruszali z fortu, zapadał zmrok. Żołnierze nieśli lampy naftowe i zapalone pochodnie. Udali się prosto na wschód od miejsca katastrofy helikoptera. Bisesa oceniała, że odległość, jaką mieli do pokonania, nie powinna przekraczać mili.

Światła fortu znikły w oddali i otoczył ich głęboki mrok. Ale Josh widział, że cały horyzont tonie w kłębach czarnych chmur.

Szybko podszedł do Bisesy.

— Jeśli to prawda…

— Co?

— Ta historia z uskokiem w czasie — ty i te małpoludy — jak myślisz, jak mogło do tego dojść?

— Nie mam pojęcia. I nie jestem pewna, czy wolę być rozbitkiem w czasie, czy ofiarą wojny jądrowej. Zresztą — powiedziała żywo — skąd wiesz, że i ty nie jesteś rozbitkiem?

Josh struchlał.

— Nigdy o tym nie pomyślałem. Wiesz, ja nie mogę uwierzyć, że prowadzę tę rozmowę! Gdybyś mi powiedziała dziś rano, że zanim pójdę spać, zobaczę machinę latającą tak potężną, że jest w stanie unieść znajdujących się wewnątrz niej ludzi i że ci ludzie twierdzą dość przekonywająco, że są z przyszłości odległej o półtora stulecia — pomyślałbym, że postradałaś zmysły!

— Ale jeśli to prawda — powiedział Ruddy, próbując im dotrzymać kroku (nigdy nie był w formie i lekko posapywał) — jeśli to prawda, wiesz tak wiele i tak wiele mogłabyś nam powiedzieć! Bo nasza *przyszłość* to twoja *przeszłość*.

Potrząsnęła głową.

— Widziałam zbyt wiele filmów na ten temat. Nigdy nie słyszeliście o hipotezie ochrony chronologii zdarzeń?

Josh był zdumiony, podobnie jak Ruddy. Bisesa powiedziała:

— Myślę, że nawet nie wiecie, co to jest film, a tym bardziej *Terminator*… Zrozumcie, niektórzy uważają, że jeśli przemieścicie się wstecz w czasie i coś zmienicie, tak że przyszłość, z której przybyliście, nie będzie mogła zaistnieć, wywołacie straszliwą katastrofę.

— Nie rozumiem — przyznał Josh.

— Przypuśćmy, że bym ci powiedziała, gdzie teraz, w 1885 roku, mieszka moja pra-pra-pra-prababka. Wtedy mógłbyś ją odnaleźć i zastrzelić.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Nieważne! Ale gdybyś to zrobił, nigdy bym się nie urodziła i nigdy nie mogłabym wrócić, żeby ci powiedzieć o mojej prababce, a ty

nigdy byś jej nie zastrzelił. Wobec tego…

— To logiczny paradoks — szepnął Ruddy. — Zupełnie fantastyczne! Ale jeśli ci obiecamy, że nie będziemy molestować twojej prababki, czy nie możesz nam powiedzieć czegoś o nas samych?

Josh prychnął drwiąco.

— Jakim cudem mogłaby się o nas dowiedzieć, Ruddy? Ruddy wyglądał na zamyślonego.

— Mam wrażenie, że ona, no wiesz, w każdym razie wiedziała o mnie. Człowiek zdaje sobie sprawę, kiedy zostaje rozpoznany!

Ale Bisesa nie powiedziała już nic więcej.

Kiedy zgasło ostatnie światło dnia i wysoko nad ich głowami zabłysły gwiazdy, członkowie niewielkiej grupki zbili się razem, a żartobliwe rozmowy żołnierzy niosących latarnie ucichły. Idziemy w stronę nieznanego, pomyślał Josh. Nie chodziło o to, że nie mogli wiedzieć, kto się tam znajduje ani gdzie idą. Nie mogli nawet mieć pewności, kiedy się tam znajdą… Pomyślał, że wszyscy poczuli ulgę, gdy minęli niskie wzgórze, a wschodzący księżyc w pierwszej kwadrze rzucił zimne światło na kamienistą równinę. Ale powietrze było jakieś dziwne, niespokojne, tarcza księżyca zaś miała osobliwą, żółto-pomarańczową barwę.

— To tutaj — nagle powiedziała Bisesa. Zatrzymała się przed skrawkiem wzruszonej ziemi. Podszedłszy bliżej, Josh zobaczył, że grunt jest wilgotny, jak gdyby tu niedawno kopano.

— To okop strzelecki — powiedział Ruddy. Wskoczył do otworu i zaczął wymachiwać jakąś rurą przypominającą fragment rury kanalizacyjnej. — I to jest ta przerażająca broń, która was zestrzeliła?

— Tak, to wyrzutnia granatów. — Spojrzała na wschód. — Tam była wioska. Nie więcej niż sto metrów stąd. — Żołnierze podnieśli wyżej latarnie. Nie było widać żadnej wioski, tylko kamienistą równinę, która ciągnęła się aż po horyzont. — Może niedaleko jest granica — szepnęła Bisesa. — Granica czasu. Co za dziwna myśl. Co się z nami dzieje?… — Podniosła twarz do księżyca. — Och. Clavius zniknął. Josh stał obok.

— Clavius?

— Baza Claviusa. — Wskazała dłonią. — Zbudowana wewnątrz wielkiego, starego krateru na południowych wyżynach.

Josh wpatrywał się w nią.

— Macie miasta na Księżycu?

Uśmiechnęła się.

— Nie nazwałabym tego miastem. Ale można zobaczyć światło, jakby gwiazdy wewnątrz obwodu sierpa Księżyca. Teraz go nie ma. To nie jest nawet mój Księżyc. Również na Marsie znajduje się załoga, a druga jest w drodze, albo była. Zastanawiam się, co się z nimi stało…

Rozległo się chrząknięcie pełne obrzydzenia. Jeden z żołnierzy grzebał na dnie otworu i teraz pojawił się z czymś, co wyglądało jak kawałek mięsa, z którego wciąż kapała krew. W powietrzu rozszedł się ostry smród.

— Ludzka ręka — beznamiętnie powiedział Ruddy. Odwrócił się i zwymiotował.

Josh powiedział:

— To mi wygląda na robotę wielkiego kota… Wydaje się, że ten, kto was zaatakował, niedługo cieszył się swoim sukcesem.

— Przypuszczam, że był tak samo zagubiony jak ja.

— Tak. Przepraszam za Ruddy'ego. To ten widok, on raczej nie ma żelaznych nerwów.

— Tak. I to się nie zmieni.

Josh popatrzył na nią; jej oczy wypełniało księżycowe światło, twarz miała bez wyrazu.

— Co masz na myśli?

— On miał rację. Wiem, kim jest. Ty jesteś Rudyard Kipling, prawda? Pieprzony Rudyard Kipling. Mój Boże, co za dzień.

Ruddy nie odpowiedział. Był skulony, wciąż wymiotował, po brodzie spływała mu żółć.

W tym momencie ziemia zadrżała tak mocno, że uniosły się małe obłoczki pyłu, jak pod wpływem czyjegoś stąpania. A z ciężkich, czarnych chmur, które gnając, przesłoniły tarczę księżyca, zaczął padać deszcz.

CZĘŚĆ DRUGA
ZAGUBIENI W CZASIE

10. Geometria

Dla Bisesy pierwszy ranek był najgorszy ze wszystkich.

Podejrzewała, że owego dnia, który zaczęli nazywać dniem Nieciągłości, trzymała się tylko dzięki kombinacji adrenaliny i szoku, jaki przeżyła. Ale w nocy, w pokoju będącym pośpiesznie zaadaptowanym magazynem, który Grove oddał do ich dyspozycji, ległszy na cienkim materacu, spała źle. Następnego dnia rano, kiedy z ociąganiem otworzyła oczy, żeby się przekonać, że wciąż jest tutaj, cały zapas adrenaliny gdzieś się ulotnił i poczuła się niepocieszona. Drugiej nocy, pod wpływem nalegań Abdiego, rozpaczliwie pragnąc zasnąć, wykorzystała swoje wyposażenie ratunkowe. Wydobyła zatyczki do uszu i daszki chroniące oczy, połknęła tabletkę nasenną — Casey nazywał ją Niebieskim Bombowcem — i spała przez dziesięć godzin.

Ale mijały dni, a Bisesa, Abdikadir i Casey wciąż tkwili w forcie Jamrud. Nie zdołali nawiązać łączności na żadnej z wojskowych długości fali, telefon Bisesy mamrotał o nieustającej kauteryzacji i żadne grupy poszukiwawcze nie przyleciały z bazy ONZ, w odpowiedzi na ich cierpliwie popiskujące sygnalizatory — Caseya nie można było ewakuować. I na niebie nie pojawiła się choćby jedna smuga kondensacyjna.

Większość czasu spędzała, tęskniąc za córką Myrą. Nie chciała stanąć twarzą w twarz ze swymi uczuciami, jak gdyby samo przyznanie się do nich sprawiało, że rozstanie z Myrą było czymś rzeczywistym. Marzyła o tym, żeby mieć coś do roboty, cokolwiek, żeby uwolnić się od tych myśli.

Tymczasem życie toczyło się dalej.

Po pierwszych paru dniach, kiedy stało się oczywiste, że załoga Ptaka nie ma żadnych wrogich zamiarów, ścisły nadzór brytyjskich żołnierzy nieco zelżał, chociaż Bisesa podejrzewała, że kapitan Grove jest zbyt ostrożnym dowódcą, aby nadal nie mieć ich na oku. Oczywiście nie było im wolno zbliżać się do małego schowka, w którym znajdowała się broń z dwudziestego pierwszego wieku, pistolety maszynowe, flary i wszystko to, co wydobyto z Ptaka. Pomyślała, że w zaakceptowaniu ich obecności tym dziewiętnastowiecznym Brytyjczykom prawdopodobnie pomógł fakt, że Casey był białym Amerykaninem oraz że zarówno Bisesę, jak i Abdiego można było traktować jak należących do „sojuszniczych" ras. Gdyby załogę Ptaka stanowili Rosjanie, Niemcy albo Chińczycy — a w Claviusie było pełno żołnierzy pochodzących z tych krajów — nastawienie mogłoby się okazać bardziej wrogie.

Ale kiedy Bisesa o tym myślała, zaskoczyło ją, że w ogóle rozważa

takie kwestie, zderzenie kultur obejmujących wieki dziewiętnasty i dwudziesty pierwszy. Cała ta sytuacja była surrealistyczna. Miała wrażenie, jakby kręciła się w kółko. I nie opuszczało jej zdumienie, że wszyscy pozostali tak łatwo pogodzili się z tą sytuacją, z nagą, faktycznie niezaprzeczalną realnością uskoku w czasie, liczącego w jej wypadku sto pięćdziesiąt lat, a w wypadku nieszczęsnego pitekantropa i jej dziecka zapewne około miliona lat.

Abdikadir powiedział:

— Nie sądzę, aby Brytyjczycy w pełni rozumieli to wszystko, a my może rozumiemy to aż nazbyt dobrze. Kiedy w 1895 roku H.G. Wells opublikował *Wehikuł czasu* — to będzie za dziesięć lat w tym obszarze czasu! — musiał poświęcić dwadzieścia czy trzydzieści stron na wyjaśnienie, czym jest sam wehikuł czasu. Nie jak działa, ale czym właściwie jest. W naszym wypadku mamy do czynienia z procesem akulturacji. Po stuleciu fantastyki naukowej ty i ja w zupełności przywykliśmy do idei podróży w czasie i potrafimy natychmiast zaakceptować jej implikacje, choć przeżycie takiej podróży w rzeczywistości to dziwne doznanie.

— Ale to nie dotyczy tych Brytyjczyków z epoki wiktoriańskiej. Dla nich model T. Forda byłby baśniowym pojazdem z przyszłości.

— Jasne. Myślę, że dla nich uskoki w czasie oraz ich implikacje po prostu przekraczają granice wyobraźni… Ale gdyby H.G. Wells był tutaj — czy on kiedykolwiek odwiedził Indie? — jego umysł mógłby eksplodować, kiedy uświadomiłby sobie konsekwencje tego, co się dzieje…

Żadne z tych tłumaczeń nie pomogło Bisesie. Może prawda była taka, że Abdikadir i wszyscy inni czuli się równie dziwnie, jak ona sama, ale po prostu potrafili to lepiej ukrywać.

Natomiast Ruddy rozumiał jej dezorientację. Powiedział jej, że od czasu do czasu nękają go halucynacje.

— Kiedy byłem dzieckiem, pozostawionym samemu sobie w rodzinie zastępczej w Anglii, pewnego razu zacząłem walić pięścią w drzewo. Przyznaję, że to dziwne zachowanie, ale nikt nie rozumiał, że próbowałem się przekonać, czy to moja babka! Później, w Lahore, zachorowałem, to była chyba malaria i od tego czasu niekiedy powracają moje napady. Dlatego wiem, jak to jest być dręczonym przez wrażenie czegoś nierzeczywistego. — Kiedy mówił, pochylił się do przodu, skupiony, z oczyma zniekształconymi przez grube okulary. — Ale ty jesteś dla mnie wystarczająco rzeczywista. Powiem ci, co trzeba zrobić: pracować! — Uniósł do góry krótkie, poplamione atramentem palce. — Czasami pracuję szesnaście godzin dziennie. Praca to najlepsza zapora dla rzeczywistości…

Taka była sesja terapeutyczna na temat natury rzeczywistości z dziewiętnastoletnim Rudyardem Kiplingiem. Była tym wszystkim

jeszcze bardziej otumaniona niż na początku.

Kiedy czas mijał i obie grupy, Brytyjczycy z epoki wiktoriańskiej i załoga Bisesy, nadal nie mieli łączności ze swymi światami zewnętrznymi, Grove był coraz bardziej zaniepokojony.

Powodem tego były względy czysto praktyczne, magazyny fortu były na wyczerpaniu. Ale Grove także został odcięty od wielkiego aparatu administracyjnego imperium, co Bisesa wywnioskowała z krótkiej rozmowy Ruddy'ego i Josha. Nawet wśród cywilów byli miejscowi komendanci policji wraz ze swymi zastępcami i asystentami, którzy podlegali wicegubernatorowi, który podlegał wicekrólowi, który podlegał sekretarzowi stanu, który wreszcie podlegał samej Królowej Wiktorii w dalekim Londynie. Brytyjczyków zachęcano do myślenia o sobie, jak o członkach jednolitej struktury społecznej, gdzie by nie służyli, byli żołnierzami królowej, częścią jej globalnego imperium. Bisesa widziała, że dla Grove'a ta izolacja była równie niepokojąca jak dla niej świadomość odcięcia od globalnej sieci telekomunikacyjnej dwudziestego pierwszego wieku.

Grove zaczął więc wysyłać patrole zwiadowców, przede wszystkim swych hinduskich jeźdźców, którzy potrafili szybko pokonywać znaczne odległości. Dotarli do Peszawaru, gdzie powinien się znajdować miejscowy garnizon i centrum dowodzenia. Ale Peszawar zniknął. Nie było żadnych oznak zniszczenia, nawet okropnych śladów wybuchu bomby jądrowej, które Bisesa nauczyła ich rozpoznawać. Była tam jedynie naga skała, brzeg rzeki, skarłowaciała roślinność oraz ślady stworzeń, którymi mogły być lwy. Było tak, jakby Peszawar w ogóle nigdy nie istniał. Jeźdźcy zameldowali, że podobna historia powtórzyła się, kiedy próbowali odszukać Claviusa, obóz ONZ Bisesy. Żadnego śladu, nawet śladu zniszczenia.

Grove postanowił więc penetrować teren dalej: w dolinie Indusu, w głębi Indii i na północy.

Tymczasem Casey, wciąż w znacznym stopniu unieruchomiony, także podjął wyzwanie, próbując nawiązać kontakt z resztą świata. Z pomocą kilku żołnierzy z korpusu sygnalizacyjnego, których mu przydzielił Grove, z rozbitego Ptaka wygrzebał sprzęt telekomunikacyjny i w małym pomieszczeniu na terenie fortu zbudował na poczekaniu stację nadawczo-odbiorczą. Ale bez względu na to, ile czasu spędzał na próbach wywołania kogokolwiek, odpowiedzi nie było.

Natomiast Abdikadir realizował własny plan, który dotyczył unoszącej się w powietrzu osobliwej kuli. Bisesa zazdrościła im obu, że tak szybko znaleźli pożyteczną pracę, która wypełniała im czas, jak gdyby zdołali się przystosować lepiej niż ona.

Czwartego dnia rano Bisesa wyszła z fortu i znalazła Abdikadira,

który stał na stołku, trzymając wysoko w powietrzu poobijaną puszkę. Casey i Cecil de Morgan siedzieli na składanych krzesłach z twarzami skąpanymi w porannym słońcu i obserwowali, co się dzieje. Casey pomachał do Bisesy.

— Hej, Bis! Chodź i popatrz na ten kabaret. — Chociaż de Morgan natychmiast zaproponował jej swoje krzesło, Bisesa usiadła na ziemi obok Caseya. Nie lubiła de Morgana i nie chciała mieć wobec niego jakichkolwiek, choćby błahych, zobowiązań.

Puszka Abdikadira była wypełniona wodą, musiała więc być ciężka. Mimo to oparł ją jedną ręką na ramieniu i ołówkiem zaznaczył poziom wody. Następnie opuścił puszkę, odsłaniając unoszącą się kulę, Złe Oko, po którego powierzchni ściekała woda; Abdi starał się złowić każdą jej kroplę. Namiot z dwoma „małpoludami" stał parę metrów dalej, podparty w środku czymś w rodzaju masztu.

Casey zarechotał.

On tak moczy to cholerstwo już od pół godziny.

— Po co, Abdi?

— Mierzę jego objętość — mruknął Abdikadir. — I powtarzam pomiary, dla uzyskania większej dokładności. To się nazywa nauka. Dzięki za wsparcie. — I znowu podniósł puszkę.

Bisesa powiedziała do Caseya:

— Myślałam, że lekarz wojskowy powiedział, że nie powinieneś opuszczać łóżka.

Casey wydał ordynarny dźwięk i wysunął przed siebie grubo obandażowaną nogę.

— A niech to. To było czyste złamanie i złożyli je jak trzeba. — Bisesa wiedziała, że nie użyto środków znieczulających. — Nie lubię tak siedzieć z palcem w dupie.

— A pan, panie de Morgan? — powiedziała Bisesa. — Dlaczego to pana interesuje?

Faktor rozłożył ręce.

— Jestem biznesmenem, proszę pani. Głównie dlatego jestem tutaj. I stale rozglądam się za nowymi możliwościami. Naturalnie jestem zaintrygowany waszą rozbitą latającą machiną! Rozumiem, że zarówno wy, jak i kapitan Grove chcecie całą rzecz trzymać w sekrecie. Ale to, ta unosząca się w powietrzu doskonała kula, nie należy ani do was, ani do Grove'a. A w tych dniach pełnych dziwów, jakie to dziwne, że tak szybko przywykliśmy do jej obecności! Oto unosi się niepodtrzymywana przez nic, co można zobaczyć. Bez względu na to, jak mocno ją się uderzy albo nawet ostrzela, już tego próbowano i trzeba było uważać na niebezpiecznie rykoszetujące kule, od jej powierzchni nie da się odłupać nawet kawałka, a jej samej przesunąć choćby o ułamek cala. Kto ją wykonał? Co ją utrzymuje w górze? Co jest wewnątrz?

— I ile jest warta — warknął Casey.

De Morgan roześmiał się swobodnie.

— Nie można człowieka winić za to, że pyta.

Josh opowiedział Bisesie coś niecoś na temat przeszłości de Morgana. Jego rodzina należała do zubożałej arystokracji, której rodowód sięgał czasów pierwszego najazdu Wilhelma Zdobywcy ponad osiemset lat temu i która wykroiła niemałą posiadłość z pokonanych saksońskich królestw. W ciągu następnych stuleci „chciwość i głupota, które trwają przez pokolenia", jak to rozbrajająco ujął sam de Morgan, spowodowały, że rodzina została bez grosza, choć wciąż karmiła się pamięcią dawnych bogactw i władzy. Ruddy powiedział, że z jego doświadczeń wynika, iż Raj jest pełen „cwaniaków" w rodzaju de Morgana. Jeśli chodzi o Bisesę, uważała, że nie można ufać Morganowi, z tymi jego zaczesanymi do tyłu czarnymi włosami i świdrującymi oczyma.

Abdikadir zszedł ze stołka. Ciemny, poważny, skupiony włączył w swoim zegarku kalkulator i wprowadził zapisane liczby.

— No, mądralo — kpiąco powiedział Casey — powiedz, czego się dowiedziałeś.

Abdikadir usiadł na ziemi przed Bisesą.

— Oko jest odporne na nasze badania, ale mimo to coś niecoś można zmierzyć. Przede wszystkim wokół Oka istnieją anomalie magnetyczne. Sprawdziłem to za pomocą kompasu z mego zestawu ratunkowego.

Casey chrząknął.

— Od chwili gdy spadliśmy na ziemię, mój kompas sfiksował.

Abdikadir pokręcił głową.

— To prawda, że nie można określić północy magnetycznej. Wydaje się, że z ziemskim polem magnetycznym dzieje się coś osobliwego. Ale same kompasy są w porządku. — Zerknął na Oko. — Linie sił pola wokół niego są zagęszczone. Ich wykres przypominałby sęk.

— Jak to możliwe?

— Nie mam pojęcia.

Bisesa pochyliła się do przodu.

— Co jeszcze, Abdi?

— Zastosowałem trochę szkolnej geometrii. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Zanurzenie tego przedmiotu w wodzie to był jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy, żeby określić jego objętość, patrząc, jak zmienia się poziom wody w puszce.

— *Eureka!* — wykrzyknął żartobliwie de Morgan. — Sir, jest pan Archimedesem *de nosjours*…

Abdikadir nie zwrócił na niego uwagi.

— Przeprowadziłem z tuzin pomiarów, mając nadzieję, że w ten

sposób zmniejszę błąd, ale wynik wciąż nie jest zbyt dokładny. Nie przychodzi mi do głowy żaden sposób, za pomocą którego można by określić pole powierzchni. Ale myślę, że pomiary promienia i obwodu są całkiem dokładne. — Uniósł do góry suwmiarkę. — Przerobiłem celownik laserowy z helikoptera…

— Nie chwytam — powiedział Casey. — To po prostu kula. Jeżeli znasz jej promień, ze wzorów możesz obliczyć całą resztę. Pole powierzchni wynosi, zaraz, cztery pi er kwadrat…

— Możesz to obliczyć, jeżeli założysz, że ta kula jest jak każda inna kula, z jaką się przedtem zetknąłeś — łagodnie powiedział Abdi. — Ale ta tutaj unosi się w powietrzu, czego nie widziałem nigdy dotąd. Nie chciałem czynić co do niej żadnych założeń; chciałem sprawdzić wszystko, co zdołam.

Bisesa kiwnęła głową. — I stwierdziłeś…

— Po pierwsze, to idealna kula. — Znów zerknął w górę. — Naprawdę idealna, w granicach tolerancji pomiarów laserowych w każdej osi. Nawet w 2037 roku nie potrafimy żadnego materiału uformować z tak fantastyczną precyzją.

De Morgan poważnie kiwnął głową.

— Prawie arogancki pokaz geometrycznej doskonałości.

— Tak. Ale to tyko początek. — Abdikadir podniósł zegarek w górę, tak aby Bisesa mogła zobaczyć jego wyświetlacz. — Szkolna geometria, Casey. Stosunek obwodu koła do jego średnicy jest równy…

— Pi — zagrzmiał Casey. — Tyle wie nawet żarliwy chrześcijanin.

— Nie w tym wypadku. Ten stosunek dla Oka wynosi trzy. Nie około trzech czy trochę więcej, ale dokładnie trzy — trzy z dokładnością laserową. Kreski na suwmiarce są tak małe, że nie da się powiedzieć, czy ten stosunek rzeczywiście wynosi pi, tak jak powinno być. Jak widzisz, twoje wzory mimo wszystko tutaj nie mają zastosowania, Casey. Z pomiarów objętości otrzymałem tę samą wartość pi. Chociaż oczywiście wiarygodność tych pomiarów jest o wiele mniejsza, nie można porównywać lasera z puszką brudnej wody…

Bisesa wstała i obeszła Oko, spoglądając w górę. Wciąż towarzyszyło jej uczucie nieokreślonego niepokoju.

— To niemożliwe. Pi to pi. Ta liczba jest wbudowana w strukturę naszego wszechświata.

— Naszego, tak — powiedział Abdikadir.

— Co masz na myśli? Abdikadir wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że ta kula — choć najwyraźniej znajduje się tutaj — nie jest z naszego wszechświata. Natknęliśmy się na anomalie czasowe, Biseso. Może to jest anomalia przestrzenna.

— Jeżeli tak jest — zagrzmiał Casey — kto, czy co jest tego przyczyną? I co mamy z tym zrobić?

Oczywiście nie było odpowiedzi. Wpadł zaaferowany kapitan Grove.

— Przepraszam, że niepokoję, pani porucznik — powiedział do Bisesy. — Pewnie pamięta pani, że wysyłałem patrole zwiadowców, no i jeden z jeźdźców zameldował o czymś dosyć dziwnym, na północ stąd.

— „Dziwnym" — powiedział Casey. — Bóg kocha te wasze brytyjskie niedomówienia!

Grove był nieporuszony.

— Mogłaby pani zrozumieć z tego coś więcej niż moi chłopcy… Zastanawiam się, czy miałaby pani ochotę na małą wycieczkę.

11. Zagubieni w przestrzeni

— Hej, dupku, muszę się dostać do kibla. — Oczywiście to była Sabie, która wołała z modułu powrotnego, witając Kolę kolejnego dnia.

Śnił o domu, o Nadii i chłopcach. Zwisając w swym śpiworze, jak nietoperz z owocowego drzewa, otoczony nikłą czerwoną poświatą świateł awaryjnych o małej mocy, dopiero po paru chwilach zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. *Och, — wciąż jestem tutaj.* Nadal w tym na poły opuszczonym statku kosmicznym, bez końca okrążającym milczącą Ziemię. Przez chwilę unosił się, chwytając się ostatnich resztek snu.

Był w przedziale mieszkalnym, razem ze skafandrami kosmicznymi i innym niepotrzebnym sprzętem, otoczony gratami ze Stacji, które wciąż trzymali, bo nie mogli otworzyć włazu, żeby je wyrzucić. Śpiąc w tym przedziale, zostawiał pozostałej dwójce nieco więcej miejsca, co powstrzymywało trzech świrujących kosmonautów od pozabijania się nawzajem. Ale nie było tu wygodnie. Wciąż czuł zapach gnijącej, zużytej bielizny, „kozackich ochraniaczy na jaja", jak mawiała Sabie.

Jęknął, przekręcił się i wysunął ze śpiwora. Poszedł do małej, umieszczonej w ścianie toalety i uruchomił pompy wysysające odchody na zewnątrz, w przestrzeń kosmiczną. Kiedy zdali sobie sprawę, że utknęli na orbicie, musieli wygrzebać tę ubikację spod kupy śmieci; podróż do domu miała trwać tylko kilka godzin i przerw toaletowych nie planowano. Tego dnia rano zajęło mu to tylko chwilę. Był odwodniony i jego mocz był gęsty, jakby nie chciał opuścić jego ciała.

Miał na sobie tylko długie kalesony i zaczął dygotać. Ażeby maksymalnie zwiększyć żywotność Sojuza, Musa wydał polecenie, by funkcjonowały jedynie jego podstawowe układy, przy minimalnym poborze mocy. Dlatego w statku robiło się coraz zimniej i coraz bardziej wilgotno. Na ścianach osadzała się czarna pleśń. Powietrze, coraz bardziej cuchnące, było wypełnione pyłem, drobinkami złuszczonej skóry, włosami i resztkami jedzenia i wszystko to oczywiście nie osiadało wobec braku siły ciążenia. Oczy im łzawiły i przez cały czas kichali; poprzedniego dnia Kola zmierzył sobie czas i stwierdził, że w ciągu godziny kichnął dwadzieścia razy.

To już dziesiąty dzień, pomyślał. Dzisiaj dokonają kolejnych szesnastu bezcelowych okrążeń Ziemi, co daje całkowitą sumę stu sześćdziesięciu okrążeń od chwili, gdy Stacja przestała istnieć.

Przymocował pierścienie no górnych części nóg. Te elastyczne opaski, ochrona przed zaburzeniami równowagi płynów wywołanymi

mikrograwitacją, były na tyle ciasne, aby ograniczyć odpływ płynów z nóg, ale nie tak ciasne, by zatrzymać ich dopływ. Kola założył jednoczęściowy kombinezon — w istocie kolejny łach, znaleziony w kupie śmieci w przedziale mieszkalnym.

Następnie opuścił się na dół przez otwarty właz i znalazł się w module powrotnym. Musa i Sabie nawet na niego nie spojrzeli; wszyscy mieli po dziurki w nosie wzajemnego widoku. Obrócił się w powietrzu i wprawnie wślizgnął się na swoją koję. Jak tylko usunął się z drogi, Sabie przepchnęła się przez właz i Kola usłyszał, jak tłucze się w kabinie powyżej.

— Śniadanie. — Musa pchnął przez powietrze tacę w stronę Koli. Leżały na niej przyklejone taśmą tubki i puszki z jedzeniem, już otwarte i do połowy puste. Już dawno wykończyli niewielkie zapasy jedzenia, które znajdowały się na pokładzie Sojuza i napoczęli żelazne racje, które miały im dodać sił po wylądowaniu: puszki mięsa i ryb, tubki z homogenizowanymi jarzynami i serem, a nawet trochę landrynek. Ale to nie było w stanie ich nasycić. Kola przejechał palcem po pustej puszce i wessał unoszące się w powietrzu okruchy.

Żadne z nich nie było zresztą bardzo głodne. Był to skutek pozostawania w stanie nieważkości. Jednak Koli brakowało gorących potraw, których nie jadł od chwili opuszczenia Stacji.

Musa już był pochłonięty stałymi czynnościami przy układzie łączności.

— Stereo jeden, Stereo jeden…

Oczywiście nie było odpowiedzi, bez względu na to, ile czasu temu poświęcał. Ale jaki mieli wybór? Trzeba było próbować.

Tymczasem Sabie krzątała się „na górze”, w przedziale mieszkalnym. Odkryła stary sprzęt radioamatorski, z którego kiedyś korzystali astronauci na Stacji, żeby nawiązać kontakt z radioamatorami na Ziemi, zwłaszcza z dziećmi. Zainteresowanie ogółu Stacją już dawno zmalało, a jej przestarzałe wyposażenie zdemontowano, zapakowano w pudła i przeniesiono do Sojuza celem zniszczenia. Teraz Sabie próbowała je uruchomić. Może zdołają odebrać jakieś sygnały albo nawet będą w stanie coś nadać na długościach fali, których konwencjonalny sprzęt nie obejmuje. Musa stale narzekał, kiedy Sabie chciała podłączyć sprzęt do układu zasilania statku kosmicznego. Wywiązała się kolejna gwałtowna kłótnia, ale tym razem Kola postanowił interweniować.

— To strzał w ciemno, ale może się uda. To chyba nie może nam zaszkodzić…

Kola pochylił się do przodu i wcisnął zawór zbiornika wody. Ukazała się kulka o średnicy kilku centymetrów, która poszybowała w stronę jego twarzy. Zdając sobie sprawę, że Musa łakomie go obserwuje — będzie awantura, jeżeli uroni choćby kropelkę — Kola

szeroko otworzył usta. Woda osiadła mu na języku. Zamknął usta, delektując się jej świeżością zanim ją połknął. Ze wszystkich reżimów racjonowania, jakie narzucił Musa, ten dotyczący wody był najtrudniejszy do zniesienia. Sojuz nie posiadał żadnych urządzeń do recyklingu; był zaprojektowany do krótkich skoków z Ziemi na orbitę i z powrotem i został zaopatrzony tylko w mały zbiornik wody. Ale Sabie jak zwykle nie przestawała gderać.

— Nie racjonuje się wody, nawet kiedy się jest na pustyni. Pijesz ją, kiedy jej potrzebujesz. Inaczej się nie da… — Czy miała rację, czy nie, woda i tak się kończyła.

Z przegródki w ścianie Kola wyjął środek czyszczący do zębów. Był to kawałek gazy nasyconej silnie aromatyzowaną pastą do zębów, który owijało się wokół palca i przesuwało wokół ust. Kola używał tego ostrożnie, wysysając z kawałka gazy każdą drobinkę miętowej pasty; jej smak jakoś zaspokoił nieco jego pragnienie.

I taki był początek jego dnia. Nie mógł się umyć, bo już dawno temu skończyły się miękkie myjki, których się zwykle używa do mycia ciała i włosów. Bez wątpienia wszyscy cuchnęli jak kozackie ochraniacze na jaja. Ale przynajmniej tak samo.

Kiedy Musa nie przestawał żałosnym głosem wołać w ciemność, Kola zajął się własnym, narzuconym sobie programem, który polegał na obserwowaniu Ziemi.

W ciągu długich godzin spędzonych w przestrzeni kosmicznej Kola zawsze znajdował wielką przyjemność w obserwowaniu Ziemi. Stacja, podobnie jak teraz Sojuz, orbitowała zaledwie kilkaset kilometrów nad powierzchnią, więc widok planety nie wywoływał w nim żadnego uczucia odosobnienia i niepewności, o czym informowali podróżnicy lecący na Marsa, kiedy patrzyli na błękitną wysepkę, na której przyszli na świat. W oczach Koli Ziemia była olbrzymia — i prawie pusta.

Podczas połowy każdego okrążenia przelatywał nad wielkimi pustymi obszarami Pacyfiku, błękitnym przestworem, zakłóconym jedynie śladami pozostawianymi przez nieliczne statki i plamkami wysp. Nawet na kontynentach na ogół nie było widać ludzi: na terenie Azji i północnej Afryki rozciągały się pustynie pozbawione jakichkolwiek śladów, z wyjątkiem dymu sporadycznego ogniska. Ludzie mieszkali w przeważającej mierze na wybrzeżach lub w dolinach rzek. Ale nawet miasta trudno było dostrzec z orbity; kiedy próbował odszukać Moskwę czy Londyn, Paryż czy Nowy Jork, dostrzegał jedynie tętniącą życiem szarość wtopioną w zielono-brązowy wiejski krajobraz.

Wrażenie robiła na nim nie kruchość Ziemi, ale jej ogrom; nie uderzał go oczywisty fakt podboju planety przez człowieka, lecz szczupłość zajmowanej przez ludzi powierzchni, nawet w połowie

dwudziestego pierwszego wieku.

Ale to było przed metamorfozą.

Uchwycił się tego, co znał. Geometria Ziemi widzianej z niskiej orbity nie uległa zmianie: co dziewięćdziesiąt minut obserwował wschód słońca, którego światło ze zdumiewającą szybkością przenikało kolejne warstwy atmosfery, a jego barwa płynnie przechodziła ze szkarłatnej w pomarańczową a potem żółtą. Kształty i położenia kontynentów, pustyń, rozmieszczenie łańcuchów górskich — wszystko to wyglądało prawie tak samo jak przedtem.

Ale poniżej, na terenie kontynentów, widać było szereg osobliwości.

Widać było przemieszczenia układu warstw lodu. Przelatując nad Himalajami, wyraźnie widział lodowce, które spływały ze zboczy gór, torując sobie drogę w dół. Tymczasem Sahara nie była już pustynią przynajmniej nie całkiem. Tu i ówdzie pojawiły się nowe oazy i skrawki zieleni, które mogły mieć długość pięćdziesięciu kilometrów, ograniczone prostoliniowymi odcinkami. Podobnie widział fragmenty pustyni wklinowane w zielone obszary południowoamerykańskich lasów tropikalnych. Świat nagle stał się jakąś nieforemną mozaiką. Ale te dziwne skrawki zieleni na pustyni stopniowo zanikały, w miarę upływu kolejnych dni zieleń brązowiała, wyraźnie ginąc.

O ile konsekwencje tych zmian w świecie fizycznym były stosunkowo niewielkie, o tyle wpływ na ludzkość był dramatyczny.

W ciągu dnia miasta i farmy zawsze trudno było dostrzec z orbity. Ale teraz nawet szerokie drogi, które kiedyś przecinały czerwone centrum Australii, gdzieś znikły. Wielką Brytanię, której kształt łatwo było rozpoznać, wydawała się pokrywać gęsta warstwa lasu, rozciągająca się od brzegów Szkocji po Kanał La Manche. Kola rozpoznał Tamizę, ale była teraz znacznie szersza, niż pamiętał i nie było śladu Londynu. Raz Kola dostrzegł na środku Morza Północnego jasną pomarańczowo-żółtą poświatę. Okazało się, że to była płonąca platforma wiertnicza. Unosił się z niej wielki czarny pióropusz dymu, który rozpościerał się nad Europą Zachodnią. Kiedy ich radio objęło swym zasięgiem ten obszar, Musa rozpaczliwie próbował nawiązać kontakt. Ale nie było żadnej odpowiedzi i żadnego śladu statków czy samolotów lecących na ratunek ogarniętej pożarem platformie.

I tak dalej. O ile świat widziany w dzień był odmieniony, o tyle jego widok nocą po prostu rozdzierał serce. Światła miast, kiedyś jarzące się jak naszyjnik otaczający brzegi kontynentów, znikły, zgasły.

Wszędzie, gdzie patrzył, było tak samo, z wyjątkiem kilku, bardzo nielicznych wyjątków. Na środku pustyni dostrzegł jakby błysk ogniska, chociaż wiedział, że mogły go zwieść błyski wyładowań atmosferycznych. W środkowej Azji, w pobliżu granicy Mongolii,

zobaczył większą grupę ognisk. Wydawało się nawet, że widać jakieś miasto na terenie dawnego Iraku, ale było małe i tylko jedno, a w nocy jego światła migotały jak gdyby od ognisk i latarń, a nie światła elektrycznego. Sabie twierdziła, że widzi jakieś oznaki zamieszkania w miejscu, gdzie znajdowało się Chicago. Raz nadzieję załogi Sojuza rozbudził przelotny widok intensywnego świecenia na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Ale okazało się, że to uskok tektoniczny, rzeka lawy wypływającej z pękniętej ziemi, którą niebawem zakryły wielkie kłęby popiołu i pyłu.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ludzkość przestała istnieć, tylko tyle można było powiedzieć. A jeśli chodzi o rodzinę Koli, Nadia, chłopcy i Moskwa zniknęli. Rosja była pusta.

Członkowie załogi dyskutowali, co mogło spowodować tę ogromną metamorfozę. Może jakaś wielka wojna sprawiła, że świat nagle się wyludnił; ta hipoteza wydawała się najbardziej prawdopodobna. Ale jeśli tak właśnie było, na pewno słyszeliby wojskowe rozkazy, widzieliby błyski startujących międzykontynentalnych pocisków balistycznych, słyszeliby pełne rozpaczy wołania o pomoc, widzieliby płonące miasta. I jaka potęga mogłaby unieść bloki lodu i obszary zieleni o rozmiarach dziesiątków kilometrów i umieścić je tak bezsensownie?

Te dyskusje nigdy nie zaprowadziły ich zbyt daleko. Może brakowało im wyobraźni, aby zmierzyć się z tym, co widzą. A może bali się, że rozmawiając o tym, sprawią, że stanie się to rzeczywistością.

Kola próbował podejść do sprawy analitycznie. Zewnętrzna, podwieszona gondola z czujnikami funkcjonowała prawidłowo. Zaprojektowana tak, by fotografować zewnętrzne otoczenie Stacji, miała praktycznie nieograniczoną pojemność. Kola mógł łatwo przeprogramować gondolę, aby była skierowana na Ziemię. Orbita Sojuza, cienia nieistniejącej Stacji, nie pokrywała całej Ziemi, ale zataczała pętlę daleko od równika i kiedy ukazywała się pod nimi Ziemia, w polu widzenia kamer pojawiały się coraz to nowe części planety. Kola mógłby utworzyć fotograficzny zapis stanu Ziemi widzianej z orbity, obejmujący szeroki pas na północ i na południe.

Kiedy samotny Sojuz krążył nad Ziemią, Kola cierpliwie próbował odkładać na bok wszelkie uprzedzenia, kontrolować swoje emocje i obawy, po prostu rejestrując to, co widzi. Ale dziwnie było pomyśleć, że gdzieś w ogromnej elektronicznej pamięci gondoli zostały zapamiętane zdjęcia Stacji, które zrobili zaraz po odłączeniu się, zdjęcia Stacji, która jakimś cudem przestała istnieć, ozdobnika w rozgrywającej się wokół nich dziwnej symfonii.

Sabie chciała wiedzieć, jaki jest cel tych cierpliwych wysiłków. Celem jej planu wykorzystania amatorskiego radia było nawiązanie

kontaktu, który umożliwi im przetrwanie, a jaki może być pożytek z tych zdjęć? Kola nie czuł potrzeby, aby się przed nią tłumaczyć. Nie było nikogo innego, kto byłby w stanie to zrobić, a Ziemia, czuł to, zasługiwała na to, żeby zarejestrować jej metamorfozę.

Poza tym, o ile wiedział, jego żony i chłopców już nie było. Gdyby to była prawda, jaki był sens robienia czegokolwiek?

Pogoda wydawała się niespokojna: nad oceanami krążyły wielkie układy niskiego ciśnienia, prąc w kierunku lądu i dając początek potężnym burzom z piorunami. Oglądane z przestrzeni kosmicznej burze budziły zachwyt, gdy błyskawice migotały, przeskakując między chmurami i wyzwalając reakcje łańcuchowe, które ogarniały cały kontynent. Na równiku chmury tworzyły wielkie zwały, które zdawały się ciągnąć w jego stronę. Czasami wyobrażał sobie, że Sojuz mógłby wpaść w środek takiej burzy. Zapewne morze i atmosfera były tak samo wzburzone jak lądy. Kiedy mijały kolejne dni, widoczność powoli pogarszała się. Ale, o dziwo, rosnące ciemności sprawiły, że poczuł się lepiej, jak wtedy, gdy był dzieckiem i wierzył, że zło odejdzie, jeśli nie będzie go widział.

Kiedy Kola nie mógł już tego wytrzymać, zajmował się swoim drzewkiem cytrynowym. To drzewko, małe bonsai, było przedmiotem jednego z eksperymentów na Stacji. Po pierwszym dniu pobytu w Sojuzie, wygrzebał je z opakowania i teraz trzymał w małym schowku pod siedzeniem. Pewnego dnia, na pokładzie wielkich statków kursujących między światami, ludzie będą hodowali owoce w przestrzeni kosmicznej i może przypomną sobie Kolę, jako pioniera nowego sposobu pielęgnowania życia poza Ziemią. Wygadało na to, że teraz możliwości te odeszły w niebyt, ale małe drzewko pozostało. Będzie je wystawiał na światło słoneczne sączące się przez okna i zraszał cenną wodą jego małe listeczki. Gdyby potarł te liście między palcami, poczułby ostry zapach, który przypominałby mu dom.

Niezwykłość odmienionego świata pokrytego oceanem powietrza kontrastowała z przytulną, swojską atmosferą Sojuza i było tak, jak gdyby to, co widzieli za oknami, było jakąś lekką sztuką, nie mającą z rzeczywistością nic wspólnego.

Owego dziesiątego dnia, około południa, Sabie wystawiła głowę z włazu do przedziału mieszkalnego.

— Jeżeli nie macie akurat jakiegoś ważnego spotkania — powiedziała — myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Tamci dwaj leżeli skuleni na swych kojach pod cienkimi, posrebrzanymi kocami, unikając swojego wzroku. Sabie wsunęła się na swoje miejsce.

— Zaczyna nam wszystkiego brakować — powiedziała Sabie bez ogródek. — Zaczyna nam brakować jedzenia i wody, powietrza i wilgotnych chusteczek, a mnie już się skończyły tampony.

Musa powiedział:

— Ale sytuacja na dole się nie unormowała…

— Och, daj spokój, Musa — warknęła Sabie. — Czy to nie oczywiste, że sytuacja nigdy się nie unormuje? Cokolwiek się wydarzyło na Ziemi, wygląda na to, że tak już zostanie. A my jesteśmy na to skazani.

— Nie możemy wylądować — spokojnie powiedział Kola. — Nie mamy wsparcia z dołu.

— Z technicznego punktu widzenia — powiedział Musa — moglibyśmy sami poradzić sobie z powrotem na Ziemię. Zautomatyzowane systemy Sojuza…

— Taak — powiedziała Sabie — bo to jest Mały-Statek-Kosmiczny-Który-To-Potrafi, tak?

— Nie będą nas poszukiwać — upierał się Kola. — Żadnych helikopterów, żadnych lekarzy. Spędziliśmy w przestrzeni kosmicznej trzy miesiące plus dziesięć nieplanowanych dni. Będziemy słabi jak małe kocięta. Może nawet nie będziemy w stanie wydostać się z tego modułu.

— Więc — warknął Musa — musimy się postarać, aby wylądować gdzieś blisko ludzi — jakichkolwiek ludzi — i zdać się na ich łaskę.

— To nie jest miła perspektywa — powiedziała Sabie — ale jaki mamy wybór? Pozostać na orbicie? Czy tego właśnie pragniesz, Kola? Siedzieć tutaj, robiąc zdjęcia, dopóki język ci nie przyschnie do podniebienia?

Kola powiedział:

— Może to byłby lepszy koniec niż to, co nas czeka na dole. — Przynajmniej znajdował się w znanym sobie otoczeniu, tutaj, w jeszcze jako tako funkcjonującym Sojuzie. Nie miał pojęcia, co może ich czekać na dole i nie był pewien, czy jest na tyle odważny, by stawić temu czoło.

Musa wyciągnął swą niedźwiedziowatą rękę i ścisnął Kolę za kolano.

— Nic w naszej przeszłości — nasze wyszkolenie, nasze tradycje — nie przygotowało nas na takie doświadczenie. Ale jesteśmy Rosjanami. A jeżeli jesteśmy ostatnimi Rosjanami, co jest zupełnie możliwe, musimy żyć albo umrzeć z honorem.

Sabie miała na tyle zdrowego rozsądku, żeby trzymać język za zębami.

Kola z ociąganiem skinął głową.

— Więc lądujmy.

— Dzięki Bogu — powiedziała Sabie. — Teraz pytanie: gdzie?

Sojuz był tak skonstruowany, że mógł lądować na lądzie, na szczęście, pomyślał Kola, bo lądowanie na oceanie, tak jak to kiedyś robili Amerykanie, oznaczałoby dla nich pewną śmierć.

— Możemy zdecydować, gdzie zacząć schodzenie w dół — powiedział Musa. — Ale potem będziemy w kleszczach automatycznej sekwencji. Kiedy będziemy opadać na spadochronach, nie będziemy mieli wielkiego wpływu na nasz los. Nie znamy nawet prognozy pogody, wiatr może nas znieść setki kilometrów. Potrzebujemy miejsca na nieplanowane lądowanie. Oznacza to, że musimy wylądować na terenie środkowej Azji, tak jak planowali nasi konstruktorzy.

Wyglądało na to, że spodziewał się sprzeciwu ze strony Sabie, ale tylko wzruszyła ramionami.

— To niekoniecznie taki zły pomysł. W środkowej Azji widać ślady ludzi — nic nowoczesnego, ale ludzkie domostwa i to duża koncentracja — te wszystkie ogniska, które widzieliśmy. Musimy znaleźć ludzi i to jest równie dobre miejsce jak każde inne. — To się wydawało logiczne, ale Kola zobaczył niezrozumiałą surowość w wyrazie jej ust, jak gdyby coś kalkulowała, już rozważając sytuację po wylądowaniu.

Musa klasnął w dłonie.

— Doskonale. A więc załatwione. Nie ma co się wahać. Teraz musimy przygotować statek…

Z przedziału mieszkalnego dobiegł dźwięk brzęczyka.

— Jasna cholera — powiedziała Sabie. — To moje radio. — Jednym ruchem uniosła się i popłynęła do włazu.

Prosty detektor, który skleciła Sabie, w rzeczywistości odebrał dwa sygnały. Jednym z nich był stały ciąg impulsów, silnych, lecz najwyraźniej automatycznych, nadchodzących gdzieś ze Środkowego Wschodu. Drugi jednak stanowił ludzki głos, przerywany trzaskami i słaby.

— …wiedzieć. Tu starszy chorąży Casey Othic, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych i ONZ w forcie Jamrud w Pakistanie, nadający do wszystkich stacji. Proszę odpowiedzieć. Tu starszy chorąży Casey Othic…

Sabie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Amerykanin — krzyknęła. — Wiedziałam! — Zaczęła stroić sprzęt, chcąc odpowiedzieć, zanim Sojuz znajdzie się poza zasięgiem nadajnika.

12. Lód

W dniu w którym miała wyruszyć grupa poszukiwawcza Bisesy, trębacz zagrał pobudkę o piątej rano. Bisesa obudziła się z zapuchniętymi oczami, jej ciało jeszcze nie przywykło do nowej strefy czasowej. Poszła poszukać swych towarzyszy.

Po szybkim śniadaniu uformowała się grupa, zabierając ze sobą lekki sprzęt. Oddział złożony z dwudziestu kawalerzystów, głównie sipajów, pod dowództwem nowo mianowanego kaprala Batsona, miał eskortować Bisesę. Byli tam także Josh i Ruddy, którzy twierdzili, że nie mogą przegapić tej wyprawy. Wszyscy byli pieszo; kapitan Grove słusznie nie chciał ryzykować mułów, których liczba stale malała. Grove był także zaniepokojony tym, że znaleźli się tam dziennikarze. Ale na północy i na zachodzie nie widziano żadnych Pasztunów, nie wystrzelili ani jednej kuli. Wydawało się, że nawet ich wioski gdzieś przepadły, jak gdyby poza Jamrud zniknęła cała ludność planety. Grove ustąpił Ruddy'emu i Joshowi, ale nalegał, aby grupa przez cały czas zachowywała ścisłą wojskową dyscyplinę.

I pomaszerowali. Wkrótce Jamrud zniknął za horyzontem, a świat wokół, jeśli nie liczyć ich samych, wydawał się pusty. Był to dziesiąty dzień od chwili, gdy Bisesa tutaj utknęła.

Droga była ciężka. Przedzierali się przez teren, który przypominał górzystą pustynię. W południe gorąco stało się nie do wytrzymania, choć był dopiero marzec — oczywiście jeżeli to rzeczywiście był marzec 1885 roku — a w nocy, jak powiedziano Bisesie, temperatura spadnie poniżej zera. Mimo to Bisesa spodziewała się, że będzie jej wygodnie w kombinezonie, który był wykonany z tkaniny przystosowanej do różnych warunków atmosferycznych, wyprodukowanej w 2037 roku. Brytyjscy żołnierze byli znacznie gorzej wyposażeni, mieli kurtki z serży i hełmy korkowe i byli obładowani różnorakim sprzętem, bronią, amunicją, pościelą oraz zapasami żywności i wody. Ale nie narzekali. Najwyraźniej przywykli do swego rynsztunku i znali sposoby naprawiania jego braków, na przykład wykorzystując mocz do zmiękczania skóry butów.

Kiedy posuwali się naprzód w wojskowym szyku, Batson rozesłał pikiety. W terenie pełnym pagórków i grzbietów trójka czy czwórka żołnierzy wdrapywała się na kolejne, wyżej położone wzniesienie, pod osłoną ognia towarzyszy, aby mieć pewność, że nie ukrywają się tam jacyś Pasztunowie. Kiedy posuwali się coraz dalej na północ, napotykali wzgórza wznoszące się na wysokość trzystu metrów ponad poziom szlaku i czasami mijało około czterdziestu minut, zanim pikiety osiągnęły najwyższy punkt, ale mimo to reszta kolumny nie ruszała do przodu, dopóki zwiadowcy nie znaleźli się na miejscu i nie

potwierdzili, że droga jest czysta. Było to irytujące i takie postępowanie wymuszało wiele postojów, ale mimo to posuwali się naprzód w całkiem przyzwoitym tempie.

Kiedy tak maszerowali, znaleźli więcej Oczu. Napotykali je co parę kilometrów, unosiły się w powietrzu w zupełnej ciszy i najwyraźniej były identyczne z tym w Jamrud. Batson zaznaczał na mapie ich położenie. Ale niebawem ich widok stał się równie znajomy jak owego pierwszego Oka i prawie nikt nie zwracał na nie uwagi. Z wyjątkiem Bisesy. Przekonała się, że trudno jej było obrócić się do nich tyłem, jak gdyby to były prawdziwe oczy, które patrzyły, jak idzie.

— Co za miejsce — powiedział Ruddy do Bisesy, kiedy posuwali się z trudem przez jałowy teren. Gestem wskazał rząd idących przodem sipajów. — Fragment ludzkości, wciśnięty między puste niebo a zmarniałą ziemię. Wiesz, takie są całe Indie, gdzie by nie spojrzeć. A Granica jeszcze bardziej niż cała reszta — to taka zapiaszczona kwintesencja całości. Trudno tu pozostać dogmatycznym.

— Stanowisz dziwną mieszaninę młodości i starości, Ruddy — powiedziała.

— Dziękuję. Przypuszczam, że cała ta forsowna wędrówka wydaje ci się prymitywna, tobie, z twoimi latającymi maszynami i myślącymi skrzynkami, tym cudownym przyszłościowym diabelstwem do prowadzenia wojen!

— Wcale nie — powiedziała. — Pamiętaj, że sama jestem żołnierzem i biorę udział w tej wędrówce. Armia to dyscyplina i koncentracja, niezależnie od technologii. A zresztą brytyjskie wojsko było — przepraszam, jest — technologicznie zaawansowane jak na swoje czasy. Telegram może przekazać wiadomość z Indii do Londynu w ciągu paru godzin, macie najlepsze statki na świecie, a koleje zapewniają szybkie podróże na terenie kraju. Macie to, co nazywamy zdolnością szybkiego reagowania.

Skinął głową.

— Zdolnością, która umożliwiła mieszkańcom małej wyspy zbudowanie i utrzymanie globalnego imperium, proszę pani.

Jako towarzysz wędrówki Ruddy był zawsze interesujący, chociaż nie zawsze sympatyczny. Z pewnością nie był typem żołnierza. Miał w sobie coś z hipochondryka, bo stale skarżył się na ból stóp, oczu, głowy, pleców i w ogóle czuł się „marnie”.

Ale jakoś sobie z tym radził. Podczas postojów siadał w cieniu jakiegoś głazu lub drzewa i w zniszczonym notesie robił notatki albo zapisywał fragmenty wierszy. Kiedy układał wiersze, nucił bez końca jakąś melodyjkę, która służyła mu jako swego rodzaju licznik. Był nieporządny i wskutek nerwowych odruchów łamał ołówki i darł

papier.

Bisesa wciąż nie mogła uwierzyć, że to on. A on ze swej strony wciąż próbował ją namówić, żeby odkryła przed nim przyszłość.

— Już to przerabialiśmy — powiedziała nieustępliwie. — Nie wiem, czy mam prawo. I myślę, że nie zdajesz sobie sprawy, jakie to dla mnie dziwne przeżycie.

— Jak to?

— Dla mnie jesteś Ruddy, tu i teraz, żywy. A mimo to otacza cię cień przyszłości, cień rzucany przez Kiplinga, którym się staniesz.

— Dobry Boże — mruknął Josh. — Nie pomyślałem o tym.

— A poza tym… — Pomachała ręką w stronę opustoszałej krainy. — Mnóstwo rzeczy się zmieniło, delikatnie mówiąc. Kto wie, czy wszystko w waszych życiorysach to wciąż wasze prawdziwe przeznaczenie.

— Ach — szybko powiedział Ruddy. — Ale jeśli nie — jeśli moja utracona przyszłość stała się urojeniem, przekornym snem smętnego diabła — co złego się stanie, jeżeli się o tym dowiem?

Bisesa pokręciła głową.

— Ruddy, czy ci nie wystarczy, że dowiedziałam się o tobie sto pięćdziesiąt lat później?

Ruddy pokiwał głową.

— Masz rację, taka informacja to więcej, niż większość ludzi kiedykolwiek może zdobyć, i powinienem być wdzięczny temu osobliwemu bóstwu, które jest odpowiedzialne za jej przekazanie.

Josh zaczął się z nim drażnić.

— Ruddy, jak możesz być taki spokojny? Myślę, że jesteś najbardziej próżnym człowiekiem, jakiego spotkałem. Wiesz, Biseso, on był przekonany, że jest mu przeznaczona wielkość na długo przedtem, zanim pojawiłaś się w naszym życiu. Teraz chce, żebyś powiedziała mu osobiście — jako korespondent z przyszłości — że wszystkie te zakłócenia zostały zaaranżowane właśnie ze względu na niego!

Ruddy nie stracił opanowania ani na chwilę.

Tego pierwszego dnia marszu natknęli się na jeszcze jedną osobliwość.

Dotarli do uskoku. Przypominał stopień wycięty w zasłanej gruzem ziemi o wysokości niecałego pół metra. Jego odkryta część była pionowa i zupełnie gładka, a cały uskok był idealnie prostoliniowy, ciągnąc się w obie strony aż po horyzont. Można by go przeskoczyć bez trudu, ale żołnierze niepewnie tłoczyli się obok.

Josh stał koło Bisesy.

— No dobrze — powiedział. — Co o tym sądzisz? To mi wygląda na miejsce, gdzie ktoś zszył ze sobą dwie części świata.

— Myślę, że to właśnie jest to, Josh — mruknęła. Przykucnęła i

dotknęła powierzchni skały. — To obszar aktywny tektonicznie. Indie wrzynają się w Azję. Jeśli wziąć dwa kawałki lądu, rozdzielone okresem czasu równym kilkuset tysiącom lat, można się spodziewać właśnie takiej różnicy poziomów…

— Chyba cię nie rozumiem — przyznał Josh.

Wstała, otrzepując spodnie z kurzu. Z wahaniem wyciągnęła dłoń, aż jej palce przecięły linię uskoku, po czym gwałtownie ją cofnęła. Mruknęła do siebie:

— Czego się spodziewałaś, Biseso, pola siłowego? — Bez wahania wskoczyła na wyższą warstwę i przeszła parę kroków — w przyszłość albo w przeszłość.

Josh i pozostali wdrapali się za nią i ruszyli dalej.

Na następnym postoju przyjrzała się obrzękowi na policzku Ruddy'ego, który nazywał „raną z Lahore". Myślał, że był wywołany ukąszeniem mrówki i nie reagował na przepisaną przez lekarza kokainę. Bisesa niewiele wiedziała o medycynie, ale pomyślała, że wygląda to na schorzenie wywołane przez pierwotniaka o nazwie *Leishmania,* pasożyta przenoszonego przez moskity. Poddała go działaniu środka ze swego zestawu medycznego i wkrótce zaczął ustępować. Później Ruddy mówił, że ten incydent utwierdził go bardziej niż wszystko inne, nawet niż spektakularne przybycie Bisesy w helikopterze, że naprawdę pochodziła z przyszłości.

Około czwartej Batson zarządził postój. W cieniu pagórka żołnierze zaczęli rozbijać obóz na noc. Ułożyli w stos broń, zdjęli rynsztunek i buty i założyli *chaplies* — sandały — które mieli w plecakach. Rozdali małe łopatki i wszyscy, nie wyłączając Josha, Bisesy i Ruddy'ego, zabrali się do budowy niskiego muru z gruzu i kopania dołów do spania. Wszystko to miało stanowić ochronę przed atakami Pasztunów, chociaż owego dnia w ogóle ich nie widzieli. Po całodziennym marszu była to ciężka praca, ale mniej więcej po godzinie wszystko było gotowe. Bisesa zgłosiła się na ochotnika, żeby stanąć na warcie, lecz Batson uprzejmie odmówił.

Potem zabrali się do jedzenia; składało się ono ze zwyczajnego gotowanego mięsa i ryżu, ale po całym długim dniu mieli doskonały apetyt. Josh usiadł koło Bisesy, która dodała do jedzenia i wody małe tabletki, które jak powiedziała, powinny ją zabezpieczyć przed infekcją; posiadany przez nią zapas tych cudów rodem z dwudziestego pierwszego wieku nie starczy na długo, ale może na tyle, że jej organizm zdąży się zaaklimatyzować, taką przynajmniej miała nadzieję.

Zwinęła się w kłębek w swojej jamie pod lekkim ponczo, ze zwiniętym pasem, który posłużył za poduszkę. Wyjęła małe jasnoniebieskie urządzenie, które nazywała „telefonem" i położyła przed sobą na ziemi. Jakoś nie zaskoczyło jej, gdy mała zabawka

przemówiła:

— Muzyka, Bisesa?

— Coś rozpraszającego.

Muzyka wydobywała się z małego urządzenia, głośna i dźwięczna. Żołnierze utkwili w nim spojrzenie, a Batson warknął:

— Na miłość boską, proszę to przyciszyć! — Bisesa posłuchała i muzyka grała dalej cicho.

Ruddy teatralnym gestem klasnął w dłonie nad głową.

— Na Boga! Co to za barbarzyństwo? Bisesa roześmiała się.

— Daj spokój, Ruddy. To orkiestrowa przeróbka kilku klasycznych rapowych kawałków. Są sprzed dziesiątków lat, to muzyka mojej babki!

Ruddy głośno odchrząknął, jak pięćdziesięciolatek.

— Nie uwierzę, że Europejczykom kiedykolwiek spodobają się takie rytmy. — Ostentacyjnie podniósł koc i ruszył w stronę najdalszego końca małego obozowiska.

Josh został sam z Bisesa.

— Wiesz, on naprawdę cię lubi.

— Ruddy?

— To zdarzało się już przedtem, pociągają go silne, starsze kobiety, jest w tym jakaś prawidłowość. Może uczyni cię jedną ze swych muz, jak je nazywa. I może, choć jego los teraz nieustannie się zmienia, to zdumiewające przeżycie będzie dla tego obdarzonego wyobraźnią człowieka źródłem nowych impulsów twórczych.

— Chyba napisał kiedyś kilka futurystycznych utworów.

— Zatem można więcej zyskać niż stracić…

Bawiła się swym telefonem, słuchając tej dziwnej muzyki z wyrazem twarzy, który wyrażał, jak sądził, coś jakby „odwrotną” nostalgię, nostalgię za przyszłością. Podjął:

— Czy twoja córka lubi taką muzykę?

— Tak, lubiła, kiedy była mała — powiedziała Bisesa. — Tańczyłyśmy razem do tej muzyki. Ale teraz z tego wyrosła, ma już osiem lat. Lubi nowe gwiazdy muzyki syntetycznej — całkowicie generowanej przez komputer, no, przez maszyny. Wiesz, małe dziewczynki chcą, aby ich idole byli bezpieczni, a cóż może być bezpieczniejszego niż symulacja?

Niewiele z tego zrozumiał, ale był oczarowany jeszcze jednym elementem kultury, którą ledwie pojmował. Powiedział ostrożnie:

— Musi być jeszcze ktoś, za kimś tęsknisz, po tamtej stronie.

Spojrzała na niego oczyma zasnutymi mgłą, a on ku swemu rozczarowaniu zdał sobie sprawę, że Bisesa wie dokładnie, co chce z niej wyciągnąć.

— Przez jakiś czas byłam sama, Josh. Ojciec Myry zmarł i nikogo innego nie ma. — Oparła głowę na ramieniu. — Wiesz, poza Myrą to

nie ludzi mi tak bardzo brak, ale całej reszty. Ten mały telefon powinien łączyć mnie ze światem, z całą planetą. Wszędzie są animacje — reklamy, wiadomości, muzyka, kolor — dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nieustanny zalew informacji.

— Tam musi być bardzo hałaśliwie.

— Może. Ale przywykłam do tego.

— Tu także istnieją rozmaite przyjemności. Odetchnij… Czujesz ten zapach? W powietrzu czuje się lekki mróz… Płonący ogień. Niebawem nauczysz się odróżniać rodzaje drewna jedynie po zapachu dymu…

— I jeszcze coś — mruknęła. — Zapach piżma. Jak w zoo. Tu są zwierzęta. Zwierzęta, których nie powinno być, nawet w twoim czasie.

Odruchowo wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

— Jesteśmy tu bezpieczni — powiedział. Nie zareagowała i po chwili niepewnie cofnął rękę. — Jestem z miasta — powiedział. — Urodziłem się w Bostonie. Więc to wszystko — wszystko wokół — i dla mnie jest nowe.

— Co cię tu przywiodło?

— Nic zaplanowanego. Wiesz, zawsze byłem ciekaw, zawsze chciałem zobaczyć, co jest za rogiem, za następną przecznicą. Zgłaszałem się na ochotnika do kolejnych zwariowanych misji, aż w końcu wylądowałem tutaj, na krańcu świata.

— Och, dotarłeś jeszcze dalej, Josh. Ale myślę, że jesteś typem człowieka, który da sobie radę w tej dziwnej sytuacji. — Patrzyła na niego z odrobiną rozbawienia w oczach, może się z nim drocząc.

Ciągnął uparcie:

— Nie wyglądasz mi na żołnierza, o ile ich znam.

Ziewnęła.

— Moi rodzice byli farmerami. Mieli duże gospodarstwo przyjazne dla środowiska w Cheshire. Byłam jedynaczką. Farma miała być moja, miałam na niej gospodarować, kochałam to miejsce. Ale kiedy miałam szesnaście lat, ojciec ją sprzedał. Przypuszczam, że myślał, że nigdy na serio nie chciałam się nią zajmować.

— Ale ty chciałaś.

— Tak. Nawet starałam się o przyjęcie do szkoły rolniczej. To wywołało rozdźwięk w rodzinie, a może pokazało, jak jest naprawdę. Chciałam się wyrwać. Przeniosłam się do Londynu. A potem, jak tylko osiągnęłam odpowiedni wiek, wstąpiłam do wojska. Oczywiście nie miałam pojęcia, jak tam będzie — ćwiczenia fizyczne, musztra, broń, zajęcia w polu — ale polubiłam to.

— Jakoś nie widzę w tobie zabójcy — powiedział. — A to właśnie robią żołnierze.

— Nie w moich czasach — odparła. — A w każdym razie nie w brytyjskiej armii. Utrzymywanie pokoju, po to się poruszamy po

świecie. Oczywiście czasami trzeba zabijać — czy nawet prowadzić wojnę, aby zachować pokój — ale to zupełnie inne zagadnienie.

Położył się na plecach, patrząc w gwiazdy.

— Dziwnie jest słyszeć, jak mówisz o swoich kłopotach rodzinnych, awarii łączności, porzuconych ambicjach. Kiedy o tym myślę, wyobrażam sobie, że ludzie żyjący sto pięćdziesiąt lat później będą na to zbyt mądrzy, zbyt rozwinięci, jakby powiedział profesor Darwin!

— Och, nie sądzę, abyśmy byli bardzo rozwinięci, Josh. Ale w niektórych sprawach zmądrzeliśmy. Na przykład w sprawie religii. Weźmy Abdikadira i Caseya. Mógłbyś pomyśleć, że żarliwy muzułmanin i gorliwy chrześcijanin są diametralnie różni. Ale obaj są ekumenami.

— To słowo pochodzi z greckiego, jak ekumeniczny?

— Tak. W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci byliśmy blisko otwartego konfliktu między chrześcijaństwem a islamem. Patrząc dalekowzrocznie, to absurd; obie te religie mają wspólne korzenie i zasadniczo kredo ich obu to pokój. Ale wszystkie podejmowane na wysokim szczeblu próby ich pogodzenia, konferencje biskupów i mułłów, skończyły się na niczym. Ekumeni to oddolny ruch, który próbuje osiągnąć to, do czego nie doprowadziły kontakty na wysokim szczeblu. Nie rzucają się w oczy do tego stopnia, że stanowią niemal podziemie, ale istnieją i nie przestają drążyć.

Rozmowa ta uświadomiła mu, jak bardzo odległa w czasie jest jej epoka i jak niewiele z niej potrafi zrozumieć. Zapytał ostrożnie:

— A czy w twoich czasach o Bogu zapomniano, tak jak przewidywali niektórzy myśliciele?

Zawahała się.

— Nie zapomniano, Josh. Ale rozumiemy samych siebie lepiej niż poprzednio. Rozumiemy, dlaczego potrzebujemy bogów W moich czasach są tacy, którzy uważają wszystkie religie za rodzaj psychopatologii. Wskazują na tych, którzy są gotowi torturować i zabijać swych współwyznawców z powodu nieznacznych różnic w niejasnej ideologii. Ale są też inni, którzy mówią, że mimo swych wszystkich wad religie stanowią próbę odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytania dotyczące istnienia. Nawet jeżeli nic nam nie mówią o Bogu, z pewnością wiele mówią o tym, co to znaczy być człowiekiem. Ekumeni mają nadzieję, że wynikiem zjednoczenia religii nie będzie ich osłabienie, lecz wzbogacenie, tak jak możliwość oglądania drogocennego klejnotu z każdej strony. I może te nieśmiałe kroki to nasza największa nadzieja na prawdziwe oświecenie w przyszłości.

— To brzmi jak utopia. I to działa?

— Powoli, jak utrzymywanie pokoju. Jeżeli tworzymy utopię,

poruszamy się w ciemności. Ale próbujemy.

— To piękna wizja — wyszeptał. — Przyszłość to musi być cudowne miejsce. — Obrócił się do niej. — Jakie to wszystko dziwne. Jakie porywające. Być tutaj z tobą, jak rozbitkowie w czasie, razem…!

Wyciągnęła rękę i koniuszkiem palca dotknęła jego warg.

— Dobranoc, Josh. — Naciągnęła na siebie ponczo i zwinęła się w kłębek.

Leżał, a serce nie przestawało mu walić.

Następnego dnia ruszyli dalej, posuwając się terenem, który stale się wznosił, nierówny i pozbawiony jakiegokolwiek życia. Powietrze przerzedziło się, a gdy powiał północny wiatr, zrobiło się przejmująco zimno, pomimo świecącego jasno słońca. Teraz było już oczywiste, że nic im nie grozi ze strony Pasztunów czy kogokolwiek innego i Batson pozwolił żołnierzom na zaprzestanie pikietowania terenu, dzięki czemu poruszali się żwawiej.

Chociaż ubiór Bisesy przystosowany do różnych warunków atmosferycznych chronił ją wystarczająco, inni źle znosili zimno. Kiedy z trudem posuwali się pod wiatr, żołnierze owinięci kocami psioczyli, że nie zabrali ze sobą zimowych szyneli. Zarówno Ruddy, jak i Josh byli przygaszeni, zamknięci w sobie, jak gdyby wiatr wywiał z nich całą energię. Ale nikt nie spodziewał się takich warunków; nawet starzy pogranicznicy mówili, że w marcu nigdy nie doświadczyli takiego zimna.

Mimo to wytrwale maszerowali naprzód. Przez większość czasu nawet Kipling nie narzekał; powiedział, że za bardzo zmarzł.

Czternastu spośród dwudziestu żołnierzy było Hindusami. Bisesa odniosła wrażenie, że Europejczycy trzymają się z dala od sipajów i że Hindusi mają gorsze wyposażenie i broń.

Ruddy powiedział:

— Kiedyś stosunek żołnierzy brytyjskich do hinduskich wynosił około jeden do dziesięciu. Ale Bunt wywrócił wszystko do góry nogami. Teraz jeden Europejczyk przypada na trzech Hindusów. Najlepsza broń i cała artyleria są w rękach żołnierzy brytyjskich, a Hindusi są wykorzystywani jako poganiacze mułów. Nikt nie chce szkolić i uzbrajać potencjalnych buntowników, to zrozumiałe. Pamiętaj, że hinduska służba cywilna liczy tylko około tysiąca ludzi — to dzielni mieszkańcy równin — którzy administrują krajem liczącym czterysta milionów mieszkańców. Jedynie siła, która za tym stoi, umożliwia skutecznie działanie.

— Ale właśnie dlatego — powiedziała łagodnie — musicie szkolić hinduską elitę. To nie Ameryka czy Australia. Niemożliwe, aby brytyjscy osadnicy albo ich potomkowie kiedykolwiek przewyższyli liczebnie Hindusów.

Ruddy pokręcił głową.

— Mówisz o rosnącej liczbie *babu,* z całym szacunkiem! Taki pogląd może zyskać poparcie w Londynie, ale nie tutaj. Musisz wiedzieć o Lucknow, gdzie biali zostali natychmiast wymordowani! Siedzimy na beczce prochu. Może nie ujawniamy najlepszej broni, ale mącąc *babu* w głowach wizjami wolności i samookreślenia, dajemy im do rąk najpotężniejszą możliwą broń — broń, do której jeszcze nie zdążyli dojrzeć.

Takie rzucane mimochodem protekcjonalne uwagi działały Bisesie na nerwy. Ale wiedziała, że Ruddy jest w istocie przedstawicielem swojej klasy, bardziej elokwentnym od większości z nich. Pewnym pocieszeniem był dla niej fakt, że Ruddy mylił się całkowicie co do przyszłości, nawet co do tego, co się wydarzy za jego życia. Konfrontacja między Kozakami a sowarami w środkowej Azji, czego od dawna obawiał się Londyn, nigdy nie nastąpi. W rzeczywistości Rosja i Wielka Brytania miały się sprzymierzyć w obliczu nowego, wspólnego wroga, którym był Kaiser. Imperium zawsze dbało o zdobycze i zyski, ale nie cała brytyjska spuścizna w tym rejonie była szkodliwa. W Indiach dobrze funkcjonowała służba cywilna i aż do czasów Bisesy Indie były drugim co do wielkości demokratycznym krajem na świecie. Ale narzucony im podział, gdy Raj przestał istnieć, od samego początku był źródłem napięć, które doprowadziły do straszliwego zniszczenia Lahore.

Jednak, przypomniała sobie, to była stara historia. Zaledwie w ciągu kilku dni, jakie tutaj spędzili, odniosła wrażenie, że zauważyła zmianę w nastawieniu sipajów. Nie byli już tak pełni szacunku dla białych, jak gdyby coś wiedzieli na temat przyszłości, że tacy *babu* jak Gandhi i sama Bisesa w końcu odniosą zwycięstwo. Nawet gdyby czas jakoś znów się posklejał, nie wierzyła, aby ten kawałek historii, skażony jej własną teraźniejszością, mógł być dokładnie taki jak przedtem.

Wkrótce zaczęli się wdrapywać na strome wzgórza, a kiedy północny wiatr wleciał do dolin i urwistych wąwozów, droga stała się jeszcze trudniejsza. Ale to był dopiero początek.

W końcu przedarli się przez ostatnią, zasłaną głazami dolinę i stanęli przed prawdziwymi górami. Szczyty tych gór były pokryte szaro-białymi lodowcami, które spływały w dół ich zboczami. Nawet stąd, z odległości wielu kilometrów, Bisesa słyszała skrzypienie i trzeszczenie lodowych rzek, które torowały sobie drogę w dół, żłobiąc zbocza gór.

Wszyscy zatrzymali się w miejscu, zaszokowani tym widokiem.

— Dobry Boże — powiedział Ruddy. — Sipaje mówią, że przedtem tak tu nie było.

Bisesa wyciągnęła noktowizor i przymocowała go do lornetki. Zlustrowała podnóże gór. Zobaczyła, że za ich szczytami lód ciągnie

się dalej; była to krawędź pokrywy lodowej.

— Myślę, że to jest fragment epoki lodowcowej. Ruddy, drżąc, objął się rękami.

— Epoka lodowcowa… Tak… Słyszałem to określenie. Chyba profesor Agassiz… kontrowersyjny pogląd… teraz już nie!

— Kolejny uskok w czasie? — zapytał Josh.

— Patrz. — Bisesa wskazała podnóże gór. Lodowce zatrzymały się tam gwałtownie, tworząc urwistą ścianę. Ale dalsze masy lodu wciąż spływały z gór, powoli i nieubłaganie. Bisesa zobaczyła jak urwisko się rozszczepia, jak odpadają od niego kawały wielkie jak góry lodowe, odsłaniając oślepiająco błękitne rozpadliny. U podstawy urwiska lód już się topił i leniwe potoki spływały na niżej położone tereny. — Myślę, że to kolejna powierzchnia rozdziału. Jak ten uskok na równinie. To może być przeskok w czasie wynoszący od dziesięciu tysięcy do dwóch milionów lat.

— Tak — powiedział Josh, którego oddech zamieniał się w parę. — Widzę. Kolejna granica między światami, co, Ruddy?

Ale biedny, krótkowzroczny Kipling niewiele zdołał dojrzeć przez pokryte szronem okulary.

— Powinniśmy wracać — powiedział Batson, szczękając zębami. — Zobaczyliśmy to, co mieliśmy zobaczyć i dalej nie możemy iść. — Wszyscy przyznali mu rację.

Radio Bisesy zapiszczało. Wyjęła z kieszeni słuchawki i założyła na głowę. Była to nadana na falach krótkich wiadomość od Caseya. Jedna z grup wysłanych przez Grove'a dostrzegła w dolinie Indusu coś, co wyglądało na potężną armię. I Casey powiedział, że na swej prowizorycznej radiostacji odebrał sygnał. Sygnał z przestrzeni kosmicznej. Serce zabiło jej szybciej.

A więc czas ruszać.

Zanim Bisesa odwróciła się, jeszcze po raz ostatni przebiegła wzrokiem pole widzenia wzdłuż kruszącego się podnóża lodowca. Nic dziwnego, że pogoda się popsuła, pomyślała. Ten wielki kawał lodu nie powinien się tu znajdować. Wiejące znad niego zimne wiatry zakłócą klimat w promieniu wielu kilometrów, a kiedy lód się stopi, popłyną wezbrane rzeki, pojawią się powodzie. To znaczy, oczywiście, jeżeli sytuacja pozostanie stabilna i nie będzie więcej uskoków w czasie…

Spostrzegła jakiś ruch. Jeszcze raz przyjrzała się, zwiększając powiększenie. Dwie, trzy, cztery postacie szły w błękitnawym cieniu lodowca. Posuwały się w pozycji wyprostowanej i miały na sobie coś ciemnego i ciężkiego, zapewne skóry. Trzymały kije albo włócznie. Były przysadziste, barczyste, miały potężne, umięśnione ramiona. Pomyślała, że wyglądają jak napompowani amerykańscy piłkarze. Casey, ten widok by cię zadręczył. Ponad nimi unosiły się

równomiernie rozmieszczone maleńkie światełka: sznur Oczu.

Jedna z postaci stanęła i obróciła się w jej stronę. Czy dostrzegła światło odbijające się w jej okularach ochronnych? Dotknęła przycisków i powiększenie osiągnęło maksimum. Obraz rozmazał się i zadrżał, ale zdołała zobaczyć twarz. Była szeroka, niemal pozbawiona brody, miała wystające kości policzkowe, spadziste czoło i gęste brwi przechodzące w burzę czarnych włosów oraz wielki wystający nos, z którego w regularnych odstępach czasu unosiła się para, niby z jakiejś ukrytej lokomotywy. Nie była to istota ludzka — nie całkiem — ale mimo to w Bisesie odezwało się coś atawistycznego i poczuła dreszcz. Potem obraz zamglił się i widziała już tylko niewyraźne białe i niebieskie plamy.

13. Światła na niebie

Sytuacja wcale się nie poprawiła. Był to jeden z tych rzadkich dni, gdy na niebie nie kłębiły się chmury. Jamrud zaczęły nękać nawałnice, czasami gradowe, które zjawiały się znikąd. Sipaje mówili, że jeszcze nigdy nie widzieli takiej pogody.

Jednak brytyjscy oficerowie mieli na głowie ważniejsze sprawy niż pogoda. Coraz bardziej zbijały ich z tropu raporty zwiadowców o jakiejś armii na południowym zachodzie i gorączkowo szukali sposobu zdobycia dokładniejszych informacji.

Ale mimo tych trudności rozbitkowie w Jamrud dowiadywali się znacznie więcej o ich nowym świecie, bo kiedy załoga Sojuza samotnie okrążała planetę, przesyłała obrazy oraz inne dane do prowizorycznej stacji odbiorczej Caseya. Ten zaś, wykorzystując to, co ocalało z awioniki Małego Ptaka, zapisywał, przetwarzał i wyświetlał otrzymane dane.

Zniekształcone przez burze obrazy odmienionego świata były zdumiewające i fascynowały w różny sposób wszystkich, którzy na nie patrzyli. Bisesa myślała, że dla Caseya i Abdikadira, mimo że obrazy same w sobie były niepokojące, stanowiły uspokajające przypomnienie domu, gdzie przywykli do możliwości oglądania takich obrazów, kiedy mieli na to ochotę. Ale Sojuz wkrótce musiał spaść na ziemię i ich jedyne oko na niebie zamknie się na zawsze.

Jeśli chodzi o ludzi z 1885 roku, Ruddy, Josh, kapitan Grove i pozostali byli na początku zwyczajnie oszołomieni wyświetlaczami i innymi gadżetami. O ile Caseyowi i Abdiemu dodawało otuchy coś znajomego, o tyle Ruddy'ego i innych zbijało z tropu. Kiedy jednak przywykli do tej nowej technologii, uświadomili sobie, jakie to cudowne móc oglądać obrazy świata z przestrzeni kosmicznej. Mimo że Sojuz był tylko kilkaset kilometrów wyżej, na widok zakrzywionego horyzontu, zwałów chmur żeglujących po niebie albo znajomych, możliwych do rozpoznania kształtów, takich jak Indie czy linia brzegowa Wielkiej Brytanii, wpadali w niekłamany zachwyt.

— Nigdy sobie nie wyobrażałem, że można mieć taką boską perspektywę — powiedział Ruddy. — Och, wiadomo, jak wielki jest świat, znamy liczby. — Walnął się w brzuch. — Ale nigdy tego nie czułem, nie tutaj. Jakże małe i rozproszone są ludzkie dzieła, jakże błahe są jego pretensje i namiętności — jesteśmy jak mrówki!

Ale dziewiętnastowieczna widownia wkrótce do tego przywykła i nauczyła się rozumieć, co widzi; nawet sztywni wojskowi, tacy jak Grove, zaskoczyli Bisesę swoją elastycznością. Minęło zaledwie kilka dni od przesłania pierwszych obrazów, gdy trajkoczący, oniemiali z wrażenia ludzie otaczający Caseya zaczęli wpadać w ponury nastrój.

Ponieważ bez względu na to, jak cudowne były te obrazy i technologia, która powoływała je do życia, świat, jaki ukazywała, był naprawdę przygnębiający.

Bisesa sporządziła kopie wszystkich danych i zapisała je w jedynym przenośnym urządzeniu elektronicznym, jakie posiadała, czyli w swoim telefonie. Zdawała sobie sprawę, że dane te są bardzo cenne. Przez długi czas te obrazy będą wszystkim, co mieli, żeby wiedzieć, co się znajduje za horyzontem. Poza tym zgadzała się z kosmonautą Kolą, że powinien istnieć dokument mówiący, skąd pochodzą. W przeciwnym razie ludzie w końcu zapomną i uwierzą, że tak było zawsze.

Ale telefon miał własny program.

— Pokaż mi gwiazdy — powiedział cichutkim szeptem. Tak więc każdego wieczoru stawiała go na znajdującym się w pobliżu kamieniu, gdzie siedział cierpliwie, jak metalowy owad, a jego mała kamera wpatrywała się w niebo. Bisesa umieściła tam dla ochrony małą osłonę z wodoszczelnego materiału. Te sesje obserwacyjne często trwały godzinami, gdy telefon czekał na przerwę w powłoce mknących po niebie chmur.

Pewnego wieczoru, kiedy Bisesa siedziała ze swym telefonem, Abdikadir, Josh i Ruddy przyszli z fortu, aby jej towarzyszyć. Abdikadir przyniósł napoje, świeżą lemoniadę i wodę z cukrem.

Ruddy dość szybko pojął, na czym polega program realizowany przez telefon. Obserwując niebo i porównując położenia gwiazd z mapami astronomicznymi przechowywanymi w swojej bazie danych, telefon mógł określić datę.

— Tak jak astronomowie w Babilonie — powiedział.

Josh usiadł koło Bisesy, rozszerzonymi oczyma wpatrując się w zapadający zmierzch. Nie można by go nazwać przystojnym. Miał małą twarz, odstające uszy, a policzki wydymały mu się, kiedy się uśmiechał; miał cofnięty podbródek, ale wargi pełne i dziwnie zmysłowe. Był ujmujący, musiała to przyznać i choć czuła się z niejasnych powodów winna, jak gdyby zdradzała Myrę, wyraźna sympatia, jaką jej okazywał, zaczynała mieć dla niej znaczenie. Powiedział:

— Myślisz, że wymazano nawet gwiazdy na niebie?

— Nie wiem, Josh — powiedziała. — Może tam, w górze, to moje niebo, może twoje, a może niczyje. Chcę się dowiedzieć.

Ruddy powiedział:

— W dwudziestym pierwszym wieku z pewnością znacznie lepiej rozumiecie naturę kosmosu, a nawet przestrzeń i czas, niż my, biedacy.

— Tak — z przejęciem powiedział Josh. — My możemy nie wiedzieć, dlaczego nam się to przydarzyło, ale ty, Biseso, dysponująca

zaawansowaną wiedzą możesz snuć przypuszczenia, jak to się stało, że ten świat wywrócił się do góry nogami…

Abdikadir wtrącił:

— Może. Ale będzie nam trochę trudno rozmawiać o czasoprzestrzeni, ponieważ nawet o szczególnej teorii względności usłyszycie dopiero za parę dziesięcioleci.

Ruddy miał skonsternowaną minę.

— O czym szczególnym?

Telefon szepnął sucho:

— Zacznij od próby dogonienia wiązki światła. Jeżeli to było dobre dla Einsteina…

— Dobra — powiedziała Bisesa. — Josh, spróbuj się zastanowić. Kiedy patrzę na ciebie, nie widzę cię takim, jakim jesteś teraz. Widzę cię takim, jakim byłeś chwilę przedtem, przed ułamkiem sekundy, przed czasem, w ciągu którego światło gwiazd odbite od twojej twarzy dotarło do moich oczu.

Josh skinął głową.

— Jak dotąd wszystko jasne.

Bisesa powiedziała:

— Przypuśćmy, że próbuję dogonić światło odbite od twojej twarzy, pędząc coraz szybciej i szybciej. Co zobaczę?

Josh zmarszczył brwi.

— To jak dwa pociągi, z których jeden wyprzedza drugi, oba jadą szybko, ale z punktu widzenia jednego z nich ten drugi wydaje się poruszać powoli. — Uśmiechnął się. — Kiedy uśmiechniesz się na powitanie, zobaczysz moje policzki i usta, poruszająca się jak lodowiec.

— Tak — powiedziała. — Doskonale, chwytasz, o co chodzi. I Einstein — ach, to był fizyk z początków dwudziestego wieku, ważna postać — otóż Einstein nauczył nas, że nie jest to tylko efekt wzrokowy. Nie chodzi o to, że widzę, jak twoja twarz porusza się wolniej, Josh. Światło dostarcza najbardziej podstawowego sposobu mierzenia czasu, więc im szybciej się poruszam, tym wolniej dla ciebie płynie czas.

Ruddy szarpnął za wąsy.

— Dlaczego? Abdikadir roześmiał się.

— Pięciu pokoleniom nauczycieli od czasów Einsteina nie udało się znaleźć dobrej odpowiedzi, Ruddy. Po prostu tak właśnie zbudowany jest wszechświat.

Josh wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jakie to cudowne, że światło będzie zawsze młode, nigdy się nie zestarzeje. Może prawdą jest, że anioły są zbudowane z samego światła!

Ruddy pokręcił głową.

— Anioły czy nie, to jest cholernie mętne. I co to ma wspólnego z naszą obecną sytuacją?

— Bo — powiedziała Bisesa — we wszechświecie, w którym czas wokół ciebie płynie z rozmaitą szybkością, zależnie od tego, jak szybko się poruszasz, pojęcie równoczesności jest sprawą dosyć delikatną. To, co jest równoczesne, powiedzmy, dla Josha i Ruddy'ego, może nie być równoczesne dla mnie. Zależy od tego, jak się poruszamy, jak światło porusza się między nami.

Josh kiwnął głową, ale najwyraźniej był niepewny.

— I to nie jest po prostu wynik wyczucia czasu…

— Nie wyczucia czasu, ale praw fizyki — powiedziała Bisesa.

— Myślę, że rozumiem — powiedział Josh. — A jeśli to może mieć miejsce, jest rzeczą możliwą, że dwa zdarzenia, które nie są równoczesne — powiedzmy, chwila w moim życiu w 1885 roku i chwila w życiu Bisesy w 2037 — można do siebie zbliżyć tak, że się zetkną, że będzie można nawet…

— Pocałować się? — powiedział Ruddy ni to drwiąco, ni to poważnie.

Biedny Josh zarumienił się.

Ruddy powiedział:

— Ale to wszystko stanowi opis z punktu widzenia tej innej osoby. Z jakiego więc punktu widzenia należy postrzega nasz nowy świat? Z punktu widzenia Boga czy też Oka Czasu?

— Nie wiem — odparła Bisesa.

— Musimy się więcej dowiedzieć — powiedział Josh stanowczo. — Jeżeli kiedykolwiek mamy mieć szansę rozwiązania tego problemu…

— O tak — głucho zaśmiał się Ruddy. — Właśnie. Rozwiązać problem!

Abdikadir powiedział:

— W naszych czasach przywykliśmy do myśli, że morza rzeki i powietrze są zanieczyszczone. Teraz okazuje się, że czas nie jest równym, niepowstrzymanym strumieniem, lecz wzburzonym i pełnym wirów. — Wzruszył ramionami. — Może jest po prostu czymś, do czego będziemy się musieli przyzwyczaić.

— Może prawda jest prostsza — brutalnie powiedział Ruddy. — Może wasze hałaśliwe maszyny zakłóciły święty spokój wieczności. Te gwizdy i grzmoty straszliwych wojen waszych czasów wstrząsnęły murami wieczności tak silnie, że jej pęknięcia nie mogą się zrosnąć.

Josh przenosił wzrok z jednego na drugiego.

— Mówicie, że wszystko to może nie mieć charakteru naturalnego — może nawet nie być wynikiem działania jakichś istot przewyższających nas inteligencją — zatem może to nasza wina?

— Może — powiedziała Bisesa. — A może nie. Nasza wiedza jest

tylko trochę bogatsza niż wasza, Josh. Naprawdę nie wiemy.

Ruddy wciąż rozmyślał o teorii względności.

— Kim był ten gość, jak mówiłaś, Einstein? To mi wygląda na Niemca.

Abdikadir powiedział:

— Był niemieckim Żydem. W waszym czasie miał, hm, sześć lat i chodził do szkoły w Monachium. Ruddy mruczał:

— Przestrzeń i czas mogą być zakrzywione. Nie ma pewności, nawet w fizyce, jak opinie Einsteina mogły się przyczynić do zmian i rozpadu świata, a teraz mówicie, że był Żydem i Niemcem, to się musiało stać i jest zwyczajnie śmiechu warte!

Telefon powiedział cicho:

— Biseso, jest jeszcze coś.

— Co?

— Tau Ceti.

Josh powiedział:

— Co to jest? Och, gwiazda.

— Gwiazda taka jak Słońce, oddalona o dwanaście lat świetlnych. To nowa. Była słaba, a kiedy ją zauważyłem, jej blask już przygasał po tym, jak osiągnął wartość szczytową, była widoczna tylko przez kilka nocy, ale…

Abdikadir szarpał brodę.

— Co w tym niezwykłego?

— To po prostu niemożliwe — powiedział telefon.

— Jak to?

— Nowa może występować jedynie w układzie podwójnym, jej towarzysz musi dostarczyć dodatkowego materiału gwieździe, która w końcu wybucha.

— A Tau Ceti jest gwiazdą pojedynczą — powiedziała Bisesa. — Więc w jaki sposób mogła stać się nową?

— Możesz sprawdzić moje zapisy — powiedział telefon zgryźliwie.

Bisesa niepewnie spojrzała w niebo. Ruddy zrzędził:

— To są sprawy, które wydają mi się daleką i abstrakcyjną zagadką. Może powinniśmy się zająć pilniejszymi sprawami. Twój telefon od wielu dni pracował nad wyznaczeniem daty. Jak dużo czasu zajmie mu przekazanie tych cudownych wiadomości?

— To zależy od telefonu. Zawsze miał swój własny umysł. Roześmiał się.

— Panie Gadżet! Powiedz pan, co wywnioskowałeś, najlepiej jak potrafisz, może być nie wszystko. Rozkazuję ci!

Telefon powiedział:

— Biseso…

Poprzednio ustawiła zabezpieczenia, aby telefon nie powiedział

Brytyjczykom zbyt wiele. Ale teraz wzruszyła ramionami.

— OK, możesz mówić.

— Trzynasty wiek — szepnął telefon. Ruddy nachylił się bliżej.

— Kiedy?

— Trudno określić dokładniej. Zmiany położeń gwiazd są niewielkie — moje kamery są przeznaczone do pracy w dzień i muszę stosować długą ekspozycję — a chmury potwornie przeszkadzają… W tym okresie było wiele zaćmień księżyca; jeśli zaobserwuję jedno z nich, być może uda mi się określić dokładny dzień.

— Jednak trzynasty wiek — żachnął się Ruddy i spojrzał na pokryte chmurami niebo. — To sześć stuleci od domu!

— A dla nas osiem — ponuro powiedziała Bisesa. — Ale jakie to ma znaczenie? To może być trzynastowieczne niebo, ale świat, w którym się znajdujemy, to na pewno nie jest Ziemia z trzynastego wieku. Na przykład Jamrud tu nie pasuje.

Josh powiedział:

— Może trzynasty wiek to… to fundament. Jak podstawowa warstwa, na którą nałożono inne fragmenty czasu, tworząc tę wielką, chronologiczną układankę.

— Przykro mi, że przynoszę złe wiadomości — powiedział telefon.

Bisesa wzruszyła ramionami.

— Myślę, że to jest nie tyle złe, ile skomplikowane. Ruddy oparł się o skałę, objąwszy dłońmi głowę, a w jego grubych okularach odbijały się chmury.

— Trzynasty wiek — powiedział smutno. — Cóż za cudowna podróż! Myślałem, że przybywam na Granicę Północno-Zachodnią, co było wystarczająco ryzykowne, ale żeby zostać przeniesionym do średniowiecza!… Jednak przyznaję, że w tym momencie nie widzę w tym nic cudownego. Nie czuję nawet strachu z powodu faktu, że się zgubiliśmy.

Josh sączył lemoniadę.

— Więc co? Ruddy powiedział:

— Kiedy miałem pięć lat, wysłano mnie do przybranych rodziców w Southsea. Oczywiście jest to normalna praktyka, bo jeśli jesteś emigrantem, chcesz, żeby twoje dzieci wychowywały się w starym kraju. Ale mając pięć lat, nic o tym nie wiedziałem. Znienawidziłem to miejsce, jak tylko się tam zjawiłem. Lorne Lodge, Dom Pustki! — w istocie rzeczy, byłem tam regularnie karany za straszliwą zbrodnię bycia sobą. Razem z siostrą pocieszaliśmy się, bawiąc się w Robinsona Crusoe, ale nigdy nie śniłem, że pewnego dnia zostanę Robinsonem Crusoe w czasie! Zastanawiam się, gdzie jest teraz biedna Trix… Ale to, co mnie w tamtej sytuacji najbardziej bolało, to fakt, że zostałem porzucony — tak to wtedy odbierałem — zdradzony przez rodziców i

pozostawiony w tym opuszczonym miejscu, pełnym udręki i bólu.

— I tak też jest tutaj — powiedział w zamyśleniu Josh.

— Kiedyś porzucili mnie rodzice — gorzko powiedział Ruddy. — A teraz porzucił nas sam Bóg.

Wszyscy na chwilę zamilkli. Pod świecącymi na niebie obcymi gwiazdami noc wydawała się ich przytłaczać swoim ciężarem. Od chwili Nieciągłości Bisesa jeszcze nigdy nie czuła się tak opuszczona i zatęskniła za Myrą.

Abdikadir powiedział łagodnie:

— Ruddy, rodzice chcieli dla ciebie jak najlepiej, prawda? Tylko nie wiedzieli, że tak to odbierasz.

Josh powiedział:

— Sugerujesz, że ten, kto jest odpowiedzialny za to, co się stało ze światem — Bóg czy nie — w rzeczywistości chce dobrze?

Abdikadir wzruszył ramionami.

— Jesteśmy ludźmi, a świat został odmieniony przez siły najwyraźniej nadludzkie. Dlaczego mielibyśmy oczekiwać, że zrozumiemy motywy, jakie nimi kierowały?

Ruddy powiedział:

— W porządku. Ale czy ktokolwiek z nas naprawdę wierzy, że ta ingerencja wynikała z życzliwości?

Nikt nie odpowiedział.

14. Ostatnie okrążenie

Nagle okazało się, że to już ich ostatnie okrążenie, może w ogóle ostatnia orbita, po jakiej ludzie okrążali Ziemię, pomyślał Kola w przypływie nostalgii. Ale niezbędne przygotowania nie uległy zmianie i wyszkolenie całej trójki kazało im zacząć pracować razem tak efektywnie, jak musieli, od początku tej osobliwej przygody. W rzeczywistości Kola podejrzewał, że wszystkich cieszyła dobrze znana rutyna.

Pierwszym zadaniem było przeniesienie do przedziału mieszkalnego wszystkich śmieci, w tym większą część zawartości ich zestawu ratunkowego, który już został zużyty. Ale Sabie zapakowała do modułu powrotnego wygrzebany przez siebie sprzęt radioamatorski, bo mógł się przydać po wylądowaniu.

Teraz trzeba było się odpowiednio ubrać. Po kolei wchodzili do przedziału mieszkalnego. Kola najpierw włożył elastyczne spodnie, na tyle obcisłe, aby powodowały przemieszczanie się płynów ustrojowych w kierunku głowy, co powinno pomóc, by nie zemdlał po lądowaniu — rzecz nieoceniona, lecz wielce niewygodna. Następnie założył właściwy skafander. Najpierw musiał wsunąć nogi w otwór znajdujący się w części brzusznej. Warstwa wewnętrzna, wykonana z mocnego, elastycznego materiału, była hermetyczna, a warstwa zewnętrzna, wykonana z wytrzymałej, syntetycznej tkaniny, była zaopatrzona w zamek błyskawiczny i kieszenie z klapkami. W obecności siły ciążenia takiego zestawu prawie nie dałoby się założyć bez pomocy załogi naziemnej. Ale tutaj wiercił się, aż trafił nogami we właściwe miejsce, ręce wsunął w rękawy i wszystko pasowało jak ulał. Przywykł do tego stroju, który nawet przesiąkł jego zapachem, a w wypadku katastrofy mógł uratować mu życie. Ale po okresie swobody w stanie nieważkości czuł się, jak gdyby go zamknięto w oponie samochodowej.

Kiedy się ubrał, wgramolił się z powrotem do modułu powrotnego. Przypięli się wszyscy troje. Musa kazał im założyć hełmy i rękawice, po czym sprawdził ciśnienie w skafandrach.

Po raz ostatni Sojuz przeleciał nad Indiami i ich sygnał radiowy dotarł do Jamrud. Mały głośnik, który Sabie podłączyła do swego radia, nagle ożył.

— …Othic wzywa Sojuz, zgłoście się. Sojuz, Othic, zgłoście się…

Musa odpowiedział:

— Tu Sojuz, Casey. Jaka dziś u was pogoda?

— Leje jak z cebra. Ale co z wami? Musa zerknął na swoją załogę.

— Jesteśmy przypięci tak mocno, że nie możemy się ruszać. Systemy sprawdzone i sprawne, mimo dodatkowego czasu, jaki

spędziliśmy na orbicie. Jesteśmy gotowi do zejścia.

— Ten Sojuz to twardy stary drań.

— O tak. Będzie mi przykro się z nim pożegnać.

— Musa, rozumiesz, że nie mamy możliwości śledzenia was. Nie będziemy wiedzieli, gdzie wylądujecie.

— Wiemy, gdzie jesteście — powiedział Musa. — Znajdziemy was, przyjacielu.

— Jeśli Bóg i Karol Marks pozwolą.

Nagle Kola poczuł, że nie chce przerwać z nimi kontaktu. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Casey i jego ludzie to po prostu jeszcze jedna garstka rozbitków, zagubionych i bezradnych jak oni sami. Ale Casey był przynajmniej głosem dwudziestego pierwszego wieku dochodzącym do nich z ziemi; było tak, jakby znów dotknęli domu.

— Chcę coś powiedzieć. — Musa położył dłoń na panoramicznym hełmofonie. — Casey, Bisesa, Abdikadir — oraz Sabie i Kola — wszyscy. Jesteśmy daleko od domu. Wyruszyliśmy w podróż, której natury nie potrafimy zrozumieć. I wydaje się jasne, że ten nowy świat składający się ze skrawków wyciętych z przestrzeni i czasu nie jest naszym światem: składa się z fragmentów Ziemi, ale nie jest Ziemią. Myślę więc, że nie powinniśmy nazywać tego nowego świata naszym światem, „Ziemią". Potrzebujemy nowej nazwy.

Casey powiedział:

— Na przykład?

— Już o tym myślałem — powiedział Musa. — Mir. Powinniśmy tę nową planetę nazwać Mir.

Sabie zarechotała.

— Chcesz nazwać planetę imieniem starej rosyjskiej stacji kosmicznej?

Ale Kola powiedział:

— Rozumiem. W naszym języku słowo „mir" znaczy zarówno „świat", jak i „pokój".

— Nam, tu na dole, to się podoba — powiedział Casey.

— Więc niech będzie Mir — powiedział Musa. Sabie wzruszyła ramionami.

— Jak chcecie — powiedziała z okrucieństwem w głosie. — Więc chcesz nazwać świat, Musa. Ale jakie znaczenie ma nazwa?

Kola mruknął:

— Wiecie, zastanawiam się, gdzie bylibyśmy my wszyscy, gdybyśmy nie znaleźli się właśnie w tym obszarze nieba, właśnie w tej chwili.

Casey powiedział:

— To zbyt skomplikowane dla kogoś takiego jak ja. Nawet nie potrafię zasłonić… szyi… deszczem.

Musa zerknął na Kolę.

— Tracimy wasz sygnał.

— Tak… my też… już nie…

— Tak. Na razie, Casey…

— …witajcie z powrotem. Witajcie w nowym domu, witajcie na Mirze!… Sygnał zanikł.

15. Nowy świat

Niedługo przed świtem Bisesa i Abdikadir poszli do wraku helikoptera. Padający przez całą noc deszcz nie słabł ani na chwilę i błotnisty plac apelowy był usiany maleńkimi kraterami. Abdikadir na chwilę ściągnął kaptur swojego ponczo i wystawił twarz na deszcz, próbując poczuć jego smak.

— Słony — powiedział. — Tam przewalają się potężne burze. Przy boku strąconego helikoptera ustawiono przybudówkę.

Skuleni pod namiotem Casey i Brytyjczycy byli tak ochlapani błotem, że wyglądali, jakby sami byli uformowani z ziemi. Ale Cecil de Morgan miał na sobie zwykły strój i jeśli nie liczyć paru plam, wyglądał niemal elegancko. Bisesa nigdy nie czuła do niego sympatii, ale podziwiała opór, jaki stawiał naturze.

Kapitan Grove poprosił Caseya o przekazanie dotychczas zdobytych informacji. Casey, opierając się na kulach, za pomocą kredy naszkicował na kadłubie helikoptera zarys mapy świata w rzucie Mercatora, a przed nim ustawił ekran.

— OK — powiedział żywo. — Najpierw obraz całości. — Z tuzin oficerów i cywilów, stojących pod niepewną osłoną przybudówki, zgromadziło się, patrząc na migocące obrazy odmienionego świata.

Kształty kontynentów były dobrze znane. Ale wewnątrz ich linii brzegowej ląd stanowił układankę nieregularnych fragmentów zbrązowiałej zieleni lub bieli, pokazując, jak osobliwa fragmentacja czasu miała miejsce na całej planecie. Wydawało się, że niewielu ludzi przetrwało Nieciągłość. Nocna strona planety była pogrążona w niemal całkowitej ciemności, którą rozświetlały nieliczne rozproszone sztuczne światła. A ponadto ta pogoda. Nad oceanami, w okolicy biegunów albo w samym sercu kontynentów, tworzyły się wielkie układy burzowe i przewalały się burze, miotając rozwidlone, fioletowe błyskawice.

Casey postukał palcem w mapę świata.

— Naszym zdaniem oglądamy lądy, które zastąpiono fragmentami ich samych z wcześniejszych epok. Ale o ile jesteśmy w stanie się zorientować — biorąc pod uwagę, że Sojuz nie był odpowiednio wyposażony — istnieją tylko nieznaczne przesunięcia w położeniu kontynentów. To określa granice przesunięć w czasie, chociaż sądzimy, że istniejące małe przesunięcia mogą wystarczyć, aby później stać się źródłem aktywności wulkanicznej.

Ruddy już wcześniej podniósł rękę.

— Oczywiście lądy nie uległy przesunięciu, jak to określiłeś. Dlaczegóżby miało tak się stać?

Casey warknął:

— Dla ciebie Alfred Wegener jest dopiero pięcioletnim chłopcem. Płyty tektoniczne. Dryf kontynentów. To długa historia. Uwierz mi na słowo.

Bisesa zapytała:

— Jak daleko w czasie?

— Sądzimy, że żaden fragment nie jest starszy niż dwa miliony lat.

Ruddy roześmiał się trochę nerwowo.

— Tylko dwa miliony lat, to pocieszające, nieprawdaż? Casey powiedział:

— Plastry czasu przypuszczalnie ciągną się w górę od powierzchni Ziemi i w dół, może aż do samego środka planety. Może każdy taki plaster to wielki klin składający się z rdzenia, płaszcza, skorupy i nieba.

Grove powiedział:

— I każdy fragment ma własną roślinność, mieszkańców i słup powietrza nad nim?

— Na to wygląda. Sądzimy, że mieszanie się fragmentów powoduje zaburzenia pogody. — Postukał palcem w ekran, na którym widniały obrazy potężnych tropikalnych burz, kremowo-białych wirów wydobywających się z południowego Atlantyku i uderzających we wschodnioamerykańskie wybrzeże oraz frontów skłębionych czarnych chmur pędzących nad Azją. Casey powiedział: — Na niektórych plastrach jest lato, na innych zima. A klimat Ziemi waha się w dłuższych cyklach — epoki lodowcowe nadchodzą i mijają — i to także jest przemieszane.

— Pokazał obrazy płatów lądu skutych lodem, regularny, niemal dokładnie prostokątny obszar nad miejscem, gdzie był Paryż.

— Gorące powietrze wznosi się wyżej niż zimne, co wywołuje wiatry; gorące powietrze zawiera więcej pary wodnej niż zimne i nad zimnym lądem pozbywa się jej, stąd deszcze. I tak dalej. Kiedy to wszystko dodać do kupy, mamy taką popieprzoną pogodę.

Abdikadir zapytał:

— Jak wysoko rozciągają się te plastry?

— Tego nie wiemy — odparł Casey.

— Na pewno nie aż do Księżyca — powiedział cicho kapral Batson. — Bo gdyby tak było, znikłby albo został wyrzucony z orbity.

Casey uniósł brwi.

— Słuszna uwaga. Nie pomyślałem o tym. Ale wiemy na pewno, że sięgają co najmniej do wysokości orbit okołoziemskich.

— Sojuz — powiedziała Bisesa.

— Tak. Bis, ich zegary zgadzają się z naszymi co do sekundy. Musieli akurat przelatywać nad nami — to czysty przypadek — kiedy wystąpiła Nieciągłość i porwała ich razem z nami. — Potarł swój

wielki nos. — Próbowaliśmy sporządzić mapę tych plastrów i w niektórych miejscach nam się udało. Tutaj jest Sahara… — Wskazał na pustyni skrawki zieleni, na ogół nieregularnych kształtów, ale niektóre z nich były okolone idealnym łukami geometrycznymi i liniami prostymi. — Rozmaite fragmenty pustyni wyglądają mniej więcej tak samo, nawet jeśli dzieli je pół miliona lat. Mimo to można w przybliżeniu określić wiek niektórych z nich na podstawie zmian geologicznych.

Obrócił się i narysował kredą dużą gwiazdkę na terenie środkowej Afryki.

— Ten obszar wydaje się najstarszy ze wszystkich. Widać to po szerokości rowu tektonicznego… I spójrzcie: Sahara nie rozciąga się tak daleko na południe, są tam jeziora i skrawki zieleni. Tak to na ogół wygląda, w terenie wszystko jest przemieszane. — Przemknęły kolejne obrazy. — Sądzimy, że większa część Azji pochodzi sprzed kilku tysięcy lat. Na tamtych stepach widać rozproszone domostwa, ale niczego nowoczesnego — smugi dymu z ognisk, żadnych elektrycznych świateł. Wydaje się, że największe skupisko ludzi znajduje się tutaj. — Wskazał obszar we wschodniej Azji, na północ od Chin. — Nie wiemy, kim są ci ludzie.

Kontynuował swój show, prowadząc niechętnych słuchaczy przez odmieniony świat. Australia przedstawiała się egzotycznie. Chociaż większa część jej centralnego obszaru była wypalona, tak jak w czasach Bisesy, wybrzeża i doliny rzeczne porastała bujna zieleń. Kilka zdjęć w dużym powiększeniu było na tyle szczegółowych, że można było zobaczyć zwierzęta. Bisesa dostrzegła hipopotama pasącego się na skraju małego lasku i jak w krótkiej, animowanej sekwencji z kryjówki wyskoczyło stado jakichś wielkich, wyprostowanych istot, zapewne umykając przed drapieżnikiem. Bisesa pomyślała, że to olbrzymie kangury; wydawało się, że Australia powróciła do swego dziewiczego stanu poprzedzającego pojawienie się człowieka. Tymczasem Ameryka Południowa stanowiła masę jednolitej zieleni, lasy tropikalne, przerzedzone i ginące w czasach Bisesy, powróciły do dawnej wspaniałości.

W Ameryce Północnej wielka płyta lodu ciągnęła się na północ i na wschód, docierając aż do bieguna i Wielkich Jezior.

Casey powiedział:

— Lód na tym obszarze pochodzi z różnych epok. Widać to po tych szczelinach i nierównych krawędziach. — Pokazał zbliżenia południowej krawędzi pokrywy lodowej, która wyglądała jak rozdarty kawałek papieru. Bisesa dostrzegła lodowce wypływające z tej nierównej krawędzi, wielkie, zablokowane przez lód, nieustannie wzbierające jeziora i potężne układy burzowe, powstające przypuszczalnie tam, gdzie zimne powietrze epoki lodowcowej

opadało z pokrywy lodowej na cieplejszą ziemię. Na południe stamtąd ląd miał zielono-niebieską barwę, była to tundra skuta wieczną zmarzliną, nad którą szalały wiatry wiejące znad pokrywy lodowej. Na pierwszy rzut oka nie widziała żadnych śladów człowieka, ale po chwili uświadomiła sobie, że ludzie pojawili się w Ameryce dopiero niedawno.

Abdikadir powiedział:

— A co z Alaską? Jej kształt wydaje mi się jakiś dziwny.

Casey powiedział:

— Ciągnie się do Lądu Beringa, no wiesz, pomostu lądowego, który kiedyś łączył Azję z Ameryką, przecinającego Cieśninę Beringa, była to droga, którą pierwsi ludzie dostali się do Ameryki Północnej. Ale potem została przerwana przez morze…

Podróż trwała nieprzerwanie; niespokojnie patrzyli na przesuwające się przed ich oczyma drgające obrazy.

— A Europa? — spytał Ruddy ze ściśniętym gardłem. — Anglia?

Casey pokazał im Europę. Większą część kontynentu pokrywał gęsty zielony las. Na otwartych południowych obszarach Francji, Hiszpanii i Włoch widać było jakieś osady, ale były to tylko rozproszone wioski; może nawet zbudowane nie przez ludzi, pomyślała Bisesa, przypomniawszy sobie, że południową Europę zamieszkiwali neandertalczycy. Na terenie Anglii z pewnością nie było widać nic, co nosiło ślady ludzkiej działalności, a na południe od linii, która mogła być Murem Hadriana, rozciągał się gęsty, nieprzebyty las. Dalej na północ sosnowy las przecinała wielka biała blizna biegnąca przez Highlands, fragment pokrywy lodowej, będący pozostałością z czasów zlodowacenia.

— Nie ma jej — powiedział Ruddy. Bisesa była zaskoczona, widząc, jak jego oczy za grubymi okularami zaszły mgłą. — Może to mną tak wstrząsnęło dlatego, że urodziłem się za granicą. Mój kraj zniknął całkowicie; cała jego historia aż do czasów Rzymian czy jeszcze wcześniejszych wyparowała jak poranna rosa.

Kapitan Grove położył mu dłoń na ramieniu.

— Głowa do góry, chłopcze. Wykarczujemy ten cholerny las i zbudujemy twoją historię, jeśli będziemy musieli, zobaczysz.

Ruddy kiwnął głową, wydawało się, że nie może wykrztusić słowa.

Casey szeroko otwartymi oczyma obserwował ten mały melodramat i na moment przestał żuć gumę. Po chwili powiedział:

— Idźmy dalej. Sojuz znalazł na całej przeklętej planecie jedynie trzy miejsca, gdzie widać ślady zaawansowanej kultury technicznej i jedno z nich jest właśnie tutaj. Drugie… — Postukał palcem w mapę, na południowym krańcu charakterystycznej sylwetki jeziora Michigan.

— Chicago — szepnął Josh.

— Tak — powiedział Casey. — Ale nie róbcie sobie wielkich nadziei. Widać gęstą miejską zabudowę — dużo dymu, jak gdyby z fabryk — a nawet coś, co wygląda jak parowce na jeziorze. Ale nie odpowiadają na sygnały radiowe Sojuza.

— Mogą pochodzić z każdej epoki przed wynalezieniem radia — powiedział Abdikadir. — Powiedzmy, z 1850 roku. Nawet wtedy liczba mieszkańców była już spora.

— Tak — warknął Casey, zatrzymując obraz na ekranie. — Ale oni mają teraz własne kłopoty. Są otoczeni lodem. Środkowa część lądu znikła, nie ma tam żadnej ziemi uprawnej, żadnego handlu, bo nie ma z kim handlować.

— A gdzie jest — wolno powiedziała Bisesa — to trzecie miejsce?

Casey zatrzymał obraz na Środkowym Wschodzie.

— Tutaj. Jest tu miasto, małe, myślę, że stare, nie jak Chicago. Ale interesujące jest to, że Sojuz odebrał stamtąd sygnał, jedyny z całej planety, nie licząc naszego. Ale nie przypominał naszego sygnału. Jest silny, ale regularny, takie „ćwierkanie" przebiegające wszystkie częstotliwości.

— Może to radiolatarnia — powiedział Abdikadir.

— Może. Ale to nie nasza konstrukcja.

Bisesa spojrzała na ekran. Miasto było położone wśród wielkiego obszaru zieleni, z pozoru uprawnej ziemi poprzecinanej podejrzanie prostoliniowymi drogami wodnymi, niby świecącymi nićmi.

— Myślę, że to Irak.

— To jest Babilon — powiedział Cecil de Morgan stanowczo. Ruddy wydał stłumiony okrzyk:

— Babilon znów żyje…!

— I to wszystko — powiedział Casey. — Tylko my i ta radiolatarnia w Babilonie.

Zapadła cisza. Babilon. Sama nazwa była dla Bisesy egzotyczna i w jej głowie huczało od przypuszczeń, jak też się tam znalazła ta dziwna radiolatarnia.

Kapitan Grove wykorzystał moment. Mały człowieczek ze sterczącymi wąsami zrobił krok w przód i dziarsko klasnął w dłonie.

— Dziękuję, panie Othic. Oto, jak widzę tę sytuację. Musimy się skupić na własnym położeniu, ponieważ jest jasne, że nikt nie pospieszy nam z pomocą. I nie tylko o to chodzi. Myślę, że musimy znaleźć sobie coś do roboty — wyznaczyć sobie jakiś cel — czas przestać reagować na to, co na nas zsyłają bogowie, i wziąć sprawy w swoje ręce.

— No, no — mruknął Ruddy.

— Jestem otwarty na propozycje.

— Musimy się udać do Chicago — powiedział Josh. — Skoro jest tam tak wielu ludzi, tak wielki przemysł i taki potencjał…

— Oni nie wiedzą, że jesteśmy tutaj — wypalił Casey. — Och, być może widzieli przelatujący w górze Sojuz, ale nawet jeśli tak było, nic z tego nie zrozumieli.

— A my nie mamy sposobu, aby do nich dotrzeć — powiedział kapitan Grove. — Nie jesteśmy w stanie zorganizować przeprawy przez Atlantyk… Może w przyszłości. Ale na razie musimy o Chicago zapomnieć.

— Babilon — powiedział Abdikadir. — To oczywisty cel. I tam jest ta radiolatarnia, może dowiemy się więcej o tym, co się nam przytrafiło.

Grove kiwnął głową.

— Poza tym podoba mi się widok tej zieleni. Czyż Babilon nie był dawnym centrum rolnictwa? Żyzny Półksiężyc i w ogóle. Może powinniśmy rozważyć przeniesienie się w to miejsce. Marsz nie byłby niemożliwy.

Abdikadir uśmiechnął się.

— Myśli pan o pracy na roli, kapitanie?

— To nigdy nie było moją życiową ambicją, ale jak trzeba, to trzeba, panie Omarze.

Bisesa zauważyła:

— Ale ktoś już tam mieszka.

Twarz Grove'a stwardniała.

— Zajmiemy się tym, jak się tam znajdziemy. — W tym momencie Bisesa dostrzegła w jego spojrzeniu jakby błysk stali, coś, co pozwoliło tym Brytyjczykom zbudować imperium obejmujące całą planetę.

Nie było innych poważnych propozycji. Zatem Babilon.

Grupa podzieliła się na mniejsze grupki, rozmawiając i planując. Bisesę uderzyło poczucie determinacji i celu działania.

Josh, Ruddy i Abdikadir, grzęznąc w błocie, wrócili razem z Bisesą.

Abdikadir powiedział:

— Grove to spryciarz.

— Co masz na myśli?

— Jego pragnienie udania się do Babilonu. Nie po to, żeby orać pole. *Tam będą kobiety.*

— Chodzi ci o to, że zanim jego ludzie zaczną się buntować.

Josh uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Pomyślcie: pięciuset Adamów i pięćset Ew… Ruddy powiedział:

— Masz rację, Grove to dobry oficer. Jest dobrze zorientowany w nastrojach panujących w koszarach i w kantynie. — Wielu ludzi, którzy przypadkowo znaleźli się w Jamrud podczas Nieciągłości, to „trzylatki", powiedział Ruddy, żołnierze krótkterminowi. — Niewielu

z nich ma w szpiku kostnym glinkę kamionkową… — Glinka kamionkowa to wybielacz, którego żołnierze używali do pasów. — W rzeczywistości nie tracą humoru. Ale takie nastroje nie będą trwać wiecznie; kiedy zrozumieją, jak niewielka jest szansa, aby ktokolwiek z nas wkrótce powrócił do domu, Babilon może być dobrym wyjściem.

Abdikadir powiedział:

— Wiesz, mamy szczęście, że jest Sojuz i mamy tyle danych. Ale jest też wiele pytań bez odpowiedzi. Na przykład te dwa miliony lat to interesujące ramy czasowe.

— Jak to?

— Bo mniej więcej dwa miliony lat temu pojawił się gatunek *Homo erectus* — pierwszy hominid na planecie. Niektóre poprzednie gatunki, takie jak pochwycone przez Brytyjczyków pitekantropy, zachodzą na siebie w czasie, ale…

— Myślisz, że te ramy czasowe mają coś wspólnego z nami?

— To może być zwykły zbieg okoliczności, ale dlaczego nie milion lat, dlaczego nie dwadzieścia czy dwieście milionów? I wygląda na to, że najstarsze części tego świata to te, gdzie my jesteśmy najstarsi, natomiast najmłodsze, jak obie Ameryki, gdzie dotarliśmy na samym końcu… Może ten nowy świat stanowi reprezentatywną próbkę ludzkości, hominidów, całej historii.

Zadrżała.

— Ale tak wielka część tego świata jest pusta.

— Historia *Homo sapiens* to zaledwie ostatni rozdział długiej, powolnej historii ewolucji hominidów. Jesteśmy zwykłym pyłkiem unoszącym się na powierzchni historii, Biseso. Może to właśnie pokazuje nam stan tego świata. To jego reprezentatywny przekrój w czasie.

Josh pociągnął Bisesę za rękaw.

— Coś mi przyszło do głowy, może to nie uderzyło ciebie czy pozostałych, ale w końcu moja perspektywa, człowieka z dziewiętnastego wieku, jest odmienna…

— Wyrzuć to z siebie, Josh.

— Patrzysz na ten nowy świat i widzisz skrawki swojej przeszłości. Ale ja widzę w tobie także odrobinę mojej przyszłości. Dlaczego miałabyś być ostatnia, dlaczego, Biseso, nie ma tam twojej własnej przyszłości?

Ta myśl ją uderzyła. Była wstrząśnięta, że dotąd nie przyszło jej to do głowy. Nie znalazła odpowiedzi.

— Kapitanie Grove! Proszę tutaj! — Stojąc na skraju placu apelowego, kapral Batson machał ręką. Grove pośpieszył w jego stronę, a za nim Bisesa i pozostali.

Batsonowi towarzyszyła mała grupka żołnierzy: brytyjski kapral i kilku sipajów, którzy trzymali dwóch mężczyzn. Ludzie ci mieli ręce

związane na plecach. Byli niżsi, bardziej krępi niż sipaje i bardziej muskularni. Obaj mieli na sobie sięgające do kolan wyblakłe fioletowe bluzy, związane w pasie sznurkiem, a na nogach skórzane sandały. Mieli szerokie, smagłe i niedbale ogolone twarze oraz krótko przycięte, czarne, kędzierzawe włosy. Byli pokryci skorupą zaschłej krwi i wyraźnie przerażeni bronią sipajów; kiedy żołnierz dla żartu uniósł karabin, jeden z nich krzyknął i upadł na kolana.

Grove stanął przed tą dwójką z dłońmi na biodrach.

— Człowieku, zostaw ich, na Boga. Nie widzisz, że są przerażeni?

Sipaj cofnął się z zakłopotaniem. Ruddy wpatrywał się w przybyszy z zadowoleniem.

Grove warknął:

— No, Mitchell, kogo nam tutaj przywiodłeś? Co to za Pasztunowie?

— Nie wiem, panie — powiedział kapral. Miał akcent z południowo-zachodniej Anglii. — To chyba nie Pasztunowie. Patrolowałem teren na południowym zachodzie… — Grove wysłał grupę Mitchella, żeby przeprowadzili rozpoznanie „armii", którą przedtem dostrzegli; wyglądało na to, że ci obcy to także zwiadowcy, wysłani w tym samym celu. — W rzeczywistości było ich trzech, na krępych, małych koniach przypominających kucyki. Cisnęli w nas włóczniami, a potem rzucili się na nas z nożami, trzech na sześciu! Musieliśmy zastrzelić ich konie, a potem jeden z tej trójki zginął, zanim tych dwóch poddało się. Nawet gdy ich konie upadły, zeskoczyli na ziemię i zaczęli je szarpać, żeby zmusić do powstania, jak gdyby nie rozumieli, że zostały zastrzelone.

Ruddy powiedział do kapitana sucho:

— Gdyby pan nigdy nie widział broni palnej, kapitanie, osłupiałby pan, kiedy koń by się tak pod panem przewrócił.

Kapitan Grove powiedział:

— Co pan chce przez to powiedzieć, sir?

— Że ci ludzie mogą pochodzić z innej epoki, starszej od wszystkich Pasztunów.

Dwaj obcy słuchali ich rozmowy z rozdziawionymi ustami. Potem zaczęli coś trajkotać, z oczyma rozszerzonymi przerażeniem, nie mogąc oderwać oczu od karabinów sipajów.

— To mi wygląda na grecki — mruknął Ruddy. Josh powiedział:

— Grecy? W Indiach?

Bisesa zbliżyła telefon do nieznajomych.

— Telefonie, czy możesz…

— Jestem bystry, ale nie aż tak — powiedział telefon. — Myślę, że to jakiś starożytny dialekt.

Cecil de Morgan wystąpił z tłumu, poprawiając pochlapaną błotem marynarkę z niewymuszoną swobodą.

— Kiedyś odebrałem doskonałą edukację. Wciąż pamiętam trochę z Eurypidesa… — Powiedział coś do nieznajomych, którzy zaczęli szybko trajkotać w odpowiedzi. De Morgan uniósł dłonie, najwyraźniej prosząc, aby mówili wolniej i przemówił znowu.

Po jakiejś minucie de Morgan obrócił się do Grove'a.

— Myślę, że zaczynamy nawiązywać kontakt, kapitanie, choć jest on daleki od doskonałości.

Grove powiedział:

— Zapytaj ich, skąd pochodzą. I z jakiej epoki. Ruddy powiedział:

— Nie zrozumieją pytania, kapitanie. A my prawdopodobnie nie zrozumiemy odpowiedzi.

Grove kiwnął głową. Bisesa podziwiała jego niewzruszoną postawę.

— Więc zapytaj, kto nimi dowodzi.

De Morgan musiał uczynić kilka prób, zanim to do nich dotarło. Ale Bisesa zrozumiała odpowiedź bez potrzeby wyjaśnień.

— *Al-e-han-dre! Al-e-han-dre!*…

Abdikadir zrobił krok w przód, a w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

— On rzeczywiście tędy przechodził. Czy to możliwe? Czy to możliwe?…

16. Wejście w atmosferę

Hamujący silnik rakietowy odpalono na krótko, aby ich popchnął wstecz. Ale to wystarczyło, żeby zejść z orbity.

Mieli to już za sobą, decyzja została podjęta i bez względu na to, ile życia Kola miał jeszcze przed sobą — minuty czy lata — konsekwencje tej decyzji były nieodwołalne.

Jeśli nie liczyć startu, wejście w atmosferę było najbardziej niebezpieczną częścią lotu kosmicznego, ponieważ ogromna energia zużyta na wprowadzenie statku na orbitę teraz musiała ulec rozproszeniu wskutek tarcia powietrza. Jedyne wypadki śmiertelne w trakcie realizacji programu kosmicznego w ojczyźnie Koli miały miejsce podczas wchodzenia w atmosferę i teraz Kola przypomniał sobie tych nieszczęsnych kosmonautów, jak również załogę zniszczonego wahadłowca Columbia. Ale mógł tylko czekać. Sojuz był tak skonstruowany, że mógł powrócić bez pomocy z ziemi czy poleceń załogi. Kola, który został wyszkolony jako pilot, marzył, żeby przestał być pasażerem, żeby miał większą kontrolę nad tym, co się dzieje, żeby miał przed sobą drążek sterowy i kierował statkiem w drodze na ziemię.

Wyjrzał przez okno. Poprzecinane chmurami splątane dżungle Ameryki Południowej przemknęły po raz ostatni pod dziobem statku. Zastanawiał się, czy ktokolwiek ujrzy jeszcze taki widok. I jak wiele czasu upłynie, zanim zostanie zapomniane samo istnienie takiego miejsca jak ten daleki kontynent. Ale kiedy Sojuz przelatywał nad obiema Amerykami, zmierzając w stronę Atlantyku, zobaczył burzę, kremowo białą spiralę, która rozsiadła się jak ogromny pająk nad Zatoką Meksykańską. Mniejsze burze krążyły nad Karaibami, Florydą, Teksasem i Meksykiem. Te dzieci potwora szalejącego nad Zatoką Meksykańską same były niezwykle potężne, żłobiąc głębokie wąwozy w lasach pokrywających Amerykę Środkową. Co gorsza, macierzysty układ burzowy przesuwał się na północ i po jego przejściu na pewno niewiele pozostanie z obszaru od Houston do Nowego Orleanu. Była to druga superburza, jaką widzieli w ciągu ostatnich kilku dni, resztki pierwszej nadal krążyły nad wschodnią częścią Stanów Zjednoczonych i zachodnim Atlantykiem. Ale kosmonauci nic nie mogli uczynić dla nikogo na ziemi, nawet nie mogli ich ostrzec.

W przewidzianym czasie z góry i z dołu rozległo się kilka uderzeń. Statek zadygotał, a jego ciężar nieznacznie zmalał. Zostały zdetonowane ścinane wybuchowo sworznie, odłączając moduł powrotny od pozostałych dwóch części Sojuza. Silniki rakietowe i pozostałe śmieci spłoną niebawem jak meteory, budząc zdumienie każdego, kto znajdował się tam, na dole.

Wytrzymali kilka następnych minut w ciszy, zakłócanej jedynie przez tykanie przyrządów i buczenie układu doprowadzania powietrza. Ale te drobne hałasy rozmaitych gadżetów wprowadzały niemal przytulną atmosferę; jak w domowym warsztacie, pomyślał Kola. Wiedział, że będzie mu tego brakowało.

Kiedy pędzili w dół, opór gęstniejącego powietrza zaczął im się dawać we znaki. Kola obserwował na przyrządzie pomiarowym, jak przyspieszenie ujemne rośnie, *0,1 g, 0,2 g*. Wkrótce zaczął to odczuwać. Wciśnięty w koję zacisnął rozluźnione pasy. Ale wzrost ciśnienia nie był stały; górne warstwy atmosfery były niejednorodne i moduł spadając dygotał, jak samolot przelatujący przez turbulencję. Kola zdał sobie sprawę, tak jak nigdy przedtem, z kruchości kapsuły, w której wnętrzu spadał na ziemię.

Teraz widział przez okno jedynie czerń przestrzeni kosmicznej. Ale do tej czerni zaczęło się wsączać światło, na początku brązowe, jak stara, zaschła krew, ale szybko stawało się coraz jaśniejsze, przemierzając całe widmo, od czerwieni przez oranż aż do żółci. Kiedy powietrze gęstniało, hamowanie stawało się większe od dwóch, trzech i czterech. Światło na zewnątrz było teraz zupełnie białe, gdy pędząca kapsuła rozbijała cząsteczki powietrza i za oknami pojawiła się perłowa poświata, rzucając blade światło na ich skafandry. Wrażenie było takie, jak gdyby znajdowali się wewnątrz lampy fluoroscencyjnej. Ale gdy zewnętrzną powłokę kapsuły osmaliło zjonizowane powietrze, okna poczerniały i anielskie światło przygasło.

A huk nie ustawał. Kapsuła dygotała, rzucając ich na boki i na siebie nawzajem, mimo że byli mocno przypięci. Było znacznie ciężej nawet niż podczas startu i po trzech miesiącach w przestrzeni kosmicznej. Kola nie bardzo z tym sobie radził. Było mu trudno oddychać i wiedział, że nie byłby w stanie podnieść nawet palca, bez względu na to, jak pilne zadanie byłoby do wykonania.

W końcu dygotanie statku złagodniało. Z zewnątrz rozległ się ostry huk, który go przestraszył. Osłona okna rozprysła się, porywając sadzę i jego oczom ukazał się kawał zdumiewająco czystego, niebieskiego nieba. Nie ziemskiego nieba, nieba nowego świata, nieba Mira.

Rozwinął się pierwszy spadochron. Moduł powrotny kilka razy gwałtownie się zakołysał, po czym otworzył się główny spadochron, szarpnąwszy kapsułą, która znów się zakołysała. Kola widział nad sobą jedynie wielką pomarańczową czaszę głównego spadochronu. Trudno było uwierzyć, że minęło zaledwie około dziesięciu minut od chwili odrzucenia pozostałych części Sojuza i może pięć od chwili pierwszego kontaktu z atmosferą. Czuł, jak niewidzialne macki siły ciążenia chwytają jego narządy wewnętrzne; nawet głowa była ciężka, jakby z betonu, zbyt ciężka dla jego szyi. Ale czuł ogromną ulgę, najbardziej

niebezpieczna część drogi powrotnej była za nimi.

Kiedy zbliżał się moment lądowania, zasyczał sprężony gaz. Kola poczuł, jak siedzenie unosi się w górę, gdy jego podstawa napełniła się, służąc jako amortyzator, co popchnęło go w stronę konsoli przyrządów i jeszcze bardziej zwiększyło uczucie niewygody.

— Chryste — warknęła Sabie, tak samo przygnieciona. — Będę cholernie szczęśliwa, gdy wydostanę się z tej kabiny.

— Dobrze ci służyła — spokojnie powiedział Musa. — Jeszcze tylko kilka minut.

Ale Kola cieszył się z tych kilku minut, choć było mu niewygodnie, ostatnich minut, w których zautomatyzowany system statku amortyzował jego upadek, może ostatnich minut jego dawnego życia.

— Przyziemienie — krzyknął Musa.

Kola schował głowę między kolana. Rozległ się krótki ryk rakiet odpalanych zaledwie kilka metrów nad ziemią. A potem trzask, kiedy uderzyli w ziemię. I podskoczyli znowu. Po zapierającej dech sekundzie kabina znowu opadła, głośno walnęła i z drżeniem jeszcze raz wyskoczyła w powietrze. Kola wiedział, co to oznacza: Sojuz był wleczony po ziemi przez spadochron.

— Cholera! — krzyknęła Sabie. — Musi wiać…

— Jeżeli się wywrócimy — powiedział Musa głosem pełnym irytacji — możemy mieć kłopot z wydostaniem się na zewnątrz.

— Może powinieneś był pomyśleć o tym wcześniej! — wrzasnęła Sabie.

Jeszcze jedno trzaśniecie, zgrzytliwy ruch, podskok. Chociaż wyściółka skafandra chroniła ciało, Kola poczuł, jak głowa lata mu wewnątrz hełmu i wyrżnął czołem w szybę chroniącą twarz. Nic nie mogli uczynić, musieli to przetrzymać i modlić się, żeby kapsuła się nie wywróciła.

I wtedy, po ostatnim podskoku, kapsuła wreszcie znieruchomiała i stała prosto. Siedzieli, ledwie oddychając. Musa szybko wcisnął guzik, żeby zwolnić spadochron.

Koli było nieznośnie gorąco; czuł, jak pot spływa mu po plecach. Wyciągnął rękę — była niezwykle ciężka — szukając dłoni Musy. Przez chwilę trzymali się za ręce, uspokajając się nawzajem, radzi, że wciąż żyją.

— Wszystko w porządku — wysapał Musa. — Wylądowaliśmy.

— Tak — powiedziała Sabie, gwałtownie dysząc. — Ale gdzie?

Nawet teraz, gdy wyłączali pozostałe układy statku kosmicznego, wszystko odbywało się według ustalonego porządku. Kola wyłączył wentylator, po czym zdjął hełm i rękawice. Zawór dopływu powietrza zewnętrznego otworzył się kilka minut przed lądowaniem i Kola odetchnął powietrzem, które było wyraźnie wolne od pyłu, który ich

nękał we wnętrzu Sojuza.

Musa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Czuję polin.

— Tak. — Był to słodki aromat, przypominający zapach dymu. Polin, rodzaj piołunu, porastał cały step. Wydawało się, że znajomy zapach pobudził energię Koli. — Może ten twój Mir w końcu nie będzie taki dziwny!

Musa uśmiechnął się.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. — Wcisnął kolejny guzik. Szczęknęły zapadki. Właz nad ich głowami gwałtownie się otworzył i Kola ujrzał kółko zasnutego chmurami szarego nieba. Do kabiny wtargnęło więcej świeżego powietrza.

Musa zwolnił pasy i popchnął siedzenie.

— Tego się naprawdę bałem. — Musiał się ruszyć jako pierwszy z powodu zajmowanego miejsca w środku kabiny. Powoli, poruszając się jak starzec, ciężko podniósł się z miejsca. Normalnie pod ręką byłby cały zespół ratowników i lekarzy, którzy wyciągnęliby go z kabiny, tak jak lalkę z porcelany wyciąga się z opakowania, ale dzisiaj nie było nikogo, kto by mu pomógł. Kola i Sabie pochylili się, pchając go za tyłek i nogi, ale Kola czuł się słaby jak kocię. Musa powiedział: — Ten cholerny skafander jest taki sztywny, stawia mi opór.

W końcu stanął wyprostowany i wystawił głowę na zewnątrz kapsuły. Kola zobaczył, jak mruży oczy od światła, a strzechę gęstych włosów rozwiewa wiatr. Potem oczy rozszerzyły mu się. Położył dłonie na kadłubie — który wciąż był gorący po wejściu w atmosferę, więc trzeba było zachować ostrożność — po czym nadludzkim wysiłkiem (takie Kola odniósł wrażenie) podciągnął się w górę i usiadł na brzegu włazu.

— Teraz ja — powiedziała Sabie. Była wyraźnie osłabiona, ale w porównaniu z Musą wydawała się zwinna. Wspięła się na palce, a Musa pomógł jej się podciągnąć i po chwili siedziała obok niego. — Ojej! — powiedziała.

Kola, który pozostał sam w kapsule, widział tylko ich dyndające nogi.

— Co się dzieje? Co tam jest? Musa powiedział do Sabie:

— Pomóż mi. — Wydobył nogi z włazu, ciężko obrócił się na brzuchu i wyciągnął do niej ręce. Potem ześlizgnął się po zakrzywionym boku Sojuza i zniknął Koli z oczu.

Sabie spojrzała na Kolę, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Chodź, popatrz na ten widok.

Kiedy Kola zmusił się do wstania, miał wrażenie, jakby z mózgu odpłynęła mu cała krew. Stał nieruchomo, dopóki uczucie nadchodzącego omdlenia nie ustąpiło. Wtedy sięgnął do włazu i

pozwolił, aby Sabie pomogła mu wydobyć się na zewnątrz, po czym usiadł na czubku kadłuba.

Kola był może dwa metry nad ziemią. Moduł powrotny stanowił metalową kopułę, teraz spoczywającą na trawie. Z tej wysokości widział wieczny step, płaski i prawie nieskończony, rozciągający się pod grubą warstwą chmur. Widać było ślady ich lądowania: szereg wyżłobień i kraterów prowadzących do końcowego położenia statku, a dalej odrzucony, szarpany wiatrem główny spadochron, pomarańczowy na tle żółto-zielonej ziemi.

Bezpośrednio przed nim znajdowało się coś, co wyglądało jak wioska. Było to po prostu skupisko brudnych, kopulastych namiotów. Stali tam ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy okutani w futra. Wpatrywali się w niego z rozdziawionymi ustami. Za nimi luźno przywiązane konie skubały trawę, wyraźnie nieporuszone ich lądowaniem.

Z wioski ruszył w ich stronę jakiś człowiek. Miał szeroką twarz, głęboko i blisko siebie osadzone czarne oczy; był ubrany w ciężki, długi płaszcz i spiczastą, futrzaną czapkę. W dłoni dzierżył ciężki miecz z kutego żelaza.

— Mongolski wojownik — szepnęła Sabie. Kola zerknął na nią.

— Tego się spodziewałaś, prawda?

— Myślałam, że istnieje spora szansa, sądząc z tego, co widzieliśmy z orbity…

Wiatr zmienił kierunek i Kola poczuł zapach gotowanego mięsa, niemytego ciała i końskiego potu. Było tak, jakby z jego twarzy została zerwana zasłona i nagle stanął twarzą w twarz z rzeczywistością, to naprawdę była przeszłość albo jej część, a on był tu pozostawiony własnemu losowi.

Musa usiłował stanąć, opierając się jedną ręką o kadłub statku.

— Spadliśmy z kosmosu — powiedział do mężczyzny, uśmiechając się. — Czyż to nie cudowne? Proszę… — Wyciągnął puste dłonie. — Możesz nam pomóc?

Wojownik zareagował tak szybko, że Kola ledwie dostrzegł jego ruch. Miecz przeciął powietrze, rozmazując się jak wirująca łopata helikoptera. Głowa Musy wyskoczyła w powietrze, odcięta równie łatwo jak główka stokrotki i potoczyła się po ziemi jak piłka. Ciało Musy wciąż stało z rozpostartymi ramionami. Ale z kikuta jego szyi nagle buchnęła fontanna krwi, spływając po rozdartym pomarańczowym skafandrze. Potem jego ciało przewróciło się i zesztywniało.

Kola wpatrywał się w odciętą głowę Musy, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

Wojownik ponownie uniósł miecz. Ale drugą ręką dał znak pozostałym, aby zeszli na ziemię.

— Witajcie na Mirze — mruknęła Sabie. Przerażonemu Koli wydało się, że usłyszał w jej głosie nutkę triumfu.

17. Deszcze

Chwytaczka nie przejmowała się swoim uwięzieniem. Była taka młoda, że może zapomniała, iż kiedykolwiek istniało jakieś inne życie. Wałęsała się wokół klatki albo wdrapywała na siatkę; kołysała się na lśniącym przedmiocie, który podtrzymywał to wszystko i z bezlitosną cierpliwością badała swe uszy i nos.

Kiedy mijały dni, ludzie po drugiej stronie siatki wydawali się coraz bardziej poruszeni, ale nigdy nie omieszkali przynieść małpoludom jedzenia i wody. Chwytaczka wdrapywała się na siatkę, próbując ich dosięgnąć, a ludzie nagradzali ją dodatkowymi kęsami jedzenia. Jednak Poszukiwaczka zamykała się w sobie coraz bardziej. Nienawidziła tego więzienia i dziwnych istot, które ją złapały. Nikt jej nie chwalił ani nie dawał dodatkowych kawałków owoców; w ponurej wrogości Poszukiwaczki nie było nic sympatycznego.

Kiedy zaczęły padać deszcze, zrobiło się jeszcze gorzej.

Deszcze były niekiedy tak ulewne, że ciężkie krople uderzały w skórę jak setki maleńkich pięści. Małpoludy były zawsze zmarznięte i przemoczone i nawet żywa ciekawość Chwytaczki przybladła. Czasami deszcz smagał nagie ciało, dłonie, stopy czy wargi, a kiedy się dostał do oczu, wywoływał naprawdę silny ból.

Deszcz był kwaśny z powodu tego, co się stało na świecie.

Nowy świat został sklejony z fragmentów starego, ale fragmenty te zostały wyrwane z wielu różnych epok, które dzieliły miliony lat. Przemieszanie mas powietrza było przyczyną nieustabilizowanej pogody, która nękała świat w ciągu pierwszych dni po wystąpieniu Nieciągłości. W oceanach niewidzialne rzeki potężnych prądów dążyły do osiągnięcia równowagi.

A lądy zostały rozdarte. Na Atlantyku pas gór wulkanicznych, rozciągających się na południe od Islandii, wskazywał przebieg grzbietu śródoceanicznego, w miejscu, gdzie rodziło się dno morskie ze stopionego materiału wydobywającego się z wnętrza planety. Nieciągłość rozerwała tę strefę. Golfsztrom, który przez tysiąclecia niósł ciepłą wodę z południa do Europy, teraz napotkał świeżą przeszkodę, nową wyspę wulkaniczną, która ostatecznie miała zdeklasować nawet Islandię.

Tymczasem „Pierścień Ognia” wokół Pacyfiku, gdzie przepychały się wielkie płyty tektoniczne, uwiarygodniał nadaną mu nazwę. Kotłowało się wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej, od Alaski aż po stan Waszyngton, obudziła się większość spośród dwudziestu siedmiu wulkanów Gór Kaskadowych.

Wybuch Mount Rainier był najgorszy ze wszystkich. Jego grzmot był niczym wielki krzyk, który obiegł całą planetę. W Indiach

zabrzmiał jak odgłos strzałów dalekiej artylerii, a rozbitkowie z dziewiętnastego i dwudziestego pierwszego wieku poruszyli się niespokojnie przez sen. Wielka chmura w kształcie grzyba, złożona z popiołu i pyłu, uniosła się wysoko do atmosfery, rozprzestrzeniając się z szybkością huraganu. Większa część pyłu szybko została wypłukana przez deszcze, ale drobne cząsteczki pozostały, przesłaniając słońce. Temperatura spadła. Ochłodzone powietrze mogło zmagazynować mniejszą ilość wody niż przedtem.

Na całym świecie padał deszcz. Padał i padał, i padał.

W pewnym sensie wszystko to było korzystne. Spotworniały świat próbował się zrosnąć i ostatecznie w powietrzu, morzach i skałach miała zapanować nowa równowaga. Ale konwulsje związane z procesem gojenia były niszczycielskie dla wszystkiego, co żyje, roślin czy zwierząt, które walczyły, by przetrwać.

Poszukiwaczka nie miała długofalowych planów. Dla niej istniała tylko teraźniejszość, a jej teraźniejszość była pełna niedoli, tkwiła zamknięta w klatce, smagana kwaśnym deszczem, który lał się na nią z nieba. Kiedy deszcz był wyjątkowo ulewny, Chwytaczka kuliła się pod swą matką, a Poszukiwaczka zwijała się w kłębek, osłaniając dziecko i pozwalając, aby piekące krople zatrzymywały się na jej własnym grzbiecie.

CZĘSC TRZECIA
SPOTKANIA I SOJUSZE

18. Wysłannicy niebios

Wciąż dzierżąc miecz, Mongoł krzyknął coś przez ramię. Z namiotów wybiegło więcej uzbrojonych mężczyzn. Nie, pomyślał Kola, z jurt. Za nimi kobiety i dzieci. Dzieci były jak małe tobołki w filcowych płaszczach i wybałuszały oczy z ciekawości.

Mężczyźni mieli klasyczne azjatyckie rysy, pomyślał Kola, szerokie twarze, małe, ciemne oczy i kruczoczarne, związane z tyłu włosy. Niektórzy nosili przepaski wokół głowy. Mieli na sobie workowate, ciemnobrązowe spodnie i poruszali się boso albo w butach, do których wsuwali spodnie. Jeśli nie mieli obnażonych klatek piersiowych, nosili proste, lekkie i gęsto połatane tuniki.

Robili wrażenie złośliwych i silnych. Spoglądając groźnie, otoczyli uginających się pod ciężarem siły ciążenia kosmonautów. Kola próbował się trzymać. Trząsł się; pozbawiony głowy trup Musy wciąż leżał obok Sojuza, a ostatnie kropelki krwi sączyły się z jego szyi.

Zabójca Musy podszedł do Sabie, która spiorunowała go wzrokiem. Bezlitośnie złapał ją za pierś i ścisnął.

Sabie nawet nie drgnęła.

— Cholera, ależ ten facet śmierdzi! — Kola usłyszał w jej głosie szorstkość, wyczuł strach, który skrywał determinację. Ale wojownik się cofnął.

Mężczyźni rozmawiali ze sobą szybko, przyglądając się kosmonautom, ich statkowi i spadochronowi, który leżał rozpostarty na pokrytym pyłem stepie.

— Wiesz, myślę, że wiem, co mówią — szepnęła Sabie. — Że ciebie zabiją. A mnie zgwałcą, a potem zabiją.

— Staraj się nie reagować — powiedział Kola.

Napięcie przerwał jakiś pisk. Mała dziewczynka, może pięcioletnia, z twarzą pulchną jak pączek, dotknęła ściany Sojuza i odskoczyła z oparzoną dłonią.

Mężczyźni warknęli jak jeden mąż. Zabójca Musy przycisnął miecz do szyi Koli. Miał otwarte usta, małe oczka i Kola czuł w jego oddechu zapach mięsa i mleka. Nagle świat stał się bardzo żywy: zwierzęcy zapach stojącego przed nim mężczyzny, gorzki zapach stepu, nagły przypływ krwi. Czy to miało być jego ostatnie wspomnienie, zanim podąży za Musą w mrok?…

— *Darughachi* — powiedział. — *Tengri. Darughachi.*

Oczy mężczyzny rozszerzyły się. Cofnął się, ale nadal trzymał uniesiony miecz i znowu nastąpiła szybka wymiana zdań, ale teraz mężczyźni patrzyli na nich jeszcze uważniej.

Sabie syknęła:

— Coś ty powiedział?

— To wspomnienia z dzieciństwa. — Kola starał się mówić spokojnie. — Zgadywałem. To wcale nie musiał być ich język, mogliśmy byli wylądować wszędzie w czasie…

— Jaki to język, Kola?

— Mongolski. Sabie prychnęła.

— Wiedziałam.

— Powiedziałem, że jesteśmy wysłannikami. Wysłannikami Wiecznych Niebios. Jeżeli w to uwierzą, będą musieli traktować nas z szacunkiem. Być może przekażą nas miejscowym funkcjonariuszom. Blefuję, zwyczajnie blefuję…

— Dobry pomysł, Batmanie — powiedziała Sabie. — W końcu ci faceci widzieli, jak spadliśmy z nieba. *Zabierzcie mnie do szefa.* W filmach to zawsze działa. — Zaśmiała się wymuszonym, nieprzyjemnym śmiechem.

W końcu otaczający ich ludzie zaczęli się rozchodzić i nikt nie przyszedł ich zabić. Jeden z mężczyzn założył kurtkę i filcową czapkę, podbiegł do konia uwiązanego obok jurty, wskoczył mu na grzbiet i szybko odjechał.

Kosmonautom związano ręce na plecach i szturchańcami popchnięto w stronę jednej z jurt. Byłoby im trudno chodzić, nawet nie mając związanych rąk. Kola miał uczucie, jakby był pokryty warstwą ołowiu, szumiało mu w głowie. Kiedy szli, patrzące na nich i dłubiące w nosach dzieci tworzyły coś w rodzaju gwardii honorowej. Jeden paskudnie wyglądający bachor rzucił kamieniem, który odbił się od ramienia Koli. Pomyślał, że to nie jest pełen godności powrót na Ziemię. Ale przynajmniej żyli, przynajmniej zyskali trochę na czasie.

Klapę zasłaniającą wejście do jurty odsunięto i wepchnięto ich do środka.

Sabie i Kolę popchnięto na filcowe maty. W sztywnych skafandrach ciśnieniowych kosmonauci zajmowali całą jurtę, a ich nogi zabawnie wystawały na zewnątrz. Ale fakt, że mogli usiąść, stanowił prawdziwą ulgę.

Jedyne wejście do jurty wychodziło na południe. Kola widział słońce przesłonięte lekką mgiełką. Wiedział, że to była mongolska tradycja; w ich pierwotnych wierzeniach dominował kult słońca, a tutaj, na równinach północnej Azji, słońce w swej codziennej wędrówce poruszało się głównie na południu.

Mongołowie, przysadziści mężczyźni i muskularne kobiety, przychodzili i odchodzili, wyraźnie po to, aby kontrolować przybyszów. Wpatrywali się w kosmonautów, zwłaszcza w Sabie, z wyrazem łakomego wyrachowania.

Część sprzętu kosmonautów przyniesiono z kapsuły Sojuza. Większość tego wszystkiego — awaryjne zestawy medyczne, nadmuchiwana tratwa ratunkowa — była dla Mongołów

niezrozumiała. Jednak Sabie i Koli pozwolono zdjąć nieporęczne skafandry i włożyć lżejsze pomarańczowe jednoczęściowe kombinezony, które nosili na orbicie. Mongolskie dzieci przyglądały się ich bieliźnie i elastycznym spodniom. Skafandry kosmiczne zwalili na kupę w rogu brudnej jurty, jak porzucone kokony.

Kosmonautom udało się ukryć przed oczyma Mongołów broń boczną, którą schowali za plecami.

Potem, ku ogromnej uldze Koli, na chwilę zostawiono ich samych. Oparł się o brudną ścianę jurty; nogi mu drżały i samą siłą woli próbował uspokoić bicie serca i pozbyć się zamętu w głowie. Powinien być w szpitalu, otoczony najnowocześniejszą aparaturą z dwudziestego pierwszego wieku i poddawany programowi fizjoterapii i powrotu do zdrowia, nie zaś wciśnięty w kąt tego cuchnącego namiotu. Był słaby jak starzec i w obecności tych krępych, potężnych Mongołów, całkowicie bezradny. Był zbity z tropu i wystraszony.

Próbował myśleć i obserwować otoczenie.

Jurta była solidnie zbudowana. Być może należała do wodza tej małej społeczności. Jej główną podporę stanowił gruby słup, a lżejsze drewniane paliki nadawały jej kopulasty kształt. Podłogę pokrywały brudne maty, a na hakach wisiały metalowe garnki i bukłaki. Wokół ścian stały paki z drewna i skóry, stanowiące jedyne meble wędrownego ludu. Jurta nie miała okien, tylko w dachu wycięto otwór nad kamiennym paleniskiem, gdzie nieustannie płonęły kawałki suszonego łajna.

Na początku Kola zastanawiał się, jak tę jurtę można rozebrać i ustawić ponownie, ponieważ koczownicy podróżowali co najmniej dwa razy w roku, przemieszczając się między letnimi i zimowymi pastwiskami. Ale dostrzegł stojący niedaleko duży wóz. Jego platforma była na tyle szeroka, by pomieścić całą jurtę i jej zawartość.

— Ale nie zawsze tak było — szepnął do Sabie. — Tylko na początku trzynastego wieku. Potem po prostu rozbierali jurty jak namioty i przenosili je złożone. To ustala nasze położenie w czasie… Wylądowaliśmy w centrum Imperium Mongołów, u szczytu ich potęgi!

— Mamy szczęście, że wiesz o nich tak wiele. Kola chrząknął.

— Szczęście? Sabie, Mongołowie przybyli do Rosji dwukrotnie. Czegoś takiego się nie zapomina, nawet po ośmiu stuleciach.

Po jakimś czasie przygotowano jedzenie. Kobieta wciągnęła do środka wielki żelazny garnek. Do garnka wrzuciła posiekaną półtuszę owcy, nie tylko mięso i kości, lecz także płuca, żołądek, mózg, wnętrzności, racice i oczy; najwyraźniej nic tu się nie marnowało. Kobieta miała twarz jak ze skóry i ramiona jak miotacz. Kiedy była zajęta przy mięsie, w ogóle nie zwracała uwagi na Sabie i Kolę, jak gdyby dwaj ludzie z przyszłości tkwiący w rogu jej jurty stanowili coś powszedniego.

Pozostawieni własnemu losowi kosmonauci robili, co mogli, aby jak najszybciej przystosować się do bezlitosnego przyciągania ziemskiego, ukradkiem zginając stawy i zmieniając pozycję, aby rozruszać kolejne grupy mięśni. Poza tym nie mieli nic do roboty. Kola przypuszczał, że czekano na powrót owego jeźdźca z wyprawy do miejscowego funkcjonariusza, kiedy to zostanie podjęta decyzja co do ich dalszego losu — decyzja, która jak wiedział, może wciąż oznaczać ich śmierć. Ale mimo tej ponurej perspektywy, kiedy minęło popołudnie, Kolę, o dziwo, ogarnęła nuda.

Masa mięsa i podrobów gotowała się w garnku przez parę godzin. Potem do jurty wepchnęli się dorośli i dzieci. Niektórzy przynieśli więcej mięsa, które wyglądało na mięso lisów, myszy i królików. Zwierzęta były obdarte ze skóry, ale nie oczyszczone. Kola widział przyklejone do nich ziarenka piasku i zaschłą krew.

Kiedy potrawa była gotowa, Mongołowie po prostu zabrali się do jedzenia. Posługując się drewnianymi miskami, wybierali kawałki mięsa, które jedli palcami. Popijali kubkami czegoś, co wyglądało jak mleko, które nalewano z bukłaków. Czasami, kiedy po paru ugryzieniach nie spodobał im się smak kawałka mięsa, wrzucali go z powrotem, podobnie jak chrząstki, które wypluwali do garnka.

Sabie patrzyła na to wszystko z przerażeniem.

— I nikt nie umył rąk przed jedzeniem.

— Dla Mongołów woda jest święta — powiedział Kola. — Nie wolno jej kalać, używając do mycia.

— Więc jak utrzymują czystość?

— Witaj w trzynastym wieku, Sabie.

Goście trzymali się z daleka od kosmonautów, ale poza tym ich życie towarzyskie wydawało się niezakłócone.

Po jakimś czasie jeden z młodszych mężczyzn zbliżył się do kosmonautów, niosąc miskę z mięsem. Kola zobaczył, że tłuszcz zwierzęcy, który błyszczał na wargach chłopca, stanowi jedynie wierzchnią warstwę tłuszczu i brudu pokrywającego jego twarz; z jego szerokich nozdrzy zwisał glut wysuszony przez wiatr, a ciągnący się za nim smród, przypominający zapach przejrzałego sera, był po prostu potworny. Chłopiec sięgnął za plecy Koli i uwolnił mu jedną rękę. Następnie wyciągnął z miski kawałek mięsa i podał mu. Paznokcie miał czarne od brudu.

— Musisz wiedzieć — mruknął Kola — że Mongołowie zmiękczali mięso, umieszczając je pod siodłem. Ten kawałek baraniny mógł spędzić wiele dni faszerowany metanem z tłustej dupy jakiegoś pastucha.

— Zjedz to — mruknęła Sabie. — Potrzebujemy peptydów. Kola wziął mięso, zamknął oczy i ugryzł. Było twarde jak podeszwa i miało smak tłuszczu i masła. Później chłopiec przyniósł mu kubek mleka.

Natychmiast uderzyło mu do głowy i wtedy niejasno przypomniał sobie, że Mongołowie poddawali kobyle mleko fermentacji. Wypił najmniej, jak mógł.

Po jedzeniu kosmonautom pozwolono wyjść osobno, aby się mogli załatwić, ale cały czas ich uważnie obserwowano.

Kola skorzystał z okazji, żeby się rozejrzeć. Wokół niego rozciągała się równina, ogromna i pusta, płaszczyzna żółtego pyłu, usiana plamami zieleni. Po szarym niebie płynęły gęste chmury, rzucając cienie niczym jeziora. Ale ziemia, bezkresna, płaska i bez wyrazu, wydawała się przyćmiewać swym ogromem nawet niebo. Był to Płaskowyż Mongolski — tyle wiedział dzięki nawigacji podczas schodzenia w dół. Nigdzie nie schodziła poniżej tysiąca metrów nad poziomem morza i była odgrodzona od reszty Azji wielkimi naturalnymi barierami: łańcuchami gór na zachodzie, pustynią Gobi na południu i puszczami syberyjskimi na północy. Pamiętał, że z orbity wyglądała jak olbrzymie pustkowie, lekko pofalowana równina, poprzecinana tu i ówdzie nitkami rzek, ale było ich bardzo niewiele, jak na wstępnym szkicu krajobrazu. I teraz sam się tu znalazł, utkwił w samym jej środku.

I na tym bezkresnym pustkowiu przycupnęła ta wioska. Rozpadające się okrągłe jurty koloru błota wyglądały bardziej na zerodowane głazy niż na dzieło ludzkich rąk. Zniszczony moduł powrotny Sojuza jakoś dziwnie pasował do tego otoczenia. Ale dzieci biegały i śmiały się, a sąsiedzi nawoływali się ze stojących koło siebie jurt. Kola widział zwierzęta: owce, kozy i konie, które poruszały się niestrzeżone, a ich ryki i beczenie niosły się w nieruchomym powietrzu. Chociaż był oddalony od tej epoki o osiem stuleci i chociaż nie mógł chyba istnieć większy kontrast, jeśli chodzi o pochodzenie jego i tych ludzi — kosmonauty i koczowników, najbardziej technologicznie rozwiniętych istot ludzkich, zderzonych z najbardziej prymitywnymi — widział, że podstawowe zasady kontaktów międzyludzkich nie uległy zmianie, kiedy znalazł się na tej wypełnionej ludzkim ciepłem małej wysepce, zagubionej pośród bezkresnej, milczącej równiny. Było to w jakimś sensie pocieszające, choć był Rosjaninem, który dostał się w ręce Mongołów.

Tej nocy Kola i Sabie przytulili się do siebie, okryci obrzydliwie cuchnącym kocem z końskiego włosia. Wszędzie wokół rozlegało się chrapanie Mongołów. Ale ilekroć Kola podniósł wzrok, zawsze okazywało się, że któryś z nich czuwa, a jego oczy błyszczały w przyćmionym blasku ogniska. Kola miał wrażenie, że w ogóle nie zmrużył oka. Za to Sabie z głową opartą na jego ramieniu spała przez parę godzin; był zaskoczony jej odwagą.

W nocy wiatr przybrał na sile, a jurta trzeszczała i kołysała się jak łódź unosząca się na stepie. Kola, leżąc z otwartymi oczami,

zastanawiał się, co się stało z Caseyem.

19. Delta

Po śniadaniu Sekretarz Eumenes odprawił swoich służących. Naciągnął na ramiona fioletową pelerynę i pchnąwszy ciężką skórzaną klapę zasłaniającą wejście, wyszedł z namiotu.

Chmury rozeszły się, ukazując błękitne niebo, blade jak wyblakła farba; poranne słońce mocno przygrzewało. Przynajmniej tym razem nie padał deszcz. Ale kiedy popatrzył na zachód, w stronę morza, ujrzał kłębiące się wściekle czarne chmury i wiedział, że zbliża się kolejna burza. Nawet miejscowi, którzy zgromadzili się wokół obozu wojskowego, sprzedając talizmany i błyskotki oraz ciała swoich dzieci, twierdzili, że nigdy dotąd nie widzieli takiej pogody.

Eumenes ruszył w stronę namiotu Hefajstiona. Droga nie była łatwa. Ziemia zamieniła się w miękkie, żółte błoto, stratowane stopami ludzi i zwierząt, które lepiło się do butów Eumenesa.

Wszędzie wokół dym tysiąca ognisk unosił się w niebo. Ludzie wychodzili z namiotów, dźwigając odzież i sprzęt ciężki od błota. Niektórzy z nich zgolili kilkudniowy zarost; rozkaz, aby być gładko ogolonym, był jedną z pierwszych inicjatyw Króla, kiedy przejął dowództwo nad armią po swym zamordowanym ojcu, podobno dlatego, aby wrogowie nie mieli za co chwycić podczas walki wręcz. Macedończycy jak zwykle narzekali na ten dziwny grecki zwyczaj i na nędzny, barbarzyński stan miejsca, do którego przywiódł ich Król.

Żołnierze zawsze lubią zrzędzić. Ale kiedy flota jako pierwsza znalazła się tu, na terenie delty, żeglując z biegiem Indusu, sam Eumenes był przerażony gorącem, smrodem i chmurami owadów unoszących się nad bagnistą ziemią. Jednak Eumenes szczycił się metodycznym umysłem; był mędrcem, który robił swoje bez względu na pogodę. Deszcz pada nawet na bogów-królów, pomyślał.

Namiot Hefajstiona był okazały, znacznie bardziej okazały niż jego własny, co było oznaką specjalnych względów, jakimi Król darzył swego najbliższego towarzysza. Pomieszczenia mieszkalne otoczone szeregiem westybulów i przedpokojów były strzeżone przez oddział tarczowników, żołnierzy elitarnej piechoty, uchodzących za najlepszych piechurów na świecie.

Kiedy Eumenes zbliżył się do namiotu, został wezwany do zatrzymania się. Strażnik był, rzecz jasna, Macedończykiem.

Z pewnością znał Eumenesa, teraz jednak stał przed Sekretarzem z uniesionym w górę mieczem. Eumenes ani drgnął, patrząc przed siebie nieruchomo i w końcu żołnierz dał za wygraną.

Wrogość macedońskiego wojownika wobec greckiego administratora była nieunikniona, tak jak pogoda, nawet jeśli była oparta na niewiedzy, bo jakże ci półbarbarzyńcy wyobrażali sobie, że

taka wielka armia utrzyma ich przy życiu i zapewni zaopatrzenie, gdyby nie skrupulatne zabiegi sekretariatu Eumenesa? Nie oglądając się za siebie, Eumenes przecisnął się do namiotu.

W westybulu panował nieład. Szambelani i słudzy naprawiali stoły, zbierali fragmenty rozbitych naczyń oraz kawałki podartego odzienia oraz ścierali plamy po winie i czymś, co wyglądało jak krwawe wymiociny. Poprzedniego wieczoru Hefajstion najwyraźniej znowu podejmował dowódców i innych „gości".

Majordomus Hefajstiona był małym, grubym, pedantycznym człowieczkiem, o rudoblond włosach. Kiedy kazał Eumenesowi odczekać w westybulu dokładnie tyle czasu, żeby podkreślić własną pozycję, skłonił się i gestem zaprosił do prywatnych komnat swego pana.

Hefajstion spoczywał na łóżku, przykryty luźnym prześcieradłem; wciąż miał na sobie koszulę nocną. Był ośrodkiem zainteresowania: szambelani przygotowywali stroje i wnosili jedzenie, a rząd służących dźwigał dzbany z wodą. Sam Hefajstion, opierając się na łokciu, leniwie dłubał w tacy pełnej mięsiwa.

Pod prześcieradłem coś się poruszyło. Chłopiec z oczyma ciężkimi od snu wynurzył się spod prześcieradła i usiadł, wyglądając na oszołomionego. Hefajstion uśmiechnął się do niego. Dotknął palcami własnych warg, a potem warg chłopca i poklepał go po ramieniu.

— Teraz już idź. — Chłopiec zszedł z łóżka, był zupełnie nagi. Szambelan owinął go peleryną i wyprowadził z komnaty.

Eumenes, czekając przy wejściu, starał się nie okazywać pogardy na widok tego, co zobaczył. Żył i pracował z tym Macedończykiem na tyle długo, żeby nauczyć się go rozumieć. Pod rządami swych królów zostali zjednoczeni i stanowili teraz siłę, która mogła podbić świat, ale wywodzili się z górskich plemion i od tradycji przodków dzieliło ich zaledwie kilka pokoleń. Eumenes chciałby nawet przyłączyć się do ich hulanek, gdyby to nie było nierozsądne. Ale mimo to niektórzy spośród tych sług byli synami macedońskiej arystokracji, których wysłano, by służyli wyższym urzędnikom Króla, aż do ukończenia edukacji. Eumenes mógł tylko wyobrażać sobie, co muszą przeżywać tacy młodzi ludzie, spędzając ranki na usuwaniu cuchnących pozostałości po jakimś pijanym barbarzyńskim wojowniku albo spędzając noce, dogadzając jego potrzebom w jakiś inny sposób.

Wreszcie Hefajstion zauważył Eumenesa.

— Wcześnie dzisiaj przybywasz, Sekretarzu.

— Nie sądzę, chyba że słońce znowu zaczęło skakać po niebie.

— Więc to ja jestem spóźniony. Ha! — Machnął rożnem z kawałkiem mięsa w stronę Eumenesa. — Spróbuj tego. Nigdy by ci nie przyszło do głowy, że martwy wielbłąd może tak smakować.

— Powodem, dla którego Hindusi tak mocno przyprawiają swoje

potrawy — powiedział Eumenes — jest to, że jedzą zgniłe mięso. Ja będę się trzymał owoców i baraniny.

— Straszny z ciebie nudziarz, Eumenesie — powiedział Hefajstion nerwowo.

Eumenes ukrył irytację. Pomimo nieustannej rywalizacji z Hefajstionem myślał, że rozumie nastrój Macedończyka.

— A ty tęsknisz za Królem. Rozumiem, że dotąd nie było żadnych wiadomości.

— Połowa naszych zwiadowców w ogóle nie powróciła.

— Czy poprawia ci się nastrój, kiedy się zagubisz między udami sługi?

— Znasz mnie aż za dobrze, Sekretarzu. — Hefajstion odłożył rożen na talerz. — Może masz rację co do tych przypraw. Mimo to wyrąbują przejście przez bebechy, jak kompania konnicy przez linie Persów… — Zwlókł się z łóżka, ściągnął koszulę nocną i założył czystą tunikę.

Eumenes zawsze był zdania, że Macedończyk jest pełen sprzeczności. Był wyższy niż większość ludzi, miał regularne rysy, choć nos miał dosyć długi, zdumiewająco niebieskie oczy i krótko przycięte czarne włosy. Trzymał się dobrze. Bez wątpienia był wojownikiem, o czym świadczyły liczne blizny pokrywające jego ciało.

Wszyscy wiedzieli, że Hefajstion był najbliższym towarzyszem Króla od czasu, gdy byli chłopcami, a potem został jego kochankiem. Chociaż od tego czasu Król miał wiele żon, kochanek i kochanków, z których ostatnim był przypominający robaka perski eunuch imieniem Bagoas, pewnego razu, kiedy był pijany, zwierzył się Eumenesowi, że zawsze uważał Hefajstiona za jedynego prawdziwego towarzysza, jedyną prawdziwą miłość swego życia. Król, który nie był głupcem, nawet gdy chodziło o przyjaciół, powierzył Hefajstionowi dowództwo nad tą grupą armii, a przedtem uczynił go swym wezyrem, na wzór perskiej tradycji. A jeśli chodzi o Hefajstiona, nikt inny się nie liczył, był tylko Król; jego sługi i konkubiny nie były niczym więcej niż istotami, które go ogrzewały pod nieobecność Króla.

Ubrawszy się, Hefajstion powiedział:

— Czy odczuwasz satysfakcję, widząc, jak cierpię z powodu Króla?

— Nie — odparł Eumenes. — Ja także się o niego boję, Hefajstionie. I to nie dlatego, że jest moim Królem — nie z powodu wstrząsu, jaki wywołałaby u nas wszystkich jego strata — lecz ze względu na niego samego. Możesz w to wierzyć lub nie, niemniej jednak to prawda.

Hefajstion przyjrzał mu się uważnie. Podszedł do wanny, wziął myjkę i przetarł twarz.

— Nie wątpię w ciebie, Eumenesie. W końcu razem przeszliśmy wiele, towarzysząc Królowi w jego wielkich wyprawach.

— Aż na kraniec Ziemi — cicho powiedział Eumenes.

— Tak, aż na kraniec Ziemi. A teraz, kto wie, może nawet jeszcze dalej… Daj mi jeszcze chwilę. Usiądź, proszę, napij się wody, wina, poczęstuj się owocami…

Eumenes usiadł i wziął parę suszonych fig. Pomyślał, że to była naprawdę długa podróż. I jakie to byłoby dziwne — jakie przykre — gdyby wszystko miało się skończyć tutaj, w tym wymarłym miejscu, tak daleko od domu.

Mając za plecami uzbrojonych we włócznie żołnierzy z epoki żelaza, Bisesa, Cecil de Morgan, kapral Batson oraz towarzyszący im trzej sipajowie pokonali ostatni grzbiet. Przed ich oczyma roztaczała się delta Indusu, równina, którą przecinała migocąca, szeroka, leniwie płynąca rzeka. Na zachodnim horyzoncie Bisesa dostrzegła sylwetki statków na morzu, niewyraźne wskutek gęstego, przesyconego mgłą powietrza.

Pomyślała zdumiona, że statki wyglądają jak tryremy.

Przed sobą ujrzała obóz wojskowy. Wzdłuż brzegów rzeki rozbito namioty i dym niezliczonych ognisk mieszał się z porannym powietrzem. Niektóre namioty były ogromne i otwarte od frontu, jak sklepy. Wszędzie panował ruch, roiło się od ludzi. Nie byli to wyłącznie żołnierze: kobiety poruszały się wolno, ciężko obładowane, dzieci biegały po błotnistej ziemi, a psy, kurczaki i nawet świnie truchtały zatłoczonymi uliczkami. Jeszcze dalej, w wielkich zagrodach widać było konie, wielbłądy i muły, a stada owiec i kóz wałęsały się po bagnistej ziemi. Wszyscy i wszystko było pokryte błotem, od najwyższego wielbłąda do najmniejszego dziecka.

Pomimo błota i znużenia de Morgan robił wrażenie ogarniętego euforią. Dzięki swojemu „niepotrzebnemu wykształceniu" wiedział znacznie więcej niż ona na temat tego, co się tu dzieje. Wskazał otwarte namioty.

— Widzicie? Żołnierze mieli robić zakupy, więc są tam handlarze — wielu z nich to Fenicjanie, jeśli dobrze pamiętam — którzy podążają za maszerującymi wojskami. Są tam wszystkie rodzaje sklepów, teatrzyki wędrowne, a nawet sądy, które wymierzają sprawiedliwość… I pamiętajcie, że ta armia jest w terenie od wielu lat. Wielu z tych mężczyzn po drodze znalazło sobie kochanki, żony; niektórzy mają nawet dzieci. To prawdziwe wędrujące miasto…

Bisesę szturchnięto w plecy długą macedońską włócznią z żelaznym grotem, *sarisą,* jak nazywał ją de Morgan. Czas ruszać. Zaczęli posuwać się z trudem w dół zbocza, w stronę obozu.

Próbowała ukryć zmęczenie. Na prośbę kapitana Grove'a wyruszyła z grupą zwiadowczą, aby spróbować nawiązać kontakt z

ową macedońską armią. Po kilku dniach wędrówki doliną Indusu o świcie poddali się macedońskiemu patrolowi, w nadziei, że zabiorą ich do dowódców. Od tej chwili pokonali już około dziesięciu kilometrów.

Wkrótce znaleźli się wśród namiotów i Bisesa szła ostrożnie, wybierając drogę przez rzadkie błoto i leżące tu i ówdzie łajno; zapach zwierząt był wszechobecny. Przypominało to bardziej wiejskie podwórze niż obóz wojskowy.

Niebawem otoczyli ich ludzie, którzy wpatrywali się w jej kombinezon, garnitur de Morgana i oślepiająco czerwone kurtki brytyjskich żołnierzy. Większość tych ludzi była niskiego wzrostu, byli nawet niżsi od dziewiętnastowiecznych sipajów, ale mężczyźni byli barczyści, krępi i najwyraźniej bardzo silni. Tuniki żołnierzy były połatane i nawet skórzane namioty nosiły ślady zniszczenia i licznych napraw, ale żołnierskie pozłacane tarcze lśniły, a konie miały w pyskach srebrne wędzidła. Była to osobliwa mieszanina zaniedbania i bogactwa. Bisesa widziała, że armia ta znajdowała się przez długi czas z dala od domu, ale była armią zwycięską i zdobyła łupy przekraczające żołnierskie marzenia.

De Morgan wydawał się bardziej zainteresowany reakcją Bisesy niż samymi Macedończykami.

— O czym myślisz?

— Powtarzam sobie, że naprawdę jestem tutaj — odpowiedziała wolno. — Naprawdę to widzę, ta zasłona dwudziestu trzech wieków jakimś cudem została zerwana. I myślę o wszystkich ludziach, którzy bardzo by chcieli tutaj się znaleźć, żeby to zobaczyć.

— Tak. Ale przynajmniej my jesteśmy tutaj i to już coś. Bisesa potknęła się i w nagrodę otrzymała kolejne pchnięcie.

Powiedziała cicho:

— Wiesz, mam za pasem pistolet. — Tak jak przypuszczali, Macedończycy nie rozpoznali broni palnej i pozwolili im ją zatrzymać, za to skonfiskowali noże i bagnety. — I mam wielką ochotę machnąć ręką na bezpieczeństwo i sprawić, aby eskortujący mnie żołnierz wsadził sobie ten spiczasty koniec we własną dupę z epoki żelaza.

— Nie radziłbym tego robić — spokojnie powiedział de Morgan.

Kiedy Hefajstion był gotów, Eumenes kazał szambelanowi przedstawić listę żołnierzy i ich zachowania. Papiery rozłożono na niskim stole. Tak jak podczas większości porannych spotkań Eumenes i Hefajstion zaczęli przeglądać niezliczone dane związane z administrowaniem armią liczącą dziesiątki tysięcy żołnierzy — potencjał rozmaitych oddziałów armii, rozdział żołdu, posiłki, uzbrojenie, odzież, juczne zwierzęta — czynności, które się odbywały nawet wtedy, gdy wojsko nie poruszało się od wielu tygodni, tak jak w tym wypadku. W rzeczywistości zadanie to było bardziej skomplikowane niż zwykle, wskutek zapotrzebowań floty, która stała

bezczynnie w ujściu delty.

Jak zawsze raport sekretarza konnicy był szczególnie kłopotliwy. Konie zdychały na potęgę i obowiązkiem gubernatorów prowincji w całym imperium było zapewnić zapasowe zwierzęta i dostarczyć je do rozmaitych ośrodków, z których zostaną skierowane na pole walki. Ale wobec braku łączności przez jakiś czas nie było dostaw i sekretarz konnicy, coraz bardziej zaniepokojony, nakazał obłożyć sekwestrem miejscową ludność.

— Jeżeli jakiekolwiek sprawne konie unikną garnka — ponuro zażartował Hefajstion.

Hefajstion był dowódcą tej grupy armii. Ale Eumenes jako królewski sekretarz posiadał własną hierarchię, równoległą do struktury dowództwa armii. Miał swoich sekretarzy pomocniczych, oddelegowanych do każdej spośród głównych jednostek wojskowych — piechoty, konnicy, najemników i innych — i każdej z nich towarzyszyli inspektorzy, którzy zajmowali się głównie zbieraniem szczegółowych informacji. Eumenes szczycił się precyzją i przydatnością swych informacji, było to niemałe osiągnięcie wśród Macedończyków, z których większość, nawet arystokracja, nie umiała pisać ani liczyć.

Ale Eumenes był do tego zadania dobrze przygotowany. Starszy niż większość bliskich towarzyszy Króla służył ojcu Króla, Filipowi, tak jak teraz jego synowi.

Filip zajął Macedonię trzy lata przed urodzeniem swego następcy. W tych czasach królestwo stanowiło luźny sojusz zwaśnionych księstw, którym zagrażały barbarzyńskie plemiona od północy i przebiegłe greckie miasta-państwa od południa. Pod rządami Filipa północne plemiona wkrótce podbito. Starcie z Grekami było nieuniknione, a kiedy do niego doszło, zasadnicza innowacja wojskowa Filipa, jego znakomicie wyszkolone, niezwykle ruchliwe dywizje konnicy, zwane kompaniami, przedarły się przez silnie uzbrojoną, ale nieruchawą grecką piechotę. Eumenes, który sam pochodził z miasta-państwa Cardia, wiedział, że uraza do barbarzyńskich greckich zwycięzców prawdopodobnie nigdy nie osłabnie. Ale w czasach gdy cywilizowane obszary ograniczały się do kilku stref, otoczonych wielkimi morzami barbarzyństwa i nieznanego, interesujący się polityką Grecy wiedzieli, że silna Macedonia stanowi tarczę przed gorszymi niebezpieczeństwami. Popierali zamiar Filipa, by zaatakować ogromne perskie imperium, rzekomo aby zemścić się za wcześniejsze potworności, jakich dopuścili się Persowie wobec greckich miast. A wykształcenie królewskiego syna, które otrzymał z rąk greckich nauczycieli, w tym słynnego Arystotelesa, ucznia Platona, służyło umocnieniu wrażenia hellenistycznych sympatii Filipa.

Filip właśnie przygotowywał się do tej wielkiej perskiej przygody,

gdy został zamordowany.

Nowy król miał zaledwie dwadzieścia lat, ale bez najmniejszego wahania przystąpił do kontynuacji tego, co rozpoczął jego ojciec. Szereg szybkich kampanii umocniło jego pozycję w Macedonii i Grecji. Następnie jego uwagę zwrócił łakomy kąsek, który niemal stał się łupem jego ojca. Perskie imperium rozciągało się od Turcji do Egiptu i Pakistanu, a jego Wielki Król mógł zgromadzić siły liczące milion żołnierzy. Ale po sześciu latach brutalnej i błyskotliwej kampanii, król Macedonii wstąpił na tron w samym Persepolis.

Ten Król chciał nie tylko zwyciężać, ale także rządzić. Zamierzał rozpowszechnić grecką kulturę na terenie Azji, w całym imperium założył lub odbudował miasta na wzór miast greckich. I co było bardziej kontrowersyjne, próbował zjednoczyć zasadniczo odmienne ludy, które znalazły się pod jego rządami. Przejął perski sposób ubierania się i nawyki i zaszokował swych ludzi, całując w ich obecności eunucha Bagoasa w usta.

Tymczasem kariera Eumenesa rozwijała się równolegle do sukcesów odnoszonych przez Króla. Swoją skutecznością, inteligencją i polityczną zręcznością zdobył sobie dozgonne zaufanie Króla, a zakres jego obowiązków rósł w miarę rozrastania się imperium, aż Eumenes poczuł, jakby na własnych barkach dźwigał brzemię całego świata.

Ale Królowi samo imperium nie wystarczało. Kiedy podbił Persję, rzucił swą zaprawioną w bojach armię, pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, do walki na południe i na zachód, w kierunku bogatych, owianych tajemniczością Indii. Armie postępowały na wschód, zmierzając do niezbadanej i niezaznaczonej na mapach krainy, kierując się ku wybrzeżu, które jak Król wierzył, jest brzegiem Oceanu ciągnącego się wokół świata. Kraina była dziwna: w rzekach mieszkały krokodyle, a lasy były pełne gigantycznych węży i krążyły pogłoski o imperiach, o których nikt przedtem nie słyszał. Ale Król nie zatrzymywał się.

Dlaczego posuwał się dalej? Jedni mówili, że jest bogiem w ludzkim ciele, a ambicje bogów przewyższają ambicje ludzi. Inni utrzymywali, że próbuje powtórzyć wyczyny wielkiego bohatera, Achillesa. Kryła się za tym także ciekawość: człowiek, którego uczył sam Arystoteles, nie mógł się oprzeć przemożnemu pragnieniu poznania świata. Jednak Eumenes podejrzewał, że prawda jest dużo prostsza. Ten Król był potomkiem znamienitego ojca i nic dziwnego, że chciał przyćmić jego ambicje i w ten sposób dowieść swojej wielkości.

W końcu, nad rzeką Beas, wojsko wyczerpane latami walki zbuntowało się i nawet bóg-król nie mógł posuwać się dalej. Eumenes uważał, że instynkt jego ludzi ich nie zawiódł. Uznali, że mają już tego dość; wystarczy zachować to, co do tej pory zdobyli.

Poza tym w głębi swego finezyjnego umysłu Eumenes ostrożnie

oceniał własne korzyści. W sądzie zawsze stawał wobec rywalizacji: pogarda Macedończyków dla Greków czy drwiny wojowników ze zwykłych „skrybów", a same kwalifikacje Eumenesa wystarczały, aby przysporzyć mu wielu wrogów. W szczególności Hefajstion był znany z tego, że zazdrościł każdemu, kto zyskał zaufanie jego kochanka. Napięcia między towarzyszami Króla często mogły być śmiertelnie niebezpieczne. Ale Eumenes przeżył, a i on sam nie był pozbawiony ambicji. Kiedy Król zaczął kłaść większy nacisk na umocnienie polityczne i gospodarcze niż na dalsze podboje, bardziej wyrafinowane umiejętności Eumenesa mogły zyskać na znaczeniu, a on sam zamierzał zająć dobrą pozycję, żeby w przyszłości zostać kimś więcej niż zwykłym sekretarzem.

Po porażce nad Beas Król nadal miał jedną wielką ambicję. Znajdując się wciąż w głębi Indii, zbudował ogromną flotę, która miała żeglować korytem Indusu, a potem wzdłuż brzegów Zatoki Perskiej, ustanawiając nowy szlak handlowy, który mógłby przyczynić się do jeszcze silniejszego zjednoczenia imperium. Podzielił swe siły: Hefajstion miał poprowadzić flotę do ujścia delty, a za nim pociągnęłaby kolumna niosąca ekwipunek i cenne królewskie słonie; Eumenes i jego ludzie już podróżowali z tą flotą. Sam Król został, by prowadzić walkę z buntowniczymi plemionami w nowej indyjskiej prowincji.

Wszystko szło dobrze, dopóki Król nie podjął walki z ludem zwanym Malloi i nie zaatakował ich twierdzy w Multan. Król, jak zwykle śmiało, sam poprowadził atak, ale został trafiony strzałą w pierś. Ostatni meldunek, jaki otrzymał Hefajstion, mówił, że ranny Król miał być umieszczony na statku i przewieziony drogą wodną, ażeby dołączyć do reszty swej floty, natomiast armia miała przybyć później.

Ale to było wiele dni temu. Wydawało się, jakby znajdująca się w górze rzeki armia, która podbiła świat, całkowicie zniknęła. A na niebie pojawiły się liczne, niewyobrażalnie dziwne znaki; niektórzy mruczeli, że widzieli, jak słońce przeskakuje na niebie. Takie dziwne znaki mogły tylko zwiastować wielkie i okropne zdarzenie, a cóż innego mogło to być, jak nie śmierć boga-króla? Eumenes bardziej wierzył twardym faktom niż wszelkim znakom, ale trudno mu było rozszyfrować te informacje, czy raczej ich brak i jego niepokój stale rósł.

Jednakże nieubłagana konieczność administrowania wojskiem umożliwiała oderwanie się od tej niepewnej sytuacji. Eumenes i Hefajstion musieli się zajmować kontrowersyjnymi sprawami, których nie udało się rozwiązać urzędnikom niższego szczebla. Dzisiaj zabrali się do wyjaśnienia sprawy dowódcy dywizji pieszych, który przyłapawszy swą ulubioną prostytutkę w łóżku innego oficera, obciął

mu nos sztyletem.

— To paskudna sprawa — powiedział Eumenes — i stanowi bardzo zły przykład.

— To jest bardziej skomplikowane. To czyn karygodny. — Tak też było; takie oszpecenie, na mocy rozkazu Króla, miało być odstraszającym przykładem dla zabójcy pokonanego Dariusza, Wielkiego Króla Persji. — Znam tych ludzi — ciągnął Hefajstion. — Krąży pogłoska, że byli także kochankami! Ta dziewczyna weszła między nich, może mając nadzieję, że jej się opłaci, jeśli napuści jednego z nich na drugiego. — Potarł swój wielki nos. — A, nawiasem mówiąc, kim jest ta dziewczyna?

To było dobre pytanie. Dla członków pełnych urazy pokonanych ludów nie było rzeczą niemożliwą przeniknąć do struktury dowodzenia królewskiej armii, aby wyrządzić tam jak najwięcej szkody. Eumenes przerzucił zwoje dokumentów.

Ale zanim zdołał znaleźć odpowiedź, majordomus Hefajstiona wpadł zaaferowany do środka.

— Panie! Musisz przyjść… Najdziwniejsza rzesz, najdziwniejsi ludzie…

Hefajstion warknął:

— Czy to wiadomości o Królu?

— Nie wiem, panie. Och, chodź, chodź!

Hefajstion i Eumenes spojrzeli po sobie. Potem zerwali się na równe nogi, przewracając stół z leżącymi na nim zwojami i pośpieszyli na zewnątrz. Po drodze Hefajstion chwycił miecz.

Bisesę i de Morgana zaprowadzono do grupy bardziej okazałych namiotów, które wszakże były nie mniej ubłocone niż pozostałe. U wejścia stali strażnicy o groźnym wyglądzie, uzbrojeni we włócznie i miecze, spoglądając na nich gniewnie. Żołnierz eskortujący Bisesę zrobił krok w przód i zaczął szybko trajkotać po grecku. Jeden ze strażników szorstko skinął głową, wszedł do pierwszego namiotu i coś powiedział do kogoś znajdującego się w środku.

De Morgan był spięty, podenerwowany, podniecony. Był to stan, jak już wiedziała Bisesa, gdy wietrzył jakąś okazję. Ona sama próbowała zachować spokój.

Z namiotu wysypało się więcej strażników w nieznacznie różniących się uniformach. Otoczyli Bisesę i pozostałych z mieczami wymierzonymi w brzuchy przybyłych. Potem ukazały się dwie postacie, najwyraźniej ludzie wyżsi rangą; mieli na sobie tuniki o wyglądzie wojskowym i peleryny, ale ich szaty były czyste. Jeden z nich, młodszy wiekiem, przepchnął się przez strażników. Miał szeroką twarz, długi nos i krótkie czarne włosy. Zmierzył ich wzrokiem i przyjrzał się badawczo ich twarzom, podobnie jak jego żołnierze był niższy od przybyłych. Bisesie wydał się spięty i niezadowolony, ale

język jego ciała był tak dziwny, że trudno było mieć pewność.

Stanął przed de Morganem i krzyknął mu coś prosto w twarz. De Morgan struchlał, wzdrygnąwszy się pod wpływem deszczu śliny i coś wyjąkał w odpowiedzi.

Bisesa syknęła:

— Czego on chce?

De Morgan zmarszczył brwi, starając się skupić.

— Dowiedzieć się, kim jesteśmy… tak myślę. Ma silny akcent. Nazywa się Hefajstion. Poprosiłem go, żeby mówił wolniej. Powiedziałem, że mój grecki jest marny, tak jest rzeczywiście, to co powtarzałem jak papuga w Winchester, wcale tego nie przypominało.

Teraz wystąpił naprzód drugi z nich. Był wyraźnie starszy i łysy, jeśli nie liczyć srebrzystej siwizny, a twarz miał łagodniejszą, wąską — i bystrą, pomyślała Bisesa. Położył dłoń na ramieniu Hefajstiona i przemówił do de Morgana spokojniejszym głosem.

Twarz de Morgana rozjaśniła się.

— Och, dzięki Bogu — prawdziwy Grek! Jego język jest archaiczny, ale przynajmniej umie mówić jak należy, nie jak ci Macedończycy…

W ten sposób, za pośrednictwem podwójnego tłumaczenia de Morgana i starszego mężczyzny, który nazywał się Eumenes, Bisesa była w stanie zrozumieć, o co chodzi. Podała ich imiona i pokazała palcem w tył, na dolinę Indusu.

— Jesteśmy z grupą wojska — powiedziała. — Daleko w górze doliny…

— Jeżeli to prawda, powinniśmy się na was natknąć już przedtem — warknął Eumenes.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nic w jej dotychczasowym życiu nie przygotowało ją do takiego wydarzenia. Wszystko było dziwne, wszystko dotyczące tych ludzi z głębi czasu. Byli niscy, brudni, pełni wigoru, potężnie umięśnieni, wydawali się bliżsi zwierząt niż ludzi. Zastanawiała się, jak ona wygląda w ich oczach.

Eumenes zrobił krok w przód. Obszedł Bisesę dookoła, dotykając tkaniny jej ubioru. Jego palce zatrzymały się na dłużej koło kolby jej pistoletu i Bisesa zesztywniała, ale na szczęście zostawił ją w spokoju.

— Nie ma w tobie nic znajomego.

— Bo teraz wszystko jest inne. — Pokazała na niebo. — Musieliście to widzieć. Słońce, pogoda. Nic nie jest takie jak przedtem. Zabrano nas w podróż wbrew woli, nie rozumiemy tego. Tak jak i wy. A mimo to znaleźliśmy się razem. Może moglibyśmy sobie nawzajem pomóc.

Eumenes uśmiechnął się.

— Przez ostatnie sześć lat podróżowałem wraz z armią boga-króla przez rozmaite dziwne krainy i zdobywaliśmy wszystko, co

napotkaliśmy. Bez względu na to, jaka dziwna siła zachwiała tym światem, wątpię, czy powinniśmy się jej obawiać…

Ale w tym momencie rozległ się krzyk, który niósł się przez cały obóz. Ludzie zaczęli biec ku rzece, tysiące ich ruszyło w jednej chwili, jak gdyby wiatr powiał nad polem traw. Podbiegł posłaniec i powiedział coś szybko do Eumenesa i Hefajstiona.

Bisesa spytała de Morgana:

— O co chodzi?

— Zbliża się — powiedział faktor. — W końcu przybywa. Kto?

— Król…

Rzeką płynęła mała flotylla statków. W większości były to szerokie, płaskodenne barki albo wspaniałe tryremy z wydętymi fioletowymi żaglami. Ale statek płynący na czele flotylli był mniejszy i nie miał żagla; pchały go do przodu ramiona piętnastu par wioślarzy. Nad sterem znajdował się daszek, obszyty fioletowymi i srebrnymi nićmi. Kiedy statek zbliżył się do obozu, daszek podniesiono i oczom zgromadzonych na brzegu ukazał się człowiek otoczony sługami, leżący na czymś, co wyglądało jak pozłacane łóżko.

Przez tłum przebiegł pomruk. Bisesa i de Morgan, zapomniani przez wszystkich poza strażnikami, parli wraz z innymi w stronę niskiego brzegu.

Bisesa zapytała:

— Co oni teraz mówią?

— Że to podstęp — odparł de Morgan. — Że Król nie żyje, że to tylko jego zwłoki, które powracają na pogrzeb.

Statek dobił do brzegu. Na rozkaz Hefajstiona grupa żołnierzy ruszyła do przodu z rodzajem noszy. Ale ku ogólnemu zaskoczeniu człowiek na łóżku poruszył się. Odprawił gestem żołnierzy z noszami, po czym powoli, z wysiłkiem, z pomocą swych odzianych w białe szaty sług, podniósł się na nogi. Tłum stojący na brzegu w milczeniu obserwował jego zmagania. Mężczyzna miał na sobie tunikę z długimi rękawami, fioletową pelerynę i ciężki pancerz. Peleryna była przetykana i obszyta złotem, a tunika bogato zdobiona wzorami przedstawiającymi promienie słońca i rozmaite postacie.

Był niski i krępy, jak większość Macedończyków. Był gładko ogolony, a brązowe włosy z przedziałkiem pośrodku, zaczesane do tyłu, były na tyle długie, że dotykały ramion. Ogorzała twarz znamionowała siłę, była szeroka i przystojna, a spojrzenie spokojne i przenikliwe. Kiedy stanął naprzeciw zgromadzonego na brzegu tłumu, trzymał głowę dziwnie przechyloną na bok, tak że oczy miał uniesione, a usta otwarte.

— Wygląda jak gwiazda rocka — szepnęła Bisesa. — A głowę trzyma jak księżna Diana. Nic dziwnego, że go kochają…

Przez tłum przebiegł kolejny pomruk.

— To on — wyszeptał de Morgan. — To właśnie mówią. — Bisesa zerknęła na niego i zaskoczona ujrzała łzy w jego oczach. — To on! To Aleksander we własnej osobie! Mój Boże, mój Boże.

Wybuchły owacje, które rozprzestrzeniały się jak ogień w suchej trawie, a ludzie wymachiwali pięściami, włóczniami, mieczami. Rzucano kwiaty i na pokład statku spadł delikatny deszcz płatków.

20. Miasto namiotów

O świcie, w dwa dni po wyruszeniu, mongolski wysłannik powrócił. Wydawało się, że los kosmonautów został postanowiony.

Sabie trzeba był obudzić szturchaniem. Kola już czuwał, z oczami zapuchniętymi od bezsenności. W przesyconym stęchlizną mroku jurty, w której dzieci delikatnie chrapały na swych posłaniach, kosmonautom przyniesiono śniadanie złożone z lekko przaśnego chleba oraz miskę czegoś, co przypominało gorącą herbatę. Była aromatyczna, przypuszczalnie sporządzona z rosnących na stepie ziół i traw i okazała się zaskakująco orzeźwiająca.

Kosmonauci poruszali się sztywno. Oboje szybko powracali do siebie po pobycie na orbicie, ale Kola tęsknił za gorącym prysznicem czy chociażby możliwością umycia twarzy.

Wyprowadzono ich z jurty i pozwolono im się załatwić. Niebo pojaśniało, a pokrywa chmur wydawała się dziś stosunkowo cienka. Kilku koczowników klęczało zwróconych na południe i wschód, oddając cześć rodzącemu się dniowi. Był to jeden z niewielu publicznych przejawów ich uczuć religijnych; Mongołowie byli wyznawcami szamanizmu i wystrzegali się publicznych rytuałów, zastępując je wróżbami, egzorcyzmami i praktykami magicznymi, odbywanymi w zaciszu swych jurt.

Kosmonautów zaprowadzono do małej grupy mężczyzn. Osiodłano sześć koni, a dwa zaprzężono do małego wozu na drewnianych kołach. Konie były masywne i wyglądały na niezdyscyplinowane, podobnie jak ich właściciele, którzy rozglądali się wokół niecierpliwie, jak gdyby chcieli mieć już ten przykry obowiązek za sobą.

— W końcu stąd wyjeżdżamy — mruknęła Sabie poważnie. — Oto nadchodzimy, cywilizacjo.

— Jest takie powiedzenie — ostrzegł Kola. — Wpaść z deszczu…

— Rusz dupę.

Kosmonautów popchnięto w stronę wozu. Musieli się nań wgramolić z wciąż związanymi rękami. Kiedy usiedli na gołych deskach, zbliżył się do nich jakiś Mongoł wyglądający na siłacza nawet przy swoich pobratymcach i zaczął do nich głośno mówić. Jego chropawa twarz była pofałdowana jak mapa plastyczna.

Sabie zapytała:

— Co on mówi?

— Nie mam pojęcia. Ale pamiętam, że widzieliśmy go już przedtem. Myślę, że to ich wódz. I ma na imię Scacatai. — Wódz przyszedł im się przyjrzeć podczas pierwszych godzin niewoli.

— Ten dupek ma zamiar zbić na nas kapitał. Jakich słów wtedy

użyłeś?

— *Darughachi. Tengri.*

Sabie popatrzyła gniewnie na Scacataia.

— Chwytasz? *Tengri, Tengri.* Jesteśmy ambasadorami Boga. I nie mam zamiaru jechać do Domu Uciech z rękami związanymi na plecach. Rozwiąż nas albo usmażę ten twój tyłek na wolnym ogniu.

Oczywiście Scacatai nic z tego nie zrozumiał, ale ton Sabie odniósł skutek. Po dalszej niezrozumiałej dla obu stron wymianie zdań skinął na jednego ze swych synów, który rozciął więzy Sabie i Koli.

— Dobra robota — powiedział Kola, masując przeguby.

— To małe piwo — powiedziała Sabie. — Teraz następna sprawa. — Zaczęła pokazywać na Sojuz i na spadochron leżący pod jedną z jurt. — Chcę mieć to, co moje. Przynieś go do wozu. I to, co ukradłeś z Sojuza… — Musiała niemało gestykulować, żeby wytłumaczyć, o co chodzi, ale wreszcie Scacatai niechętnie kazał swym ludziom załadować spadochron, a z jurty przyniesiono część ich ekwipunku. Niebawem na wozie leżał spadochron, skafandry kosmiczne i pozostałe rzeczy. Kola sprawdził, czy są tam awaryjne zestawy medyczne i rakietnice — oraz sprzęt radioamatorski, który stanowił jedyną nić łączącą ich ze światem zewnętrznym, z Caseyem i pozostałymi w Indiach.

Sabie pogrzebała w rzeczach i wydobyła tratwę ratunkową. Wręczyła ją uroczyście Scacataiowi.

— Proszę — powiedziała. — Dar niebios. Kiedy odjedziemy, wyciągnij tę zatyczkę, o tak. Kapujesz? — Pokazała parę razy, co ma zrobić, aż stało się jasne, że Mongoł zrozumiał. Następnie skłoniła się, a Kola poszedł za jej przykładem, po czym wdrapali się na wóz.

Jeźdźcy ruszyli. Jeden z nich chwycił linę, do której były uwiązane konie ciągnące wóz i pojazd ciężko potoczył się naprzód.

— Dzięki za baraninę, koleś — zawołała Sabie.

Kola przyjrzał się jej. Stopniowo, od stanu całkowitej słabości i bezbronności, zaczynała panować nad sytuacją. Wydawało się, że w ciągu tych kilku dni po wylądowaniu wywietrzał z niej cały strach, że uczyniła to wysiłkiem woli, ale jej determinacja sprawiała, że Kola poczuł się zaniepokojony.

— Masz tupet, Sabie. Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Kobieta nie zostanie astronautką, jeśli nie nauczy się być twarda. Zresztą fajnie jest opuszczać to miejsce w lepszym stylu, niż tu przybyliśmy…

Rozległ się głośny huk i chór pomieszanych krzyków. Scacatai wyciągnął zatyczkę tratwy ratunkowej. Mongołowie wpatrywali się z rozdziawionymi ustami w ów jasnopomarańczowy przedmiot, który nagle pojawił się znikąd. Zanim wioska znikła w oddali, dzieci zaczęły wskakiwać na nadmuchaną tratwę.

Grupa posuwała się zdumiewająco szybko naprzód. Jeźdźcy całymi godzinami jechali kłusem i Kola był pewien, że posuwając się w tym tempie zwierzęta szybko się zmęczą, ale konie były najwyraźniej nawykłe do takiej jazdy. Mongołowie posilali się na siodłach i oczekiwali, że kosmonauci uczynią to samo. Nawet nie zatrzymywali się, żeby się załatwić i Sabie i Kola nauczyli się uchylać, kiedy wiatr zwiewał w ich stronę strumień moczu któregoś z jeźdźców.

Kiedy tak podróżowali, Kola od czasu do czasu dostrzegał w oddali jakby iskry unoszące się nieruchomo nad ziemią. Zastanawiał się, czy są to owe „Oczy", które opisywał Casey. A jeżeli tak, to czy pojawiły się na całym świecie? Chętnie by zbadał jedno z nich, ale ich szlak nigdy nie przebiegał w ich pobliżu, a Mongołowie nie przejawiali żadnego zainteresowania.

Zanim słońce znalazło się w najwyższym punkcie swej drogi, przybyli do czegoś w rodzaju stacji przesiadkowej. Było to zaledwie skupisko jurt na pustym skądinąd stepie, ale na zewnątrz stało uwiązanych kilka koni i Kola dostrzegł w oddali stado innych. Kiedy się zbliżyli, jeźdźcy pociągnęli za dzwonek i właściciele stacji wybiegli na zewnątrz. Jeźdźcy przeprowadzili z nimi szybkie pertraktacje, zmienili konie i ruszyli w dalszą drogę.

Sabie narzekała:

— Mogłam skorzystać z przerwy. Wstrzymywanie się jest dosyć trudne.

Kola popatrzył na oddalającą się stację przesiadkową. — Myślę, że to musi być *yarn*.

— Co takiego?

— Swego czasu Mongołowie władali całą Eurazją od Węgier po Morze Południowochińskie. Zjednoczenie całości zapewniał szybki system komunikacyjny — układ dróg i stacji przesiadkowych, gdzie można było zmieniać konie. Podobny system mieli Rzymianie. Kurier mógł pokonać dwieście lub trzysta kilometrów dziennie.

— Tu nie ma właściwie żadnej drogi. Podróżujemy otwartym stepem. Więc jak ci faceci odnaleźli to miejsce?

— Mongołowie uczą się jeździć, jeszcze zanim nauczą się chodzić — powiedział Kola. — Żeby pokonywać rozległe równiny, muszą być doskonałymi nawigatorami. Prawdopodobnie nawet nie muszą się nad tym zastanawiać.

Nawet kiedy nadeszła noc, Mongołowie jechali dalej. Spali w siodłach, gdy jeden lub dwóch z nich prowadziło pozostałych. Podskakiwanie wozu sprawiło, że Sabie nie mogła zasnąć. Ale Kola, wyczerpany dwiema bezsennymi nocami, zestresowany, w bogatym w tlen stepowym powietrzu, spał od zmierzchu do świtu.

Czasami jednak jeźdźcy wahali się. Musieli przekraczać osobliwe

prostoliniowe granice między nagim, wypalonym stepem a obszarami porośniętymi jasnozieloną trawą oraz innymi, zasłanymi więdnącymi kwiatami i jeszcze innymi, gdzie w zacienionych miejscach leżały zwały topniejącego śniegu.

Dla Koli było oczywiste, że owe podejrzanie prostoliniowe granice to przejścia między dwoma plastrami czasu i że ten step został posklejany z mnóstwa fragmentów, wyrwanych z różnych pór roku, a nawet z różnych epok. Ale tak jak śnieg topił się w cieple, wiosenne kwiaty szybko więdły, a letnia trawa była pokryta plamami i poskręcana. Może po pełnym cyklu pór roku wszystko wróci do normy, pomyślał Kola i te fragmenty zrosną się. Ale podejrzewał, że zbudowanie nowego świata z przemieszczonych w czasie fragmentów starego potrwa więcej niż jeden rok.

Oczywiście mongolscy koczownicy nie byli w stanie nic z tego pojąć. Nawet konie wierzgały i rżały cicho, kiedy pokonywały te dziwne granice.

Raz jeźdźcy, wyraźnie zbici z tropu, zatrzymali się w miejscu, które wydawało się równie puste i niczym niewyróżniające się jak pozostała część stepu. Może, zastanawiał się Kola, przedtem znajdowała się tutaj kolejna stacja przesiadkowa i jeźdźcy nie mogli zrozumieć, dlaczego nie są w stanie jej znaleźć. Stacja przepadła, ale nie w przestrzeni, lecz w czasie. Koczownicy, zdecydowanie praktyczny lud, podeszli do tego spokojnie. Po krótkiej rozmowie pełnej wzruszeń ramionami ruszyli dalej, ale już wolniej; najwyraźniej postanowili, że jeśli nie mogą liczyć na stacje przesiadkowe, muszą oszczędzać konie.

Drugiego dnia po południu charakter krajobrazu zaczął się zmieniać, stając się bardziej nierówny i pagórkowaty. Jechali teraz płytkimi dolinami, przeprawiając się niekiedy przez strumienie i mijając zagajniki porosłe modrzewiami i sosnami. Był to bardziej znajomy krajobraz i Kola poczuł ulgę, że jest z dala od przytłaczającego ogromu niezmiennego stepu. Nawet Mongołowie wydawali się zadowoleni. Kiedy przejeżdżali przez małą kępę drzew, młody człowiek o zwierzęcych rysach twarzy schylił się, żeby zerwać garść dzikiego geranium, które przytroczył do siodła.

Teren był dość gęsto zaludniony. Mijali wiele wiosek, niektóre z nich były duże i rozciągnięte na znacznym obszarze, wszędzie unosił się dym, którego cienkie smużki rozwiewał wiatr. Widać było nawet coś jakby drogi, a przynajmniej pożłobione głębokimi koleinami szlaki. Wydawało się, że ta część imperium Mongołów pozostała prawie nietknięta, choć była pełna dziwnych zderzeń rozmaitych plastrów czasu.

Zbliżyli się do szerokiej, leniwie płynącej rzeki. Był tu prom w postaci platformy ciągnionej przez liny zawieszone nad rzeką.

Platforma była wystarczająco duża, aby załadować na nią jeźdźców, kosmonautów, konie, a nawet wóz i przewieźć ich wszystkich za jednym zamachem.

Kiedy znaleźli się na drugim brzegu, skręcili na południe, posuwając się wzdłuż rzeki. Kola zobaczył, że w pobliżu wije się druga wielka rzeka; zmierzali w stronę potężnej konfluencji. Najwyraźniej koczownicy wiedzieli, gdzie jadą.

Ale u stóp wzgórza, w pobliżu wielkiego zakola jednej z tych rzek, natknęli się na kamienną płytę gęsto pokrytą napisami. Koczownicy zwolnili i zaczęli się jej przyglądać.

Kola powiedział ponuro:

— Nie widzieli jej przedtem, to jasne. Ale ja tak.

— Byłeś tutaj?

— Nie. Ale widziałem zdjęcia. Jeżeli mam rację, jest to konfluencja rzek Onon i Balj. A ten pomnik został tu ustawiony w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, jak sądzę.

— Więc to jest maleńki plasterek czasu. Nic dziwnego, że ci faceci tak się mu przyglądają.

— Napis jest przypuszczalnie w języku staromongolskim. Ale nikt nie wie tego na pewno.

— Myślisz, że nasza eskorta potrafi to przeczytać?

— Prawdopodobnie nie. Większość Mongołów to byli analfabeci.

— Więc to jest pomnik? Dla upamiętnienia czego?

— Osiemsetnych urodzin…

Ruszyli dalej i minęli ostatni grzbiet. I wtedy rozpostarła się przed ich oczyma, położona na porośniętej bujną zielenią równinie, kolejna wioska z mnóstwem jurt, nie, nie wioska, nagle uświadomił sobie Kola, to było miasto.

Musiały tam być tysiące namiotów, tworzących regularną siatkę i zajmujących wiele hektarów ziemi. Niektóre jurty wydawały się nie większe niż te w wiosce Scacataia, w głębi stepu, ale w środku wznosiła się o wiele bardziej okazała konstrukcja, olbrzymi kompleks połączonych ze sobą pawilonów. Wszystko otaczał mur, ale były tam także „przedmieścia", coś jak dzielnice nędzy, pełne prymitywnych jurt ściśniętych na zewnątrz muru. Brudne drogi przecinały równinę we wszystkich kierunkach, prowadząc do bram w murze. Na drogach panował duży ruch, a wewnątrz samego miasta z jurt wznosił się w niebo dym, mieszając się z jasnobrązowym smogiem wiszącym nad miastem.

— Chryste — powiedziała Sabie. — To jak zbudowany z namiotów Manhattan.

Być może. Ale na zielonej ziemi za miastem Kola dojrzał ogromne stada owiec, kóz i koni, które pasły się spokojnie.

— Dokładnie tak, jak mówią legendy — mruknął. — Zawsze byli

tylko koczownikami. Panowali nad światem, a mimo to troszczyli się tylko o to, żeby ich stada miały się gdzie paść. A gdy nadejdzie czas, aby ruszyć na zimowe pastwiska, całe to miasto zostanie zlikwidowane i przeniesione na południe…

Konie raz jeszcze ruszyły do przodu i posuwając się niskim grzbietem, grupa pojechała w stronę miasta.

W bramie zatrzymał ich strażnik w niebieskiej, ozdobionej gwiazdami tunice i filcowej czapce.

Sabie powiedziała:

— Myślisz, że nasi opiekunowie próbują nas sprzedać?

— Może będą chcieli dostać łapówkę. Ale w tym imperium wszystko należy do rządzącej arystokracji — Złotej Rodziny. Ludzie Scacataia nie mogą nas sprzedać — już jesteśmy własnością Cesarza.

W końcu grupie pozwolono ruszyć dalej. Dowódca straży przydzielił im specjalny pododdział i Sabie, Kola oraz jeden z ich mongolskich towarzyszy, a także wóz wyładowany ich rzeczami został wpuszczony do miasta.

Posuwali się szeroką ulicą, kierując się prosto do wielkiego kompleksu namiotów w centrum. Ziemię pokrywało grząskie błoto. Jurty były tutaj okazałe, a niektóre z nich ozdobiono bogatymi tkaninami. Ale pierwszym wrażeniem Koli był wszechobecny smród, jak w wiosce Scacataia, tylko że spotęgowany tysiąckrotnie; omal nie zaczął się krztusić.

Ulice były zatłoczone i to nie tylko przez Azjatów. Byli tu Chińczycy, a może także i Japończycy, ludzie ze Środkowego Wschodu, być może Persowie czy Ormianie, Arabowie, a nawet okrągłoocy Europejczycy. Ludzie ci byli odziani w pięknie uszyte tuniki, buty i czapki, a szyje, przeguby i palce wielu z nich ozdabiały wspaniałe klejnoty. Jarmarczne kombinezony kosmonautów przyciągały uwagę niektórych, podobnie jak skafandry kosmiczne i pozostałe rzeczy leżące na wozie, ale nikt nie wydawał się tym jakoś szczególnie zainteresowany.

— Są przyzwyczajeni do obcych — powiedział Kola. — Jeżeli mamy rację co do naszego położenia w czasie, jest to stolica imperium kontynentalnego. Nie wolno nam nie doceniać tych ludzi.

— Och, oczywiście — powiedziała Sabie ponuro.

Kiedy zbliżyli się do centralnego kompleksu pawilonów, obecność żołnierzy stała się bardziej widoczna. Kola zobaczył łuczników i szermierzy, uzbrojonych i gotowych do walki. Nawet ci, którzy nie byli na służbie, gniewnie patrzyli na przechodzącą grupę, przerywając jedzenie i grę w kości. Tego wielkiego namiotu musiało strzec z tysiąc żołnierzy.

Dotarli do pawilonu wejściowego, który był tak duży, że łatwo mógłby pomieścić całą jurtę Scacataia. Nad wejściem wisiały białe

ogony jaków. Nastąpiły kolejne pertraktacje, po czym do wnętrza kompleksu wysłano posłańca.

Powrócił w towarzystwie wysokiego człowieka, najwyraźniej Azjaty, o zdumiewająco niebieskich oczach, odzianego w misternie haftowaną kamizelkę i pantalony. Człowiek ten przyprowadził ze sobą grupę doradców. Przyglądał się kosmonautom i ich ekwipunkowi, przejechał ręką po materiale kombinezonu Sabie i oczy mu się zwęziły ze zdumienia. Zamienił kilka niezrozumiałych zdań ze swymi doradcami. Potem pstryknął palcami, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Służący zaczęli wynosić rzeczy kosmonautów.

— Nie — głośno powiedziała Sabie. Kola skulił się wewnętrznie, ale Sabie nie ustępowała. Wysoki mężczyzna powoli się obrócił i popatrzył na nią oczyma rozszerzonym ze zdziwienia.

Sabie podeszła do wozu, wzięła spadochron i rozłożyła go przed wysokim mężczyzną.

— To wszystko to nasza własność. *Darughachi Tengri.* Ty rozumieć? To należy do nas. A ten materiał to nasz dar dla Cesarza, dar niebios.

Kola powiedział nerwowo: — Sabie…

— Naprawdę mamy niewiele do stracenia, Kola. Zresztą to ty zacząłeś tę komedię.

Wysoki mężczyzna zawahał się. Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. Warknął, wydając jakieś rozkazy i jeden z jego doradców pobiegł w głąb kompleksu.

— Wie, że blefujemy — powiedziała Sabie. — Ale nie wie, co o nas myśleć. To niegłupi facet.

— Jeżeli jest tak niegłupi, powinniśmy być ostrożni. Doradca powrócił z jakimś Europejczykiem. Był to niski, chuchrowaty człowieczek, który mógł mieć około trzydziestu lat, ale z powodu grubej warstwy brudu i nierówno przystrzyżonych włosów i brody trudno było mieć pewność. Obrzucił dwójkę kosmonautów szybkim, taksującym spojrzeniem. Następnie szybko coś powiedział do Koli.

— To brzmi jak francuski — powiedziała Sabie.

I tak rzeczywiście było. Miał na imię Basil i urodził się w Paryżu.

W czymś w rodzaju poczekalni służąca podała im jedzenie i picie — trochę przyprawionego mięsa i rodzaj lemoniady. Była młodą, pulchną dziewczyną, liczącą nie więcej niż czternaście czy piętnaście lat; była skąpo ubrana. Też wyglądała trochę na Europejkę, miała oczy pozbawione wyrazu. Kola zastanawiał się, jak daleko jest jej rodzinny dom.

Zamiar wysokiej osobistości wkrótce stał się jasny. Basil biegle znał mongolski i miał służyć jako tłumacz.

— Oni przypuszczają, że wszyscy Europejczycy mówią tym samym językiem — powiedział Basil — od Uralu aż po Atlantyk. Ale

ponieważ są tak daleko od Paryża, to zrozumiały błąd…

Francuski Koli był zupełnie dobry, w istocie lepszy niż jego angielski. Jak w wypadku wielu rosyjskich uczniów uczono go francuskiego jako drugiego języka. Ale wersja francuszczyzny, jakiej używał Basil, która pochodziła z okresu zaledwie kilkuset lat po narodzinach samego narodu, była trudna do zrozumienia.

— To jak spotkać Chaucera — wyjaśnił Kola Sabie. — Pomyśl, jak bardzo angielski zmienił się od tego czasu… tylko że Basil musiał się urodzić ponad sto lat przed Chaucerem. — Ale nazwisko Chaucera nic Sabie nie mówiło.

Basil był bystry, miał elastyczny umysł — Kola przypuszczał, że gdyby tak nie było, nie zaszedłby tak daleko — i zaledwie w parę godzin udało im się osiągnąć zadowalające porozumienie.

Basil powiedział, że jest kupcem, że przybył do stolicy świata, aby zbić fortunę.

— Kupcy kochają Mongołów — powiedział. — Oni otworzyli przed nami wschód! Chiny, Korea… — Chwilę trwało, zanim zorientowali się, jakich nazw używa na określenie znanych im miejsc. — Oczywiście większość kupców to muzułmanie i Arabowie, większość ludzi we Francji nie wie, że Mongołowie w ogóle istnieją…! — Basil chciał przy okazji upiec własną pieczeń i zaczął zadawać pytania, skąd kosmonauci przybyli, czego chcą i co ze sobą przywieźli.

Wtrąciła się Sabie.

— Słuchaj no, koleś, nie potrzebujemy agenta. Twoim zadaniem jest tłumaczyć nasze słowa temu — temu wysokiemu człowiekowi.

— Yeh-lii — powiedział Basil. — On się nazywa Yeh-lii Ch'u-ts'ai. Jest Khitanem…

— Zaprowadź nas do niego — powiedziała Sabie.

Choć Basil się opierał, jej stanowczy ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości i to bez potrzeby tłumaczenia. Basil klasnął w dłonie, na co pojawił się szambelan i poprowadził ich do samego Yeh-lii.

Szli ze schylonymi głowami wyłożonymi filcem korytarzami; stropy nie były przewidziane dla ludzi ich wzrostu.

W małej komnacie, w rogu owego pałacu namiotów, na niskiej sofie, spoczywał Yeh-lii. U jego boku kręcili się służący. Na podłodze przed nim leżały rozłożone wyblakłe rysunki, które wyglądały jak mapy, rodzaj kompasu, klocki pokryte rzeźbami postaci, które trochę przypominały postacie buddyjskie oraz stos małych przedmiotów — kilka klejnotów i małe monety. Kola odgadł, że specjalnością tego człowieka jest astrologia. Wytwornym gestem Yeh-lii zaprosił ich, aby usiedli na niskich sofach.

Yeh-lii był cierpliwy; zmuszony porozumiewać się z nimi za pośrednictwem niepewnego łańcucha tłumaczeń Basila i Koli zapytał,

jak się nazywają i skąd przybyli. Usłyszawszy odpowiedź, która stała się ich odpowiedzią szablonową — z *Tengri,* czyli z Niebios — przewrócił oczami. Mógł być astrologiem, ale nie był głupcem.

— Musimy przedstawić lepsze wyjaśnienie — powiedział Kola.

— Co ci ludzie wiedzą o geografii? Czy chociaż wiedzą, jaki kształt ma Ziemia?

— Nie mam zielonego pojęcia.

Sabie żwawo zerwała się na nogi, uklękła i odsunąwszy filcową matę, odsłoniła pokrytą pyłem ziemię. Koniuszkiem palca zaczęła szkicować prymitywną mapę: Azja, Europa, Indie, Afryka. Postukała palcem w sam środek rysunku.

— Jesteśmy tutaj…

Kola przypomniał sobie, że Mongołowie zawsze orientowali się na południe, podczas gdy mapa Sabie była zorientowana na północ; po odwróceniu kierunków wszystko stało się o wiele bardziej zrozumiałe.

— Patrzcie — powiedziała Sabie. — Tutaj mamy Ocean. — Przeciągnęła palcami po obszarze na zewnątrz kontynentów, rysując pofałdowane koło. — Przybyliśmy z daleka, zza Oceanu. Lecieliśmy jak ptaki na naszych pomarańczowych skrzydłach… — To niezupełnie była prawda, ale było to bliskie prawdy i Yeh-lii wydawał się na razie przyjmować takie wyjaśnienie.

Basil powiedział:

— Yeh-lii pyta o *yam.* Rozesłał jeźdźców na wszystkie główne szlaki. Ale niektóre z nich uległy przerwaniu. Mówi, że wie, iż na świecie wystąpiło wielkie zakłócenie. Pragnie wiedzieć, co z tego rozumiecie i co to oznacza dla imperium.

— Nie wiemy — powiedziała Sabie. — Taka jest prawda. Jesteśmy ofiarami tej osobliwej zmiany tak samo jak wy.

Wydawało się, że Yeh-lii to akceptuje. Podniósł się leniwie i przemówił znowu.

Basil wydał stłumiony okrzyk podniecenia.

— Sam Cesarz jest pod wrażeniem waszego daru, tej pomarańczowej tkaniny i pragnie was widzieć.

Spojrzenie Sabie stwardniało.

— Teraz wreszcie coś się ruszyło.

Wstali, po czym szybko uformowała się grupa, na której czele szedł Yeh-lii, Sabie, Kola i Basil w środku, a wokół nich falanga muskularnych strażników.

Kola zesztywniał ze strachu.

— Sabie, musimy być ostrożni. Pamiętaj, że jesteśmy własnością Cesarza. On rozmawia tylko z członkami własnej rodziny i może kilkoma najważniejszymi współpracownikami, takimi jak Yeh-lii. Nikt inny się nie liczy.

— Tak, tak, jasne. Dobrze nam idzie, Kola. Jesteśmy tu zaledwie

parę dni, a już zaszliśmy tak daleko… Teraz po prostu będziemy musieli zmienić punkt widzenia.

Wprowadzono ich do znacznie bardziej okazałej komnaty. Ściany były obwieszone bogato haftowanymi gobelinami, a podłogi pokryte kilkoma warstwami chodników i dywanów tak grubych, że tworzyły miękkie podłoże. Miejsce było pełne ludzi. Wokół kłębili się dworzanie, a pod ścianami, na których wisiała różnoraka broń, stali muskularni żołnierze, obserwując kosmonautów i wszystkich innych, nawet siebie samych. W rogu jurty cicho przygrywała orkiestra lutniowa. Wszystkie instrumentalistki — były nimi bardzo młode dziewczyny — były olśniewająco piękne.

Ale mimo tego wielkiego bogactwa była to wciąż zwykła jurta, pomyślał Kola, a panujący wokół smród tłustego mięsa i nieświeżego mleka był równie dojmujący jak w skromnym domu Scacataia.

— Barbarzyńcy — mruknął. — Nie wiedzieli, czym są miasta i gospodarstwa; traktowali je wyłącznie jako źródło łupów. Plądrowali świat, ale sami wciąż żyli jak pastuchy, napełniając swe namioty skarbami. A w naszych czasach ich potomkowie są ostatnimi koczownikami na świecie, wciąż uwiązani do swych barbarzyńskich korzeni…

— Zamknij się — syknęła Sabie.

Idąc za Yeh-lii, powoli dotarli do środka jurty. Wokół tronu, który stanowił centrum tego wielkiego obszaru, stało kilku młodzieńców. Wyglądali bardzo podobnie. Może to synowie Cesarza, pomyślał Kola. Było tu też wiele kobiet, które siedziały wokół tronu. Wszystkie były ładne, choć niektóre wyglądały na sześćdziesiąt lat; młodsze z nich były olśniewająco piękne. Żony czy konkubiny?

Yeh-lii odsunął się na bok i stanęli przed samym Cesarzem.

Wyglądał na mniej więcej sześćdziesiąt lat. Siedząc na bogato rzeźbionym tronie, nie wydawał się wysoki. Ale był szczupły i trzymał się prosto, robił wrażenie, że jest w bardzo dobrej formie. Twarz miał pełną i niczym specjalnym się nie wyróżniał — był typowym Azjatą — włosy miał lekko przyprószone siwizną i starannie wypielęgnowaną brodę. W dłoni trzymał kawałek tkaniny spadochronu i bacznie się im przyglądał. Następnie obrócił się i coś powiedział do jednego ze swych doradców.

— Ma oczy kota — powiedziała Sabie.

— Sabie, wiesz, kto to jest, prawda?

— Oczywiście. — Ku jego zdziwieniu była bardziej podniecona niż przestraszona.

Czyngis-chan obserwował ich swymi czarnymi, nieodgadnionymi oczyma.

21. Powrót do Jamrud

O świcie Bisesę obudziło granie trąbek. Kiedy przeciągając się, wyszła z namiotu, świat wypełniała niebieskoszara poświata. Na obszarze całej delty powietrze wypełniał dźwięk trąbek wraz z dymem nocnych ognisk.

Naprawdę znajdowała się w obozie Aleksandra Wielkiego; to nie był sen ani koszmar. Ale rankami najbardziej brakowało jej Myry i tęskniła za córką, nawet w tym zdumiewającym miejscu.

Podczas gdy Król i jego doradcy naradzali się, co robić, Bisesa, de Morgan i inni spędzili noc w obozie, w delcie Indusu. Przybyszy z przyszłości, „nowożytnych", trzymano pod strażą, ale przydzielono im osobny namiot, żeby mogli się przespać. Namiot był wykonany ze skóry. Zniszczony i podrapany, śmierdział końmi, jedzeniem, dymem i żołnierskim potem. Ale był to namiot oficerski i jedynie Aleksander i jego generałowie mieli bardziej luksusowe kwatery. Poza tym wszyscy byli żołnierzami nawykłymi do niewygód; wszyscy oprócz Cecila de Morgana, a ten zrozumiał, że lepiej nie narzekać.

De Morgan rzeczywiście milczał przez całą noc, ale oczy miał pełne życia. Bisesa podejrzewała, że kalkuluje, jak wielki wpływ na rozwój wypadków może mieć w swej nowej roli niezastąpionego tłumacza. Ale narzekał na „barbarzyński" akcent Macedończyków.

— Zmieniają "ch" w „g", a „th" w „d". Kiedy mówią „Filip", to brzmi jak „Bilip"…

Kiedy zrobiło się jasno, Eumenes, królewski sekretarz, wysłał do namiotu Bisesy szambelana, aby powiadomić ich o decyzji Króla. Większa część armii miała tu na razie pozostać, ale oddział — zaledwie tysiąc żołnierzy! — uda się doliną Indusu do Jamrud. Większość z nich będą stanowili tarczownicy; będą to oddziały szturmowe, używane w takich operacjach jak nocne wypady i przymusowe marsze, którym powierzono ochronę Aleksandra. W tej wyprawie miał wziąć udział sam Król wraz z Eumenesem oraz swoim ulubieńcem i kochankiem, Hefajstionem. Aleksander był najwyraźniej zaintrygowany perspektywą zobaczenia tych żołnierzy z przyszłości w ich fortecy.

Armia Aleksandra, zahartowana latami nieustannych walk, była niezwykle zdyscyplinowana i w ciągu zaledwie kilku godzin wszystkie przygotowania zakończono, po czym wydano rozkaz wymarszu.

Na przedzie ustawili się piechurzy z bronią i lekkimi plecakami. Każda jednostka, zwana *dekas,* choć zwykle składała się z szesnastu żołnierzy, miała swego służącego i grupę zwierząt, które dźwigały ich ekwipunek. Tymi zwierzętami były głównie muły, ale było też kilka cuchnących wielbłądów. Oprócz piechoty, miało im towarzyszyć

kilkuset konnych Aleksandra. Konie przypominały dziwne małe bestie; telefon Bisesy powiedział, że pochodzą prawdopodobnie z hodowli europejskiej lub środkowoazjatyckiej i w oczach ludzi przywykłych do widoku arabów wydawały się nieforemne. Miały jedynie miękkie skórzane podkowy, które z pewnością szybko się rozpadną na kamienistej i nierównej ziemi. Nie miały też strzemion; ci niscy, silni mężczyźni mocno ściskali nogami boki swych koni i kierowali nimi za pomocą paskudnie wyglądających wędzideł.

Bisesa i Brytyjczycy mieli podróżować z macedońskimi oficerami, którzy szli pieszo tak jak ich żołnierze, a nawet jak towarzysze i generałowie Króla. Jedynie Król z powodu odniesionych ran musiał jechać na wozie ciągnionym przez kilka koni. Razem z nim jechał jego osobisty lekarz, Grek imieniem Filip.

Ale kiedy wyruszyli, Bisesa zdała sobie sprawę, że tysiąc żołnierzy ze swym ekwipunkiem, służącymi, zwierzętami jucznymi i oficerami to tylko rdzeń całej kolumny. Za nimi ciągnął tłum kobiet i dzieci, handlarzy z wyładowanymi wozami, a nawet kilku pastuchów prowadzących stado wychudłych owiec. Po kilku godzinach marszu ten obdarty orszak rozciągnął się na długości pół kilometra.

Prowadzenie takiej armii wraz z jej ekwipunkiem przez wiejską okolicę wymagało ogromnego wysiłku, czego nie kwestionował nikt z zainteresowanych. Mimo to, kiedy marsz nabrał właściwego rytmu, żołnierze, z których część już pokonała tysiące kilometrów z Aleksandrem, znosili to bez szemrania, automatycznie stawiając kolejne kroki, tak jak to czynią żołnierze podczas forsownego marszu. Marsz nie był niczym nowym dla Bisesy ani dla brytyjskich żołnierzy i nawet de Morgan znosił wysiłek w milczeniu, okazując hart ducha i determinację, którą Bisesa niechętnie musiała podziwiać. Czasami Macedończycy śpiewali dziwne, tęskne pieśni w nieznanych tonacjach, które w uszach Bisesy brzmiały jakoś fałszywie. Ci ludzie z zamierzchłej przeszłości wciąż wydawali jej się dziwni: niscy, przysadziści, barwni, jak gdyby należeli to zupełnie innego gatunku.

Kiedy tylko nadarzyła się okazja, przyglądała się Królowi.

Siedząc na wspaniałym, ciężkim, złotym tronie i podróżując przez Indie dzięki sile zwierząt, Aleksander miał na sobie pasiastą tunikę, na głowie złoty diadem oplatający fioletową macedońską czapkę, a w dłoni dzierżył berło. Nie miał w sobie zbyt wiele z Greka. Może fakt, że przyjął perskie zwyczaje, był czymś więcej niż dyplomatyczny zabieg; może dał się skusić wspaniałości i bogactwu tego cesarstwa.

Podczas całej podróży, u jego boku siedział potulny prorok, Aristander, brodaty starzec w brudnej białej tunice, o ostrym, taksującym spojrzeniu. Bisesa domyślała się, że ten oficjalny jasnowidz Króla może być zaniepokojony wpływem ludzi z przyszłości na swoją pozycję. Tymczasem perski eunuch imieniem Bagoas opierał

się nonszalancko o oparcie tronu. Był przystojnym, mocno umalowanym młodzieńcem, odzianym w przeświecającą togę i od czasu do czasu głaskał Króla po głowie. Bisesę rozbawiły gniewne spojrzenia, jakie Hefajstion rzucał na tę postać.

Aleksander siedział skulony na swym tronie. Z pomocą telefonu Bisesa bez większych trudności ustaliła, w jakim okresie jego panowania spotkała go na swej drodze. Wiedziała więc, że ma trzydzieści dwa lata i chociaż ciało miał silne, robił wrażenie wyczerpanego. Po wielu latach nieustannej kampanii, kiedy prowadził swych ludzi w wir walki z pełnym poświęcenia męstwem, które niekiedy musiało graniczyć z szaleństwem, Aleksandrowi dawały się we znaki skutki kilku poważnych obrażeń. Wydawało się, że ma nawet trudności z oddychaniem, a kiedy stał, to tylko dzięki wyjątkowej sile woli.

Dziwnie było pomyśleć, że ten wciąż młody człowiek już doszedł do tego, że sprawował rządy na obszarze ponad dwóch milionów kilometrów kwadratowych i że bieg historii zależał od jego kaprysów, a jeszcze dziwniejsze było, gdy człowiek sobie uświadomił, że jego kariera minęła już swe apogeum. Tylko kilka miesięcy dzieliło go od śmierci, a dumni, lojalni oficerowie, którzy mu towarzyszyli, wkrótce zaczną rozszarpywać jego królestwo. Bisesa zastanawiała się, jaki nowy los go teraz czeka.

Po południu przerwano marsz i żołnierze szybko zbudowali rozległe miasteczko namiotów w delcie Indusu.

Gotowanie było, jak się okazało, powolnym i skomplikowanym procesem i upłynęło trochę czasu, zanim zapalono ogniska i jedzenie zaczęło bulgotać w kotłach i garnkach. Ale w międzyczasie było mnóstwo picia, była muzyka, tańce, a nawet improwizowane przedstawienia teatralne. Handlarze rozstawili swoje stragany, a w obozie pojawiło się kilka prostytutek, które po chwili zniknęły w namiotach żołnierzy. Jednak większość obecnych kobiet to były żony albo kochanki żołnierzy. Oprócz Hindusów, byli tu także Macedończycy, Grecy, Persowie, Egipcjanie, a nawet jakieś egzotyczne postacie, których narodowości Bisesa praktycznie nie znała, jak Scytowie czy Baktrianie. Wielu z nich miało dzieci, niektóre po pięć czy sześć lat, których karnacja i kolor włosów zdradzały mieszane pochodzenie i w całym obozie rozlegał się osobliwy gwar zawodzących głosików.

W nocy Bisesa leżała w swoim namiocie i próbowała zasnąć, słuchając płaczu dzieci, śmiechu kochanków i żałosnego zawodzenia pijanych, stęsknionych za domem Macedończyków. Bisesę wyszkolono tak, aby mogła brać udział w kilkugodzinnych misjach latających i zwykle przebywała poza bazą nie więcej niż jeden dzień. Ale żołnierze Aleksandra wyruszyli z Macedonii, przemaszerowali przez całą

Eurazję i dotarli aż do Granicy Północno-Zachodniej. Próbowała wyobrazić sobie, jak to musiało być: towarzyszyć Aleksandrowi przez całe lata, docierać do miejsc tak odległych i niezbadanych, że owa armia mogłaby równie dobrze toczyć walki na księżycu.

Po kilku dniach marszu Macedończycy i ich towarzysze zaczęli się uskarżać na dziwne dolegliwości. Pojawiające się infekcje atakowały bardzo gwałtownie i były nawet ofiary śmiertelne, ale prymitywna wiedza medyczna Bisesy i Brytyjczyków pozwalała na ich rozpoznanie i w pewnym stopniu umożliwiała leczenie. Dla Bisesy było oczywiste, że Brytyjczycy i ona sama przywlekli jakieś wirusy z przyszłości, na które Macedończycy nie byli odporni; podczas swej odysei, byli narażeni na wiele nowych chorób, ale nawet oni nie zdołali pokonać zarazków z odległej przyszłości. Prawdopodobnie wszyscy mieli szczęście, że te infekcje szybko ustąpiły. Nie było oznak infekcji odwrotnych, to znaczy zarażeń Brytyjczyków przez wirusy przenoszone przez Macedończyków. Bisesa przypuszczała, że jakiś epidemiolog mógłby wysmażyć niezły artykuł na temat tej chronologicznej asymetrii.

Dni mijały w nieustannym marszu. Prowadzeni przez zwiadowców Aleksandra oraz dzięki starannym inspekcjom doliny Indusu wracali do Jamrud inną drogą niż ta, którą przyszła Bisesa.

Pewnego dnia, nie więcej niż o kilka dni drogi od Jamrud, dotarli do miasta, którego nikt z nich nie znał. Zatrzymano się i Aleksander wysłał na rozpoznanie grupę zwiadowców, którym towarzyszyła Bisesa i kilku Brytyjczyków.

Miasto było dobrze rozplanowane. Było wielkości dużego centrum handlowego, zbudowane na dwóch kopcach, z których każdy otoczono murem potężnych szańców z wypalonej cegły. Miało szerokie, proste aleje tworzące siatkę prostopadłych ulic i robiło wrażenie, ze jeszcze niedawno było zamieszkane. Ale kiedy zwiadowcy ostrożnie przekroczyli jego bramy, wewnątrz nie znaleźli nikogo, żadnych ludzi.

Nie było na tyle stare, żeby obrócić się w ruinę; było zbyt dobrze zachowane. Takie elementy jak drewniane dachy wciąż były nietknięte. Ale zostało porzucone już jakiś czas temu. Pozostawione meble i ceramika były potłuczone, a jeśli kiedyś było tu jakieś pożywienie, ptaki i psy już dawno je rozkradły i wszystko pokrywał rdzawy, unoszony wiatrem pył.

De Morgan zwrócił uwagę na skomplikowany system kanalizacji i studzienki ściekowe.

— Musimy o tym opowiedzieć Kiplingowi — powiedział ironicznie. — Ruddy to wielki fan kanałów ściekowych. Mówi, że to oznaka cywilizacji.

Ziemia była zadeptana i pokryta koleinami. Kiedy Bisesa zanurzyła dłoń w pyle, stwierdziła, że jest pełen szczątków rozbitych

statków, były tam kawałki potłuczonej ceramiki, bransolety z terakoty, gliniane kulki, fragmenty figurek, kawałki metalu, które wyglądały jak odważniki handlarzy i tabliczki pokryte pismem, którego nie znała. Każdy centymetr kwadratowy ziemi wydawał się zadeptany; pod jej stopami poniewierały się pozostałości sprzed wielu stuleci. To miejsce musiało stanowić jakiś relikt z czasów dawniejszych niż Brytania, dawniejszych nawet niż czasy Aleksandra, na tyle dawnych, że pokrył je pył jej własnej epoki. Był to dowód, że ten fragment świata był kiedyś zamieszkany, że przez długi, długi czas istniała tutaj cywilizacja i że otchłanie czasu, które wydobyła na światło dzienne Nieciągłość, są pełne nieznanego.

Ale miasto było opustoszałe, jak gdyby jego mieszkańcy po prostu spakowali się i odeszli przez kamienistą równinę. Eumenes zastanawiał się, czy w wyniku Nieciągłości rzeki zmieniły bieg i czy ludzie nie udali się w poszukiwaniu wody. Ale to wszystko wydawało się dotyczyć bardzo odległej przeszłości.

Tajemnica tego miasta pozostała nierozwiązana. Żołnierze, zarówno Macedończycy, jak i Brytyjczycy, byli wystraszeni tym pustym, rozbrzmiewającym echem miejscem, tym miastem, które przypominało słynną Marie Celeste. Ruszyli dalej, nie zatrzymując się nawet na noc.

Po kilku dniach marszu kolumna armii Aleksandra dotarła do Jamrud, budząc zdumienie i konsternację po obu stronach.

Casey, który wciąż poruszał się o kulach, pokuśtykał w stronę Bisesy i wziął ją w objęcia.

— Nigdy bym w to nie uwierzył. Ale smród. Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Tak to jest, gdy się je curry przez dwa tygodnie i mieszka w skórzanym namiocie. To dziwne, Jamrud wydaje mi się teraz prawie jak dom, Rudyard Kipling i w ogóle.

Casey chrząknął.

— Coś mi mówi, że to przez jakiś czas będzie dla nas jedyny dom, bo na razie nie widzę żadnego śladu drogi powrotnej. Chodźmy do fortu. Wiesz, co udało się sprokurować Abdikadirowi? Prysznic. Zamierza pokazać tym barbarzyńcom, do czego to służy, w każdym razie tym bystrzejszym…

Kiedy znalazła się w forcie, otoczyli ją Abdikadir, Ruddy i Josh, spragnieni jej wrażeń. Jak można się było spodziewać, Josh nie mógł się jej doczekać i zmarszczył twarz w uśmiechu. A ona cieszyła się, że jest znów w jego towarzystwie.

Zapytał:

— Co myślisz o naszym nowym przyjacielu, Aleksandrze? Bisesa westchnęła ciężko.

— Musimy z nim żyć. Jego siły przewyższają liczebnie nasze — to

znaczy, kapitana Grove'a — mniej więcej w stosunku sto do jednego. Myślę, że w obecnej chwili Aleksander to jedyna tutejsza atrakcja.

— A Bisesa niezawodnie myśli — dodał Ruddy aksamitnym głosem — że Aleksander to fajny facet z tymi swoimi przejrzystymi oczyma i lśniącymi włosami, które spływają mu na ramiona…

Josh zarumienił się wściekły. Ruddy powiedział:

— Co ty na to, Abdi? Nie każdy może stanąć twarzą w twarz z taką rodzinną legendą.

Abdikadir uśmiechnął się i przejechał ręką po swych jasnych włosach.

— Może jednak zastrzelę mego pra-do-entej-potęgi-dziadka i udowodnię, że te wszystkie paradoksy są mimo wszystko fałszywe… — Ale chciał przejść do rzeczy. Palił się, żeby coś Bisesie pokazać i to nie ten swój opatentowany prysznic. — Wybrałem się do tego kawałka dwudziestego pierwszego wieku, który nas tu przywiódł, Biseso. Była tam jaskinia, którą chciałem zbadać…

Zaprowadził ją do magazynu w forcie. Uniósł w górę wielki karabin. Był owinięty brudnymi szmatami, ale naoliwiony metal aż lśnił.

— Mieliśmy raport wywiadu, że to się tutaj znajduje — powiedział. — To był jeden z celów naszej misji tamtego dnia. — Były tam granaty błyskowo-hukowe, kilka starych sowieckich granatów. Schylił się i podniósł jeden z nich; przypominał puszkę umocowaną na patyku. — Niewiele tych zapasów, ale to zawsze coś.

Josh ostrożnie dotknął kolby karabinu.

— Nigdy nie widziałem takiej broni.

— To kałasznikow. W moich czasach to był antyk, broń pozostała po sowieckiej inwazji, to znaczy z pięćdziesiąt lat przed naszą epoką. Wyobrażam sobie, że nadal działa bez zarzutu. Ci bojownicy na wzgórzach zawsze kochali tę broń. Nie ma bardziej niezawodnej. Nawet nie trzeba jej czyścić, czego zresztą wielu spośród nich nigdy nie robiło.

— Maszyny do zabijania z dwudziestego pierwszego wieku — powiedział Ruddy nerwowo. — Niesamowite.

— Pytanie — powiedziała Bisesa — co z tym zrobić. Czy można usprawiedliwić użycie tej broni przeciw, powiedzmy, armii z epoki żelaza, bez względu na szanse?

Ruddy popatrzył na broń.

— Biseso, nie mamy pojęcia, co nas tam czeka. Nie wybraliśmy tej sytuacji i bez względu na to, jaka istota czy zdarzenie rzuciły nas tutaj, niezbyt się przejmowano naszym losem. Chcę powiedzieć, że subtelne kwestie moralne nie mają tu nic do rzeczy i że nakazem chwili jest pragmatyzm. Czy nie było głupio nie zatrzymać tych narzędzi ze stali?

Josh westchnął.

— Jesteś pompatyczny jak zawsze, Ruddy, mój przyjacielu. Ale muszę się z tobą zgodzić.

Oddział armii Aleksandra rozbił obóz o pół kilometra od Jamrud. Wkrótce rozpalono ogniska i oczom Anglików ukazała się zwykła osobliwa mieszanina bazy wojskowej i wędrownego cyrku. Owego pierwszego wieczoru między dwoma obozami panowała ogromna nieufność i zarówno brytyjscy, jak i macedońscy żołnierze nieustannie patrolowali milcząco uzgodnioną granicę.

Ale drugiego dnia lody zaczęły pękać. W rzeczywistości zapoczątkował to Casey. Spędziwszy jakiś czas w strefie granicznej, tkwiąc naprzeciw niskiego, przysadzistego macedońskiego weterana, który wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, Casey za pomocą gestów wyzwał go na pojedynek. Bisesa wiedziała, o co chodzi: był to dość popularny w wojsku zwyczaj, zgodnie z którym trzeba było stanąć do jednominutowej walki pozbawionej wszelkich reguł, w której wszystkie chwyty były dozwolone i po prostu starać się dać przeciwnikowi jak największy wycisk.

Pomimo jego agresywnego nastawienia dla każdego było oczywiste, że jednonogi Casey nie jest w stanie stanąć do takiej walki i pałeczkę przejął kapral Batson. Kiedy rozebrał się do spodni, wyglądał na brata bliźniaka przysadzistego Macedończyka. Szybko zebrał się mały tłumek, a kiedy rozpoczęła się walka, po obu stronach rozległy się okrzyki dopingujące własnego zawodnika.

— Przywal mu, Joe!

— *Alalalalai!*

Casey mierzył czas walki i przerwał ją po regulaminowej minucie, kiedy to Batson oberwał już niemało, a Macedończyk miał chyba złamany nos. Nie było wyraźnego zwycięzcy, ale Bisesa zobaczyła, że stopniowo zaczyna rodzić się wzajemny respekt, szacunek jednego walczącego żołnierza dla drugiego, tak jak zamierzał Casey.

Do następnej walki nie brakowało chętnych. Kiedy jeden z sipajów wyszedł z walki ze złamaną ręką, wkroczyli oficerowie. Ale Macedończycy zaproponowali nowy rodzaj zawodów; tym razem miała to być gra o nazwie *sphaira*. Jak się okazało, ta macedońska tradycja polegała na grze skórzaną piłką, typu łap-i-biegnij, coś w rodzaju brytyjskiego rugby lub amerykańskiego futbolu, ale była o wiele bardziej brutalna. Casey znów wziął w niej udział, wytyczając boisko, uzgadniając reguły gry i obejmując rolę sędziego.

Później kilku brytyjskich żołnierzy próbowało nauczyć Macedończyków zasad krykieta. Serwujący ciskali twardą, korkową piłkę, poobijaną od zbyt częstego używania, w kierunku pasa ziemi, oznakowanego skombinowanymi na poczekaniu palikami, a zawodnicy wybijający piłkę z radością wywijali kijami własnej

produkcji. Bisesa i Ruddy stanęli na chwilę, żeby popatrzeć. Gra toczyła się płynnie, choć wyjaśnienie zasady noga-przed-bramką stanowiło prawdziwe wyzwanie dla umiejętności mimicznych żołnierzy.

Wszystko to odbywało się tuż pod unoszącym się w powietrzu Okiem. Ruddy prychnął.

— Ludzki umysł ma niezwykłą zdolność zapominania o czymś dziwnym.

W wyniku jednego z potężnych drajwów piłka zderzyła się z unoszącym się Okiem. Dźwięk był taki, jakby uderzyła w litą skałę. Odbiła się, wpadając w dłonie gracza drużyny atakującej, który triumfalnie uniósł dłonie w lekceważącym geście wobec zawodnika wybijającego. Bisesa zobaczyła, że Oko nawet nie drgnęło pod wpływem tego uderzenia.

Spierając się ze sobą, gracze zbili się w gromadkę. Ruddy pociągnął się za nos.

— Jeśli dobrze rozumiem, spierają się o to, czy odbicie od Oka się liczy!

Bisesa pokręciła głową.

— Nigdy nie wiedziałam, o co chodzi w tej grze.

Dzięki tym wszystkim inicjatywom pod koniec tego drugiego dnia, napięcie i milcząca wrogość w znacznej mierze ustąpiły Bisesa nie była zaskoczona, widząc szeregowców i sipajów wślizgujących się do macedońskiego obozu. Macedończycy byli zadowoleni, mogąc wymieniać żywność, wino, a nawet takie pamiątki jak buty, hełmy i broń z epoki żelaza na szklane paciorki, organki, fotografie i inne świecidełka. Wyglądało też na to, że niektóre obozowe prostytutki są gotowe oferować swoje usługi tym mężczyznom z przyszłości całkiem za darmo.

Trzeciego dnia Eumenes wysłał do fortu szambelana, który wezwał kapitana Grove'a i jego doradców przed oblicze Króla.

22. Mapa

Tym, czego Kola nienawidził najbardziej, był brud. Po kilku dniach spędzonych w mieście namiotów czuł się tak samo brudny jak Mongoł i tak samo zawszony; w rzeczywistości uważał, że przyciąga pasożyty, będąc źródłem niewykorzystanego, świeżego mięsa. Jeżeli trujące jedzenie dotąd go nie zabiło, prawdopodobnie wykrwawi się na śmierć.

Ale Sabie mówiła, że muszą się przystosować.

— Spójrz na Yeh-lii — powiedziała. — To cywilizowany człowiek. Myślisz, że dorastał pokryty gównem? Jasne, że nie. A jeśli on potrafi to wytrzymać, to ty też.

Oczywiście miała rację. Ale to nie czyniło życia wśród Mongołów ani trochę łatwiejszym.

Czyngis-chan sprawiał wrażenie człowieka cierpliwego.

Na świecie stało się coś niezrozumiałego. I czymkolwiek to było, rozłupało mongolskie imperium, jak tego dowodziło odcięcie *yam,* wielkich, rozsianych po całym imperium stacji przesiadkowych i kurierów. Cóż, Czyngis-chan zbudował imperium raz i bez względu na stan świata uczyni to znowu, on albo jego uzdolnieni synowie. Jednak Yeh-lii radził, aby Czyngis-chan poczekał. Mongołowie zawsze mieli w zwyczaju zebranie informacji, zanim postanowią, w jaki sposób zaatakują, a cesarz słuchał swoich doradców.

Jednakże podczas tych narad Czyngis-chan zdawał sobie sprawę z potrzeby utrzymywania żołnierzy w dobrej formie i zapewnienia im jakiegoś zajęcia. Przygotował surowy program szkolenia obejmujący długie, forsowne marsze i jazdy konne. Zarządził także zorganizowanie *battue.* Miało to być wielkie polowanie na obszarze wielu kilometrów, które potrwa cały tydzień. Będzie stanowić ćwiczenie w prowadzeniu manewrów przy użyciu broni, utrzymując dyscyplinę i łączność. Było to ważne wydarzenie; polowania, jak również wojskowe metody szkolenia tkwiły u podstaw wyobrażenia o sobie, jakiemu hołdowali Mongołowie.

Tymczasem Sabie zwiedzała miasto jurt. Interesowała się zwłaszcza wojskiem, mając nadzieję, że dowie się, jak walczy.

Dla mongolskich wojowników Sabie była utrapieniem. Kola dowiedział się, że choć zwykłym sposobem starania się o rękę panny było porwanie przyszłej żony z jurty sąsiada, kobiety miały zadziwiające wpływy w społeczeństwie Mongołów, jeżeli tylko należały do Złotej Rodziny. Pierwsza żona Czyngis-chana, Borte, mniej więcej w tym samym wieku co cesarz, miała decydujący głos na dworze w podejmowaniu decyzji. Ale kobiety nie walczyły. Wojownicy mieli się na baczności przed tą dziwną kobietą z niebios w

pomarańczowym stroju i nie mieli zamiaru poddawać się jej inspekcjom.

Punkt zwrotny nastąpił, gdy jeden z jeźdźców, upiwszy się sake, zapomniał o mocy niebios i próbował rozedrzeć kombinezon Sabie. Był krępym, potężnym mężczyzną, weteranem pierwszej rosyjskiej kampanii Mongołów i prawdopodobnie był osobiście odpowiedzialny za śmierć setek ludzi, ale nie mógł dać rady sztukom walki z dwudziestego pierwszego wieku. Z obnażoną piersią Sabie w parę sekund powaliła go na ziemię krzyczącego z bólu; miał nogę złamaną w dwóch miejscach.

Po tym zdarzeniu notowania Sabie szybko poszły w górę. Pozwolono jej wchodzić, gdzie tylko chciała, a ona zadbała o to, by opowieść o swym zwycięstwie, odpowiednio ubarwiona dotarła do dworu. Ale Kola zauważył, że Mongołowie zaczęli się jej lękać, a to na pewno nie służyło ich sprawie.

Kiedy do tego doszło i on zaczął się jej lękać. Jej strach dawno minął i w miarę upływu czasu, gdy bezkarnie przekraczała kolejne bariery, nabrała pewności siebie i zdecydowania. Można by pomyśleć, że kiedy znalazła się na tym skrawku trzynastego stulecia, obudziło się w niej coś pierwotnego.

Tymczasem Kola spędzał czas w towarzystwie Yeh-lii, głównego administratora imperium.

Przyszedłszy na świat w jednym z sąsiednich krajów, Yeh-lii dostał się do mongolskiego obozu jako więzień; będąc z wykształcenia astrologiem, szybko zdobył sławę w tym imperium analfabetów. Yeh-lii i innym wykształconym ludziom na dworze dalekowzroczny Czyngis-chan powierzył administrowanie rosnącym imperium.

Yeh-lii wykorzystał Chiny jako model nowego państwa. Wybrał najzdolniejszych spośród więźniów, których Mongołowie przyprowadzili ze swych wypadów do północnych Chin, aby dopomogli mu w realizacji jego projektu i ze zdobytych łupów wydobyli książki i lekarstwa. Kiedyś powiedział skromnie, że podczas epidemii w Mongolii zdołał wielu ludziom uratować życie, stosując chińskie lekarstwa i metody leczenia.

Yeh-lii starał się powściągnąć okrucieństwo Mongołów, odwołując się do ich ambicji. Czyngis-chan w rzeczywistości uważał, że wyludniając Chiny, zyska więcej pastwisk dla swych koni, ale Yeh-lii odwiódł go od tego zamiaru.

— Martwi nie płacą podatków — powiedział. Kola podejrzewał, że jego długofalową ambicją było ucywilizowanie Mongołów, pozwalając, by podbite przez nich osiadłe ludy stopniowo ich wchłonęły, tak jak Chiny wchłonęły poprzednie fale najeźdźców z północnych pustkowi.

Kola nie miał pojęcia, jak się skończy jego własna przygoda. Ale

jeżeli miał utknąć tu, na Mirze, największe nadzieje na przyszłość pokładał w takich ludziach jak Yeh-lii. Cieszył się więc, że omawiali wspólnie naturę nowego świata i przygotowywali plany, co mają uczynić.

Yeh-lii był pod wrażeniem pierwszej próby Sabie, która naszkicowała na podłodze mapę świata. Razem z Kolą sporządzili szczegółową mapę całego świata, w oparciu o to, co pamiętał sam Kola i mapy z Sojuza. Yeh-lii był inteligentnym człowiekiem i bez trudności uwierzył, że świat jest kulą — jak wskazywali od dawna greccy i chińscy uczeni, na podstawie zakrzywionego kształtu cienia Ziemi, rzucanego na Księżyc podczas jego zaćmień — i z łatwością pojął ideę odwzorowywania powierzchni kuli na płaszczyznę.

Po sporządzeniu kilku wstępnych szkiców Yeh-lii zgromadził grupę chińskich skrybów, którzy rozpoczęli prace nad ogromną jedwabną wersją mapy świata. Po zakończeniu miała pokryć podłogę jednej z jurt w wielkim pawilonie cesarza.

Yeh-lii był zafascynowany wyłaniającym się obrazem. Intrygowało go, jak niewielka część Eurazji nie została jeszcze podbita przez Mongołów; z ich punktu widzenia, obejmującego cały kontynent, krok od Rosji poprzez kraje Europy zachodniej do wybrzeża Atlantyku wydawał się istotnie niewielki. Ale Yeh-lii martwił się, jak przedstawi Czyngis-chanowi tę mapę, na której widniało tak wiele terytoriów Nowego Świata, Daleki Wschód i Australia, Afryka Południowa i Antarktyka, o których cesarz nic nie wiedział.

Dzieło skrybów było naprawdę piękne; czapy lodowe zostały uwydatnione delikatnymi białymi nićmi, złote nici wyznaczały główne rzeki, kamienie szlachetne oznaczały główne miasta, a całość pokrywały starannie wypisane mongolskie litery, chociaż Kola dowiedział się ku swemu zaskoczeniu, że Mongołowie w ogóle nie mieli własnego pisma aż do czasów Czyngis-chana, który zapożyczył pismo od sąsiadujących z jego krajem Ujgurów.

Pracownicy byli wyraźnie dumni ze swego dzieła, a Yeh-lii traktował ich dobrze i gratulował sprawności. Jednak Kola dowiedział się, że byli niewolnikami schwytanymi podczas wypadów Mongołów na terytorium Chin. Kola nigdy przedtem nie zetknął się z niewolnikami i był nimi zafascynowany. Ich postawa zawsze była pełna uległości, oczy spuszczone, a kobiety wzdrygały się przed wszelkimi kontaktami z Mongołami.

Może w obecności Yeh-lii były dobrze traktowane, ale robiły wrażenie przygnębionych.

Kola tęsknił za domem, żoną i dziećmi, zagubionymi gdzieś w strumieniach czasu. Ale wszyscy ci nieszczęśni niewolnicy zostali pozbawieni swych domów, ich życie zniszczone i to nie wskutek

manipulowaniu czasem i przestrzenią, lecz zwyczajnie z powodu okrucieństwa innych istot ludzkich. Ciężki los niewolników nie sprawił, że jego własna strata była lżejsza do zniesienia, ale to uchroniło go przed użalaniem się nad sobą.

Jeśli Koli trudno było zaakceptować obecność niewolników, czerpał ulgę z inteligencji Yeh-lii. Po jakimś czasie wydało mu się, że łatwiej mu przychodzi zaufać Yeh-lii, człowiekowi z trzynastego wieku, niż Sabie, kobiecie z jego własnej epoki.

Sabie zaczynała się niecierpliwić spotkaniami poświęconymi opracowywaniu mapy. I nie robiły na niej żadnego wrażenia plany, które Yeh-lii wstępnie przygotowywał, aby je przedstawić Czyngis-chanowi.

Według Yeh-lii sprawą bezwzględnie najważniejszą powinno być wzmocnienie ich pozycji. Mongołowie byli uzależnieni od importu zboża, tkanin i wielu innych niezbędnych rzeczy, więc handel stał się dla nich ważny. Ponieważ związki z Chinami były mocno nadszarpnięte, pierwszą i najbogatszą częścią azjatyckiego imperium Czyngis-chana należało zająć się za początku. Kola radził, aby jednocześnie wysłać oddział do doliny Indusu, w celu odszukania Caseya i pozostałych rozbitków z jego epoki.

Ale dla Sabie nie było to wystarczająco śmiałe. Po tygodniu wkroczyła do komnaty Yeh-lii i wbiła nóż w mapę świata. Niewolnicy rozpierzchli się jak przerażone ptaki. Yeh-lii przyjrzał się jej z chłodnym zainteresowaniem.

Kola powiedział:

— Sabie, jesteśmy tu nadal obcy…

— Babilon — powiedziała. Wskazała na nóż, jeszcze drżący w sercu Iraku. — To tutaj Czyngis-chan powinien skierować swe siły. Magazyny ze zbożem, szlaki handlowe, zastraszanie chińskich wieśniaków — to wszystko nic w porównaniu z tym. To w Babilonie jest ukryta prawdziwa potęga tego nowego świata — wiesz to równie dobrze jak ja, Kola — potęga, która rozdarła przestrzeń i czas. Jeżeli cesarz ją posiądzie, jego boska misja zawładnięcia całą planetą może mimo wszystko się spełnić, nawet za jego życia.

Kola powiedział po angielsku, którego nie znał żaden z tłumaczy:

— Taka potęga w rękach Czyngis-chana? Sabie, jesteś szalona.

Popatrzyła na niego płonącymi oczyma.

— Pamiętaj, że jesteśmy osiem stuleci do przodu. Możemy okiełznać tych Mongołów. — Zamachała ręką nad mapą świata, jakby zgłaszała do niego pretensje. — Miną całe pokolenia, zanim zostanie zbudowana nowoczesna cywilizacja na fragmentach historii, które odziedziczyliśmy. Wspierani przez Mongołów moglibyśmy skrócić ten czas do czasu życia jednego człowieka. Kola, możemy tego dokonać. W rzeczywistości to coś więcej niż okazja. To obowiązek.

W obecności tej narwanej kobiety Kola czuł się słaby.

— Chcesz dosiąść rozszalałego konia…

Yeh-lii pochylił się do przodu. Za pośrednictwem Basila powiedział:

— Mówcie wspólnym językiem.

Oboje przeprosili i Kola powtórzył okrojoną wersję ich dyskusji.

Yeh-lii delikatnie wyciągnął nóż z błyszczącej mapy i zaczął dłubać w uszkodzonych niciach. Powiedział do Sabie:

— Twoje argumenty są nieprzekonujące. Może moglibyśmy zawładnąć bijącym sercem nowego świata. Ale gdybyśmy przymierali głodem, nie moglibyśmy go utrzymać.

Pokręciła głową.

— Przedstawię to samemu Czyngis-chanowi. Nie będzie tak lękliwy, aby wypuścić z rąk taką okazję.

Twarz Yeh-lii stężała i Kola zobaczył, że jest bliski gniewu, jak nigdy przedtem.

— Wysłanniczko niebios, jeszcze nie masz żadnego wpływu na Czyngis-chana.

— Tylko poczekaj — powiedziała Sabie po angielsku i uśmiechnęła się wyzywająco, najwyraźniej nie czując lęku.

23. Konferencja

W odpowiedzi na wezwanie Aleksandra udali się do namiotu Króla: kapitan Grove wraz ze swymi oficerami, Bisesa, Abdikadir, Cecil de Morgan jako tłumacz oraz Ruddy i Josh, którzy mieli zapisać w swych notesach przebieg tej zdumiewającej konferencji. Ze strony macedońskiej miał być obecny sam Aleksander, Eumenes, Hefajstion, królewski lekarz Filip oraz znaczna liczba dworzan, doradców, szambelanów i sług.

Sceneria była wspaniała. Oficjalny namiot Aleksandra, który transportowano przez całą deltę, był ogromny; wspierały go złote kolumny, a strop był wykonany z ozdobnej tkaniny. Przed złotym tronem Króla ustawiono sofy na srebrnych nogach, przeznaczone dla gości. Ale atmosfera była napięta: w namiocie stało ze stu czujnych żołnierzy, piechurów, znanych jako tarczownicy, w szkarłatnych i szafirowych mundurach oraz Nieśmiertelni z Persji w pięknie haftowanych, choć niezbyt praktycznych tunikach.

Eumenes, starając się zmniejszyć niepotrzebne tarcia, cicho poinstruował Bisesę w sprawie protokołu, jakiego należało przestrzegać w obecności Króla. Tak więc wchodząc, goście z przyszłości złożyli Królowi *proskynesis,* co było greckim określeniem perskiej formy hołdu polegającego na przesłaniu Królowi pocałunku i złożeniu głębokiego ukłonu. Jak można było przewidzieć, Abdikadir czuł się tym skrępowany, ale kapitan Grove i jego oficerowie w ogóle się tym nie przejęli. Najwyraźniej ci Brytyjczycy, którzy utknęli na skraju własnego imperium, otoczeni przez książątka, radżów i emirów, przywykli do respektowania ekscentrycznych miejscowych zwyczajów.

Poza tym Bisesa widziała, że Abdikadir świetnie się bawi. Spotkała niewielu takich twardych realistów jak on, ale teraz Abdikadir wyraźnie oddawał się rozkosznym fantazjom, wyobrażając sobie, że ci wspaniali Macedończycy to naprawdę jego przodkowie.

Grupa usadowiła się na wspaniałych sofach, a słudzy i majordomusi zaczęli krążyć z jedzeniem i napojami i konferencja się rozpoczęła. Tłumaczenie, prowadzone przez greckich uczonych i de Morgana, było powolne i niekiedy denerwujące. Ale stale posuwali się do przodu, czasami z pomocą map, rysunków czy nawet napisów gryzmolonych na macedońskich woskowych tabliczkach albo na kawałkach papieru, które Ruddy lub Josh wyrwali ze swych notesów.

Zaczęli od wymiany informacji. Ludzie Aleksandra nie byli zaskoczeni Złym Okiem w Jamrud, które ciągle unosiło się nad placem apelowym. Od dnia gdy „słońce przeskoczyło na niebie", jak to określali Macedończycy, ich wywiadowcy widzieli identyczne obiekty

nad całą doliną Indusu. I podobnie jak Brytyjczycy, Macedończycy szybko przywykli do tych milczących, unoszących się w powietrzu obserwatorów i traktowali ich tak samo lekceważąco.

Sekretarz Eumenes, który również był realistą, mniej się interesował takimi tajemnicami niż polityką przyszłości, która przywiodła tych obcych na Granicę. Minęło trochę czasu, zanim Eumenes i pozostali zrozumieli, że Brytyjczycy i grupa Bisesy w rzeczywistości należą do różnych epok, chociaż dzieląca ich różnica, zaledwie około stu pięćdziesięciu lat, była niczym w porównaniu z dwudziestoma czterema stuleciami dzielącymi czasy Aleksandra i Bisesy. Mimo to, gdy kapitan Grove naszkicował tło dziewiętnastowiecznego Wielkiego Polowania, Eumenes szybko zrozumiał, o co chodzi.

Bisesa spodziewała się, że sprawa konfliktu z dwudziestego pierwszego wieku będzie dla Macedończyków mniej zrozumiała, ale kiedy Abdikadir opowiedział o zasobach ropy naftowej w środkowej Azji, odezwał się Eumenes. Pamiętał, jak na brzegach rzeki, która jak wywnioskowała Bisesa, leżała w granicach współczesnego Iranu, w pobliżu miejsca, gdzie rozbito namiot Króla, wytrysnęły z ziemi dwa strumienie dziwnej cieczy.

— Nie różniła się smakiem czy kolorem od oliwy z oliwek — powiedział Eumenes — chociaż tamtejsza ziemia nie nadawała się dla oliwek. — Mimo to, powiedział, Aleksander zastanawiał się nad pożytkiem, jaki mogą przynieść takie odkrycia, gdyby były powszechne, chociaż jego prorok, Aristander, potraktował to jako zapowiedź czekającej ich ciężkiej pracy.

— Przybywamy tutaj w różnym czasie, aby zrealizować nasze różne pragnienia — powiedział Eumenes. — I pokonujemy dzielące nas tysiąclecia. Może to jest szlak wiodący do wieczności.

Sam Aleksander mówił niewiele. Siedział na swym tronie, wsparłszy głowę na dłoni, z półprzymkniętymi oczami, od czasu do czasu podnosząc wzrok z tą dziwną, zniewalającą nieśmiałością. Prowadzenie spotkania pozostawił głównie Eumenesowi, który robił na Bisesie wrażenie spryciarza, oraz Hefajstionowi, który przerywał Eumenesowi, domagając się wyjaśnień czy nawet sprzeciwiając się swemu koledze. Było oczywiste, że istnieje między nimi silne napięcie, ale, pomyślała Bisesa, może Aleksander był rad, że ci potencjalni rywale są podzieleni.

Następnie tematem dyskusji stało się znaczenie tego, co ich wszystkich spotkało: w jaki sposób historia mogła się rozpaść na kawałki i dlaczego.

Wydawało się, że Macedończycy nie byli tym specjalnie poruszeni, jak Bisesa naiwnie sobie wyobrażała. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, że plastry czasu są dziełem bogów i

wyrazem ich nieprzeniknionych zamiarów; ich światopogląd, który nie miał nic wspólnego z nauką, był Bisesie zupełnie obcy, ale zarazem na tyle elastyczny, że obejmował takie tajemnicze wydarzenia. Byli twardymi wojownikami, którzy pokonali tysiące kilometrów i podobnie jak ich greccy doradcy, byli intelektualnie nieustępliwi.

Sam Aleksander wydawał się urzeczony filozoficznymi aspektami sytuacji.

— Czy zmarli mogą ożyć? — mruknął swym gardłowym barytonem. — Bo ja jestem dla was od dawna martwy… I czy można cofnąć przeszłość, naprawić stare krzywdy, wymazać żale?

Abdikadir mruknął do Bisesy:

— Człowiek, który ma na swych rękach, tyle krwi co ten Król, musi uważać ideę naprawy przeszłości za nader interesującą…

Hefajstion mówił:

— Większość filozofów traktuje czas jako pewien cykl. Jak bicie serca, jak zmianę pór roku, jak przybywanie i ubywanie księżyca. W Babilonie astronomowie skonstruowali kalendarz kosmiczny oparty na ruchach planet, w którym Wielki Rok trwa, jak mi się wydaje, dłużej niż czterysta tysięcy lat. Kiedy planety skupią się, tworząc pewien szczególny układ, wybuchnie potężny pożar, a znów inny układ planet poprzedzi nadejście „zimy", którą zapoczątkują powodzie… Niektórzy utrzymują nawet, że przeszłe wydarzenia dokładnie powtarzają się w kolejnych cyklach.

— Ale ten pogląd niepokoił Arystotelesa — powiedział Aleksander, który, jak przypomniała sobie Bisesa, był jego uczniem.

— Jeżeli będę żył zarówno przed, jak i po upadku Troi, to co było przyczyną tej wojny?

— Ale mimo to — powiedział Hefajstion — jeżeli coś jest w tej idei cykli, wówczas wiele dziwnych spraw można wytłumaczyć. Na przykład wyrocznie i proroków, jeżeli czas przebiega cykle, być może proroctwo jest w tej samej mierze sprawą pamiętania wydarzeń z zamierzchłej przeszłości, co wizją przyszłości. A dziwne pomieszanie czasów, którego właśnie doświadczamy, wydaje się wtedy znacznie bardziej zrozumiałe. Zgadzasz się z tym, Arystandrze?

Stary jasnowidz skinął głową.

I tak rozmowa z udziałem Aleksandra, Hefajstiona i Arystandra ciągnęła się, często biegnąc zbyt szybko dla niepewnego łańcucha tłumaczy, którzy nie byli w stanie nadążyć.

Ruddy był urzeczony.

— Cóż to za wspaniali ludzie — wyszeptał.

— Dość filozofii — powiedział Eumenes, praktyczny jak zawsze. I wezwał zebranych, by zastanowili się, co robić dalej.

Kapitan Grove powiedział, że ma pewną propozycję. Brytyjski

oficer przyniósł ze sobą atlas — dosyć przestarzały, nawet według jego standardów, bo pochodzący z wiktoriańskiej szkoły — i teraz go rozłożył.

Macedończycy znali mapy i sposoby ich sporządzania. W rzeczywistości przez cały czas kampanii Aleksander miał przy sobie greckich geodetów i kreślarzy, aby sporządzali mapy lądów, które penetrował i podbijał; wiele z nich było prawie nieznanych w starożytnej Grecji, z której pochodził. Dlatego Macedończycy byli zaintrygowani atlasem i w podnieceniu stłoczyli się wokół małej książki. Byli zaintrygowani jakością druku, kształtem czcionki i jaskrawymi kolorami. Wyglądało na to, że bez trudu akceptują fakt, iż świat w rejonie Morza Śródziemnego, jaki znali, jest jedynie częścią planety i że sama planeta jest kulą, jak przewidywał Pitagoras na wiele stuleci przed czasami Aleksandra. Faktycznie Arystoteles, nauczyciel Aleksandra, napisał całą książkę na ten temat. Co do Bisesy, rozbawił ją wielki różowy pas oznaczający terytoria Imperium Brytyjskiego u szczytu jego rozkwitu.

W końcu zirytowany Aleksander zażądał, aby podano mu atlas. Był jednak skonsternowany, gdy na mapie Ziemi zaznaczono granice jego imperium.

— Myślałem, że odcisnąłem na świecie wyraźny ślad, ale jest tutaj tak wiele krain, których w ogóle nie widziałem — powiedział.

Korzystając z atlasu, kapitan Grove powiedział, że jego propozycja polega na tym, żeby ich połączone siły udały się do Babilonu.

Abdikadir próbował wyjaśnić sprawę sygnałów radiowych odebranych przez Sojuz. Jak można było przewidzieć, było to dla wszystkich zaskakujące, dopóki Ruddy i Josh nie wpadli na szczęśliwe porównanie.

— To jak dźwięk niesłyszalnych trąbek — powiedział Ruddy. — Albo blask niewidzialnych luster…

Abdikadir powiedział:

— I jedyny sygnał, jaki odebraliśmy, pochodził stąd. — Wskazał Babilon. — Jest to dla nas z pewnością największa szansa, by ustalić, co się przydarzyło nam i całemu światu. — Wszystko to przetłumaczono Aleksandrowi.

Babilon potrącił właściwą strunę. Od wielu dni nie było żadnych wiadomości z Macedonii ani znikąd indziej poza doliną Indusu, do Brytyjczyków również nie dotarła żadna wiadomość z ich własnej epoki. Pojawił się problem, gdzie mają się zatrzymać, jeżeli nie dochodziły żadne wiadomości. Aleksander zawsze miał zamiar uczynić Babilon stolicą imperium, które sięgałoby od Morza Śródziemnego do Indii i które przecinałyby szlaki wodne. Może nawet teraz marzenie to dałoby się urzeczywistnić, dysponując środkami, jakie Król miał pod

ręką, nawet jeżeli reszta świata, jaki znał, znikła.

Z tych wszystkich powodów najlepsza droga wydawała się oczywista. Kiedy osiągnięto porozumienie, Ruddy był podekscytowany.

— Babilon! Na Boga, dokąd to wszystko nas zaprowadzi? Zebrani wkrótce zajęli się szczegółowymi zagadnieniami związanymi z terminami i logistyką. Na zewnątrz zapadał zmrok, krążący wokół służący nieustannie przynosili wino i zgromadzenie powoli stawało się coraz bardziej hałaśliwe.

Kiedy udało im się wyrwać od Macedończyków, Josh, Abdikadir, Ruddy i Bisesa zebrali się, żeby porozmawiać.

Bisesa powiedziała:

— Musimy zostawić jakiś znak dla Sabie i Koli, na wypadek gdyby tutaj dotarli. — Rozważali takie znaki jak ułożone na ziemi wielkie kamienne strzałki, kopce zawierające wiadomość, czy nawet zostawienie radia dla zagubionych kosmonautów.

— A cieszycie się — spytał Abdikadir — że składamy nasz los w ręce Aleksandra i jego drużyny?

— Tak — od razu odpowiedział Ruddy. — Arystoteles nauczył tych ludzi otwartości serca i umysłu oraz zaszczepił im ciekawość świata. Droga Aleksandra stanowiła w równej mierze eksplorację, co wyprawę dla uzyskania zdobyczy terytorialnych…

— Kapitan Cook z armią liczącą pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy — zadumał się Abdikadir.

— I z pewnością — ciągnął Ruddy — to właśnie ta otwartość umożliwiła im przyjęcie zwyczajów nieznanych ludów. I dzięki temu zjednoczenie imperium, które gdyby nie przedwczesna śmierć Aleksandra, mogło trwać przez całe stulecia i posunąć naprzód cywilizację o tysiąc lat.

— Ale tutaj — powiedział Josh — Aleksander wciąż żyje…

Bisesa zdawała sobie sprawę, że Aleksander ich obserwuje. Odchylił się do tyłu i coś szeptał do eunucha, a ona zastanawiała się, czy usłyszał, co mówili.

Ruddy dokończył:

— Nie przychodzi mi do głowy żadne wspanialsze dziedzictwo niż ustanowienie „Imperium Brytyjskiego” w Azji i Europie ponad dwa tysiące lat przed jego powstaniem!

— Ale imperium Aleksandra — powiedział Josh — nie miało nic wspólnego z demokracją czy wartościami wyznawanymi przez Greków. Popełniał czyny potworne, na przykład spalił Persepolis. Płacił za każdy etap swojej niekończącej się kampanii łupami zdobytymi podczas poprzedniego. I nie liczył się z niczyim życiem. Według niektórych źródeł jest odpowiedzialny za śmierć siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

— Był człowiekiem swojej epoki — powiedział Ruddy, poważny i cyniczny, jak gdyby w rzeczywistości był dwa razy starszy. — Czego moglibyście oczekiwać? W tym świecie źródłem ładu było jedynie imperium. W granicach imperium istniała kultura, porządek i szansa rozwoju cywilizacji. A poza nim byli tylko barbarzyńcy i chaos. Nie było innych sposobów rządzenia! Jego osiągnięcia przetrwały, nawet gdy już nie było imperium. Rozpowszechnił grecki język od Aleksandrii aż po Syrię. Kiedy Rzymianie przedarli się na wschód, napotkali nie barbarzyńców, lecz ludy mówiące po grecku. Gdyby nie owo greckie dziedzictwo, chrześcijaństwo przeżywałoby ciężkie chwile, rozprzestrzeniając się poza granice Judei.

— Być może — powiedział Abdikadir, szczerząc zęby w uśmiechu. — Ale słuchaj, Kipling, ja nie jestem chrześcijaninem!

Dołączył do nich kapitan Grove.

— Myślę, że załatwiliśmy sprawę — powiedział cicho. — Strasznie się cieszę, że tak szybko doszliśmy do porozumienia i to niezwykłe, jak wiele mamy ze sobą wspólnego. Przypuszczam, że w ciągu dwóch tysięcy lat nic o charakterze zasadniczym nie uległo zmianie, jeśli chodzi o rozmieszczenie armii… Ale słuchajcie. Myślę, że to zebranie trochę zaczyna się wyradzać. Słyszałem o Aleksandrze i jego rozpasaniu — powiedział z żałosnym uśmiechem — i chociaż raczej nie przywiązuję do tego wagi, myślę, że byłoby rozsądne, gdybym tu został i dowiedział się czegoś więcej od tych facetów. Nie przejmujcie się, potrafię dać sobie radę! Moi chłopcy też tu zostaną, ale jeżeli chcecie się wymknąć…

Bisesa skorzystała z wymówki. Ruddy i Josh także postanowili odejść, choć Ruddy oglądał się z zazdrością, widząc połyskujące wnętrze królewskiego namiotu, gdzie właśnie zaczynała tańczyć młoda kobieta o apetycznie zaokrąglonych kształtach, którą okrywała jedynie sięgająca do ziemi przezroczysta chusta.

Na zewnątrz namiotu Bisesa spotkała Filipa, greckiego lekarza Aleksandra, który tu na nią czekał. Bisesa pośpiesznie wezwała de Morgana. Faktor był już na poły pijany, ale mimo to był w stanie tłumaczyć.

Filip powiedział:

— Król wie, że rozmawialiście o jego śmierci.

— Och, bardzo mi przykro.

— I pragnie, abyś mu powiedziała, jak umrze. Bisesa zawahała się.

— Żyje wśród nas pewna legenda. Opowieść o tym, co go spotkało…

— Wkrótce umrze — wyszeptał Filip.

— Tak. Tak będzie.

— Gdzie?

Znowu się zawahała.

— W Babilonie.

— Więc umrze młodo, tak jak Achilles, jego bożyszcze. Tak jak Aleksander! — Filip zerknął na królewski namiot, gdzie sądząc po hałasie, hulanka szła pełną parą. Wyglądał na zaniepokojonego, ale zarazem zrezygnowanego. — No cóż, to żadna niespodzianka. Kiedy walczy, pije za dziesięciu. I omal nie zabiła go strzała, która utkwiła w płucach. Obawiam się, że nie da sobie czasu na to, by dojść do siebie, ale…

— Nie posłucha swego lekarza. Filip uśmiechnął się.

— Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.

Bisesa podjęła szybką decyzję. Pogrzebawszy w swym zestawie ratunkowym schowanym pod kombinezonem, wyciągnęła plastikowe opakowanie tabletek przeciw malarii. Pokazała Filipowi, jak wydobyć pigułki z plastikowej folii.

— Niech twój król je zażyje — powiedziała. — Nikt nie wie na pewno, jak to się stało. Prawdę przesłoniły plotki, konflikty i zafałszowania historii. Ale niektórzy uważają, że nastąpiło to w wyniku choroby, której te tabletki zapobiegną.

Filip zmarszczył brwi.

— Dlaczego mi je dajesz?

— Ponieważ myślę, że twój król będzie ważny dla wszystkich naszych przyszłości. Jeżeli umrze, to przynajmniej nie w ten sposób.

Filip zamknął dłoń na opakowaniu i uśmiechnął się.

— Dziękuję ci, pani. Ale powiedz mi…

— Tak?

— Czy ludzie będą o nim pamiętać?

Znów ten dziwny dylemat posiadania nadmiaru wiedzy, którą Bisesa zdobyła podczas długich sesji z telefonem, kiedy zbierała informacje dotyczące dziejów Aleksandra.

— Tak. Pamiętają nawet jego konia! — Bucefał zginął podczas walki nad rzeką Jhelum. — Ponad tysiąc lat od tej chwili, władcy krainy za rzeką Oxus będą utrzymywali, że ich konie kiedyś miały rogi na głowach i że były potomkami Bucefała.

Filip był zachwycony.

— Aleksander kazał sporządzić dla Bucefała rodzaj pióropusza ze złotymi rogami, który zakładał mu na czas bitwy. Pani, jeżeli Król kiedyś będzie bliski śmierci…

— Wtedy mu powiedz.

Kiedy odszedł, zwróciła się do de Morgana:

— A ty zatrzymaj to dla siebie. Rozłożył ręce.

— Oczywiście. Musimy utrzymać Aleksandra przy życiu, jeżeli już tu utknęliśmy, może rzeczywiście być naszą największą nadzieją na ocalenie czegoś ze wspólnej przyszłości. Ale na wszystkich bogów,

Biseso! Dlaczego nie sprzedałaś mu tych pigułek? Aleksander jest tysiąc razy bogatszy od każdego człowieka swojej epoki! Cóż za marnotrawstwo…

Śmiejąc się, odeszła.

24. Polowanie

Przygotowania do *battue* zostały zakończone.

Na polowanie, które miało być przeprowadzone na wzór ćwiczeń wojskowych, przeznaczono ogromny obszar stepu. Oddziały wojska ustawiono w wielki kordon, przy czym każdy oddział miał dowódcę w randze generała. Naganiacze otoczyli część środkową, poruszając się jak podczas manewrów, a zwiadowcy poprzedzali główne oddziały wojska, które zamknęły skrzydła po obu stronach. Łączność między poszczególnymi oddziałami utrzymywano za pomocą trąbek i flag, a kiedy koło definitywnie się zamknęło, tak już miało pozostać do końca.

Kiedy proces płoszenia zwierzyny się rozpoczął, sam Czyngis-chan poprowadził królewski orszak do niskiego grzbietu, który miał stanowić punkt obserwacyjny. Cała Złota Rodzina musiała być obecna, wraz z żonami i konkubinami cesarza, jego szambelanami i sługami. Razem z nimi podróżował Yeh-lii, który zabrał ze sobą Kolę, Sabie oraz tłumaczy.

Skala przedsięwzięcia była zdumiewająca. Kiedy Kola znalazł się na grzbiecie, na równinie poniżej zobaczył jedynie kilka oddziałów ustawionych w zwartym szyku, z powiewającymi sztandarami i niespokojnie poruszającymi się końmi; reszta znajdowała się gdzieś za horyzontem. Był zaskoczony obfitością jedzenia i napojów przeznaczonych dla królewskiego orszaku.

Podczas gdy czekano, aż płoszenie zwierzyny dobiegnie końca, Złotą Rodzinę zabawiano popisami ptaków do polowań. Pewien człowiek przyniósł potężnego orła, który siedział na wielkiej rękawicy. Kiedy ptak rozpostarł skrzydła, ich rozpiętość okazała się większa niż wzrost właściciela. Kiedy wypuszczono jagnię, ptak rzucił się na nie tak gwałtownie, że zwalił właściciela z nóg, ku uciesze królewskiego orszaku.

Potem odbyły się wyścigi konne. Mongolskie wyścigi były rozgrywane na dystansie wielu kilometrów i Kola ze swego stanowiska widział jedynie etap końcowy. Dżokeje, którymi były dzieci nieprzekraczające siedmiu czy ośmiu lat życia, siedzieli boso na grzbietach dorosłych wierzchowców. Walka była zażarta, a pobliską metę spowijały kłęby kurzu. Złota Rodzina rzucała zwycięzcom złoto i klejnoty.

W oczach Koli był to kolejny przykład mongolskiej mieszaniny barbarzyństwa i prostackiej ostentacji albo, jak powiedziała Sabie: — Ci ludzie rzeczywiście w ogóle nie mają gustu. — Ale Kola nie mógł zaprzeczyć, że samego Czyngis-chana otaczała aura spokoju.

Wychowany w wojskowej dyscyplinie, zręczny, pełen

determinacji i nieprzekupny polityk, Czyngis-chan był synem wodza jednego z klanów. Naprawdę nazywał się Temiijin, co oznacza kowala; jego przybrane imię znaczyło „władca wszystkich". Dziesięć lat trwały bratobójcze walki, zanim Temiijin zjednoczył wszystkich Mongołów, tworząc w ten sposób jeden naród i został „władcą wszystkich plemion zamieszkujących filcowe namioty".

Mongolskie armie składały się niemal wyłącznie z konnicy, wysoce mobilnej, zdyscyplinowanej i szybkiej. Styl ich walki został doprowadzony do perfekcji w ciągu wielu pokoleń wypełnionych polowaniami i walkami na równinach. Dla ludów osiadłych, zamieszkujących wsie i miasta na skraju stepu, Mongołowie byli uciążliwymi sąsiadami, ale nie byli wyjątkiem. Przez wiele stuleci na wielkim azjatyckim lądzie grasowały armie jeźdźców i Mongołowie byli po prostu ostatnimi przedstawicielami owej długiej i krwawej tradycji. Ale pod rządami Czyngis-chana wstąpiła w nich furia.

Czyngis-chan rozpoczął kampanię skierowaną przeciwko trzem ludom zamieszkującym Chiny. Szybko wzbogaciwszy się na grabieży, Mongołowie zwrócili się następnie na zachód i zaatakowali Khwarezm, bogaty i stary kraj islamski rozciągający się od Iranu do Morza Kaspijskiego. Potem, przekroczywszy Kaukaz, dotarli do Ukrainy i Krymu, po czym przypuścili wściekły atak na Rosję. Kiedy Czyngis-chan umierał, jego imperium, zbudowane w ciągu jednego pokolenia, było czterokrotnie większe od imperium Aleksandra i dwa razy większe od Cesarstwa Rzymskiego za czasów jego największej świetności.

Jednakże Czyngis-chan pozostał barbarzyńcą i jego jedynym celem było umocnienie i wzbogacenie Złotej Rodziny. A Mongołowie byli ludem zabójców. Ich okrucieństwo wywodziło się z tradycji: jako niepiśmienni koczownicy nie widzieli żadnego sensu w uprawie roli, nie rozumieli znaczenia miast, poza tym, że były kopalnią łupów i nie przywiązywali żadnej wagi do ludzkiego życia. Takie było kredo wszystkich podbojów.

Teraz Kola został w czarodziejski sposób przeniesiony do samego serca mongolskiego imperium. I tutaj korzyści wynikające z istnienia imperium były wyraźniej widoczne niż w książkach historycznych napisanych przez potomków pokonanych nieprzyjaciół. Po raz pierwszy w historii Azja została zjednoczona, od granic Europy aż po Morze Południowochińskie; na gobelinach, które zdobiły namioty Czyngis-chana, widniały chińskie smoki i perskie feniksy. Chociaż po rozpadzie mongolskiego imperium kontakty z tą częścią świata ustały, mity wschodnich ludów zastąpiły wspomnienia — wspomnienia, które pewnego dnia zainspirowały Krzysztofa Kolumba do wyprawy przez Ocean Atlantycki, w poszukiwaniu nowego szlaku do Chin.

Ale podbite kraje ucierpiały ogromnie. Starożytne miasta zostały

starte z powierzchni ziemi, a cała ludność wymordowana. „Nawet kiedy Kola podziwiał pawilon samego Czyngis-chana, było dlań oczywiste, że korzyści wynikające z istnienia imperium były niewiele warte w zestawieniu z ogromem ludzkiej niedoli.

Ale Sabie, jak to wyraźnie widział, pociągał pazerny przepych Mongołów.

W końcu na horyzoncie pojawili się z wrzaskiem naganiacze, zbliżając się do terenu łowów. Biegacze rozciągnęli liny między oddziałami wojska, tworząc kordon. Osaczone zwierzęta biegały tam i z powrotem, ledwo widoczne w wielkim tumanie wzniecanego przez siebie pyłu.

Kola próbował przeniknąć wzrokiem chmurę pyłu.

— Zastanawiam się, co złapali. Widzę konie, może osły, wilki, hieny, lisy, wielbłądy, zające — wszystkie zwierzęta są przerażone.

Sabie wyciągnęła dłoń.

— Popatrz tam.

Z chmury pyłu wyłonił się jakiś wielki kształt. Był jak wielki głaz, na początku pomyślał Kola, jak część samej ziemi, znacznie wyższy od człowieka. Ale poruszał się ciężko, jego wielkie barki unosiły się i opadały, a rdzawobrązowa sierść lśniła w świetle słońca. Kiedy uniósł głowę, Kola ujrzał zakrzywioną trąbę i spiralne kły i usłyszał donośne trąbienie.

— Mamut — wyszeptał. — Myśliwi Czyngis-chana, przekroczywszy plaster czasu, schwytali więcej, niż się spodziewali, być świadkiem czegoś takiego, to jak sen. Gdybyśmy tylko mieli kamerę!

Ale Sabie pozostała obojętna.

Czyngis-chan trochę sztywno dosiadł konia. Ruszył do przodu z kilkoma strażnikami po obu stronach. Jego przywilejem było uśmiercenie pierwszego zwierzęcia. Zajął pozycję niecałe dwadzieścia metrów poniżej Koli i czekał, aż zwierzę zostanie ku niemu zagnane.

Nagle rozległy się krzyki. Kilku strażników wyłamało się z szeregu i uciekło, pomimo ryku swych dowódców. W chmurze pyłu kłębiącego się przed Czyngis-chanem Kola zobaczył, jak w powietrzu leci czerwona szmata, nie, to nie była szmata, to był człowiek, mongolski wojownik, z rozerwaną piersią i zwisającymi wnętrznościami.

Czyngis-chan stał spokojnie, powstrzymując konia, uniósłszy w górę lancę i bułat.

Kola ujrzał zbliżającą się bestię, która wyłoniła się z chmury pyłu. Jej skradający się krok przypominał lwa, ale zwierzę było potężnie umięśnione, a barki miało jak niedźwiedź. A kiedy otworzyło paszczę, ukazały się kły zakrzywione jak bułat Czyngis-chana. Przez chwilę cesarz i tygrys szablastozębny stali naprzeciwko siebie zupełnie bez ruchu.

Wtedy rozległ się pojedynczy strzał, niby grom z jasnego nieba. Stało się to tak blisko Koli, że w uszach mu zadzwoniło i usłyszał świst przelatującej obok kuli. Otaczający Kolę królewski orszak i ich strażnicy krzyknęli i dosłownie struchleli. Niespodziewanie wielki kot leżał na ziemi z drgającymi tylnymi nogami i krwawą miazgą zamiast głowy. Koń Czyngis-chana się spłoszył, ale sam cesarz ani drgnął.

Oczywiście to była Sabie. Ale już zdążyła ukryć pistolet.

Teraz rozpostarła ramiona.

— *Tengri!* Jestem wysłanniczką niebios, którą przysłano, aby cię uratować, o wielki, bo masz żyć wiecznie i panować nad całym światem! — Obróciła się do jęczącego Basila i łamaną francuszczyzną syknęła: — Tłumacz, ty psie, albo i tobie zaraz rozwalę głowę.

Czyngis-chan wpatrywał się w nią nieruchomo.

Rzeź zwierząt wewnątrz kordonu zajęła kilka dni. Zgodnie ze zwyczajem część normalnie wypuszczano na wolność, ale tym razem żadnemu nie darowano życia, ponieważ zagrożone zostało życie Czyngis-chana.

Kola z zaciekawieniem przyglądał się szczątkom. Czyngis-chanowi pokazano głowy i kły kilku mamutów, jak również ciała lwów o rozmiarach, jakich nikt przedtem nie widział, i lisy pokryte futrem białym jak śnieg.

W sieć Mongołów zostali także schwytani jacyś dziwni ludzie. Byli nadzy i choć szybko biegali, nie byli w stanie uciec; stanowili małą rodzinę: mężczyzna, kobieta i chłopiec. Mężczyznę natychmiast wysłano na tamten świat, a kobietę i dziecko, skutych łańcuchami, sprowadzono do królewskiego domu. Istoty te były nagie i brudne i wydawało się, że nie potrafią mówić. Kobietę oddano żołnierzom, żeby się z nią zabawili, a dziecko przez kilka dni trzymano w klatce. Pozbawione rodziców nie chciało jeść i szybko słabło.

Kola tylko raz widział je z bliska. Siedzący w kucki wewnątrz klatki chłopiec był wysoki — wyższy od wszystkich Mongołów, wyższy nawet niż Kola — ale jego twarz i ciało miały cechy nie w pełni ukształtowanego dziecka. Skórę miał ogorzałą, a stopy pokryte odciskami. Na jego ciele nie było ani grama tłuszczu, ale mięśnie miał twarde. Robił wrażenie, jak gdyby mógł biec przez cały dzień bez przerwy. Nad oczami miał wydatny kostny fałd. Kiedy spojrzał na Kolę, okazało się, że ma zdumiewająco niebieskie oczy, jasne jak niebo. Kola odniósł wrażenie, że kryła się za nimi inteligencja. Ale nie była to inteligencja człowieka, była to świadomość pozbawiona wyrazu, pozbawiona własnego ja.

Kola próbował o tym porozmawiać z Sabie. Może był to jakiś przodek człowieka, może *Homo erectus,* nieszczęśnik pochwycony przez Nieciągłość. Ale Sabie nigdzie nie można było znaleźć.

Kiedy Kola wrócił, klatka znikła. Dowiedział się, że chłopiec

zmarł, a jego ciało zostało spalone wraz z resztkami pozostałymi po polowaniu.

Sabie pojawiła się następnego dnia około południa. Yeh-lii i Kola byli w połowie kolejnej strategicznej sesji.

Sabie miała na sobie mongolską tunikę z drogiej, haftowanej tkaniny, w jakiej paradowała Złota Rodzina, a we włosach i wokół szyi połyskiwały kawałki jasnopomarańczowej tkaniny ze spadochronu, co miało stanowić oznakę jej odmiennego pochodzenia. Wyglądała dziwacznie, jak istota nie należąca ani do jednego, ani do drugiego świata.

Yeh-lii usiadł wygodnie i przyjrzał się jej uważnie, jakby coś rozważając.

— Co się z tobą działo? — powiedział Kola po angielsku. — Nie widziałem cię od chwili, gdy strzelałaś.

— To było spektakularne, prawda? — szepnęła. — I zadziałało.

— Co masz na myśli, mówiąc „zadziałało"? Czyngis-chan mógł kazać cię zabić za pogwałcenie prawa pierwszeństwa podczas polowania.

— Ale tego nie zrobił. Wezwał mnie do swojej jurty. Kazał wyjść wszystkim, nawet tłumaczom, zostaliśmy tylko we dwoje. Myślę, że teraz naprawdę wierzy, że jestem z jego *Tengri.* Wiesz, kiedy do niego poszłam, pił już od paru godzin, więc wyleczyłam mu kaca. Pocałowałam jego kieliszek z winem — i wpuściłam do środka kilka aspiryn, które przedtem ukryłam w ustach. To było takie łatwe, mówię ci, Kola…

— Co mu zaofiarowałaś, Sabie?

— To, czego pragnął. Dawno temu za pośrednictwem szamana otrzymał boską misję. Czyngis-chan jest przedstawicielem niebios na ziemi, wysłanym, aby rządził nami wszystkimi. Wie, że jego misja nie jest jeszcze zakończona — i że od chwili wystąpienia Nieciągłości w rzeczywistości się cofnęła — ale wie także, że robi się coraz starszy. Ten komunistyczny pomnik, upamiętniający datę jego śmierci, napędził mu niezłego pietra. Chce mieć więcej czasu, żeby dokończyć swoją misję — pragnie nieśmiertelności. I to właśnie mu zaofiarowałam. Powiedziałam mu, że w Babilonie znajdzie kamień filozoficzny.

Kola wydał stłumiony okrzyk.

— Jesteś szalona.

— Skąd wiesz, Kola? Nie mamy pojęcia, co na nas czeka w Babilonie. Kto wie, co jest możliwe? I kto ma nas zatrzymać? — Uśmiechnęła się szyderczo. — Casey? Ci brytyjscy kretyni w Indiach?

Kola zawahał się.

— Czy Czyngis-chan wziął cię do łóżka? Uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że odstręczy go czyste ciało. Więc wzięłam trochę

łajna jego ulubionego konia i wtarłam je we włosy. Nawet trochę się wytarzałam w ziemi. To zadziałało. I wiesz, podobała mu się moja skóra. Jej gładkość — brak blizn. Może nie przepada za higieną, ale podobają mu się jej skutki. — Twarz jej pociemniała. — Wziął mnie od tyłu. Mongołowie kochają się mniej więcej tak samo delikatnie, jak prowadzą wojnę. Pewnego dnia ten oziębły sukinsyn za to zapłaci.

— Sabie…

— Ale nie dziś. Dostał to, czego chciał i ja także. — Skinęła na Basila. — Ty, Francuziku. Powiedz Yeh-lii, że Czyngis-chan podjął decyzję. Mongołowie i tak dotarliby do Iraku w ciągu jednego pokolenia czy coś koło tego; ta kampania nie będzie dla nich żadnym wyzwaniem. Już zwołano *quriltai,* czyli naradę wojenną. — Wyciągnęła sztylet z buta i wbiła go w mapę tam gdzie poprzednio, w Babilon. Tym razem nikt nie ośmielił się go wyciągnąć.

CZĘŚĆ CZWARTA
ZBIEŻNOŚĆ HISTORII

25. Flota

Bisesa doszła do wniosku, że zgromadzona w pasie przybrzeżnym flota Aleksandra, mimo padającego deszczu, wygląda wspaniale. Kołysały się tam tryremy z ławkami dla wioślarzy, konie stojące na płaskodennych barkach rżały nerwowo, a największe wrażenie robiły *zohruks,* statki o małej głębokości zanurzenia przeznaczone do przewozu zboża, indyjskiej konstrukcji, które mogłyby uchodzić za produkt dwudziestego pierwszego wieku. Przesłaniająca wszystko ściana deszczu zacierała barwy i rozmywała kontury, ale było gorąco i wioślarze siedzieli nago, ich brązowe, żylaste ciała lśniły, a woda, która posklejała im włosy, spływała po twarzach.

Bisesa nie mogła się powstrzymać od sfotografowania tego widowiska. Ale telefon narzekał:

— Co to właściwie jest, park tematyczny? Zapełnisz moją pamięć, zanim zdążymy dotrzeć do Babilonu, i co wtedy zrobisz? I jest mi mokro…

Tymczasem Aleksander zabiegał o przychylność bogów podczas nadchodzącej podróży. Stojąc na dziobie swego statku, wylał do wody zawartość złotej czarki i teraz prosił Posejdona, morskie nimfy i duchy Oceanu, aby chroniły jego flotę. Następnie złożył ofiarę Heraklesowi, którego uważał za swojego przodka, oraz Ammonowi, egipskiemu bogowi, którego utożsamiał z Zeusem i który, jak „odkrył" w pewnym sanktuarium na pustyni, był jego ojcem.

Kilkuset brytyjskich żołnierzy, zebranych naprędce przez oficerów, patrzyło ze zdumieniem, jak Król celebruje swe boskie obowiązki, nie obeszło się przy tym bez złośliwych komentarzy. Ale szeregowcy, jak również sipaje byli zadowoleni z gościnności, jaką im okazywano w macedońskim obozie; dzisiejsze gesty Aleksandra stanowiły ukoronowanie dni wypełnionych składaniem ofiar i świętowaniem, festiwalami muzycznymi i zawodami lekkoatletycznymi. Ostatniej nocy Król podarował każdemu plutonowi „ofiarne" zwierzę, owcę, krowę lub kozę. Bisesa pomyślała, że było to chyba największe *barbecue* w historii.

Ruddy Kipling, z twarzą osłoniętą czapką z daszkiem, z rozdrażnieniem szarpał wąsy.

— Ale bzdury kłębią się w głowach tych ludzi! Wiesz, kiedy byłem dzieckiem, moja *ayah* była katoliczką i zabierała nas do kościoła, tego koło ogrodu botanicznego w Parel, jeśli go znasz. Podobała mi się powaga i godność tego wszystkiego. Ale potem mieliśmy opiekunkę, imieniem Meeta, która uczyła nas miejscowych piosenek i zabierała do hinduskich świątyń. Dosyć podobali mi się ich niewyraźnie widoczni, lecz przyjaźni bogowie.

Abdikadir powiedział sucho:

— Interesujące, ekumeniczne dzieciństwo.

— Może — powiedział Ruddy. — Ale historyjki opowiadane dzieciom to jedno, a groteskowy hinduski panteon to trochę co innego: jest potworny i niedorzeczny i roi się w nim od sprośnych fallicznych obrazów! Czymże to jest, jak nie dalekim echem tego nonsesownego rytuału, podczas którego Aleksander marnuje dobre wino, za część czego on się naprawdę uważa?

— Ruddy, kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one — powiedział Josh.

Ruddy poklepał go po plecach.

— Ale koleś, ja nie znam wroniego języka! Więc co mam robić?

Wreszcie ceremonia dobiegła końca. Bisesa i pozostali udali się do łodzi, które miały ich przewieźć na statki. Oni sami i większość brytyjskich wojsk mieli żeglować wraz z flotą, z połową armii Aleksandra, podczas gdy reszta będzie się posuwać brzegiem.

Rozbito obóz i zaczęła się formować kolumna transportowa. Panował chaos, wszędzie wokół kłębiło się tysiące mężczyzn, kobiet, dzieci, kucyków, mułów, wołów, kóz i owiec. Wozy załadowano artykułami i narzędziami potrzebnymi kucharzom, stolarzom, szewcom, zbrojarzom oraz innym rzemieślnikom i handlarzom, którzy towarzyszyli armii. Bardziej tajemnicze kształty z drewna i żelaza stanowiły części katapult i machin oblężniczych. Prostytutki i nosiwody przedzierały się przez tłum i Bisesa dostrzegła dumne głowy wielbłądów wznoszące się wysoko nad ludzką ciżbą. Zgiełk był niesłychany: mieszające się ze sobą dźwięki głosów, dzwonków i trąbek i żałosne jęki zwierząt pociągowych. Obecność oszołomionych małpoludów zamkniętych w prowizorycznej klatce, umieszczonej na osobnym wozie, sprawiała, że panująca atmosfera przypominała prawdziwy cyrk.

Nowożytni byli zachwyceni.

— Co za stado — powiedział Casey. — Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

Ale wszystko to jakoś do siebie pasowało. Sternicy zaczęli wznosić okrzyki i wiosła z pluskiem zanurzyły się w wodę. Na lądzie i na morzu zwolennicy Aleksandra zaintonowali rytmiczne pieśni.

Abdikadir powiedział:

— To pieśni Sinde. Wspaniały dźwięk, dziesiątki tysięcy głosów połączone w jedno.

— Daj spokój — powiedział Casey — chodźmy na pokład, zanim ci sipaje zajmą najlepsze miejsca.

Plan polegał na tym, że flota miała żeglować na zachód, przez Morze Arabskie, a potem wpłynąć do Zatoki Perskiej, podczas gdy armia i jej ekwipunek będą się posuwały jej śladem wzdłuż

południowych wybrzeży Pakistanu i Iranu. Spotkają się ponownie na początku Zatoki, a następnie posuwając się drogą lądową, uderzą na Babilon. Taka równoległa trasa była konieczna; statki Aleksandra nie mogły przebywać na morzu dłużej niż kilka dni bez zaopatrzenia z lądu.

Ale na lądzie pojawiły się trudności. Dziwny deszcz wulkaniczny padał prawie bez przerwy, a niebo pokrywała gruba warstwa szarych jak popiół chmur. Ziemia zamieniła się w błoto, w którym grzęzły pojazdy, zwierzęta i ludzie, a gorąco i wilgoć były niezwykle dokuczliwe. Kolumna transportowa wkrótce miała kilka kilometrów długości, a jej ślad znaczyły trupy padłych zwierząt, nie nadające się do naprawy fragmenty wyposażenia, a po następnych kilku dniach i ludzie.

Casey nie mógł znieść widoku hinduskich kobiet, które musiały iść za wozami lub wielbłądami z wielkimi stosami artykułów na głowach.

Ruddy zauważył:

— Zwróciliście uwagę, że tym facetom z epoki żelaza brakuje tak wiele, nie tylko tego, co oczywiste, jak lampy gazowe, maszyny do pisania czy spodnie, ale całkiem prostych rzeczy, takich jak chomąt u koni pociągowych? Przypuszczam, że nikt o tym dotąd nie pomyślał, a kiedy to zostanie wynalezione, tak już pozostanie…

To spostrzeżenie uderzyło Caseya. Po kilku dniach naszkicował prymitywną taczkę i poszedł do doradców Aleksandra.

Hefajstion w ogóle nie chciał rozpatrzyć jego propozycji i nawet Eumenes był wobec niej sceptyczny, dopóki Casey pośpiesznie nie zmontował prototypu wielkości zabawki, żeby zademonstrować ideę tego pomysłu.

Potem, podczas następnego nocnego postoju, Eumenes kazał zbudować tyle taczek, ile się dało. Było do dyspozycji niewiele drewna, ale wygrzebano i wykorzystano deski z uszkodzonej barki. Owej pierwszej nocy stolarze pod kierunkiem Caseya zmontowali ponad pięćdziesiąt sprawnych taczek, a następnej nocy, nauczywszy się na własnych błędach podczas składania pierwszej partii, udało im się zmontować prawie sto. W końcu była to armia, która na brzegach Indusu zdołała zbudować całą flotę; w porównaniu z tym sklecenie kilku taczek nie było żadną sztuką.

Przez kilka pierwszych dni kolumna pokonywała twardą, kamienistą drogę i taczki sprawiały się dobrze. Było na co popatrzeć, gdy kobiety z kolumny transportowej Aleksandra radośnie pchały taczki, które mogły pochodzić z centrum ogrodniczego w środkowej Anglii, wyładowane artykułami, z dziećmi niepewnie balansującymi na wierzchu. Ale potem znów pojawiło się błoto i taczki zaczęły grzęznąć. Wkrótce Macedończycy zostawili je wśród powszechnych

drwin z nowomodnej technologii.

Mniej więcej co trzy dni statki musiały przybijać do brzegu, aby uzupełnić zapasy. Wojsko maszerujące lądem musiało żywić się tym, co napotkało po drodze, zaspokajając własne potrzeby oraz potrzeby załóg i pasażerów na statkach. Stawało się to coraz trudniejsze, kiedy oddalano się od delty Indusu, a ziemia była coraz bardziej jałowa.

Dlatego żeglarze urozmaicali swoje pożywienie tym, co znaleźli w wodach pływowych: okładzinkami, ostrygami, a niekiedy małżami. Pewnego razu, gdy Bisesa uczestniczyła w jednej z tych miłych wypraw poszukiwawczych, spod wody wynurzył się wieloryb, z którego nozdrzy wystrzelił słup wody niebezpiecznie blisko jednego z zakotwiczonych statków. Na początku Macedończycy byli przerażeni, choć Hindusi wybuchli śmiechem. Oddział piechurów pobiegł do morza, głośno krzycząc i waląc w wodę tarczami i włóczniami. Kiedy wieloryb znów się wynurzył, był już o dobre sto metrów od brzegu i więcej go nie widziano.

Tam, gdzie przechodziło wojsko, zwiadowcy dokonywali pomiarów i sporządzali mapy, tak jak to było od dawna przyjęte w armii Aleksandra. Kartografia stanowiła także zasadnicze narzędzie Brytyjczyków, kiedy powstawało imperium, a teraz do greckich i macedońskich zwiadowców dołączyli brytyjscy kartografowie uzbrojeni w teodolity. Wszędzie, gdzie przechodzili, sporządzali nowe mapy i porównywali je ze starymi, tymi sprzed Nieciągłości.

Jednakże napotkali tylko niewielu ludzi.

Pewnego razu oddział zwiadowców natknął się na liczącą około stu osób grupę mężczyzn, kobiet i dzieci, ubranych — jak mówili — w dziwne jasne stroje, które rozpadały się na strzępy. Umierali z pragnienia i mówili językiem, którego nie znał żaden z Macedończyków. Nikt z Brytyjczyków ani z grupy Bisesy ich jednak nie widział. Abdikadir spekulował, że mogli pochodzić z jakiegoś hotelu z dwudziestego czy nawet dwudziestego pierwszego wieku. Odcięci od świata, kiedy ich dom zniknął w labiryncie czasu, musieli się błąkać i Bisesa pomyślała, że ci rozbitkowie byli jak ruiny w negatywie. W normalnie rozwijającej się historii ludzie znikają, a ich miasto powoli rozpada się w proch; w tym wypadku było na odwrót… Żołnierze Aleksandra, którym kazano ochraniać kolumnę transportową, zabili kilku z nich dla przykładu i przepędzili resztę.

O ile ludzi spotykano rzadko, o tyle Oczy były wszechobecne. Kiedy posuwali się wzdłuż wybrzeża, co parę kilometrów widzieli je, unoszące się niby lampy nad brzegiem i w głębi lądu.

Większość nie zwracała na nie uwagi, ale Bisesa była nimi chorobliwie zafascynowana. Gdyby jakieś Oko nagle pojawiło się w starym świecie — gdyby zaczęło się unosić nad ulubionym miejscem miłośników UFO, trawnikiem Białego Domu — stanowiłoby niezwykłe

zjawisko, byłoby sensacją stulecia. Ale większość ludzi nawet nie chciała o tym rozmawiać. Eumenes stanowił godny uwagi wyjątek; wpatrywał się w te Oczy z rękami na biodrach, jakby rzucając im wyzwanie.

Pomimo wyczerpania marszem wydawało się, że z każdym dniem nastrój Ruddy'ego się poprawia. Kiedy tylko mógł, pisał coś maczkiem, żeby oszczędzić papier. I snuł przypuszczenia na temat stanu świata, przedstawiając swoje teorie każdemu, kto chciał go słuchać.

— Nie powinniśmy się zatrzymywać w Babilonie — mówił. On sam, Bisesa, Abdikadir, Josh, Casey i Cecil de Morgan siedzieli pod daszkiem na oficerskim statku; deszcz uderzał w daszek i szumiał w zetknięciu z powierzchnią morza. — Powinniśmy iść dalej, na przykład spenetrować Judeę. Tylko pomyśl, Biseso! Eteryczne oko waszego statku kosmicznego mogło tutaj dostrzec tylko rozproszone osiedla i parę smug dymu. A jeśli w jednej z tych nędznych chat, właśnie w tej chwili, zaczyna oddychać Nazarejczyk? Bylibyśmy wtedy jak dziesięć tysięcy magów podążających za dziwną gwiazdą.

— Jest jeszcze Mekka — powiedział Abdikadir sucho. Ruddy rozłożył ręce.

— Bądźmy ekumeniczni. Bisesa zapytała:

— Więc po tych pogmatwanych początkach zostałeś chrześcijaninem, Ruddy?

Pogładził wąsy.

— Ujmę to tak. Wierzę w Boga. Nie mam pewności co do Trójcy. Nie mogę się pogodzić z wiecznym potępieniem, ale musi być jakaś kara. — Uśmiechnął się. — Mówię jak metodysta! Ojciec byłby zadowolony. W każdym razie byłbym zachwycony, gdybym poznał faceta, od którego wszystko to się zaczęło.

Josh powiedział:

— Uważaj, czego pragniesz, Ruddy. To nie jest jakieś ogromne muzeum, przez które przyszło nam podróżować. Może znalazłbyś Chrystusa w Judei. A jeśli nie? To w końcu mało prawdopodobne, w rzeczywistości znacznie bardziej prawdopodobne jest, że cała Judea została wyrwana z czasu przed narodzeniem Chrystusa.

— Ja urodziłem się już po chwili Wcielenia — stanowczo powiedział Ruddy. — Nie ma co do tego wątpliwości. A gdybym mógł przywołać jednego dziadka po drugim, cały łańcuch moich przodków, mógłbym kazać im to poświadczyć.

— Tak — powiedział Josh. — Ale już nie należysz do historii swoich dziadków, Ruddy. A jeśli tu wcale nie było Wcielenia? Wówczas znajdujesz się w świecie pogan. Jesteś Wergiliuszem czy Dantem?

— Ja… — Ruddy zamilkł, zmarszczywszy brwi. — Żeby to

rozwikłać, trzeba lepszego teologa niż ja. Uzupełnijmy nasz plan podróży: musimy poszukać świętego Augustyna albo Tomasza z Akwinu i spytać ich, co o tym myślą. A ty, Abdikadir? Jeśli nie ma Mekki, jeśli Mahomet dopiero ma się narodzić?

Abdikadir powiedział:

— Islam nie jest ograniczony w czasie tak jak chrześcijaństwo. *Tawhid,* jedność, pozostaje prawdziwa, zarówno na Mirze, jak i na Ziemi, w przeszłości i w przyszłości, nie ma boga tylko jest Bóg i każda cząstka we wszechświecie, każdy liść na każdym drzewie jest manifestacją Jego istnienia. A Koran to przekaz prosto od Boga, w tym świecie i w każdym innym, bez względu na to, czy Jego prorok tu istnieje czy też nie.

Josh pokiwał głową.

— To pocieszający punkt widzenia.

— *As salaam alaikum* — powiedział Abdikadir.

— Poza tym to może być jeszcze bardziej skomplikowane — powiedziała Bisesa. — Pamiętajcie, że Mir składa się z fragmentów pochodzących z różnych okresów czasu. To zlepek i to samo z pewnością dotyczy Mekki i Judei. Może są tam kawałki Judei pochodzące z okresu przed narodzeniem Chrystusa i późniejsze, po których kiedyś stąpał. Więc czy Wcielenie dotyczy tego wszechświata, czy też nie?

Ruddy powiedział:

— Jakie to wszystko dziwne! Załóżmy, że każde z nas żyje dwadzieścia pięć tysięcy dni. Czy to możliwe, że i my także jesteśmy podzieleni, że każdy dzień został wycięty z naszego życia, jak kwadracik z kołdry? — Machnął ręką w stronę szarego jak popiół nieba. — Czy to możliwe, że gdzieś tam istnieje dwadzieścia pięć tysięcy innych Ruddych, z których każdy układa sobie życie, jak może?

— Jeden taki wyszczekany dupek to dla mnie aż nadto — warknął Casey, który po raz pierwszy włączył się do tej dyskusji i pociągnął z bukłaka łyk rozwodnionego wina.

Cecil de Morgan słuchał tej rozmowy w milczeniu. Bisesa wiedziała, że zawarł luźny alians z sekretarzem Aleksandra, Eumenesem i miał mu meldować o tego rodzaju spekulacjach. Oczywiście obaj mieli w tym swój interes: Eumenes rywalizował z innymi dworzanami Aleksandra, zwłaszcza z Hefajstionem, a Cecil, jak zawsze, chciał na tym skorzystać. Ale wszyscy o tym wiedzieli. A Bisesa nie widziała nic złego w tym, że informacje za pośrednictwem Cecila docierają do Eumenesa. W końcu tkwili w tym wszyscy tak samo.

Flota żeglowała dalej.

26. Świątynia

Kiedy Mongołowie rozbili obóz, ich pierwszym zadaniem było spędzenie koni.

Konie Mongołów żyły w stanie półdzikim w stadach, które swobodnie włóczyły się po równinach, dopóki nie były potrzebne. Trochę się obawiano, że plastry czasu mogły sprawić, iż wiele spośród stad, na których opierały się plany Czyngis-chana, przepadło, ale kiedy wysłano jeźdźców, aby je sprowadzono, następnego dnia wielkie chmary koni z grzmotem kopyt przycwałowały do miasta jurt. Otaczający je ludzie wywijali długimi tykami z lassami na końcach. Jakby wiedząc, że czeka je marsz liczący tysiące kilometrów, konie rzucały się i wierzgały. Ale kiedy je powiązano, ze stoickim spokojem pozwoliły się prowadzić.

Kola uznał za charakterystyczne dla wszystkich przedsięwzięć niecywilizowanych Mongołów, że nawet największe kampanie musiały się zacząć od rodeo.

Kiedy już zebrali się ludzie, przygotowania do wymarszu postępowały szybko. Większość jurt zwinięto i załadowano na wozy lub juczne zwierzęta, ale niektóre największe namioty, w tym te, które tworzyły pawilon Czyngis-chana, załadowano na szerokie wozy ciągnione przez woły. Zabrano nawet kapsułę Sojuza. Na rozkaz Czyngis-chana przywieziono ją z wioski Scacataia. Kola zorientował się, że do jej podniesienia wykorzystano machinę oblężniczą. Spoczywała na ciężkim wozie, przywiązana linami z końskiego włosia i wyglądała jak metalowa jurta.

Kola szacował, że podczas marszu na Babilon Czyngis-chanowi będzie towarzyszyło około dwudziestu tysięcy wojowników, większość z nich stanowiła konnica, przy czym każdemu jeźdźcowi miał towarzyszyć co najmniej jeden sługa i dwa lub trzy konie zapasowe. Czyngis-chan podzielił swe siły na trzy dywizje: wojska lewego skrzydła, prawego skrzydła i środka. Środek dowodzony przez samego Czyngis-chana obejmował elitarną gwardię cesarską, w tym ochronę osobistą w sile tysiąca żołnierzy. Sabie i Kola mieli jechać w środku, jako członkowie świty Yeh-lii.

Część sił pozostawiono w garnizonie w Mongolii, aby kontynuowały zadanie scalania tego, co pozostało z imperium.

Garnizonem miał dowodzić jeden z synów Czyngis-chana, To-lui. Ale nawet bez niego siły Czyngis-chana nie uległy istotnemu osłabieniu. Oprócz kanclerza Yeh-lii Czyngis-chanowi towarzyszył jego drugi syn, Ogodei, oraz generał Subedei. Biorąc pod uwagę, że Ogodei był tym, który w poprzednim świecie miał zostać następcą Czyngis-chana, oraz że Subedei był prawdopodobnie najzdolniejszym

generałem Czyngis-chana — człowiekiem, który po jego śmierci miał opracować plan inwazji Europy — był to rzeczywiście wspaniały zespół.

Kola był świadkiem chwili, gdy Czyngis-chan żegnał swego syna. Ująwszy twarz Toluia dłońmi, przyciągnął go do siebie i dotknął wargami jednego z jego policzków, oddychając głęboko. Sabie określiła to jako „cmoknięcie na odległość z epoki żelaza", ale Kola był dziwnie poruszony.

W końcu wzniesiono cesarski sztandar i wśród hałasu trąbek i bębnów oraz okrzyków tłumu pochód ruszył, a za nim długi korowód wiozący ekwipunek. Trzy kolumny pod dowództwem Czyngis-chana, Ogodeia i Subedeia miały się posuwać niezależnie, oddalając się od siebie nawet na odległość setek kilometrów, ale miały pozostawać w kontakcie za pośrednictwem jeźdźców, sygnałów trąbek i sygnałów dymnych. Wkrótce równiny Mongolii pokryły wielkie wzniecane przez pędzących jeźdźców chmury pyłu i drugiego dnia rozdzielone siły straciły kontakt wzrokowy.

Wyruszywszy na zachód od miejsca urodzenia Czyngis-chana, posuwali się wzdłuż dopływu rzeki Onon przez krainę porośniętą trawą. Kola jechał w wozie razem z Sabie, Basilem i innymi dziwnie przygaszonymi handlarzami oraz częścią personelu Yeh-lii. Po pierwszych kilku dniach znaleźli się w krainie mrocznych, ponurych lasów, poprzecinanej błotnistymi dolinami, które często były trudne do przebycia. Niebo było pokryte ołowianymi chmurami i padały ulewne deszcze. Kola czuł się przytłoczony atmosferą tego posępnego miejsca. Ostrzegł Yeh-lii przed kwaśnym deszczem i administrator wydał rozkaz, aby żołnierze mieli czapki na głowach i podniesione kołnierze kurtek.

Żołnierze Czyngis-chana nie byli czystsi niż reszta Mongołów. Ale byli dumni ze swego wyglądu. Ich siodła były wysokie z przodu i z tyłu i miały solidne strzemiona. Mieli na sobie stożkowate filcowe czapki podbite futrem lisa, wilka czy nawet rysia oraz długie, rozpinane od góry do dołu płaszcze. Mongołowie ubierali się w ten sposób od niepamiętnych czasów, ale teraz to byli bogaci ludzie i niektórzy oficerowie mieli na sobie płaszcze haftowane jedwabnymi lub złotymi nićmi i jedwabną bieliznę prosto z Chin. Ale nawet generałowie Czyngis-chana wycierali usta rękawami, a dłonie o spodnie.

Mongołowie byli wprawni i doświadczeni, w końcu był to wynik liczącej setki lat tradycji. Marsz przerywano każdego wieczora, po czym rozdzielano racje żywnościowe: suszone zsiadłe mleko, proso, kumys, czyli napój alkoholowy ze sfermentowanego mleka i suszone mięso. Rano każdy jeździec wsypywał do skórzanej torby trochę suszonego zsiadłego mleka i wlewał wodę; wstrząsy podczas jazdy

sprawiały, że niebawem powstawało coś w rodzaju jogurtu, który wypijał z lubością, głośno bekając. Kola zazdrościł Mongołom ich umiejętności, tego, jak wyprawiali krowie skóry czy nawet jak wykorzystywali destylat ludzkiego moczu jako środka przeczyszczającego, kiedy ktoś miał gorączkę.

Armia Czyngis-chana posuwała się sprawnie do przodu, a rozkazy i zmiany planów były przekazywane szybko i bezbłędnie. Kierowanie wojskiem było skuteczne i odbywało się hierarchicznie zgodnie z regułą dziesięciu. Dzięki temu łańcuch rozkazów był uproszczony, a każdy oficer miał nie więcej niż dziesięciu podwładnych. Mongołowie wyposażyli dowódców w liczne prerogatywy, co zwiększało elastyczność armii. A Czyngis-chan dopilnował, aby wszystkie jednostki, aż do najmniejszego plutonu, stanowiły mieszaninę różnych narodowości, klanów i plemion. Nie chciał, aby byli wierni komukolwiek poza nim samym. Kola pomyślał, że jest to niezwykle nowoczesny sposób organizacji armii, nic dziwnego, że ci Mongołowie zmiażdżyli zbieraninę żołnierzy średniowiecznej Europy. Ich system opierał się na sprawnym i lojalnym personelu. Korpus oficerski był starannie wyselekcjonowany w wyniku morderczego szkolenia, dzięki takim ćwiczeniom jak *battue,* i rzecz jasna dzięki walkom.

Po kilku dniach, wciąż jeszcze w sercu Mongolii, armia przekroczyła trawiastą równinę, kierując się do Karakorum. Kiedyś miasto to stanowiło centrum władzy Ujgurów, a Czyngis-chan uczynił je własną stolicą. Ale nawet z dużej odległości Kola zobaczył, że mury miasta są zrujnowane. Wewnątrz widać było skupisko kilku opuszczonych świątyń, ale pozostałą część miasta zarosła trawa.

Czyngis-chan w towarzystwie swych krzepkich strażników i Ogodeia sztywnym krokiem przemierzał miasto. Minęło zaledwie kilka lat, odkąd je założył, a teraz leżało w gruzach. Kola zobaczył, jak wraca ze wściekłością w oczach, jakby pałał gniewem na bogów, którzy w ten sposób zadrwili z jego ambicji.

W następnych dniach armia przekroczyła dolinę rzeki Orkhon, ogromną równinę otoczoną od wschodu błękitnymi górami. Kola pomyślał, że jest prawie jak marsjańska *vallis.* Ziemia była tu szara i krucha, a rzeka płynęła leniwie. Niekiedy musieli przeprawiać się w bród przez jej dopływy i mniejsze rzeki. W nocy rozbili obóz na błotnistych wyspach i rozpalili wielkie ogniska z suchej wierzbiny.

Kiedy przeprawili się przez ostatnią rzekę, teren zaczął się wznosić. Sabie powiedziała, że opuszczają nowoczesną mongolską prowincję Arhangay i przekraczają masyw Hangay. Za ich plecami rozciągała się pofałdowana kraina, upstrzona lasami i dolinami, ale po drugiej stronie masywu ujrzeli rozległy krajobraz porośnięty żółtą trawą.

Szeroki szczyt masywu był poprzecinany licznymi grzbiecikami i

fałdami terenowymi, zasłanymi potłuczonymi kamykami, jakby zbiegło się w tym miejscu kilka plastrów czasu. Wznosił się tam kopiec z kamieni, który jakimś cudem przetrwał konwulsje czasu. Przechodząc obok, każdy żołnierz dorzucał do kopca kamyk czy kawałek skały. Kola zdał sobie sprawę, że kiedy wszyscy go miną, będzie stanowił spory pagórek.

Na koniec zjechali w dół i znaleźli się na stepie. Masyw zniknął na horyzoncie i wokół rozciągała się teraz zupełnie płaska, pozbawiona drzew równina, porośnięta wysoką trawą, która rozstępowała się przed końmi jak fale. Kiedy ta bezkresna równina rozpostarła się przed nimi, ogrom środkowej Azji sprawił, że nawet Czyngis-chan i jego ambicje jakby skurczyły się i Kola poczuł ogromną ulgę.

Nie napotkali jednak żadnych ludzi. Na tym rozległym terenie niekiedy widać było owalne cienie jurt i ślady ognisk, jak widma małych wiosek, które zwinięto, przenosząc się w inne miejsce. Step trwał niezmiennie, ludzie żyli tutaj zawsze w podobny sposób i ślady te mogli pozostawić Hunowie, Mongołowie, czy nawet Sowieci, a ci, którzy je pozostawili, mogli byli tędy przejść i zniknąć w zupełnie innym czasie. Może, pomyślał Kola, kiedy ulegną zatarciu ostatnie ślady cywilizacji, kiedy Ziemia zostanie zapomniana i pozostanie już tylko Mir, wszyscy staną się nomadami, których wessie owa ogromna otchłań ludzkiego przeznaczenia.

Nigdzie żadnych ludzi. Od czasu do czasu Czyngis-chan wysyłał grupy poszukiwawcze, ale bez rezultatu.

I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, zwiadowcy natknęli się na świątynię w samym środku stepu.

Wysłano grupę, aby zbadała całą rzecz. Yeh-lii włączył do grupy Kolę i Sabie, w nadziei, że ich odmienny punkt widzenia może się przydać.

Świątynia była małym, pudełkowatym budynkiem z wysokimi, ozdobnie rzeźbionymi drzwiami i kołatkami w kształcie lwich głów. Do wnętrza wiódł przedsionek, obramowany lakierowanymi filarami, a belki nośne ozdobiono złotymi czaszkami. Kola, Sabie i kilku Mongołów ostrożnie weszli do środka. Na niskich stołach, pośród resztek jedzenia leżały zwoje manuskryptów. Ściany były drewniane, powietrze wypełniał silny zapach kadzideł i wrażenie było przejmujące.

Kola wyszeptał:

— Jak myślisz, to chyba buddyści?

Sabie nie miała żadnych zahamowań i powiedziała na głos:

— Tak. I przynamniej kilku z nich jest wciąż gdzieś w pobliżu. Nie wiadomo, z jakiej epoki pochodzi to miejsce. Buddyści są tak samo ponadczasowi jak nomadowie.

— Niezupełnie — ponuro powiedział Kola. — Sowieci próbwali oczyścić Mongolię ze świątyń. To miejsce musi pochodzić sprzed dwudziestego wieku…

Z mroku w głębi świątyni wyszły, powłócząc nogami, dwie postacie. Mongolscy żołnierze wyciągnęli sztylety, ale doradca Yeh-lii powstrzymał ich, powiedziawszy coś ostrym tonem.

Na początku Kola myślał, że to dwójka dzieci, wydawali się tak drobnej budowy. Jednak kiedy wyłonili się z mroku, zobaczył, że jeden z nich to rzeczywiście dziecko, ale drugi to starzec. Miał na sobie czerwoną satynową szatę i pantofle oraz sznur bursztynowych paciorków i był najwyraźniej lamą. Był zdumiewająco chudy i przeguby wystawały mu z rękawów jak kości jakiegoś ptaka. Dzieckiem był chłopiec w wieku co najwyżej dziesięciu lat, takiego samego wzrostu jak starzec i niemal równie chudy. Też miał na sobie czerwoną szatę, a na nogach płócienne buty, co Kola zauważył zaraz na początku. Lama obejmował chłopca swym chudym ramieniem, ale był tak kruchy, że nawet dla dziecka nie mógł być żadnym ciężarem.

Lama uśmiechnął się, ukazując prawie bezzębne usta, i zaczął coś mówić głosem, który przypominał szelest. Mongołowie próbowali odpowiedzieć, ale wkrótce stało się jasne, że nie mają żadnych punktów wspólnych.

Kola szepnął do Sabie:

— Spójrz na buty tego chłopca. Może to miejsce nie jest tak stare, jak myślimy.

Sabie chrząknęła.

— Buty są nowe. Ale to niczego nie dowodzi. Jeżeli ich zostawiono tutaj samych, dziecko musiało stąd wychodzić, żeby zdobyć pożywienie…

— Lama jest taki stary — szepnął Kola. Rzeczywiście, jego skóra wyglądała jak papier i cała w plamach spowodowanych podeszłym wiekiem zwisała pofałdowana na kościach, a jego oczy były tak bladoniebieskie, że wydawały się niemal przezroczyste. Wrażenie było takie, jak gdyby sublimował z wiekiem i jego istota wyparowała.

— Tak — powiedziała Sabie. — Ma dziewięćdziesiątkę jak nic. Ale spójrz na nich obu, Kola. Zapomnij o różnicy wieku. Spójrz na ich oczy, budowę kości, brodę…

Kola przyjrzał się im, żałując, że nie ma lepszego światła. Kształt czaszki chłopca przesłaniała czarna czupryna, ale jego twarz, bladoniebieskie oczy… Wyglądają podobnie.

— No właśnie — powiedziała Sabie sucho. — Kola, kiedy przychodzisz do takiego miejsca, to na całe życie. Przybywasz jako ośmioletni czy dziewięcioletni młodzieniec, zostajesz tutaj, recytujesz modlitwy i robisz to nadal, gdy masz dziewięćdziesiąt lat, jeżeli dożyjesz tego wieku.

— Sabie…

— Tych dwoje to jedno, to ten sam człowiek, młodzieniec i stary lama znaleźli się tutaj razem w wyniku igraszek czasu. I ten chłopiec wie, że kiedy się zestarzeje, pewnego dnia zobaczy swoje własne młodsze ja, idące ku niemu przez step. — Wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Nie wydają się speszeni, prawda? Może filozofii buddyjskiej nie trzeba aż tak bardzo naginać aby pogodzić się z tym, co się wydarzyło. Po prostu koło się zamyka, to wszystko…

Mongolscy żołnierze bez entuzjazmu szukali, żeby coś zrabować, ale nie było tam niczego oprócz resztek jedzenia i małych skarbów związanych z praktykami religijnymi: młynków modlitewnych i świętych tekstów. Mongołowie zamierzali zabić mnichów. Przygotowywali się do tego beznamiętnie, w końcu robili to systematycznie, zabijanie było ich chlebem powszednim. Kola zdobył się na odwagę i interweniował u doradcy Yeh-lii, ażeby tego nie czynić.

Pozostawili świątynię w jej wiecznym śnie i armia ruszyła dalej.

27. Zjadacze ryb

Po trzech tygodniach podróży wzdłuż wybrzeża Zatoki Eumenes zawiadomił nowożytnych, że zwiadowcy natknęli się na zamieszkaną wioskę.

Powodowani ciekawością i potrzebą oderwania się od morza Bisesa, Abdikadir, Josh, Ruddy i mały oddział brytyjskich żołnierzy pod dowództwem kaprala Batsona dołączyli do oddziału straży przedniej, na czele rozciągniętej kolumny wojsk Aleksandra. Wszyscy oni dyskretnie zaopatrzyli się w broń palną. Kiedy znaleźli się na lądzie, Casey, którego noga wciąż była słaba, patrzył ze statku z zazdrością.

Od wioski dzielił ich dzień marszu i droga była naprawdę mozolna. Chociaż Ruddy jako pierwszy zaczął narzekać, wkrótce ten marsz wszystkim dał się we znaki. Jeśli szli zbyt blisko brzegu, pod nogami mieli tylko sól i kamienie i żadnej roślinności, ale wszedłszy dalej w głąb lądu, znaleźli się na wydmach, po których posuwać się było trudno, nawet jeśli nie było deszczu. Zawsze istniało niebezpieczeństwo gwałtownych powodzi, kiedy masy wody płynęły wąskimi korytami. A kiedy deszcz przestał padać, pojawiły się całe chmary gzów.

Nieustannym zagrożeniem były węże. Nikt z nowożytnych nie potrafił rozpoznać odmian, jakie napotykali po drodze, ale jeśli wziąć pod uwagę, że pochodzili z czasów odległych o dwa miliony lat czy nawet więcej, nie było to takie zaskakujące.

Bisesa patrzyła z gniewem na nieruchome Oczy unoszące się bez trudu nad najbardziej trudnym terenem, które beznamiętnie obserwowały jej wysiłki, kiedy je mijała.

Pod koniec dnia grupa dotarła do wioski. Wraz z macedońskimi żołnierzami Bisesa i pozostali wdrapali się na skarpę, aby się jej przyjrzeć. Znajdowała się w pobliżu brzegu i robiła wrażenie biednej. Zgarbione chaty przycupnęły na kamienistej ziemi. Za wioską kilka wychudłych owiec skubało karłowatą trawę.

Mieszkańcy nie wyglądali zachęcająco. Zarówno dorośli, jak i dzieci mieli długie, potargane, brudne włosy, a mężczyźni brody. Ich głównym źródłem pożywienia były ryby, które łapali, wchodząc do wody i zarzucając sieci zrobione z kory palmowej. Wykonywali tę pracę odziani w coś, co wyglądało jak wyprawione skóry ryb czy może nawet wielorybów.

Ruddy powiedział:

— To najwyraźniej istoty ludzkie. Ale z epoki kamienia. De Morgan odrzekł:

— Ale mogą pochodzić z czasów nie tak znów odległych, to

znaczy od czasów Aleksandra. Jeden z Macedończyków widywał takich ludzi już przedtem; nazywa ich Zjadaczami Ryb.

Abdikadir przytaknął.

— Na ogół zapominamy, jak bardzo pusty był świat Aleksandra. Parę tysięcy kilometrów stąd leży Grecja Arystotelesa, a tutaj mamy ludzi z neolitu, którzy żyją w taki sposób być może od czasów epoki lodowcowej.

Bisesa rzekła:

— Więc może ten nowy świat Macedończykom nie wydaje się taki dziwny jak nam.

Macedończycy potraktowali Zjadaczy Ryb ostro, przepędzając ich gradem strzał. Następnie oddział wmaszerował do opuszczonej wioski.

Bisesa rozejrzała się wokół z zaciekawieniem. Smród ryb przenikał wszystko. Znalazła na ziemi jakiś nóż, wykonany z kości, chyba z łopatki wieloryba lub delfina. Był misternie rzeźbiony, na jego powierzchni widać było pląsające delfiny.

Josh zbadał chaty.

Spójrz na to. Te chaty to po prostu skóry rozpięte na ramach z kości wielorybów, albo — o, tutaj — ułożone rzędami muszle ostryg. Prawie wszystko, co mają, zawdzięczają morzu — nawet odzienie, narzędzia i domy — to niesamowite!

Bisesa pomyślała, że miejsce to jest niewyobrażalnie bogate jako przykład żywej archeologii i zarejestrowała, ile się dało, nie zważając na biadolenie telefonu. Ale czuła przygnębienie, że tak znaczna część przeszłości została utracona i nigdy nie zostanie poznana; ten fragment wymarłego życia, wyrwanego z kontekstu, to jak kolejna strona wyrwana z księgi pozbawionej tytułu, ocalonej z już nieistniejącej biblioteki.

Ale żołnierze przybyli tu, aby zdobyć zapasy, a nie z powodu archeologii. Jednak niewiele mogli znaleźć. Dokopano się do magazynu i zabrano sproszkowaną mączkę rybną. Schwytano i szybko zarżnięto kilka nędznych owiec, ale okazało się, że ich mięso było słone i miało okropny smak ryb. Bisesa była przerażona tym nonszalanckim zniszczeniem wioski, ale nic nie mogła na to poradzić.

Nad wioską Zjadaczy Ryb unosiło się pojedyncze Oko. Patrzyło, jak Macedończycy odchodzą, tak jak patrzyło na ich przyjście, nie zdradzając żadnej reakcji.

Noc spędzili niedaleko wioski, w pobliżu strumienia. Macedończycy jak zwykle sprawnie rozbili obóz, zaopatrując skórzane namioty w daszki dla ochrony przed deszczem. Pomagali im brytyjscy żołnierze.

Bisesa uznała, że nadszedł czas na pewne zabiegi higieniczne; toalety na statkach Aleksandra nie były zbyt nowoczesne. Poczuła ogromną ulgę, gdy wreszcie zdjęła buty. Szybko opatrzyła stopy.

Skarpety były przesiąknięte potem i kurzem, a szczeliny między palcami pokrył zaschnięty brud i wydawało się, że widać początki grzybicy. Oszczędzała to, co jeszcze miała w zestawie medycznym, który w końcu stanowił tylko niewielki zestaw awaryjny.

Rozebrała się i zanurzyła w zimnej wodzie. Nie przejmowała się specjalnie zainteresowaniem mężczyzn. Pożądanie zaspokajano swobodnie w macedońskim obozie. Oczywiście Josh się jej przyglądał, jak zwykle — ale niewinnie, a kiedy go na tym złapała, chował głowę i pokrywał się rumieńcem. Wypłukała ubranie i zostawiła do wyschnięcia.

Kiedy się z tym uporała, Macedończycy już rozpalili ognisko. Położyła się na ziemi w pobliżu ognia, wślizgnąwszy się pod ponczo i podłożywszy plecak pod głowę. Josh jak zawsze umieścił się możliwie najbliżej i położył w taki sposób, aby mógł na nią patrzeć, myśląc, że nikt go nie widzi. Ale za jego plecami Ruddy i Abdikadir odgrywali pantomimę posyłania całusów.

Ruddy zaczął perorować, jak to on:

— Jest nas tak niewielu. Widzieliśmy już duży fragment nowego świata, od Jamrud do wybrzeży Arabii. Ludzi spotyka się rzadko, a myślących ludzi jeszcze rzadziej! Jednak wciąż postrzegamy otaczającą nas pustkę jako ich nieobecność. A powinniśmy ją traktować jako okazję.

Josh mruknął:

— O czym ty gadasz, chłopie?

Ruddy Kipling zdjął okulary i przetarł oczy, które wydawały się małe i zapadnięte.

— Nasze Imperium Brytyjskie znikło, starte z powierzchni ziemi jak rozdanie brydżowe po potasowaniu kart. Zamiast tego mamy to — Mir, nowy świat, czyste płótno. A my, jest nas tak niewielu, być może stanowimy jedyne źródło rozumu, wiedzy i cywilizacji, jakie pozostało.

Abdikadir się uśmiechnął.

— Zgoda, Ruddy, ale tu, na Mirze, nie ma zbyt wielu Anglików, aby zmienić ten sen w rzeczywistość.

— Ale Anglik zawsze był mieszańcem. I to wcale nie jest takie złe. Stanowi sumę rozmaitych wpływów, od potęgi Rzymian do inteligencji współczesnej demokracji. Dlatego musimy zacząć tworzyć nową Anglię — i nowych Anglików! — tutaj, na piaskach Arabii. I możemy zbudować nasze nowe państwo od zera, w oparciu o solidne, angielskie zasady. Każdy byłby absolutnie niezależny, jeśli tylko nie naruszałby praw swych sąsiadów. Szybka i jednakowa dla wszystkich sprawiedliwość w obliczu Boga. Tolerancja religijna i wiara dowolnej postaci. Dom człowieka to jego twierdza. O to chodzi. To jest okazja, żeby uporządkować cały bałagan.

— To wszystko brzmi cudownie — powiedział Abdikadir. — A kto miałby rządzić tym nowym światowym imperium? Mamy to zostawić Aleksandrowi?

Ruddy roześmiał się.

Aleksander osiągnął bardzo wiele jak na swoje czasy, ale był wojskowym despotą, gorzej, dzikusem z epoki żelaza! Widzieliście, jak nad morzem próbował ugłaskać bogów. Może pod tą jego zbroją drzemie właściwy instynkt, ale to nie jest facet tego rodzaju. Na razie to my, cywilizowani ludzie, musimy wszystkim kierować. Jest nas niewielu, ale to my mamy broń. — Ruddy położył się na plecach, podłożywszy rękę pod głowę i zamknął oczy. — Teraz to widzę. Rozdzwonią się kuźnie! Miecz przyniesie pokój, a pokój przyniesie dostatek, wreszcie dostatek przyniesie prawo. To tak naturalne jak rozwój wielkiego dębu. A my, którzy widzieliśmy to już przedtem, będziemy podlewać młode drzewko.

Zamierzał ich zainspirować, ale jego słowa Bisesie wydały się puste, a ich obóz był małym i odosobnionym miejscem, iskierką światła w krainie, w której nawet nie było duchów.

Następnego dnia, w drodze powrotnej, Ruddy poważnie rozchorował się na żołądek. Bisesa i Abdikadir pogrzebali w swych kurczących się zapasach medykamentów z dwudziestego pierwszego wieku i podali mu antybiotyk, po czym sporządzili napój, rozpuszczając w wodzie trochę cukru. Ruddy prosił o swoje opium, twierdząc, że jest to jeden z najstarszych środków przeciwbólowych z hinduskiej farmakopei. Jednak biegunka go osłabiła i jego wielka głowa zaczęła mu ciążyć na szyi. Ale gadał bez ustanku.

— Potrzebujemy nowych mitów, które by nas połączyły — powiedział chrapliwie. — Mity i rytuały; oto, co stanowi naród. Tego brakuje Ameryce, wiecie — to młody naród — było zbyt mało czasu, aby narodziła się tradycja. Ale Ameryki już nie ma i Wielkiej Brytanii także, a stare historie nam się nie przydadzą, już nie.

Josh powiedział cierpko:

— Ty właśnie jesteś tym, który napisze nowe, Ruddy.

— Żyjemy w nowej erze bohaterów — powiedział. — To jest era, w której powstaje nowy świat. To jest nasza szansa. I musimy powiedzieć przyszłości, co zrobiliśmy, jak i dlaczego… — Ruddy nie przestawał mówić, wypełniając przestrzeń swymi marzeniami i planami, dopóki odwodnienie i brak tchu nie zmusiły go do milczenia. Powoli przemierzali ogromną, pustą pustynię.

28. Biszkek

Armia Czyngis-chana okrążyła północny skraj pustyni Gobi.

Kraina była bezkresna, jak przesłonięte pyłem niebo. Czasami widzieli zerodowane, jakby zmęczone wzgórza i raz zobaczyli stado wielbłądów, które kłusowały w oddali, sztywne i napuszone. Kiedy powiał wiatr, chmura żółtego piasku zasłoniła światło; piasek miał smak żelaza, piasek, pomyślał Kola, który mógł powstać milion lat temu albo przed miesiącem. Mongołowie z głowami obwiązanymi materiałem wyglądali jak beduini.

Kiedy tak szli i szli przez pustynię, Kola pogrążył się w apatii. Ogarnęło go otępienie, zmysły jakby zmętniały; tkwił z tyłu wozu, nie odzywając się do nikogo; siedział z zakrytą twarzą, żeby się uchronić przed pyłem. Kraina była tak rozległa i spokojna, że niekiedy wydawało się, że w ogóle się nie poruszają. Niechętnie podziwiał siłę ducha i niewiarygodną odporność Mongołów, która pozwalała im na pokonywanie ogromnych azjatyckich odległości. A jednak to on latał w kosmosie i kiedyś pokonywał odległość, tak wielką w ludzkiej skali, w ciągu niecałych piętnastu minut.

Dotarli do wielkiego kopca usypanego z kamieni i ziemi, kurhanu. Wyglądał jak jakaś złapana w pułapkę podziemna bestia, która próbuje się uwolnić ze szponów suchej ziemi. Kola pomyślał, że to grobowiec Scytów, pozostałość po ludziach, którzy żyli przed narodzeniem Chrystusa, jeździli konno i budowali jurty tak samo jak Mongołowie. Kopiec wyglądał na świeży, ale grobowiec otwarto i obrabowano ze złota czy innych kosztowności, jakie zawierał.

I wtedy natknęli się na relikt niemal współczesny. Kola widział to z oddali tylko przez chwilę: cementowe stodoły z blaszanymi dachami, silos i coś, co wyglądało jak konwój zardzewiałych traktorów. Może był to rządowy projekt rolniczy, najwyraźniej porzucony na długo przez wystąpieniem Nieciągłości. Może kiedy opuścili środkową Mongolię, dumał Kola, zostawili za sobą środek ciężkości historii tego ogromnego kontynentu, okropne królestwo Czyngis-chana; może tutaj okruchy potrzaskanego czasu ułożyły się swobodniej, obejmując rozbitków z większych połaci świata. Mongolscy zwiadowcy zbadali to miejsce, szarpiąc arkusze pordzewiałej blachy falistej i zostawili je jako bezużyteczne.

Powoli krajobraz się zmieniał. Minęli jezioro — wyschnięte, pokryte warstwą soli. Na jego brzegu, między kamieniami uwijały się jaszczurki i unosiły się chmary much, płosząc konie. Kola zaskoczony usłyszał żałosne krzyki morskich ptaków, bo chyba na całym świecie nie było miejsca bardziej oddalonego od morza niż ta jałowa kraina. Może ptaki przelatywały nad gęstą siecią płynących przez Azję rzek i

zgubiły drogę. Podobieństwo do jego własnej sytuacji było oczywiste i ironicznie banalne.

A podróż wciąż trwała.

Ażeby opuścić współczesną Mongolię, musieli przekroczyć łańcuch gór zwanych Ałtaj. Z każdym dniem teren się podnosił, a ziemia stawała się coraz bardziej żyzna i lepiej nawodniona. Miejscami nawet rosły kwiaty, raz Kola dojrzał prymulki, zawilce, storczyki, rozrzucone na usychającym fragmencie stepu. Przecięli szeroką, bagnistą równinę, gdzie krążyły siewki nad przesiąkniętą wilgocią trawą, a konie posuwały się z trudem przez wodę, która sięgała im do kostek.

Teren stał się górzysty. Wojsko przeciskało się przez coraz bardziej strome i coraz węższe doliny. Głosy nawołujących się Mongołów odbijały się echem od skalnych ścian. Czasami Kola widział wysoko nad głową orły, których charakterystyczne sylwetki rysowały się na tle ołowianego nieba. Generałowie Czyngis-chana ponuro mamrotali o groźbie ataku w razie zasadzki.

W końcu otworzył się przed nimi wielki kanion otoczony skalnymi ścianami, które zdawały się sięgać nieba. Kola znalazł się na grzbiecie u szczytu kanionu. Ponad nim wznosiła się ogromna góra o spłaszczonym wierzchołku, pokryta cętkami śniegu i lodu, przypominającymi ptasie odchody. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że armia Czyngis-chana rozciągnęła się wzdłuż całego kanionu; ludzie i zwierzęta mieli barwę błota, w którym tu i ówdzie połyskiwała zbroja. Ale ta cienka linia ludzi wydawała się mała w porównaniu z wyniosłymi szczytami otaczających fioletowo-czerwonych skał.

Posuwali się dalej wzdłuż północno-zachodniej granicy współczesnych Chin, zmierzając w stronę Kirgistanu. Jeszcze kilka dni podróży i dotarli do miasta.

Mongołowie, gorący zwolennicy prowadzenia działań wywiadowczych, wysłali zwiadowców i szpiegów, którzy podkradli się do miasta, a potem wysłanników, którzy śmiało ruszyli głównymi ulicami. Mieszkańcy w płaskich czapkach i pozapinanych kurtkach wyszli na zewnątrz, wyciągając w przyjaznym geście ręce do tych obrzydliwie cuchnących przybyszy.

Miejsce to było względnie nowoczesne. Ta świadomość wyrwała Kolę z transu, w którym znajdował się podczas podróży. Było dla niego szokiem, gdy usłyszał, że armia, a wraz z nią i on podróżowali przez blisko trzy miesiące.

I tutaj, jak się okazało, miał się rozpocząć ostatni etap jego podróży.

Sabie poszła przodem, aby pomóc w penetrowaniu miasta, którym okazał się Biszkek, stolica Kirgistanu w dwudziestym pierwszym wieku. Jednak w stanie, w którym je zastali, miasto było

jeszcze nie zelektryfikowane, ale znajdowały się tam młyny wodne i fabryki.

— To chyba schyłek dziewiętnastego wieku — powiedziała Sabie. Do miasta prowadziły tłuczniowe drogi, ale jakiś kilometr za miastem urywały się, obcięte przez plastry czasu.

Wysłano dodatkowych zwiadowców, zabierając Kolę, który miał służyć za tłumacza. Miasto było ładne, miało ulice wysadzane drzewami, które nieco przywiędły wskutek kwaśnych deszczów. Nawiązując do dawnej historii, główna ulica nosiła nazwę Jedwabnej Drogi. Mieszkańcy miasta, odcięci od reszty świata i nieświadomi tego, co się wydarzyło, byli zaniepokojeni brakiem wizyt inspektorów podatkowych i chcieli wiedzieć, czy z Moskwy nadeszły jakieś dyrektywy, czy są jakieś wiadomości o carze. Kola marzył, żeby porozmawiać z nimi bezpośrednio, ale Mongołowie na to nie pozwolili.

Kola był podniecony wizytą w tym mieście, najbardziej nowoczesnym miejscem, jakie dotąd napotkali. Z pewnością mieszkańcy posiadali urządzenia i umiejętności, które można było wykorzystać. Naciskał na Yeh-lii, aby nawiązać z nimi przyjacielski kontakt. Ale jego prośby pozostały bez echa i zaczął się niepokoić. Mongołowie nie lubili miast i znali tylko jeden sposób postępowania, kiedy się w nich znaleźli. Sabie go nie poparła; tylko patrzyła i czekała, prowadząc własną, skomplikowaną grę.

Kola był świadkiem części tego, co nastąpiło.

Mongołowie zjawili się nocą, nadjechali w ciszy. Kiedy zaatakowali z rykiem, dźwięk ich głosów i tętent koni przetoczyły się nad małym miastem. Masakra zaczęła się na głównej ulicy i ogarnęła całe miasto, jak krwawa fala. Mieszkańcy nie byli w stanie stawić żadnego oporu, poza kilkoma daremnymi strzałami na chybił trafił z przestarzałej broni.

Czyngis-chan kazał przyprowadzić do siebie władcę miasta żywego. Burmistrz próbował ukryć się wraz z rodziną w małej miejskiej bibliotece i budynek rozebrano cegła po cegle. Jego żonę zabito na początku, córki zgwałcono, a jego samego zadeptano na śmierć.

Mongołowie znaleźli w mieście niewiele rzeczy, które miały dla nich jakąś wartość. Rozbili małą prasę drukarską w redakcji gazety, zabierając żelazo, aby je przetopić i ponownie wykorzystać. Kiedy Mongołowie grabili miasto, mieli w zwyczaju wyszukiwać rzemieślników oraz innych wykwalifikowanych ludzi, którzy potem mogli im się przydać, ale w Biszkeku nie znaleźli ich zbyt wielu, umiejętności zegarmistrza, księgowego czy prawnika nic dla nich nie znaczyły. Niewielu pozostawiono przy życiu. Większość dzieci i część młodych kobiet wzięto do niewoli, przy czym wiele z nich zgwałcono.

Wszystko to odbywało się zupełnie mechanicznie, nawet gwałcenie; tak właśnie postępowali Mongołowie.

Kiedy skończyli, metodycznie podpalili całe miasto.

Więźniów, którzy zostali przy życiu, zabrano do obozu Czyngis-chana, gdzie stanęli zbici w żałosną grupkę. W oczach Koli wyglądali jak typowi wieśniacy; ich kurtki i spodnie, grube spódnice i chustki na głowę były obiektem pożądliwych spojrzeń Mongołów. Pewną piękną dziewczynę imieniem Natasza, piętnastoletnią córkę właściciela gospody, przeznaczono dla samego Czyngis-chana, który zawsze zabierał najpiękniejsze kobiety i wiele z nich zapładniał. Czyngis-chan zamierzał zabrać więźniów ze sobą bo takich nieszczęśników zawsze można było do czegoś wykorzystać, na przykład można ich było posłać do walki. Ale kiedy się dowiedział, że jednego z członków Złotej Rodziny ugodziła kula oszalałego ze strachu adwokata, kazał zabić wszystkich więźniów. Nieśmiałe prośby Yeh-lii o litość nie zdały się na nic. Kobiety i dzieci potulnie poddały się swemu losowi.

Kiedy armia wyruszyła w dalszą drogę, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno stało miasto, pozostały dymiące ruiny. Mongołowie zostawili stos uciętych głów, wśród nich główki maleńkich dzieci. W kilka dni później Czyngis-chan kazał tylnej straży wrócić do miasta. Garstka mieszkańców, którzy zdołali uniknąć rzezi, ukrywała się w piwnicach i innych kryjówkach. Mongołowie zrobili na nich obławę i uśmiercili po tym, jak się z nimi trochę zabawili.

Sabie nie okazała żadnej reakcji, żadnych emocji, nic. Ale Kola, po przeżyciach w Biszkeku, wiedział już dokładnie, co musi uczynić.

29. Babilon

Dwa miesiące zabrało im dotarcie do końca Zatoki. Kiedy się tam znaleźli, Aleksander nie mógł się doczekać, żeby wyruszyć w głąb lądu. Utworzył straż przednią złożoną z tysiąca żołnierzy, którym towarzyszyli Eumenes, Hefajstion i inni. Bisesa i jej towarzysze dopilnowali, aby ich także włączyć do ekspedycji.

W dzień potem grupa wyruszyła na krótką wyprawę w głąb lądu, do Susy, która w czasach Aleksandra stanowiła ośrodek administracyjny podbitego perskiego imperium. Aleksander wciąż był zbyt słaby, aby jechać konno czy dłużej chodzić, siedział więc na wozie osłoniętym fioletowym daszkiem, a setka tarczowników maszerowała równo, towarzysząc mu. Dotarli do Susy bez żadnych incydentów, ale to nie taką Susę pamiętał Aleksander.

Geodeci Aleksandra nie mieli wątpliwości co do miejsca położonego w sercu porośniętej skąpą roślinnością równiny. Ale nie było tam śladu żadnego miasta, nic. Mogli być pierwszymi istotami ludzkimi, których stopa stanęła na tym terenie i tak chyba było, pomyślała Bisesa.

Eumenes dołączył do nich z ponurą miną.

— Byłem tutaj zaledwie parę lat temu. To było bogate miejsce. Każda prowincja imperium miała swój udział w jego świetności, od rzemieślników i złotników z greckich miast na wybrzeżu do drewnianych filarów z Indii. Tutejsze skarby były niezwykłe. A teraz… — Wydawał się przybity i Bisesa znowu zobaczyła, że ogarnia go wściekłość, jak gdyby ten inteligentny Grek traktował Nieciągłość jako coś wymierzonego przeciwko niemu osobiście.

Aleksander wysiadł z wozu i chodził dookoła, wpatrując się w ziemię i kopiąc grudy. Następnie wrócił pod swój daszek i nie chciał się więcej pokazać, jakby zdjęty obrzydzeniem.

Tej nocy obozowali w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś była Susa. Następnego ranka, pod przewodem kartografów Aleksandra, wyruszyli na zachód, zmierzając do Babilonu przez ogromną, pustą krainę. Wszyscy wydawali się przybici, jak gdyby przygniotło ich ogromne brzemię czasu. Czasami Bisesa widziała, że Macedończycy na nią patrzą i wyczuwała, co myślą: że jest wśród nich żywa kobieta, która nie narodzi się, dopóki wszyscy, których znali, wszystko, czego dotykali, nie obróci się w pył, jak gdyby to ona była żywym symbolem Nieciągłości.

Ku ogólnej uldze po przejściu niewielu kilometrów natknęli się na granicę czasu, gdzie powierzchnia ziemi opadła o kilka centymetrów i ukazała się droga. Bisesie wydała się prymitywna, pokryta niedbale przyciętymi kamiennymi blokami, ale bez wątpienia to była droga.

Faktycznie Eumenes powiedział im, że jest to fragment Królewskiego Szlaku, który kiedyś przyczynił się do zjednoczenia Persji i który Aleksander uznał na wyjątkowo przydatny podczas podboju imperium.

Chociaż szli teraz drogą, marsz zabrał jeszcze kilka dni. Ziemia wokół nich była sucha, porośnięta jedynie buszem. Ale tu i ówdzie drogę wyznaczały kopczyki gruzu oraz biegnące wzdłuż linii prostej rowy, najwyraźniej sztuczne; były jednak od dawna nieużywane, a o ich przeznaczeniu już dawno zapomniano.

Każdego wieczoru, kiedy przerywano marsz i rozbijano obóz, Casey uruchamiał radio i nasłuchiwał sygnałów od załogi Sojuza, zagubionej gdzieś w bezkresie azjatyckiego lądu. Uzgodnił tę porę z załogą, ale od dnia ich planowanego powrotu na Ziemię nie usłyszał nic. Monitorował także sygnał radiowy, który nadal dochodził z nieznanego źródła, przypuszczalnie znajdującego się w Babilonie. Jego zawartość była niezmienna — tylko „świergot", przemiatający cały zakres częstotliwości jak sygnał próbny. Ale powtarzał się wciąż, bez końca. Casey prowadził dziennik obserwacji, zapisując pozycję, czas, natężenie i kierunek sygnału, a przybliżona triangulacja stale wskazywała na źródło w Babilonie.

I jeszcze były te Oczy, czy raczej ich brak. Kiedy posuwali się na zachód, Oczu było coraz mniej, były rozmieszczone coraz rzadziej, aż w końcu Bisesa zdała sobie sprawę, że przez cały dzień nie widziała żadnego. Nikt nie miał pojęcia, co o tym sądzić.

W końcu zbliżyli się do kolejnej granicy między dwoma plastrami czasu. Straż przednia dotarła do linii zieleni, która biegła idealnie prostoliniowo z północy na południe. Oddział zawahał się, zatrzymawszy się po suchej stronie granicy.

Na zachodzie, poza ową linią teren był podzielony na wielokątne pola i poprzecinany lśniącymi kanałami. Gdzieniegdzie na polach widać było prymitywne, przysadziste, szpetne chałupy z plecionki pokrytej gliną, przypominające bryły błota. Były najwyraźniej zamieszkane, bo Bisesa dostrzegła smugi dymu unoszące się z niektórych spośród nich. Kilka kóz i wołów, przywiązanych do wbitych w ziemię kołków, cierpliwie skubało trawę. Ale nie było widać ludzi.

Abdikadir stanął koło Bisesy.

— Słynne babilońskie kanały nawadniające.

— Chyba tak. — Niektóre kanały stanowiły przedłużenie wyschniętych, zniszczonych rowów, które zauważyła już przedtem, takie same fragmenty dawnej konstrukcji, rozerwane przez wieki. Jednak to nieudolne połączenie rozmaitych epok oczywiście było źródłem problemów; fragmenty z późniejszych epok i zamulone rowy zablokowały kanały biegnące do rzeki i część z nich wysychała.

Abdikadir powiedział:

— Pokażmy im drogę. — Zrobił krok do przodu, przekraczając niewidzialną linię między dwoma plastrami czasu.

Oddział ruszył za nim.

Widać było, że ziemia jest tutaj niezwykle żyzna. Na większości pól rosła pszenica; była to jakaś wysoka, bujna odmiana, jakiej Bisesa, córka farmera, nie znała. Ale rosło tam także proso i jęczmień, a gdzieniegdzie widać było gęste kępy palm. Cecil de Morgan mówił, że kiedyś Babilończycy śpiewali pieśni o tych palmach, wymieniając ich trzysta sześćdziesiąt zastosowań, po jednym na każdy dzień ich roku.

Niezależnie od tego, czy rolnicy ukrywali się, czy też nie, z pewnością nie była to pusta kraina i to na płody rolne tych pól liczyła armia Aleksandra. Bisesa zdała sobie sprawę, że potrzebna tu będzie łagodna dyplomacja. Król dysponował armią dzięki której mógł wziąć, co zechciał, ale miejscowi znali ten teren, a ta wielka i wygłodniała armia nie mogła sobie pozwolić na zmarnowanie żadnych plonów. Być może najważniejszą sprawą powinno być zatrudnienie żołnierzy i inżynierów Aleksandra przy odbudowie systemu nawadniania…

Abdikadir powiedział:

— Wiecie, trudno uwierzyć, że to jest Irak, że jesteśmy tylko jakieś sto kilometrów na południowy zachód od Bagdadu. Rozwinięte rolnictwo tego regionu zapewniało zaopatrzenie imperiom przez całe tysiąclecia.

— Ale gdzie oni wszyscy są? Abdi powiedział:

— Masz pretensje do tych rolników, że się ukrywają? Ich ziemia uprawna została przepołowiona i na jej miejscu pojawiła się prawie pustynia. Kanały przestały funkcjonować. Ulewne deszcze niszczą ich zbiory. I co się wyłania na horyzoncie? Największa armia starożytnego świata, jaką kiedykolwiek widzieli… Och — powiedział. — Tam — znieruchomiał i pokazał palcem.

Na zachodnim horyzoncie Bisesa ujrzała budynki i skomplikowaną budowlę, przypominającą zaopatrzoną w schody piramidę; wszystko to było szare i przesłonięte mgiełką oddalenia.

— Babilon — wyszeptał Abdikadir. Josh powiedział:

— A to jest Wieża Babel.

— A niech mnie — powiedział Casey.

Armia i kolumna transportowa dogoniły czoło pochodu, po czym rozbito obóz na błotnej równinie, w pobliżu brzegu Eufratu.

Aleksander postanowił odczekać dzień, zanim wkroczy do miasta. Chciał się przekonać, czy tamtejsi dygnitarze przybędą, aby go powitać. Ale nikt się nie pojawił. Wysłał więc zwiadowców, by zbadali mury miasta i jego otoczenie. Powrócili bez szwanku, ale Bisesa odniosła wrażenie, że byli wstrząśnięci.

Bez względu na istniejące plastry czasu Aleksander zamierzał

wkroczyć do starożytnego miasta z wielką pompą. Wczesnym rankiem, ubrany w haftowaną złotymi nićmi pelerynę i z królewskim diademem na głowie, ruszył z stronę murów miasta z Hefajstionem u boku i falangą stu tarczowników tworzącą wokół niego prostokąt mięśni i żelaza. Król nie zdradzał żadnych oznak bólu, jaki musiał powodować wysiłek związany z jazdą konno. Bisesa po raz kolejny była zdumiona jego siłą woli.

Eumenes i inni bliscy towarzysze w luźnym szyku postępowali za Królem. W grupie tej był kapitan Grove i jego starsi rangą oficerowie, pewna liczba brytyjskich żołnierzy oraz Bisesa i załoga Ptaka. Bisesa czuła się dziwnie skrępowana w tym wspaniałym orszaku, ponieważ ona sama i inni jej towarzysze górowali nad Macedończykami, pomimo ich pięknych galowych mundurów.

Mury miasta same w sobie robiły wielkie wrażenie; tworzył je potrójny krąg wypalanej cegły i gruzu, który musiał mieć długość dobrych dwudziestu kilometrów i był otoczony fosą. Ale nigdzie nie było znaku życia — żadnych dymów ognisk, żadnych żołnierzy czujnie obserwujących teren z wież strażniczych — a wielkie bramy stały otworem.

Eumenes wymruczał:

— Ostatnim razem, podczas pierwszej wizyty Aleksandra, było inaczej. Wyjechał sam gubernator, aby nas powitać. Droga była zasłana kwiatami, żołnierze wynieśli oswojone lwy i lamparty w klatkach, a kapłani i prorocy tańczyli w takt muzyki harf. To było wspaniałe! Tak być powinno! Ale to…

To, musiała przyznać Bisesa, było przerażające.

Aleksander dał przykład. Bez wahania poprowadził konia drewnianym mostem biegnącym nad fosą i zbliżył się do największej z bram. Było to wysokie, łukowate przejście między dwiema potężnymi, kwadratowymi wieżami.

Orszak ruszył za nim. Aby dotrzeć do bramy, musieli wejść po pochylni na platformę znajdującą się około piętnastu metrów nad poziomem ziemi. Kiedy Bisesa ją minęła, brama wznosiła się ponad dwadzieścia metrów nad jej głową. Każdy centymetr kwadratowy murów pokrywała glazura, zapadająca w pamięć szafirowa powierzchnia, na której tańczyły smoki i byki.

Ruddy szedł z odchyloną do tyłu głową i rozdziawionymi ustami. Wciąż nieco „niedysponowany” z powodu choroby, kroczył niepewnie, a Josh prowadził go, wziąwszy pod rękę.

— Czy to jest Brama Isztar? Któżby pomyślał, któżby pomyślał…

Miasto było zbudowane na planie prostokąta, obejmując Eufrat. Oddział Aleksandra wkroczył od północy, od wschodniego brzegu rzeki. Znalazłszy się wewnątrz murów, orszak ruszył szeroką aleją, która biegła na południe, mijając wspaniałe budowle, zapewne

świątynie i pałace. Bisesa dostrzegła posągi, fontanny, a każdy fragment murów zdobiły olśniewające, pokryte glazurą cegły, z wymodelowanymi lwami i rozetami. Było tego takie bogactwo, że nie była w stanie wszystkiego wchłonąć.

Telefon wystający jej z kieszeni, próbował przyjść z pomocą.

— Ten kompleks na prawo to prawdopodobnie pałac Nabuchodonozora, największego władcy Babilonu, który…

— Zamknij się. — Casey kuśtykał obok.

— Jeżeli to jest Babilon, to gdzie są wiszące ogrody?

— W Niniwie — powiedział telefon sucho.

— Żadnych ludzi — powiedział Josh niepewnie. — Widzę ślady zniszczeń — pożarów, plądrowania, może nawet trzęsienia ziemi — ale wciąż żadnych ludzi. To jest niesamowite.

— Tak — burknął Casey. — Wszystkie światła są zapalone, ale nikogo nie ma w domu.

— Czy zauważyliście — powiedział Abdikadir spokojnie — że Macedończycy także wydają się przytłoczeni? Mimo że byli tu tak niedawno…

To była prawda. Nawet Eumenes rozglądał się wokół, patrząc na ogromne budowle z widoczną trwogą.

— Możliwe, że to także nie jest ich Babilon — powiedziała Bisesa.

Oddział podzielił się. Aleksander i Hefajstion wraz z większością strażników zawrócili, kierując się do pałacu królewskiego. Pozostałe grupy żołnierzy otrzymały rozkaz rozproszenia się, celem odszukania mieszkańców. Rozległy się rozkazujące okrzyki oficerów, odbijając się echem od lśniących murów świątyń; de Morgan powiedział, że ostrzegali swych ludzi przed konsekwencjami grabieży.

— Ale nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek odważył się coś tknąć w tym nawiedzonym miejscu!

Bisesa i pozostali szli dalej aleją w towarzystwie Eumenesa oraz garstki jego doradców i strażników. Droga wiodła przez szereg otoczonych murem placów i w końcu doprowadziła ich do budowli w kształcie piramidy, którą Bisesa zauważyła, jeszcze będąc na zewnątrz miasta. Był to w rzeczywistości *ziggurat,* wyniosła schodkowa wieża o siedmiu tarasach, której bok musiał mieć około stu metrów długości. Na południe od zigguratu znajdowała się świątynia, którą — jak oznajmił telefon — musiała być *Esagila* — Świątynia Marduka, głównego boga Babilonii. Telefon powiedział:

— Babilończycy zwali ten ziggurat *Etemenanki,* co oznacza „dom, który jest fundamentem nieba i ziemi". Nabuchodonozor sprowadził tu Żydów jako niewolniczą siłę roboczą. Żydzi zrewanżowali się, szkalując Babilon w Biblii…

Josh złapał Bisesę za rękę.

— Chodź. Chcę się wdrapać na tę sakramencką piramidę.

— Dlaczego?

— Bo to jest Wieża Babel! Patrz, po południowej stronie są schody. — Miał rację, musiały mieć szerokość około dziesięciu kroków. — Ścigajmy się! — I ruszył, ciągnąc ją za rękę.

Była z natury rzeczy bardziej wysportowana niż on; przeszła przeszkolenie wojskowe i pochodziła z czasów, w których znacznie lepiej się odżywiano i lepsza była opieka medyczna. Ale on był młodszy i zahartowany nieustannym marszem. Był to uczciwy wyścig, po jakichś stu stopniach stanęli i padli na schody.

Z tej wysokości Eufrat wyglądał jak szeroka srebrzysta wstęga jaśniejąca w szarym świetle, która przecinała serce miasta. Bisesa nie widziała wyraźnie zachodniej strony miasta, ale po jego wschodniej stronie skupiły się wielkie budowle: świątynie, pałace i przypuszczalnie budynki rządowe. Miasto było rozplanowane bardzo starannie. Główne drogi biegły prosto, przecinały się pod kątem prostym i wszystkie zaczynały się i kończyły na jednej z wielu bram. Pałace mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, każdą powierzchnię pokrywały polichromowane płytki, na których hasały smoki i inne fantastyczne stworzenia.

Zapytała:

— Jaka to epoka? Telefon odpowiedział:

— Jeżeli jest to czas panowania Nabuchodonozora, to mamy chyba szósty wiek przed Chrystusem. Persowie podbili Babilonię dwa stulecia przed Aleksandrem i doprowadzili miasto do ruiny. Kiedy przybył Aleksander, było to wciąż tętniące życiem miasto, ale najlepsze czasy miało już dawno za sobą. My jednak patrzymy na nie w chwili, gdy było bliskie największej świetności.

Josh przypatrzył się jej.

— Mam wrażenie, że jesteś smutna, Biseso.

— Po prostu się zamyśliłam.

— Myślałaś o Myrze…

— Bardzo bym chciała, żeby tu była, żebym mogła jej to pokazać.

— Może pewnego dnia będziesz mogła jej o tym opowiedzieć.

— Jasne.

Ruddy, Abdikadir, Eumenes i de Morgan wchodzili wolno na szczyt zigguratu. Ruddy oddychał chrapliwie, ale dotarł na szczyt i usiadł, a Josh poklepał go po plecach. Eumenes stał, najwyraźniej w ogóle nie zmęczony i patrzył na Babilon.

Abdikadir pożyczył od Bisesy noktowizor i rozejrzał się wokoło.

— Spójrz na zachodnią stronę rzeki…

Linia murów przecinała rzekę, obejmując przepołowiony prostokąt miasta. Ale na drugim brzegu rzeki, chociaż Bisesie wydawało się, że dostrzega zarysy ulic, widać było jedynie pomarańczowo-brązowy iłowiec, z murów pozostały tylko kupy gruzu,

a zamiast bram i wież strażniczych sterczały ich kikuty.

Josh powiedział:

— Wygląda, jakby połowę miasta roztopiono.

— Albo zbombardowano — dodał Abdikadir ponuro. Odezwał się Eumenes.

— Ono nie było takie — przetłumaczył de Morgan. — Nie takie… — O ile wschodnia połowa miasta miała charakter oficjalny i administracyjny, o tyle zachodnia stanowiła dzielnicę mieszkalną, z mnóstwem domów, kamienic czynszowych, placów i targowisk. Eumenes widział miasto takim zaledwie kilka lat przedtem. Było to wtedy tętniące życiem, pełne ludzi miasto. A teraz zostało po prostu unicestwione.

— Kolejna linia podziału — powiedział Abdikadir ponuro. — Serce młodego Babilonu przeszczepione do trupa starego.

Eumenes rzekł:

— Myślałem, że zaczynam się godzić z osobliwościami uskoków czasu, które nas dotknęły. Ale kiedy widzę coś takiego, oblicze miasta starte na proch, brzemię tysięcy lat…

— Tak — powiedział Ruddy. — To straszliwe okrucieństwo czasu.

— To więcej niż okrucieństwo — odparł Eumenes. — To arogancja. — Wskutek suchego tłumaczenia do Bisesy nie docierało poruszenie Sekretarza, a ponadto dzieliły ich dwa tysiąclecia i odmienna mowa ciała. Ale znów wyczuła narastający w nim zimny gniew.

Z dołu dobiegł ich jakiś głos; to macedoński oficer wzywał Eumenesa. Grupa poszukiwawcza odnalazła jakiegoś Babilończyka, który ukrywał się w Świątyni Marduka.

30. Brama bogów

Schwytanego człowieka przyprowadzono do Eumenesa. Gdy przywlokło go dwóch krzepkich żołnierzy, był wyraźnie przerażony, widać było szeroko otwarte oczy w usmolonej twarzy. Miał na sobie wytworne szaty intensywnie niebieskiego koloru, przetykane złotymi nićmi. Ale te szaty, poszarpane i brudne, zwisały na nim, jak gdyby nie jadł od wielu dni. Kiedyś być może był gładko ogolony i miał starannie wygoloną głowę, ale teraz na jego twarzy widać było kilkudniowy czarny zarost, a ciało miał pokryte brudem. Kiedy przyprowadzono go bliżej, Bisesa aż się cofnęła, kiedy poczuła odór moczu.

Poszturchiwany kłującym macedońskim mieczem gadał chętnie, ale w jakimś starożytnym języku, którego nie znał nikt z nowożytnych. Oficer, który go znalazł, miał na tyle przytomności umysłu, aby wyszukać perskiego żołnierza, który potrafił zrozumieć ten język i dzięki temu słowa Babilończyka przetłumaczono na archaiczną grekę Eumenesa, a następnie na angielski.

De Morgan, marszcząc brwi, tłumaczył niepewnie.

— Mówi, że był kapłanem jakiejś bogini, ale nie mogę zrozumieć jej imienia. Został sam, kiedy pozostali w końcu opuścili kompleks świątynny. Był zbyt przerażony, by opuścić świątynię. Przebywał tam przez sześć dni i nocy, nie miał nic do jedzenia, żadnej wody, oprócz tej, którą pił ze świętej chrzcielnicy bogini…

Eumenes niecierpliwie pstryknął palcami.

— Dajcie mu jeść i pić. I każcie opowiedzieć, co się tutaj wydarzyło.

Stopniowo, między pochłanianymi łapczywie kęsami jedzenia, kapłan opowiedział im swoją historię. Zaczynała się, rzecz jasna, od Nieciągłości.

Pewnej nocy kapłanów i pozostałych pracowników świątyni obudziło okropne zawodzenie. Niektórzy wybiegli na zewnątrz. Było ciemno, *ale gwiazdy nie znajdowały się na swoim miejscu.* Jego źródłem był świątynny astronom, który prowadził obserwacje „planet", błędnych gwiazd, tak jak czynił to każdej nocy od czasu, gdy był małym chłopcem. Ale nagle jego planeta znikła, a gwiazdozbiory zawirowały na niebie. Szok i rozpacz, jakie przeżył, sprawiły, że postawił na nogi świątynię i całe miasto.

— Oczywiście — mruknął Abdikadir. — Babilończycy od tysięcy lat prowadzili skrupulatne obserwacje nieba. Ich filozofia i religia opierały się na wielkich cyklach na niebie. Dziwnie było pomyśleć, że mniej zaawansowani ludzie nie byliby tacy przerażeni…

Ale to pierwsze koszmarne przeżycie, w istocie zauważone

jedynie przez religijną elitę, było zwiastunem tego, co miało dopiero nastąpić. Bo kiedy noc się skończyła, słońce wzeszło o sześć godzin później niż powinno. A kiedy wzeszło, nad miastem powiał dziwny gorący wiatr i spadł deszcz, gorący i słony deszcz, jakiego nikt przedtem nie doświadczył.

Ludzie, w większości wciąż w bieliźnie nocnej, umknęli do dzielnicy religijnej. Niektórzy pobiegli do świątyń i domagali się dowodu, że ich bogowie ich nie opuścili w ten najdziwniejszy ranek w historii Babilonu. Inni wspięli się na szczyt zigguratu, aby zobaczyć, jakie jeszcze zmiany przyniosła noc. Króla nie było — dla Bisesy nie było jasne, czy kapłan miał na myśli samego Nabuchodonozora, czy może jego następcę, i nie było nikogo, kto by zaprowadził porządek.

I wtedy pojawiły się pierwsze, pełne paniki doniesienia o „wymazaniu" zachodnich dzielnic miasta. Większość mieszkańców tam właśnie mieszkała; dla kapłanów, ministrów, dworzan i innych dygnitarzy, którzy zostali we wschodniej części miasta, wstrząs, jakiego doznali, był druzgocący.

Resztki porządku wkrótce przestały istnieć. Tłum przypuścił szturm do Świątyni Marduka. Ci, którzy zdołali się wedrzeć do środka, wpadli do najgłębiej położonej komnaty, a kiedy ujrzeli, co się stało z samym Mardukiem, królem starożytnych babilońskich bogów…

Kapłan nie był w stanie dokończyć.

Po tym pierwszym szoku po mieście rozeszła się pogłoska, że wschodnia połowa zostanie starta na proch, podobnie jak zachodnia. Ludzie otworzyli bramy i krzycząc wybiegli z miasta. Uciekli nawet ministrowie, dowódcy wojskowi i kapłani, zostawiwszy tego nieszczęśnika, który skrył się w swej zbezczeszczonej świątyni.

Łapczywie pochłaniając jedzenie, kapłan opisał kolejne noce, podczas których słyszał odgłosy plądrowania i podpalania, pijackie śmiechy i wrzaski. Ale ilekroć za dnia odważył się wytknąć głowę na zewnątrz, tylekroć nie widział nikogo. Było jasne, że większość mieszkańców pierzchła gdzieś daleko poza tereny uprawne i zginęła z głodu i pragnienia.

Eumenes kazał swym ludziom wymyć kapłana i postawić go przed obliczem Króla. Następnie powiedział:

— Kapłan mówi, że starą nazwą miasta jest „Brama Bogów". Jakie to trafne, bo teraz ta brama otworzyła się… Chodźcie. — I zamaszystym krokiem ruszył naprzód.

Pozostali pośpieszyli za nim. Ruddy wykrztusił:

— Gdzie teraz idziemy? Bisesa odparła:

— No, oczywiście do Świątyni Marduka.

Świątynia, kolejna wielka piramida, była jak skrzyżowanie katedry z oficjum. Szybko idąc korytarzami i wchodząc na kolejne poziomy, Bisesa mijała zdumiewająco różne komnaty, z których każda

była misternie ozdobiona i w których znajdowały się ołtarze, posągi, fryzy i rozmaite tajemnicze przedmioty, jak pastorały, ozdobne noże, pióropusze, instrumenty muzyczne podobne do lutni i puzonów, a nawet małe wozy i rydwany. W niektórych głębiej położonych komnatach nie było okien i światło pochodziło od lamp oliwnych płonących w wydrążonych w ścianach małych wnękach. W powietrzu unosił się silny zapach kadzideł, które, jak powiedział de Morgan, były nasączone żywicą olibanową. Wokół widać było ślady niewielkich zniszczeń: drzwi wyłamane z ciężkich drewnianych zawiasów, potłuczona ceramika, gobelin zerwany z jednej ze ścian.

Ruddy powiedział:

— Tutaj oddają cześć więcej niż jednemu bogu, to pewne. To biblioteka kultu religijnego. Więcej jarmarcznego politeizmu! De Morgan mruknął:

— Prawie nie rozpoznaję bogów z powodu nadmiaru złota. Patrzcie, jest wszędzie…

Bisesa powiedziała:

— Kiedyś odwiedziłam Watykan. Tam też tak było — bogactwo każdej powierzchni tak obfite, że ledwo można było dostrzec szczegóły.

— Tak — powiedział Ruddy. — I przyczyny te same: szczególny wpływ, jaki religia ma na człowieka i nagromadzenie bogactw w starożytnym imperium.

Widać było jednak pewne ślady grabieży: rozbite drzwi, kilka oprawek, z których zapewne wyrwano kamienie szlachetne. Ale wyglądało, jakby uczyniono to bez przekonania.

Komnata samego Marduka znajdowała się na samym szczycie kompleksu. Ale była zrujnowana i wszyscy zatrzymali się w drzwiach wstrząśnięci.

Bisesa dowiedziała się później, że wielki posąg Marduka, który tam stał, był wykonany ze złota i ważył dwadzieścia ton. Kiedy Eumenes ostatnim razem był w tej świątyni, już go nie było, kilkaset lat przed wizytą Aleksandra Kserkses splądrował te budowle i zabrał wielki złoty posąg. No tak, posąg kiedyś tu był, ale został zniszczony, na podłodze widać było kałużę lśniącego żużla. Zamiast glazurowanych ścian widać było tylko gołe cegły, osmalone w wyniku działania jakiegoś wielkiego gorąca. Bisesa zobaczyła spopielone fragmenty gobelinów czy może dywanów. Ocalała tylko podstawa posągu, miękka i zaokrąglona, na której można było dostrzec niewyraźne ślady dwóch potężnych stóp.

A w samym środku wypalonej świątyni unosiło się w powietrzu niczym niepodtrzymywane tajemnicze Oko, ogromne, znacznie większe od tych, które dotąd widzieli, o średnicy około trzech metrów.

Josh gwizdnął.

— Abdi, będziesz potrzebował bardzo wielkiego wiadra, że by je zanurzyć.

Bisesa podeszła do Oka. W niepewnym świetle lamp oliwnych widziała, jak jej zniekształcone odbicie robi się coraz większe, jak gdyby ta druga Bisesa, unosząca się wewnątrz Oka niby ryba w szklanej kuli, płynęła w jej stronę. Nie czuła żadnego gorąca, żadnego śladu wielkiej energii, która wypaliła tę komnatę. Podniosła dłoń i zbliżyła ją do Oka. Czuła, jakby napierała na jakąś niewidzialną, lecz sprężystą barierę. Im mocniej napierała, tym silniej była odpychana, czując przy tym delikatne odciąganie w bok.

Josh i Abdikadir obserwowali ją z pewnym niepokojem. Josh podszedł do niej.

— Dobrze się czujesz, Bis?

— Nie czujesz tego?

— Czego? Popatrzyła na kulę.

— Czyjejś… obecności. Abdikadir powiedział:

— Jeżeli to jest źródło sygnałów elektromagnetycznych, które śledziliśmy…

— Teraz je słyszę — szepnął telefon, który trzymała w kieszeni.

— To jest coś więcej — powiedziała. Tutaj coś jest, pomyślała. Tak, jakaś świadomość. A przynajmniej wszechogarniająca czujność, wielka niczym katedra, która przyciągała ją do siebie. Ale nawet nie wiedziała, skąd to wie. Potrząsnęła głową i tajemnicze wrażenie czyjejś obecności rozwiało się.

Twarz Eumenesa była jak burza. Więc teraz wiemy, w jaki sposób zniszczono Babilon. — Ku zaskoczeniu Bisesy podniósł z ziemi złote berło. Trzymając je nad głową jak kij, uderzył w powierzchnię Oka. Berło wygięło się, ale na Oku nie pozostał żaden ślad. — Ten arogancki bóg Oka może się jeszcze przekonać, że Aleksander, syn Zeusa-Ammona, jest trudniejszym przeciwnikiem niż Marduk. — Zwrócił się do pozostałych. — Jest wiele do zrobienia. Będę potrzebował waszej pomocy i przenikliwości.

Abdikadir powiedział:

— Powinniśmy wykorzystać miasto jako bazę…

— To oczywiste.

— Wprowadźcie wojsko do miasta. Musimy pomyśleć o zaopatrzeniu w wodę i żywność. I musimy zorganizować rutynowe służby, takie jak obserwacje pożarów, patrole, ekipy naprawcze.

Josh powiedział:

— Jeśli mieszkalna część miasta przestała istnieć, będziemy musieli sporo odbudować.

— Myślę, że jeszcze przez jakiś czas będziemy korzystali z namiotów — powiedział Abdikadir z żalem.

— Wyślemy zwiadowców, żeby sporządzili mapę okolicy —

powiedział Eumenes. — I nakłonimy rolników do opuszczenia lepianek albo przejmiemy i będziemy prowadzić ich gospodarstwa. Już nie wiem, czy to jest lato, czy zima, ale tu, w Babilonii, można uprawiać ziemię i zbierać plony przez cały rok. — Wpatrywał się w niewzruszone Oko. — Aleksander miał uczynić to miasto swoją stolicą. Więc stanie się, być może stolicą nowego świata…

Do komnaty wpadł zaaferowany Casey. Miał ponury wyraz twarzy.

— Mamy wiadomość.

Bisesa przypomniała sobie, że o tej porze miał nasłuchiwać sygnałów radiowych od kosmonautów.

— Od Koli i Sabie?

— Tak.

— To wspaniale!

— Wcale nie. Mamy problem.

31. Radio

Wśród bagaży, jakie pozwolono mu zabrać na wyprawę transkontynentalną, Kola przemycił sprzęt radiowy z Sojuza. Jakiś instynkt kazał mu trzymać to w tajemnicy nawet przed Sabie, która już dawno straciła zainteresowanie tym, co kiedyś było jej zamiarem i teraz był z tego rad. Jak tylko Czyngis-chan założył główny obóz kilkadziesiąt kilometrów od Babilonu, Kola wydobył sprzęt i uruchomił go.

O dziwo, wcale nie było to trudne. Mongolscy strażnicy ze świty Yeh-lii byli czujni, ale nie mieli pojęcia, co robi z tymi skrzynkami, przewodami i pająkowatą anteną. Trudniejszą — i w istocie zasadniczą — sprawą było utrzymanie tego, co robi, w tajemnicy przed Sabie, przynajmniej jeszcze przez kilka godzin.

Wiedział, że będzie miał tylko tę jedną szansę. Modlił się, żeby transmisja przebiegła bez zakłóceń i żeby Casey był po drugiej stronie. Jakość była kiepska — jonosfera po wystąpieniu Nieciągłości była zaburzona i sygnał przerywały zakłócenia, szumy i trzaski — ale Casey faktycznie nasłuchiwał w porze dnia, którą uzgodnili, kiedy Kola jeszcze orbitował w Sojuzie, w niemożliwej i utraconej przeszłości. Kola nie był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że Casey i pozostali udali się do Babilonu; był to logiczny cel podróży i omawiali tę możliwość, jeszcze jak był na orbicie. Był zaszokowany, kiedy dowiedział się, z kim podróżuje Casey, zaszokowany, ale i pełen nadziei, bo może jednak była na świecie siła, która zdoła stawić opór potędze Czyngis-chana.

Kola marzył, żeby kontakt trwał jak najdłużej, żeby słuchać tego człowieka z dwudziestego pierwszego wieku, jego własnej epoki. Miał wrażenie, że Casey, którego nigdy nie poznał osobiście, stał się jego najbliższym przyjacielem na tym świecie.

Ale nie było na to czasu. Kola nie miał wyboru, nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Mówił i mówił, przekazując wszystko, co wiedział o Czyngis-chanie, jego armii i jego taktyce; powiedział też o Sabie i o tym, co uczyniła i co podejrzewał, że może jeszcze uczynić.

Mówił tak długo, jak zdołał. Okazało się, że trwało to około pół godziny. Potem pojawiła się Sabie z dwoma krzepkimi Mongołami, którzy odciągnęli go od radia i niezwłocznie rozbili urządzenie końcami swych lanc.

32. Narada wojenna

Zwiadowcy Aleksandra przynieśli wiadomość, że awangarda armii Mongołów znajduje się w odległości zaledwie kilku dni jazdy. Ku zaskoczeniu swych doradców Król wydał rozkaz, by spróbować pertraktacji.

Aleksander był przerażony tym, co powiedzieli mu nowożytni o zniszczeniach spowodowanych ekspansją Mongołów. On sam był splamionym krwią zdobywcą, ale poza samymi podbojami miał określone ambicje, jego cele niewątpliwie były dużo bardziej cywilizowane niż cele Czyngis-chana, który żył piętnaście wieków po nim. Postanowił stawić czoło Mongołom. Ale był zdania, że w tym pustym świecie trzeba budować coś nowego, nie niszczyć. Powiedział do swych doradców:

— My i nasi towarzysze w czerwonych kurtkach, który pochodzą zza oceanu, oraz ci jeźdźcy z azjatyckich pustkowi, wszyscy jesteśmy ofiarami tych przemieszczeń w czasie i przestrzeni, cudów przekraczających wyobrażenia jakiegokolwiek człowieka. Czy nie mamy innej odpowiedzi na to wszystko, poza wzajemnym wymordowaniem się? Czy niczego nie nauczyliśmy się od siebie nawzajem, poza używaniem broni i stosowaniem taktyki?…

Wydał więc rozkaz, by wysłano grupę posłów, którzy mieli wręczyć dary i złożyć hołd, aby rozpocząć rozmowy z przywódcami Mongołów. Grupa pod dowództwem Ptolemeusza miała liczyć tysiąc ludzi.

Ptolemeusz był jednym z najbliższych towarzyszy Króla, Macedończykiem i przyjacielem Aleksandra od dziecka. Był wojownikiem o surowych rysach twarzy, śniadym i małomównym, ale nader bystrym mężczyzną. Być może stanowił właściwy wybór podczas takiej delikatnej misji. Telefon Bisesy powiedział, że w innej rzeczywistości Ptolemeusz, po podziale imperium Aleksandra, po jego śmierci, zostanie faraonem starożytnego królestwa Egiptu. Ale przygotowując się do tej misji, Ptolemeusz, wściekły, ciężkim krokiem przemierzał królewski pałac. Bisesa zastanawiała się, czy wyznaczenie go do tej wysoce niebezpiecznej i prawdopodobnie zgubnej misji miało coś wspólnego z nieustającymi intrygami w wąskim gronie ludzi z otoczenia Aleksandra.

Zgodnie z propozycją Abdikadira kapitan Grove przydzielił do tej grupy doświadczonego kaprala Batsona oraz kilku brytyjskich żołnierzy. Zaproponowano, by towarzyszył im także ktoś z grupy Bisesy, ponieważ uważano, że Sabie jest siłą sprawczą przewidywanego ataku. Ale Aleksander orzekł, że trzej rozbitkowie z dwudziestego pierwszego wieku są zbyt cenni, by ryzykowali życiem

w tym przedsięwzięciu i na tym stanęło. Jednak zgodnie z sugestią Eumenesa Bisesa napisała krótki list, który Batson miał wręczyć Koli, gdyby go spotkał.

Grupa wymaszerowała z Babilonu. Przy dźwiękach trąbek i bębnów wyruszyli na wschód; macedońscy oficerowie w swych galowych mundurach, w jasno fioletowych pelerynach, a kapral Batson i brytyjscy żołnierze w kiltach i kurtkach z serży.

Aleksander był doświadczonym wojownikiem i chociaż miał nadzieję na pokój, przygotowywał się do wojny. Dlatego Bisesę, Abdikadira i Caseya, a także kapitana Grove'a i kilku jego oficerów wezwano na naradę wojenną.

Podobnie jak Brama Isztar pałac królewski w Babilonie wznosił się na podwyższeniu znajdującym się mniej więcej piętnaście metrów nad nadrzeczną równiną, górując nad miastem i jego okolicą.

Pałac był olbrzymi, z nowożytnej perspektywy Bisesy stanowił nieprzyzwoitą demonstrację bogactwa, władzy i ucisku. Idąc ku środkowi kompleksu pałacowego, mijali tarasowate ogrody na dachach budynków. Drzewa wyglądały dosyć zdrowo, ale trawa trochę zżółkła, a kwiaty były rachityczne; od czasu Nieciągłości ogrody były zaniedbane. Jednak pałac był symbolem miasta i nowego królestwa Aleksandra i widać było nagłe ożywienie, gdy służący biegali tam i z powrotem z dzbanami świeżej wody. Bisesa dowiedziała się, że nie byli to niewolnicy, lecz dawni babilońscy dygnitarze, którzy chyłkiem powrócili do miasta. W chwili wystąpienia Nieciągłości okazali się tchórzami i teraz, na rozkaz Aleksandra, zostali „zdegradowani" do roli służących.

W samym środku kompleksu pałacowego znajdowała się sala tronowa. Pomieszczenie to miało długość około pięćdziesięciu kroków, a każda jego powierzchnia od podłogi do sufitu była pokryta wielobarwnymi glazurowanymi cegłami z rysunkami lwów, smoków i stylizowanych drzew życia. Nowożytni weszli do środka, starając się nie okazywać, że są przytłoczeni skalą tego, co ich otaczało.

W środku komnaty ustawiono stół, na którym spoczywał wielki gipsowy model miasta, jego murów i okolicy. Miał około pięciu metrów średnicy, był jaskrawo pomalowany i pełen szczegółów, włącznie z postaciami ludzi na ulicach i kozami pasącymi się na polach. Maleńkie kanały migotały wypełnione prawdziwą wodą.

Bisesa i pozostali usadowili się na sofach stojących przed stołem, a służący przynieśli im napoje.

Bisesa powiedziała:

— To był mój pomysł. Pomyślałam, że ten model będzie dla wszystkich bardziej zrozumiały niż mapa. Nie miałam pojęcia, że będzie taki wielki i że zrobią go tak szybko.

Kapitan Grove powiedział spokojnie:

— To dowodzi, co można zrobić, kiedy ma się do dyspozycji nieograniczone zasoby ludzkich umysłów i mięśni.

Weszli Eumenes i jego doradcy i zajęli swoje miejsca. Eumenes zyskał w oczach Bisesy, kiedy okazało się, że nie lubi rozbudowanego protokołu; był na to zbyt inteligentny. Ale jako członek dworu Aleksandra, nie mógł uniknąć paru ceremonialnych gestów, a jego doradcy krążyli wokół niego, kiedy uroczyście usiadł na sofie. Wśród owych doradców znajdował się także de Morgan, który polubił wyszukane perskie stroje, podobnie jak pozostali dworzanie Aleksandra. Tego dnia twarz miał nalaną i zaczerwienioną i wyraźne cienie pod oczami.

Casey powiedział, nie owijając w bawełnę:

— Cecil, chłopie, wyglądasz jak dupek, pomimo tego koktajlowego stroju, który masz na sobie.

De Morgan chrząknął.

— Kiedy Aleksander i jego Macedończycy zaczynają swoje hulanki, brytyjscy żołnierze w burdelach w Lahore to przy nich uczniacy. Król przesypia to wszystko. Czasami omija go ta zabawa, ale nigdy nie śpi wieczorami, kiedy wszystko zaczyna się od nowa… — De Morgan wziął od sługi kielich wina. — A to macedońskie wino jest jak kozie szczyny. Ale muszę wypić klina. — Pociągnął wielki haust i wzdrygnął się.

Eumenes przywołał zebranych do porządku. Kapitan Grove przedstawił propozycję, jak wzmocnić i tak już potężne linie obronne Babilonu. Powiedział do Eumenesa:

— Wiem, że już kazałeś swoim ludziom wzmocnić mury i wykopać fosę. — Było to szczególnie ważne po zachodniej stronie, gdzie mury zostały prawie doszczętnie zniszczone przez czas; w istocie Macedończycy postanowili opuścić zachodnią część miasta i wykorzystać Eufrat jako naturalną przeszkodę, teraz budowali umocnienia obronne na jego brzegu. — Ale — powiedział Grove — zalecałbym zorganizowanie głębszych linii obronnych dalej od miasta, zwłaszcza na wschodzie, skąd nadejdą Mongołowie. Mam na myśli bunkry i okopy — umocnienia, które możemy szybko zbudować. — Wiele z tych pojęć wymagało tłumaczenia za pośrednictwem pomocników Eumenesa i skacowanego de Morgana.

Eumenes przez chwilę słuchał cierpliwie.

— Każę Diadesowi tym się zająć. — Diades był głównym inżynierem Aleksandra. — Ale musicie wiedzieć, że Król nie zamierza tylko się bronić. Spośród wszystkich walk, Aleksander najbardziej dumny jest ze swych zwycięskich walk oblężniczych — w Milecie, Tyrze i wielu innych miejscach.

— Są to heroiczne czyny, które z pewnością przetoczą się echem przez wieki.

Kapitan Grove skinął głową.

— W rzeczy samej. — Jeśli dobrze rozumiem, chcesz powiedzieć, że Aleksander nie będzie zachwycony, jeśli sam stanie się ofiarą oblężenia. Zamierza stanąć do otwartej walki.

— Tak — mruknął Abdikadir — ale Mongołowie byli marni w działaniach oblężniczych i zdecydowanie woleli spotykać nieprzyjaciela na otwartym terenie. Jeżeli opuścimy miasto, spotkamy nieprzyjaciół na wybranym przez nich terenie.

Eumenes warknął:

— Król tak powiedział. Grove powiedział spokojnie:

— Więc musimy go słuchać. — Ale — powiedział Abdikadir — Aleksandra i Czyngis-chana dzieli z górą piętnaście stuleci, znacznie więcej niż Czyngis-chana i nas. Powinniśmy wykorzystać całą posiadaną przewagę. Eumenes powiedział baz zająknienia:

— Mówisz „przewagę". Masz na myśli karabiny i granaty.

— Znowu użył angielskich słów.

Od czasu spotkania armii Aleksandra Brytyjczycy i nowożytni próbowali ukryć przed Macedończykami niektóre sekrety. Teraz Casey poderwał się z kanapy i sięgnął przez stół, chcąc złapać de Morgana.

— Cecil, ty sukinsynu. Co jeszcze zdradziłeś?

De Morgan cofnął się ze strachu, a dwóch strażników Eumenesa skoczyło do przodu z dłońmi na mieczach. Abdikadir i Grove chwycili Caseya i odciągnęli go do tyłu.

Bisesa westchnęła.

— Daj spokój, Casey, czego się spodziewałeś? Wiesz już, jaki jest Cecil. Podałby Eumenesowi na talerzu twoje jaja, gdyby widział w tym dla siebie jakąś korzyść.

Abdikadir powiedział:

— A Eumenes prawdopodobnie i tak o tym wiedział. Ci Macedończycy nie są głupcami.

Eumenes słuchał tej wymiany zdań z zainteresowaniem. Powiedział: Zapominacie, że Cecil, mówiąc mi to, mógł nie mieć wyboru. — De Morgan przetłumaczył to z wahaniem, odwracając wzrok i Bisesa ujrzała mroczną stronę wyboru, jakiego dokonał. — A poza tym — ciągnął Eumenes — fakt, że o tym wiem, zaoszczędzi nam czasu, którego teraz bardzo potrzebujemy, nieprawdaż?

Kapitan Grove pochylił się do przodu.

— Ale musisz zrozumieć, Sekretarzu, że nasza broń, choć potężna, ma swoje ograniczenia. Mamy jedynie niewielki zapas granatów, a amunicja do karabinów… — Najliczniejsze uzbrojenie było rodem z dziewiętnastego wieku; było to kilkaset strzelb typu Martini, które zabrano z Jamrud. Taka ilość broni nie zdałaby się na wiele w starciu z szybko poruszającą się hordą liczącą dziesiątki tysięcy ludzi.

Eumenes szybko pojął, o co chodzi.

— Więc musimy być ostrożni, jeśli chodzi o wykorzystanie tej broni.

— Właśnie — warknął Casey. — OK, jeśli się na to zdecydujemy, powinniśmy użyć nowoczesnej broni, aby osłabić siłę ich pierwszego uderzenia.

— Tak — powiedział Abdikadir. — Granaty błyskowo-hukowe wystraszą konie — i ludzi, jeśli nie nawykli do broni palnej.

Bisesa powiedziała:

— Ale oni mają Sabie. Nie wiemy, jaką broń miała ze sobą w Sojuzie, na pewno co najmniej kilka pistoletów.

— To nie na wiele jej się przyda — powiedział Casey.

— Zgoda. Ale jeśli związała się z Mongołami, mogła ich zaznajomić z bronią palną. I ma za sobą nowoczesne szkolenie. Musimy brać pod uwagę możliwość, że nadejdą, przewidując, co możemy uczynić.

— Jasna cholera — powiedział Casey. — O tym nie pomyślałem.

— Dobrze — powiedział kapitan Grove. — Casey, co jeszcze proponujesz?

— Przygotować się do gaszenia pożarów w mieście — odparł Casey. Nowożytni szybko przedstawili Eumenesowi taktykę: jak można przewidzieć nadejście nieprzyjaciela i zorganizować powiązane ze sobą gniazda strzelnicze i tak dalej. — Będziemy musieli przeszkolić część waszych ludzi, jak strzelać z kałasznikowa — powiedział Casey do Grove'a. — Kluczową sprawą będzie, aby nie marnować amunicji, nie strzelać dopóki cel nie będzie wyraźnie widoczny… Jeśli wciągniemy Mongołów do miasta, możliwe, że będziemy w stanie związać znaczną część ich sił.

Eumenes znów pojął w mig jego pomysł.

— Ale równocześnie Babilon zostanie zniszczony — powiedział.

Casey wzruszył ramionami.

— Wygranie tej wojny będzie kosztowało, a jeśli przegramy, Babilon i tak zginie.

Eumenes powiedział:

— Może taka taktyka powinna być ostatnią deską ratunku. Coś jeszcze?

Bisesa powiedziała:

— Oczywiście przynosimy z przyszłości nie tylko broń, ale i wiedzę. Może moglibyśmy zaproponować broń, którą można by sporządzić, dysponując dostępnymi tutaj materiałami.

Casey rzekł:

— Co masz na myśli, Bis?

— Widziałam te katapulty i machiny oblężnicze, które mają Macedończycy. Może moglibyśmy zasugerować pewne udoskonalenia. A poza tym jest przecież grecki ogień. Czyż to nie prymitywna forma

napalmu? Po prostu ciężka benzyna i wapno niegaszone, jak sądzę…

Omawiali te możliwości przez jakiś czas, ale Eumenes im przerwał.

— Tylko mgliście pojmuję, o czym mówicie, ale obawiam się, że nie będziemy mieli dość czasu, żeby zrealizować te plany.

— Mam coś, co można by zrobić szybko — mruknął Abdikadir.

— Co? — spytała Bisesa.

— Strzemiona. — Rysując pośpiesznie, opisał, co ma na myśli. — Rodzaj podnóżka dla jeźdźców, przymocowanego skórzanymi paskami…

Kiedy Eumenes zrozumiał, że te urządzenia, które można szybko i łatwo wykonać, będą mogły znacznie zwiększyć ruchliwość konnicy, jego zainteresowanie gwałtownie wzrosło.

— Ale nasi ludzie obrośli tradycją. Będą się sprzeciwiać wszelkim innowacjom.

— Ale — zwrócił uwagę Abdikadir — Mongołowie mają strzemiona.

Było dużo do zrobienia, a czasu niewiele; i na tym zebranie się skończyło.

Bisesa odciągnęła Abdikadira i Caseya na bok.

— Naprawdę myślicie, że ta bitwa jest nieunikniona?

— Tak — warknął Casey. — Alternatywa dla wojny — pokojowy sposób rozstrzygnięcia sporu — zależy od gotowości każdej ze stron do ustąpienia. W epoce żelaza ludzie nie dysponowali doświadczeniem zdobytym przez nas w ciągu dwóch tysięcy lat rozlewu krwi, paroma Hiroszimami czy Lahore, aby zrozumieć, że niekiedy trzeba ustąpić. Dla nich wojna to jedyne wyjście.

Bisesa przyjrzała mu się.

— To zaskakująco głębokie, jak na ciebie, Casey.

— Ale nie warte funta kłaków — powiedział. I szybko powrócił do żartobliwego tonu. Zachichotał i zatarł ręce. — Ale to także niezła zabawa. Wiecie, to wszystko to jakieś pieprzone bzdury. Ale pomyślcie tylko: Aleksander Wielki kontra Czyngis-chan! Zastanawiam się, ile by trzeba zapłacić za bezpośrednią transmisję czegoś takiego.

Bisesa wiedziała, co ma na myśli. Ona także przeszła przeszkolenie wojskowe; oprócz strachu i pragnienia, aby to wszystko nie działo się naprawdę — żeby po prostu mogła pójść do domu — niecierpliwie wyczekiwała tego, co ma nastąpić.

Wyszli z sali tronowej, rozmawiając, spekulując i układając plany.

33. Książę niebios

Po dniu i nocy spędzonych w zupełnej ciemności Kolę zaprowadzono do Yeh-lii. Ręce związano mu za plecami sznurem z końskiego włosia i ciśnięto na ziemię.

Nie miał ochoty na tortury i mówił szybko, opowiadając Yeh-lii, co uczynił; wszystko, co pamiętał. Kiedy skończył, Yeh-lii wyszedł z jurty.

Pojawiła się nad nim twarz Sabie.

— Nie powinieneś był tego robić, Kola. Mongołowie znają potęgę informacji. Widziałeś to na własne oczy w Biszkeku.

Nie mógłbyś popełnić większej zbrodni, nawet gdybyś sprowokował samego Czyngis-chana. Szepnął:

— Możesz mi dać trochę wody? — Nie pił od chwili, gdy go schwytano.

Zignorowała jego prośbę.

— Wiesz, że może być tylko jeden wyrok. Próbowałam cię bronić. Powiedziałam, że jesteś księciem, księciem niebios. Będą pobłażliwi. Nie przelewają królewskiej krwi…

Splunął jej w twarz. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, było, jak się z niego śmieje.

Wywlekli go na zewnątrz ze związanymi rękami. Czterech krzepkich żołnierzy trzymało go za ręce i nogi. Z jurty wyszedł oficer, z dłońmi w grubych rękawicach, niosąc gliniany kubek, w którym znajdowało się roztopione srebro. Wlali mu je do jednego oka, potem do drugiego, a na koniec do uszu.

Potem poczuł, że go podnoszą, niosą i wrzucają do jamy wyścielonej miękką, świeżo wykopaną ziemią. Nie słyszał, jak przybijają mu nad głową deski ani też swych własnych krzyków.

34. „Mieszkańcy czasu i przestrzeni”

Aleksander poddał swoje wojsko ostremu szkoleniu. Większość szkolenia odbywała się zgodnie z tradycyjnymi macedońskimi metodami, które obejmowały forsowne marsze, biegi z obciążeniem i walkę wręcz.

Ale podjęto także próbę włączenia brytyjskich żołnierzy do macedońskiej armii. Wkrótce stało się jasne, że żaden brytyjski jeździec ani sowar nie będzie w stanie dorównać konnicy Aleksandra, jednak szeregowcy i sipaje znaleźli się w samym sercu macedońskiej piechoty. Biorąc pod uwagę brak wspólnego języka i zderzenie odrębnych kultur, jednolity łańcuch rozkazów był praktycznie niemożliwy, ale żołnierzy nauczono, jak interpretować podstawowe sygnały macedońskich trębaczy.

Praca Abdikadira z konnicą postępowała szybko, choć jak przewidywał Eumenes, pierwsze próby Macedończyków jazdy z prototypowymi strzemionami Abdikadira były dosyć farsowe.

Starszy pułk konnicy rekrutował się z młodych macedońskich arystokratów; sam Aleksander nosił ich mundur. Ale kiedy po raz pierwszy dano im strzemiona, dumni jeźdźcy po prostu odcięli swymi bułatami dyndające skórzane urządzenia.

Dopiero gdy dzielny sowar niewprawnie dosiadł jednego z masywnych macedońskich koni i pokazał, jak skutecznie może kierować nawet nieznanym sobie koniem, po silnych naciskach ze strony Króla szkolenie rozpoczęło się na dobre.

Jednak nawet bez strzemion umiejętności jeździeckie Macedończyków były zdumiewające. Jeździec zachowywał równowagę, trzymając się końskiej grzywy i kierował koniem wyłącznie naciskiem kolan. Mimo to jeźdźcy potrafili staczać potyczki i gwałtownie zmieniać kierunek ruchu i ta ich elastyczność i ruchliwość czyniły z nich czołowy element sił Aleksandra. Teraz, dzięki strzemionom, ich ruchliwość znacznie się poprawiła, jeździec mógł zaprzeć się nogami i pewnie trzymać ciężką lancę.

— Oni są po prostu niesamowici — powiedział Abdikadir, patrząc, jak stuosobowe grupy gwałtownie zawracają jak jeden mąż i pędzą jak strzała przez pola Babilonu. — Prawie żałuję, że dałem im te strzemiona; jeszcze kilka pokoleń i ten rodzaj umiejętności jeździeckich zostanie zapomniany.

— Ale nadal będziemy potrzebowali koni — warknął Casey. — Pomyśl, konie będą główną siłą napędową wojny przez następne dwadzieścia trzy stulecia, aż do Pierwszej Wojny Światowej.

— Może tutaj będzie inaczej — zamyśliła się Bisesa.

— Jasne. Nie jesteśmy już tą samą na poły obłąkaną bandą

użerających się ze sobą zbyt zaawansowanych naczelnych, jak przed pojawieniem się Nieciągłości. Fakt, że zostaliśmy zamieszani w walkę z Mongołami pięć minut po tym, jak znaleźliśmy się w tym miejscu, to po prostu aberracja umysłowa. — Casey roześmiał się i odszedł.

Grove uzgodnił, że Macedończycy powinni się trochę oswoić ze strzelaniną. W oddziałach liczących co najmniej tysiąc żołnierzy Macedończycy patrzyli, jak Grove i Casey poświęcają część zapasów nowoczesnej broni — granat, kilka strzałów z kałasznikowa do uwiązanej kozy. Bisesa twierdziła, że ma to zasadnicze znaczenie, niech teraz zsikają się w gacie, ale potem utrzymają pozycje podczas walki z Mongołami, na wypadek gdyby Sabie miała w zanadrzu podobne niespodzianki. Macedończycy nie mieli problemów ze zrozumieniem zasad działania broni palnej; zabijanie na odległość przy pomocy łuków było im dobrze znane. Ale kiedy po raz pierwszy zobaczyli, jak wybucha względnie nieszkodliwy granat błyskowo-hukowy, krzyknęli i zaczęli uciekać, mimo nawoływań oficerów. Byłoby to komiczne, gdyby nie było tak niepokojące.

Popierany przez Grove'a Abdikadir nalegał, aby Bisesa nie brała bezpośredniego udziału w walce. Kobieta byłaby szczególnie narażona na atak; Grove uroczo to wyraził, używszy określenia „los gorszy od śmierci".

Dlatego też Bisesa zabrała się energicznie do innego zadania: zaczęła organizować szpital.

W tym celu zarekwirowała mały dom. Do pomocy przydzielono jej Filipa, osobistego lekarza Aleksandra i brytyjskiego chirurga. Bisesie bardzo brakowało jakichkolwiek środków, ale brak zapasów starała się zrekompensować nowoczesnym *know-how*. Eksperymentowała z winem jako środkiem antyseptycznym. Na terenie prawdopodobnego pola walki założyła punkty sanitarne i przeszkoliła kilka par silnych, długonogich zwiadowców Aleksandra jako noszowych. Próbowała zorganizować apteczki dla ofiar urazów, proste zestawy, które miały służyć jako pomoc w opatrywaniu najczęstszych obrażeń, z jakimi będą mieli do czynienia, nawet ran postrzałowych. Była to innowacja zastosowana przez brytyjską armię na Falklandach; po wstępnej ocenie rodzaju obrażenia brało się odpowiedni zestaw.

Najtrudniejszą do wpojenia sprawą okazała się potrzeba higieny. Ani Macedończycy, ani też dziewiętnastowieczni brytyjscy żołnierze nie zdawali sobie sprawy choćby z potrzeby ścierania krwi podczas udzielania pomocy medycznej kolejnym pacjentom. Macedończycy byli zdumieni jej mętnymi informacjami o niewidzialnych stworzeniach, jakichś maleńkich bogach czy może demonach atakujących otwarte rany lub organy wewnętrzne, przy czym Brytyjczycy byli niewiele mądrzejsi, jeśli chodzi o świadomość

istnienia bakterii i wirusów. W końcu musiała zaapelować do ich dowódców, aby wymusili stosowanie się do jej zaleceń.

Zapewniła swym pomocnikom taką praktykę, jaką była w stanie. Poświęciła jeszcze kilka kóz, rąbiąc je na kawałki macedońskim bułatem albo strzelając w brzuch lub miednicę. Nie było sposobu, by uniknąć widoku prawdziwej krwi. Macedończycy nie byli wrażliwi — większość z tych, którzy przeżyli w armii Aleksandra, doznała kiedyś poważnych obrażeń — ale pomysł, żeby coś z tym zrobić, był dla nich zupełnie nowy. Skuteczność nawet prostych środków, jak na przykład opasek uciskowych, zaskoczyła ich i zachęciła do dalszej pracy i nieustannego uczenia się.

Bisesa pomyślała, że oto jeszcze raz zmienia bieg historii. Gdyby przeżyli — to wielki znak zapytania — zastanawiała się, jaka nowa synteza medycyny wcześniejsza o dwa tysiące lat może się rozwinąć z prymitywnej edukacji, jaką starała się przekazać, może będzie to zupełnie nowa dziedzina wiedzy, równoważna funkcjonalnie mechanice Newtona dwudziestego pierwszego wieku, lecz sformułowana w języku macedońskich bogów.

Ruddy Kipling nalegał, aby, jak to określił, „włączyć się".

— Oto stoimy na rozstajach historii, gdzie mają stoczyć bitwę dwaj najwięksi wodzowie, jakich wydała ludzkość, a jej ceną jest los nowego świata. Jestem gotowy na wszystko, Biseso!

— Twierdził, że przeszedł przeszkolenie z Pierwszym Ochotniczym Oddziałem Strzelców w Pendżabie, będącym częścią wspólnej angielskiej i hinduskiej inicjatywy zmierzającej do odparcia zagrożenia ze strony buntowniczych plemion zamieszkujących okolice Granicy Północno-Zachodniej. — Zakładając że nie zostanę tam zbyt długo — powiedział — po tym jak wyśmiałem umiejętności strzeleckie moich towarzyszy w małym wierszu o tym, jak podziurawili kulami moje ciało, kiedy szedłem sąsiednią ulicą…

Brytyjczycy popatrzyli na tego pyzatego, pękatego i nieco napuszonego młodzieńca, który wciąż był blady z powodu nękającej go choroby i zaczęli się śmiać. Macedończyków po prostu wprawiał w zakłopotanie i też nie chcieli go mieć w swoich szeregach.

Po tych odmowach, trochę wbrew opinii Bisesy, Ruddy uparł się, żeby dołączyć do jej prowizorycznego oddziału szpitalnego.

— Wiesz, kiedyś miałem ambicję, żeby zostać lekarzem…

— Może nawet tak było, ale okazał się zdumiewająco delikatny i zemdlał, kiedy po raz pierwszy zobaczył świeżą krew kozy.

Jednak postanowiwszy odegrać swoją rolę w wielkiej wiktorii i nie zmienił zdania. Stopniowo przyzwyczaił się do atmosfery szpitala, zapachu krwi, beczenia rannych i przestraszonych zwierząt. W końcu był w stanie założyć bandaż na otwartą ranę na nodze kozy i doprowadzić rzecz do końca, zanim zrobiło mu się słabo.

Potem przyszedł największy triumf, kiedy zjawił się jakiś żołnierz z raną ciętą dłoni, co przydarzyło mu się w trakcie szkolenia. Ruddy zdołał oczyścić ranę i obwiązać ją, nie wzywając Bisesy, chociaż, jak później z humorem przyznał, kiedy już było po wszystkim, zwymiotował.

Wtedy Bisesa wzięła go za ramiona, nie zwracając uwagi na lekki odór wymiocin.

— Ruddy, odwaga na polu bitwy to jedno, ale niemniejszej odwagi wymaga pokonanie własnych demonów, a ty tego dokonałeś.

— Przekonam siebie, aby uwierzyć w to, co mówisz — powiedział, oblewając się rumieńcem.

Chociaż Ruddy nauczył się znosić widok krwi, cierpienia i śmierci, wciąż ogromnie poruszało go samo zdarzenie, nawet śmierć kozy.

Podczas obiadu powiedział:

— Czymże jest życie, skoro jest tak cenne, a tak łatwo je zniszczyć? Może to nieszczęsne koźlę, które dziś pokroiliśmy na kawałki, uważało się za pępek świata. A teraz zostało unicestwione, wyparowało jak kropla rosy. Dlaczego Bóg daje nam coś tak cennego jak życie, by potem go pozbawić w wyniku okrutnej śmierci?

— Ale — powiedział de Morgan — to nie Boga możemy teraz o to pytać. Już nie uważamy się za szczytowy produkt Stworzenia, gorszy jedynie od samego Boga, bo teraz są w naszym świecie te istoty, które Bisesa wyczuwa wewnątrz Oczu. Może są mniej doskonałe niż Bóg, ale doskonalsze od nas, tak jak my jesteśmy doskonalsi od tych zarzynanych przez nas koźląt. Dlaczego Bóg miałby słuchać naszych modłów, skoro to oni stoją bliżej Boga?

Ruddy spojrzał na niego z niesmakiem.

— To dla ciebie typowe, de Morgan, lubisz gnębić swych współtowarzyszy.

De Morgan tylko się roześmiał.

Josh powiedział:

— A może nie ma boga Nieciągłości. — Wydawał się niezwykle zatroskany. — Wiecie, to całe przeżycie, wszystko, czego doświadczyliśmy od chwili Nieciągłości, jest jak straszny sen, jak majaczenie w gorączce. Biseso, mówiłaś mi o wielkim wymieraniu gatunków w przeszłości. Mówisz, że w moich czasach już to rozumiano, choć mało kto się z tym zgadzał. I że wśród znalezionych skamieniałości nie ma śladu umysłu, niczego, aż do chwili, gdy pojawił się człowiek i jego bezpośredni przodkowie. Jeżeli sami mamy umrzeć, może będzie to pierwszy przypadek, kiedy wymrze inteligentny gatunek. — Zgiął dłoń, przyglądając się swoim palcom. — Abdikadir mówi, że według naukowców z dwudziestego pierwszego wieku umysł jest powiązany ze strukturą wszechświata, że w jakiś

sposób powołuje świat do istnienia.

— Załamanie się funkcji kwantowych, tak. Może.

— Jeżeli tak jest i jeżeli nasze umysły mają zostać unicestwione, może to właśnie stanowi następstwo. Mówią, że kiedy stajemy oko w oko ze śmiercią, przemyka nam przed oczami całe nasze życie. Może my jako rasa przechodzimy ostatni psychiczny wstrząs, zanim pogrążymy się w niebyt — fragmenty naszej krwawej przeszłości wydobywają się na powierzchnię w ostatnich chwilach życia — i może ginąc, rozbijamy strukturę przestrzeni i czasu… — Mówił teraz szybko, coraz bardziej poruszony.

Ruddy tylko się roześmiał.

— Takie myśli to niepodobne do ciebie, Josh! Bisesa wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Josha.

— Zamknij się, Ruddy. Posłuchaj, Josh. To nie jest sen o śmierci. Myślę, że Oczy to tylko artefakty, a Nieciągłość to akt celowy. Myślę, że stoją za tym jakieś umysły, umysły potężniejsze od naszych, ale do nich podobne.

— Ale — powiedział de Morgan ponuro — twoje istoty z Oka same potrafią tasować przestrzeń i czas. Czyż nie jest to domeną bogów?

— Och, nie sądzę, aby byli bogami — powiedziała Bisesa. — Są potężni, tak, znacznie potężniejsi od nas, ale nie są bogami.

Josh powiedział:

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo obce jest im współczucie.

Dano im jeszcze cztery dni. Wtedy powrócili wysłannicy Aleksandra.

Spośród tysiąca ludzi, którzy wyruszyli, powróciło jedynie dwunastu. Kapral Batson przeżył, ale ucięto mu uszy i nos. A w przytroczonej do siodła torbie przywiózł odciętą głowę Ptolemeusza.

Kiedy Bisesa się o tym dowiedziała, przeszył ją dreszcz nie tylko na myśl o nadciągającej wojnie, lecz także z powodu utraty kolejnego włókna w rozpadającej się tkance historii. Wiadomość o tym, co spotkało Batsona, doświadczonego żołnierza, doprowadziła ją do rozpaczy. Dowiedziała się, że i Aleksander opłakiwał stratę towarzysza.

Następnego dnia macedońscy zwiadowcy donieśli o wzmożonej aktywności w obozie Mongołów. Wyglądało na to, że atak jest bliski.

Tego popołudnia Josh zastał Bisesę w Świątyni Marduka. Siedziała oparta o jedną z osmalonych, sczerniałych ścian, z nogami okrytymi kocem dla ochrony przed rosnącym zimnem. Wpatrywała się w Oko, które nazwali Okiem Marduka, chociaż niektórzy żołnierze nazywali je „Jajem Marduka”. Bisesa zaczęła spędzać tu większość wolnego czasu.

Josh usiadł koło niej, objąwszy się rękami.

— Miałaś odpoczywać.

— Odpoczywam. Odpoczywam i obserwuję.

— Obserwujesz obserwatorów? Uśmiechnęła się.

— Ktoś musi. Nie chcę, żeby myśleli…

— Co?

— Że nie wiemy. O nich i o tym, co nam uczynili, co zrobili z naszą historią. A poza tym myślę, że tkwi w tym jakaś energia. Musi tak być, skoro pojawiło się to Oko i jego kopie na całej planecie, skoro dwadzieścia ton złota zamieniło się w kałużę… Nie chcę, żeby zjawili się tutaj Sabie i Czyngis-chan i położyli na nim łapę. Jeżeli nam się nie uda, kiedy nadejdą Mongołowie, stanę w tych drzwiach z pistoletem w dłoni.

— Och, Biseso, masz w sobie tyle siły! Szkoda, że nie jestem taki jak ty.

— Nie, nie żałuj tego. — Trzymał ją mocno za rękę, ale nie próbowała jej uwolnić. — Masz. — Pogrzebała pod kocem i wyciągnęła metalową flaszkę. — Napij się herbaty z mlekiem.

Otworzył flaszkę i pociągnął łyk.

— Dobre. Mleko jest trochę, hmm, jakby nieprawdziwe.

— To z mojego zestawu ratunkowego. Skondensowane i napromienione. W armii amerykańskiej dają pigułki samobójcze, a w brytyjskiej herbatę. Trzymałam ją na specjalną okazję. Co może być bardziej specjalnego?

Sączył herbatę. Jakby zamknął się w sobie.

Bisesa zastanawiała się, czy wstrząs spowodowany Nieciągłością wreszcie do niego dociera. Podejrzewała, że ugodził ich wszystkich w rozmaity sposób.

Zapytała:

— Dobrze się czujesz?

— Myślę o domu. Kiwnęła głową.

— Nikt z nas nie mówi zbyt wiele o domu, prawda?

— Może to zbyt bolesne.

— Mimo to powiedz mi, Josh. Opowiedz mi o swojej rodzinie.

— Jako dziennikarz poszedłem w ślady ojca. Relacjonował wojnę między stanami. — Bisesa pomyślała, że było to dla Josha zaledwie dwadzieścia lat przedtem. — Dostał kulę w biodro. Potem przyplątała się infekcja i w parę lat później umarł. Miałem wtedy tylko siedem lat — szepnął Josh. — Spytałem go, dlaczego został dziennikarzem zamiast walczyć. Powiedział, że ktoś musi patrzeć, żeby przekazać to innym. W przeciwnym razie będzie tak, jakby nic się w ogóle nie wydarzyło. No cóż, uwierzyłem mu i poszedłem w jego ślady. Czasami nie podobało mi się to, że moje życie zostało w pewnym sensie zaprogramowane, jeszcze zanim się urodziłem. Ale przypuszczam, że

to nic wyjątkowego.

— Spytaj Aleksandra.

— Taak… Moja matka wciąż żyje. Albo żyła. Szkoda, że nie mogę jej powiedzieć, że jestem bezpieczny.

— Może jakimś sposobem to wie.

— Bis, wiem, z kim byś była, gdyby…

— Z moją córeczką — powiedziała Bisesa. — Nigdy mi nie mówiłaś o jej ojcu. Wzruszyła ramionami.

— Przystojny dupek z mojego pułku — wyobraź sobie Caseya pozbawionego wdzięku i poczucia higieny osobistej — zaszaleliśmy i byłam nieostrożna. Byliśmy pijani. Kiedy urodziła się Myra, Mikę był zakłopotany. To nie był zły człowiek, ale wtedy mnie to nie obchodziło. Chciałam jej, nie jego. A potem i tak zginął. — Poczuła szczypanie w oczach i przycisnęła oczodoły nasadą dłoni. — W owym czasie nie było mnie w domu przez wiele miesięcy. Wiedziałam, że nie spędzam z Myrą tyle czasu, ile powinnam. Zawsze sobie obiecywałam, że się poprawię, ale nigdy nie potrafiłam pozbierać mego życia do kupy. Teraz utknęłam tutaj i muszę mieć do czynienia z tym pieprzonym Czyngis-chanem, kiedy chciałabym po prostu wrócić do domu.

Josh ujął jej twarz w dłonie.

— Nikt z nas tego nie chce — powiedział. — Ale przynajmniej mamy siebie. A jeśli jutro zginę… Bis, wierzysz, że wrócimy? Że będziemy żyli, jeśli czas zostanie poszatkowany na nowo?

— Nie. Och, może być inna Bisesa Dutt. Ale to już nie będę ja.

— Więc ta chwila to wszystko, co mamy — wyszeptał. Potem stało się to, co nieuniknione. Ich usta spotkały się i wciągnęła go pod koc, zdzierając z niego ubranie. Był delikatny — i nieporadny, prawie prawiczek — ale przywarł do niej z rozpaczliwą namiętnością, która znalazła odbicie w niej samej.

Pogrążyła się w odwiecznym, płynnym cieple tej chwili.

Ale kiedy było po wszystkim, pomyślała o Myrze i ogarnęło ją poczucie winy. Czuła w sobie jedynie pustkę, miejsce, w którym kiedyś była Myra, a teraz znikła na dobre.

I przez cały czas miała świadomość obecności Oka groźnie unoszącego się nad nimi i widziała odbicia swoje i Josha, jak jakichś owadów unieruchomionych w lśniącej kryjówce.

Pod koniec dnia Aleksander, złożywszy ofiarę w intencji powodzenia w bitwie, wydał rozkaz zgromadzenia armii. Liczące dziesiątki tysięcy ludzi oddziały zebrały się pod murami Babilonu; żołnierze mieli na sobie jasne tuniki, w dłoniach połyskujące tarcze, a ich konie rżały i wierzgały niespokojnie. W paradzie wzięło także udział kilkuset prowadzonych przez kapitana Grove'a Brytyjczyków w uniformach z czerwonej serży, którzy dumnie prezentowali broń.

Aleksander dosiadł konia i przejechał przed frontem armii, przemawiając mocnym, czystym głosem, który odbijał się echem od murów Babilonu. Bisesa nigdy by nie odgadła, jakie odniósł rany. Nie potrafiła zrozumieć jego słów, ale reakcja nie pozostawiała wątpliwości: brzęk dziesiątków tysięcy mieczy uderzanych o tarcze i dziki okrzyk wojenny, *Alalalalai! Al-e-han-dreh! Al-e-han-dreh!*…

Potem Aleksander podjechał do małego oddziału brytyjskiego. Zatrzymawszy konia, z ręką owiniętą wokół końskiej grzywy, przemówił ponownie, ale tym razem po angielsku. Mówił z silnym akcentem, ale słowa można było zrozumieć bez trudności. Mówił o Ahmedzie Khelu i Maiwandzie, bitwach Imperium Brytyjskiego podczas Drugiej Wojny Afgańskiej, które zajmowały poczesne miejsce w koszarowej mitologii tych wojsk i wspomnieniach niektórych żołnierzy. Aleksander powiedział:

> Od dzisiejszego dnia do końca świata,
> By imię nasze z ust do ust nie brzmiało,
> Nas, małej, ale szczęsnej garstki braci:
> Bo kto dziś ze mną kroplę krwi wyleje,
> Mym będzie bratem… [1]

Europejczycy i sipaje wznosili okrzyki równie głośno jak Macedończycy. Casey Othic ryczał:

— Słyszymy! Pozdrawiamy! Rozumiemy!

Kiedy parada się skończyła, Bisesa odszukała Ruddy'ego. Stał na platformie Bramy Isztar, spoglądając na równinę, gdzie pod złowieszczym, niebieskoszarym niebem już płonęły obozowe ogniska. Palił jeden z ostatnich tureckich papierosów, zachowany na tę okazję, jak powiedział.

— Szekspir, co, Ruddy?

— Ściśle mówiąc: *Henryk V*. — Nadął się jak paw, najwyraźniej bardzo z siebie dumny. — Aleksander dowiedział się, że umiem dobrze posługiwać się słowem. No i wezwał mnie do pałacu, aby wymyślić krótkie przemówienie, które mógłby wygłosić do naszych żołnierzy. Zamiast proponować mu coś własnego zwróciłem się do barda ze Stratfordu — i czyż mogłoby być coś bardziej odpowiedniego? A poza tym — dodał — skoro staruszek prawdopodobnie w ogóle nie istniał w tym nowym wszechświecie, raczej nie oskarży mnie o plagiat!

— Niezłe z ciebie ziółko, Ruddy.

Kiedy światło przygasło, żołnierze zaczęli śpiewać. Macedońskie pieśni były jak zwykle pieśniami żałobnymi o domu i utraconych ukochanych. Ale dzisiaj wieczorem Bisesa usłyszała w nich angielskie słowa, jakiś dziwnie znany refren.

Ruddy uśmiechnął się.

— Rozpoznajesz to? To hymn „Chwalmy Pana, Króla Niebios”. Biorąc pod uwagę naszą sytuację, myślę, że któryś z tych żołnierzy ma naprawdę poczucie humoru! Posłuchaj ostatniej zwrotki…

Aniołowie, oddawajcie Mu cześć Stańcie przed Nim twarzą w twarz Niech Słońce i Księżyc biją Mu pokłony Mieszkańcy wszystkich czasów i przestrzeni Wysławiajcie Go! Wysławiajcie Go! Wysławiajcie Go! Wysławiajcie Go! Wysławiajcie wraz z nami Boga pełnego łaski…

Kiedy śpiewali, stapiały się w jedno akcenty z Londynu, Newcastle, Glasgow, Liverpoolu i Pendżabu.

Ale gdy ze wschodu powiał łagodny wietrzyk, przywiał w stronę miasta dym ognisk. A kiedy Bisesa spojrzała w tę stronę, zobaczyła, że Oczy powróciły całymi dziesiątkami, unosząc się wyczekująco nad polami Babilonii.

35. Konfluencja

Kurz — to właśnie Josh zobaczył najpierw, wielką chmurę kurzu, który wzbijał się pod kopytami pędzących koni.

Było około południa. Tym razem dzień był pogodny, bezchmurny i przez pędzący wał kurzu, szeroki na jakieś pół kilometra, przeświytywały mgliste, nieuchwytne kształty. Potem Josh zobaczył wyraźnie wyłaniające się z popielatej poświaty cienie, które niebawem przeobraziły się w krępe, groźne postacie. Na pierwszy rzut oka można było w nich rozpoznać mongolskich wojowników.

Pomimo wszystkiego, co mu się dotąd przydarzyło, Joshowi trudno było uwierzyć, że horda Mongołów pod wodzą samego Czyngis-chana naprawdę się zbliża, zamierzając go zabić.

A jednak tak właśnie było; widział to na własne oczy. Poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej.

Siedział w Bramie Isztar, w ciasnym stanowisku strażniczym, wychodzącym na wschód, w stronę nacierających Mongołów. Towarzyszyli mu Macedończycy i kilku Brytyjczyków. Ci ostatni byli zaopatrzeni w całkiem dobre szwajcarskie lornetki. Grove uświadomił im znaczenie odpowiedniego osłonięcia obiektywów, nie mieli pojęcia, jakie informacje ma Czyngis-chan na temat ich sytuacji w Babilonie, ale Sabie Jones z pewnością wiedziała, co oznaczają błyski światła odbijającego się od szkła. Josh był najlepiej wyposażony z nich wszystkich, bo Abdikadir — który pojechał walczyć — zostawił mu swój cenny noktowizor, który zakładało się jak okulary.

Kiedy Mongołowie ukazali się po raz pierwszy, zarówno wśród macedońskich, jak i brytyjskich obserwatorów dało się wyczuć napięcie, wyraźny dreszcz podniecenia. Joshowi wydało się, że w sąsiedniej bramie widzi jaskrawy napierśnik samego Aleksandra, a potem zobaczył pierwsze starcie.

Mongołowie nadciągali długą linią i wydawało się, że są pogrupowani w oddziały liczące około dziesięciu ludzi. Josh szybko je policzył; linia Mongołów miała jakichś dwudziestu ludzi na grubość i dwustu na szerokość, a więc pierwszy rzut liczył około czterech lub pięciu tysięcy ludzi.

Ale Aleksander zgromadził na równinie pod Babilonem dziesięć tysięcy własnych żołnierzy. Ich długie, szkarłatne peleryny wydymały się na wietrze, hełmy z brązu były pomalowane na kolor błękitny, a grzebienie ozdabiały emblematy oznaczające stopień.

Zaczęło się.

Najpierw poleciały strzały. Przednie szeregi nacierających Mongołów uniosły w górę łuki i wystrzeliły w powietrze. Łuki były wykonane z powlekanego rogu i trafiały dokładnie w cel na odległość

ponad stu metrów.

Macedończycy byli ustawieni w dwa długie rzędy, piechurzy znajdowali się w środku, a elitarne oddziały tarczowników zabezpieczały obie flanki. Kiedy poleciały strzały, rozległy się donośne uderzenia bębnów i granie trąbek i żołnierze szybko przegrupowali się, formując coś na kształt pudła, głębokiego na ośmiu ludzi. Unieśli nad głowami skórzane tarcze i zwarli je ze sobą, jak w rzymskiej formacji zwanej żółwiem.

Strzały uderzyły w tarcze z wyraźnie słyszalnym łoskotem Pancerz złożony z tarcz wytrzymał uderzenie, ale nie był doskonały. W paru miejscach ludzie z przeszywającym krzykiem padli na ziemię, w osłonie na krótko pojawiła się dziura i zrobiło się nagłe poruszenie, gdy rannego wyciągano z szeregu, po czym pancerz zamknął się znowu.

A więc ludzie już zaczęli ginąć, pomyślał Josh.

Może o ćwierć mili od murów miasta Mongołowie nagle ruszyli do ataku. Wojownicy ryknęli, bębny wojenne załomotały, a stukot końskich podków przywodził na myśl burzę. Zgiełk był niesamowity.

Josh nie uważał się za tchórza, ale zwyczajnie struchlał. I był zaskoczony, z jakim spokojem zaprawieni w boju żołnierze Aleksandra utrzymują pozycje. Ponowne granie trąbek i wykrzykiwane rozkazy — *Synaspismos!* — rozbiły formację żółwia i znów uformowały się otwarte linie, chociaż niektórzy żołnierze nadal trzymali tarcze w górze, zasłaniając się przed strzałami. Teraz były to linie poczwórne, przy czym część żołnierzy została w rezerwie. Byli to piechurzy, którzy mieli przyjąć na siebie atak mongolskiej konnicy; między Babilonem a nacierającymi Mongołami znajdowała się jedynie cienka linia ludzi. Ale żołnierze zwarli ze sobą tarcze, wbili końce swych długich włóczni w ziemię i z wyciągniętymi przed siebie długimi na stopę żelaznymi mieczami czekali na pędzących Mongołów.

W ostatniej chwili przed bezpośrednim zderzeniem obu armii Josh widział wyraźnie samych Mongołów, a nawet oczy ich opancerzonych koni. Zwierzęta wyglądały jak oszalałe; zastanawiał się, jakich bodźców czy narkotyków użyli Mongołowie, aby skłonić konie do ataku na taką masę piechoty.

Mongołowie zderzyli się z macedońskimi liniami. Zderzenie było niezwykle gwałtowne.

Opancerzone konie przedarły się przez przednią linię obrońców i cała formacja jakby ugięła się w środku. Ale tylne linie Macedończyków natarły na konie, zabijając je lub powalając na ziemię. Mongołowie i ich konie zaczęli padać na ziemię, a ich tylne linie uderzyły w zatrzymaną przednią linię natarcia.

Wszędzie wzdłuż macedońskich linii rozgorzała walka. Do Josha dotarł zapach kurzu i metalu pomieszany z zapachem krwi. Rozlegały

się krzyki wściekłości i bólu oraz szczęk żelaza. Nie było żadnych strzałów ani odgłosów eksplozji typowych dla nowoczesnej wojny. Ale tak czy inaczej ludzkie istnienia likwidowano z niemniejszą skutecznością.

Josh nagle zdał sobie sprawę, że tuż przed nim, prawie na poziomie jego oczu, unosi się srebrzysta kula. To było Oko. Może, pomyślał ponuro, są tutaj oprócz ludzi także inni obserwatorzy.

Pierwszy atak trwał tylko kilka minut. Potem, na sygnał trąbki, Mongołowie nagle zaczęli uciekać. Ci, którzy jeszcze mieli konie, pocwałowali do tyłu. Zostawili za sobą linię zwijających się ciał, odciętych kończyn i okaleczonych koni.

Mongołowie zatrzymali się w luźnym szyku kilkaset metrów od macedońskich pozycji. Obrzucali nieprzyjaciół obelgami w swym niezrozumiałym języku, wystrzelili parę strzał i nawet pluli w ich stronę. Jeden z nich przywlókł nieszczęsnego macedońskiego piechura i teraz, z szyderczym okrucieństwem zaczął wycinać dziurę w piersi żyjącego mężczyzny. Macedończycy odpowiedzieli obelgami, ale kiedy ich oddział pobiegł do przodu z uniesioną bronią, oficerowie krzyknęli, aby zawrócili i pozostali na swych pozycjach.

Mongołowie nie przestawali się cofać, wciąż szydząc z Macedończyków, ale żołnierze Aleksandra nie ruszyli ich śladem. Korzystając z przejściowego spokoju, noszowi wybiegli przez Bramę Isztar.

Pierwszy macedoński wojownik, jakiego przyniesiono do szpitala Bisesy, był ranny w nogę. Ruddy pomógł jej wciągnąć nieprzytomnego człowieka na stół.

Strzałę złamano i wyciągnięto, ale przebiła mięsień łydki na wylot. Wyglądało na to, że nie uszkodziła żadnych kości, ale ze świeżej rany zwisały fragmenty tkanki mięśniowej. Bisesa wepchnęła je z powrotem do otworu, zatkała go nasączoną winem tkaniną, po czym z pomocą Ruddy'ego ciasno obandażowała. Żołnierz się poruszył. Oczywiście nie miała żadnego środka znieczulającego, ale gdyby się obudził, być może strach i adrenalina na jakiś czas powstrzymają ból.

Ruddy pracując obiema rękami, otarł pot z czoła rękawem kurtki.

— Ruddy, świetnie sobie radzisz.

— Tak. Ten człowiek przeżyje, prawda? I pójdzie z bułatem i tarczą w dłoni, aby umrzeć na jakimś innym polu bitwy.

— Możemy ich tylko łatać.

— Tak…

Ale nie było czasu, nie było czasu. Człowiek z raną nogi był zaledwie pierwszym z przynoszonych na noszach rannych, którzy nagle zaczęli napływać przez Bramę Isztar. Filip, lekarz Aleksandra, wybiegł im naprzeciw i tak jak go nauczyła Bisesa, zaczął

przeprowadzać szybką selekcję, oddzielając tych, którym można było pomóc od pozostałych i odsyłając rannych tam, gdzie mogli otrzymać najskuteczniejszą pomoc medyczną.

Bisesa kazała macedońskim sanitariuszom zabrać rannego w nogę do namiotu rannych i złapała następne nosze. Okazało się, że ofiarą był mongolski wojownik. Dostał mieczem w górną część uda i z przeciętej arterii tryskała krew. Próbowała zacisnąć brzegi rany, ale było już zdecydowanie za późno i po chwili krwawienie samo ustało.

Ruddy powiedział:

— Ten człowiek w ogóle nie powinien był się tu znaleźć.

Z dłońmi ociekającymi krwią, ciężko dysząc, Bisesa cofnęła się.

— Tak czy owak nic nie możemy dla niego zrobić. Zabierzcie go stąd. Następny!…

Ciągnęło się to przez całe popołudnie — strumień okaleczonych, zwijających się z bólu ciał; nie przestawali pracować, aż poczuli, że nie mogą już dłużej, ale mimo to pracowali dalej.

Abdikadir znajdował się wśród sił rozmieszczonych poza murami Babilonu. Był już bliski włączenia się do walki, kiedy macedońskie linie prawie się ugięły. Ale zarówno jego, jak i Brytyjczyków — oraz Caseya, który był gdzieś dalej — trzymano w rezerwie; broń palną mieli ukrytą pod macedońskimi pelerynami. Aleksander obiecał im, że ich czas nadejdzie, ale jeszcze nie teraz, nie teraz.

Aleksander i jego nowożytni doradcy dysponowali historyczną perspektywą, która była bardzo pomocna. Znali klasyczną taktykę Mongołów. Ich pierwszy atak stanowił jedynie manewr mylący, którego celem było uwikłanie Macedończyków w pościg. W razie konieczności mogli się cofać całymi dniami, doprowadzając do wyczerpania i rozdzielenia sił Aleksandra, aż w końcu byli gotowi do zamknięcia pułapki. Nowożytni opowiedzieli Aleksandrowi, jak Mongołowie rozbili kiedyś armię chrześcijańskich rycerzy w Polsce, zwabiwszy ich w pułapkę, swego czasu Aleksander rzeczywiście natknął się na scytyjskich jeźdźców, którzy stosowali podobną taktykę. Nie dał się na to nabrać.

Poza tym Aleksander rozgrywał własną grę: ukrył połowę swojej piechoty i całą konnicę wewnątrz murów Babilonu, no i jak dotąd nie wykorzystał broni z dziewiętnastego i dwudziestego pierwszego wieku. To mogło się udać. Chociaż mongolskich zwiadowców zauważono w okolicy Babilonu, było praktycznie niemożliwe, aby szpiedzy Czyngis-chana przeniknęli potajemnie do miasta.

Pomimo pełnego napięcia oczekiwania Mongołowie tego dnia już nie ponowili ataku.

Kiedy nadszedł wieczór, na horyzoncie można było dostrzec długą linię ognisk, rozciągającą się z północy na południe, która wydawała się obejmować cały świat. Abdikadir zdawał sobie sprawę z szemrania

żołnierzy na widok budzącej grozę liczebności mongolskich sił. Pomyślał, że mogliby bać się jeszcze bardziej, gdyby im powiedziano, że wśród długiej linii mongolskich jurt dostrzeżono charakterystyczny kopulasty kształt statku kosmicznego.

Aleksander odwiedził obóz, mając u boku Hefajstiona i Eumenesa. Król lekko utykał, ale jego hełm i żelazny napierśnik lśniły srebrzyście. Wszędzie, którędy przechodził, żartował ze swymi ludźmi. Mongołowie nas nabierają, twierdził. Prawdopodobnie dla każdego ze swych ludzi rozpalili dwa lub trzy ogniska, w końcu znani są z tego, że wyruszają do bitwy z wypchanymi manekinami, dosiadającymi zapasowych koni, aby wystraszyć wrogów. Ale Macedończycy są zbyt cwani, żeby się nabrać na takie sztuczki! Tymczasem sam Aleksander pozwolił rozpalić bardzo niewiele ognisk, by Mongołowie nie zdawali sobie sprawy z liczebności sił przeciwnika oraz niezłomnego męstwa i siły woli macedońskich żołnierzy!

Nawet Abdikadir czuł, jak poprawił mu się nastrój po wizycie Króla. Aleksander to niezwykły człowiek, pomyślał, chociaż podobnie jak Czyngis-chan budzący przerażenie.

Z kałasznikowem u boku zwinął się w kłębek pod swym ponczo i szorstkim brytyjskim kocem, próbując zasnąć.

Czuł się dziwnie spokojny. Konfrontacja z armią Mongołów wydawała się potęgować jego własną determinację. Znać Mongołów jako abstrakcyjne pojęcie z dawno nieodkurzanych stron historii to jedno, a odczuć na własnej skórze ich brutalność to coś zupełnie innego.

Mongołowie wyrządzili islamowi ogromne szkody. Zjawili się w bogatym islamskim kraju Khwarezm — starożytnej cywilizacji, stabilnej i scentralizowanej już w połowie siódmego wieku przed Chrystusem. Faktycznie Aleksander Wielki natknął się na nich podczas swej euroazjatyckiej wyprawy. Mongołowie splądrowali piękne miasta Afganistanu i północnej Persji, od Heratu do Kandaharu i Samarkandy. Podobnie jak Babilonia, Khwarezm zbudowano w oparciu o skomplikowany podziemny system nawadniający, który przetrwał od czasów starożytnych. Mongołowie zniszczyli go także, a wraz z nim i Khwarezm; niektórzy arabscy historycy utrzymują, że gospodarka na tym obszarze nigdy nie odzyskała dawnej świetności. I tak dalej. Wydarzenia te położyły się cieniem na duchu całego islamu.

Abdikadir nigdy nie był fanatykiem. Teraz jednak odkrył w sobie zamiłowanie do naprawiania historii. Tym razem islam zostanie uratowany przed Mongołami i odrodzi się. Ale najpierw tę przeklętą wojnę trzeba wygrać, i to bez względu na koszty.

Pomyślał, że w chaosie spowodowanym Nieciągłością pocieszający jest fakt, że ma coś do roboty: musi zrealizować zupełnie określony cel. A może po prostu odnajdywał swoje macedońskie

korzenie.

Zastanawiał się, co by na to wszystko powiedział Casey. Casey, gorliwy chrześcijanin urodzony w Iowa w 2004 roku, a obecnie uwięziony między armiami Mongołów i Macedończyków w czasie bez daty.

— Dobry chrześcijański żołnierz — mruknął Abdikadir — jest zawsze o krok od nieba. — Uśmiechnął się do siebie.

Kola leżał w jamie wydrążonej w ziemi pod jurtą Czyngis-chana przez trzy dni — trzy dni, ślepy i głuchy, cierpiąc przejmujący ból. Ale mimo to żył. Był nawet w stanie wyczuć upływ czasu, dzięki drganiom wywołanym krokami na deskach znajdujących się nad głową, krokami, które zbliżały się i oddalały jak fale przypływu.

Gdyby Mongołowie go przeszukali, znaleźliby ukrytą pod kamizelką plastikową torbę z wodą, która tak długo trzymała go przy życiu, oraz jeszcze coś, od czego zależało jego ryzykowne przedsięwzięcie. Ale nie przeszukali go. Tak, to było ryzykowne przedsięwzięcie, ale opłaciło się, przynajmniej jak dotąd.

Wiedział o Mongołach znacznie więcej niż Sabie, ponieważ dorastał ze świadomością ich istnienia, liczącą osiem stuleci, lecz wciąż bardzo silną. I słyszał o zwyczaju Czyngis-chana zamykania nieprzyjacielskich książąt pod podłogą swojej jurty. Kola przekazał Caseyowi tyle informacji, ile zdołał, wiedząc, że zostanie ujęty; a kiedy to się stało, pozwolił, aby podstępna Sabie tak skołowała Mongołów, że wyrazili zgodę na jego „łagodne" potraktowanie. Chciał tylko być tutaj w ciemności i pozostać przy życiu, trzymając urządzenie, które sporządził, zaledwie o jakiś metr od Czyngis-chana.

W Sojuzie nie było granatów, które idealnie nadawałyby się do tego celu. Ale pozostały niewykorzystane sworznie wybuchowe. Mongołowie nie zorientowaliby się, co wyniósł ze statku kosmicznego, nawet gdyby go uważnie obserwowali. Oczywiście Sabie by to wiedziała, ale w swej arogancji założyła, że Kola jest kimś nieistotnym, niezdolnym, aby przeszkodzić w realizacji jej własnych ambicji. Kiedy go zignorowano, Kola mógł łatwo zrobić proste urządzenie spustowe i ukryć swoją prowizoryczną broń.

Musiał czekać na właściwy moment, kiedy uderzy. Właśnie dlatego musiał tkwić w ciemności i znosić męczarnie. *Trzy dni* — to było jak przeżycie trzech dni po własnej śmierci. Ale o dziwo, jego ciało nadal funkcjonowało, nadal musiał oddawać mocz i wypróżniać się, jak gdyby to ciało myślało, że jego los będzie miał jakiś dalszy ciąg. Pomyślał, że to jak skurcze świeżych zwłok, manekina, które nic nie znaczą.

Trzy dni. Ale Rosjanie byli cierpliwi. Mieli takie powiedzenie: najgorsze jest zawsze pierwsze pięćset lat.

Nadszedł świt. Macedończycy zaczęli się ruszać, kaszleć,

przecierać oczy, załatwiać się. Abdikadir usiadł. Różowo-szare, jaśniejące niebo było dziwnie piękne, a rozproszone światło słoneczne na tle szarych chmur przywodziło na myśl kwiaty wiśni rozsypane na wulkanicznej lawie.

Ale po przebudzeniu się miał tylko chwilę spokoju.

Świt i zmierzch to dla żołnierza najniebezpieczniejszy okres, ponieważ oczy próbują przystosować się do szybko zmieniającego się oświetlenia. I właśnie w tym momencie Mongołowie przypuścili atak.

Zbliżyli się do macedońskich pozycji w zupełnej ciszy. Teraz zabrzmiały *naccara,* ich bębny wojenne i Mongołowie ruszyli do przodu, wrzeszcząc jak opętani. Nagła wrzawa była mrożąca krew w żyłach, jak gdyby nadciągał jakiś potężny kataklizm, powódź lub obsunięcie się ziemi.

Ale macedońskie trąbki odezwały się zaledwie w chwilę później. Żołnierze pobiegli na stanowiska. Rozległy się krótkie komendy wykrzykiwane macedońskim dialektem. *Formować się, utrzymać pozycje!* Macedońska piechota, ustawiona w osiem szeregów, tworzyła ścianę skóry i żelaza.

Oczywiście Aleksander był przygotowany na atak. Przewidując go, dopuścił wroga tak blisko, jak było można. Teraz nadszedł czas, aby zatrzasnąć pułapkę.

Abdikadir zajął swoją pozycję, trzy szeregi za pierwszą linią. Po obu stronach stali zaleknieni brytyjscy żołnierze. Czując na sobie ich spojrzenia, Abdikadir zmusił się do uśmiechu i uniósł kałasznikowa.

Pierwszy raz wyraźnie zobaczył mongolskiego wojownika przez celownik.

Ciężka konnica zajmowała miejsce w środku ataku, a lekka galopowała zaraz za nią. Jeźdźcy mieli na sobie zbroje wykonane z bawolich skór i metalowe hełmy ze skórzanymi ochraniaczami wokół szyi i uszu. Byli obwieszeni różnoraką bronią: mieli dwa łuki, trzy kołczany, lancę z paskudnie wyglądającym hakiem na końcu, topór i zakrzywioną szablę. Nawet konie miały na sobie szeroki skórzany pancerz, który osłaniał ich boki i metalowe kołpaki na głowach. Opancerzeni Mongołowie wyglądali bardziej na jakieś owady niż na ludzi.

Ale nie wszystko działo się pod ich dyktando. Na sygnał trąbki na balustradach murów Babilonu pojawili się łucznicy i tuż nad głową Abdikadira zaczęły świstać strzały, spadając na nacierających Mongołów. Kiedy jakiś jeździec padał, następował chwilowy zamęt, który zakłócał przebieg ataku.

Teraz poleciały płonące strzały, których końce pokryto smołą. Były wycelowane w doły w ziemi, w których umieszczono bele siana nasączone smołą. Po chwili wśród Mongołów wytrysnęły wielkie słupy ognia i dymu. Ludzie zaczęli krzyczeć, a konie spłoszyły się i

zatrzymały. Ale choć liczne ofiary zwolniły tempo natarcia Mongołów, nie zatrzymały ich całkowicie.

I znów ich ciężka konnica uderzyła w macedońskie linie obronne.

Macedończycy zaczęli się cofać na całej długości. Było to nieuniknione wobec impetu ataku Mongołów i gwałtowności, z jaką jeźdźcy wymachiwali mieczami i maczugami.

Abdikadir, teraz dosłownie o metr od toczącej się zaciętej walki, zobaczył, jak konie stają dęba, a płaskie twarze Mongołów wyłaniają się w górze, nad walczącymi i ginącymi ludźmi. Czuł zapach krwi, kurzu, potu przerażonych koni i nawet w takiej chwili, obrzydliwy smród, który mógł dochodzić tylko od samych Mongołów. Gęstwa ludzi i zwierząt i ryk wydobywający się z dziesięciu tysięcy gardeł sprawiały, że trudno było nie tylko walczyć, ale w ogóle unieść broń. Ostrza świstały v powietrzu, krew i części ciała fruwały na wszystkie strony podczas tej niemal absurdalnej, nieprawdopodobnej jatki i stopniowo krzyki wściekłości zamieniały się w okrzyki bólu. Napór jeszcze się wzmógł, kiedy w ślad za ciężką pojawiła się mongolska lekka konnica, wciskając się tam, gdzie uderzenie ciężkiej konnicy uczyniło wyłom w murze obrońców.

Ale Aleksander odpowiedział atakiem na atak. Dzielni piechurzy wypadli zza macedońskich linii, dzierżąc długie, zakrzywione lance; nawet jeśli samo pchnięcie chybiło, uderzenie lancy mogło zrzucić jeźdźca. Mongołowie spadali z koni, ale macedońscy piechurzy padali jak kwiaty ścinane kosą.

Wśród zgiełku nagle rozległ się wyraźny dźwięk macedońskiej trąbki.

W środku pola walki, tuż przed Abdikadirem, ocalali macedońscy żołnierze z pierwszej linii cofnęli się, niknąc w tylnych szeregach i pozostawiając na polu walki zabitych i rannych. Nagle między Abdikadirem a najdzikszymi wojownikami, jakich nosiła ziemia, zrobiło się pusto.

Zaskoczeni Mongołowie na spłoszonych koniach wahali się przez chwilę. Jeden z nich, ogromny mężczyzna, niski, ale szeroki w barach niczym niedźwiedź, patrzył prosto w oczy Abdikadira, trzymając uniesioną w górę krótką maczugę, z której kapała krew.

Przy boku Abdikadira pojawił się kapitan Grove.

— Strzelaj!

Abdikadir uniósł kałasznikowa i pociągnął za spust. Głowa Mongoła rozprysła się na kawałki, rozsiewając wokół mgiełkę krwi i kości, a metalowy hełm wyleciał w powietrze. Jego koń poniósł, a pozbawione głowy ciało ześlizgnęło się z siodła w kłębiący się wokół tłum.

Wszędzie wokół Abdikadira Brytyjczycy strzelali w masę Mongołów; grzechot staroświeckich karabinów Martini-Henry'ego i

Snidera mieszał się z seriami kałasznikowów. Ludzie i konie rozpadali się pod miażdżącym gradem kul. Granaty fruwały w powietrzu. Większość z nich były to granaty błyskowo-hukowe, ale to wystarczyło, żeby przerazić konie i co najmniej kilku wojowników. Jeden z granatów eksplodował pod koniem. Wydawało się, jakby zwierzę wybuchło, a jeździec z krzykiem wyleciał w powietrze.

Jeden z granatów wylądował blisko Abdikadira. Podmuch był jak uderzenie w brzuch. Kiedy upadł na plecy, dzwoniło mu w uszach, a nos i usta wypełnił metaliczny smak krwi i cierpki smak chemikaliów. Czuł się dziwnie nieswojo, jak gdyby przeleciał przez kolejną Nieciągłość. Ale skoro leżał, w linii przed nim musiała powstać wyrwa. Uniósł karabin i zaczął strzelać nie patrząc, jednocześnie próbując podnieść się na nogi.

Wydano rozkaz natarcia. Linia Brytyjczyków ruszyła wielkimi krokami naprzód, nieprzerwanie prowadząc ogień.

Założywszy nowy magazynek, Abdikadir ruszył razem z nimi. Ziemia przed nim była zasłana trupami i częściami rozerwanych ciał, a gdzieniegdzie wnętrznościami, na których się ślizgał. Idąc, musiał nawet nastąpić na rannego mężczyznę, który krzyknął z bólu, ale nie miał innego wyjścia.

Na początku pomyślał, że akcja poskutkowała. Na lewo i na prawo, jak daleko sięgał wzrokiem, Mongołowie się wycofywali, niezdolni stawić czoła broni palnej pochodzącej z czasów o ponad sześćset lat późniejszych.

Ale wtedy Abdikadir usłyszał piskliwy głos — głos kobiety — i kilku Mongołów zsiadło z koni. Ruszyli w stronę strzelaniny, wykorzystując ciała swoich towarzyszy i ich koni jako osłonę. Abdikadir znał tę taktykę: ocenić zagrożenie, przesunąć się, ukryć i ocenić zagrożenie ponownie. Używali tylko łuków, jedynej broni, która zasięgiem dorównywała karabinom i posuwając się do przodu, ubezpieczali się nawzajem. Krzyki Macedończyków i przekleństwa brytyjskich żołnierzy dowodziły, że niektóre ze strzał dosięgły celu.

Zrozumiał, że tych Mongołów wyszkolono tak, aby zdołali przetrzymać ogień karabinowy. Musiała za tym stać Sabie, tak jak się obawiali. Załadował następny magazynek i znów otworzył ogień.

Ale Mongołowie zbliżali się. Abdikadirowi i pozostałym strzelcom przydzielono tarczowników, ale już zostali wyeliminowani. Jeden z jeźdźców prawie dosięgnął Abdiego, który musiał zawinąć karabinem, wykorzystując go jak pałkę. Szczęściem trafił mężczyznę w skroń i Mongoł zatoczył się do tyłu. Zanim doszedł do siebie, Abdikadir zastrzelił go, po czym zaczął się rozglądać za następnym celem.

Ze swego wysoko położonego stanowiska na Bramie Isztar Josh widział całe rozległe pole walki. Jej krwawe jądro stanowiła ciżba koni i ludzi walczących bezpośrednio przed bramą, w miejscu gdzie

mongolska ciężka konnica zderzyła się z piechotą Aleksandra. Oczy były wszędzie, unosiły się jak perły nad głowami walczących ludzi.

Ciężka konnica stanowiła najpotężniejszy instrument wojenny Mongołów, przeznaczony do rozbijania pojedynczym uderzeniem największych sił przeciwnika. Istniała nadzieja, że nagły atak z użyciem broni palnej wyrządzi wystarczająco dużo zniszczeń w jej szeregach, aby osłabić siłę tego uderzenia. Ale z jakiegoś powodu Mongołowie nie wycofali się, jak oczekiwano i uzbrojona piechota ugrzęzła wewnątrz miasta.

Była to niedobra wiadomość. W końcu w Jamrud było tylko trzystu brytyjskich żołnierzy. Ich liczba nie mogła się równać z liczbą Mongołów i nawet gdyby każda kula dosięgła celu, wojska Czyngis-chana na pewno w końcu by ich zmiażdżyły w wyniku samej przewagi liczebnej.

A teraz Mongołowie rzucili jeszcze więcej konnicy na skrzydła, z zamiarem otoczenia sił nieprzyjaciela. Oczekiwano tego, był to klasyczny mongolski manewr zwany *tulughma,* ale jego gwałtowność, gdy nowe jednostki uderzyły na macedońskie flanki, była iście oszałamiająca.

Jednak Aleksander nie dał za wygraną. Z murów miasta znowu zabrzmiały trąbki. Bramy otworzyły się z głośnym szczękiem i macedońska konnica wreszcie wydostała się na zewnątrz.

Kiedy jeźdźcy ukazali się w bramie, tworzyli ciasny klin, od pierwszego rzutu oka zrozumiał, o ile lepiej wyszkoleni byli ci jeźdźcy z odległej starożytności niż Mongołowie. Na czele oddziału jadącego po prawej stronie Josh ujrzał jasno fioletową pelerynę i hełm z białym pióropuszem samego Aleksandra, który jak zawsze wiódł swych ludzi ku chwale lub śmierci.

Macedończycy, szybcy, ruchliwi i niezwykle zdyscyplinowani, zrobili nagły zwrot i wdarli się w głąb mongolskiej flanki niczym skalpel. Mongołowie próbowali zawrócić, ale wciśnięci między macedońską piechotę i konnicę mieli ograniczone pole manewru i Macedończycy zaczęli dźgać swymi długimi włóczniami ich nieosłonięte twarze. Josh wiedział, że była to kolejna klasyczna taktyka: formacja bitewna udoskonalona przez Aleksandra Wielkiego, choć odziedziczona po jego ojcu, w której konnica po stronie prawej zadawała mordercze uderzenie, a znajdująca się pośrodku piechota posuwała się ich śladem.

Josh nie był zwolennikiem wojen. Ale w oczach wojowników po obu stronach widział euforię, kiedy rzucali się do boju, jakby ulgę, że wreszcie nadeszła chwila, gdy będzie można pozbyć się wszelkich zahamowań, a nawet radość. Josha przeszył dreszcz emocji, kiedy patrzył, jak ten starożytny, błyskotliwy manewr rozwija się przed jego oczyma, właśnie teraz, gdy ludzie walczyli i umierali, padając w pył,

gdy gasły kolejne ludzkie istnienia. Dlatego my, ludzie, prowadzimy wojny, pomyślał; dlatego wikłamy się w tę grę o najwyższą stawkę, nie dla zysku czy władzy, czy też zdobyczy terytorialnych, ale dlatego, że jest źródłem prawdziwej rozkoszy. Kipling ma rację: wojna to *zabawa.* To ciemna strona naszego gatunku.

Może dlatego Oczy były tutaj, by podziwiać to wyjątkowe widowisko z udziałem najbardziej brutalnych istot w całym wszechświecie, które oto umierały w pyle. Josh poczuł urazę i jakąś mroczną dumę.

Jeśli nie liczyć niewielkich rezerw, wszystkie siły znajdowały się teraz na polu walki. Poza paroma potyczkami konnych gdzieś na skraju pola walki bitwa rozgrywała się teraz głównie w samym środku pola, gdzie trwała krwawa masakra, gdzie ludzie bez przerwy walczyli ze sobą. Doły z sianem nasączonym smołą wciąż płonęły, buchając dymem, który przesłaniał pole widzenia, a z murów Babilonu wciąż sypały się strzały.

Josh nie był już w stanie powiedzieć, kto zyskał przewagę w tej walce. Teraz nie było czasu na taktykę i generałowie wrogich armii, może najwięksi wodzowie wszystkich czasów, nie mogli uczynić już nic więcej, oprócz tego co Aleksander, czyli wymachiwać mieczami. Trzeba było walczyć albo umrzeć.

Stacja medyczna Bisesy była pełna ludzi. To znaczy ciał.

Pracując w pojedynkę, walczyła o uratowanie życia Macedończykowi, który leżał nieprzytomny na stole, porzucony jak tusza w sklepie mięsnym. Był to chłopiec, który miał nie więcej niż siedemnaście czy osiemnaście lat. Ale został pchnięty oszczepem w brzuch. Oczyściła i zaszyła ranę najlepiej, jak umiała, chociaż ręce trzęsły się jej zmęczenia. Wiedziała jednak, że chłopaka może wykończyć infekcja spowodowana przylepionym do ostrza brudem, który dostał się do środka.

Przez cały czas do środka wnoszono kolejne ciała. Tych, których oceniono jako nie nadających się do leczenia, już nie składano w domu, który przeznaczyła na kostnicę, lecz zwalano na ziemię, gdzie piętrzył się stos nieruchomych ciał, których krew wsiąkała w ziemię Babilonii. Spośród tych, którzy nadawali się do leczenia, garstkę połatano i wysłano z powrotem do walki, ale ponad połowa jej pacjentów zmarła na stole operacyjnym.

— Czego się spodziewałaś, Biseso? — pytała samą siebie. — Nie jesteś lekarką. Twoim jedynym doświadczonym pomocnikiem jest Grek, który kiedyś ściskał dłoń samemu Arystotelesowi. Nie masz żadnych środków, wszystkiego zaczyna brakować, od czystych bandaży do przegotowanej wody.

Ale wiedziała, że dziś uratowała kilka istnień ludzkich.

Te jej wysiłki mogły być daremne — wielka fala Mongołów mogła

sforsować mury miasta i uśmiercić ich wszystkich — ale nagle zdała sobie sprawę, że naprawdę nie chce, żeby umarł ten chłopiec z dziurą w brzuchu. Poczuwając się do winy, starając się to ukryć przed wzrokiem innych, wygrzebała ze swego zestawu medycznego fiolkę streptomycyny i zrobiła nieprzytomnemu chłopcu zastrzyk w udo.

Potem zawołała, żeby go zabrać, jak wszystkich pozostałych.

— Następny! — krzyknęła.

Kola uważał, że ekspansja Mongołów miała charakter patologiczny. Stanowiła samonakręcającą się, koszmarną spiralę, zrodzoną z niekwestionowanego geniuszu wojennego Czyngis-chana i napędzaną przez łatwe podboje, plagę szaleństwa i zniszczenia, która rozprzestrzeniła się w znacznej części ówczesnego świata.

Zwłaszcza Rosjanie mieli powody, żeby gardzić pamięcią Czyngis-chana. Mongołowie zaatakowali ich dwukrotnie. Wielkie miasta, które dorobiły się na handlu, Nowogród, Riazań i Kijów zostały zamienione w cmentarzyska. W tych strasznych chwilach jego krajowi na zawsze wyrwano serce.

— Nigdy więcej — szepnął Kola, nie będąc w stanie usłyszeć własnych słów. — Nigdy więcej. — Wiedział, że Casey i pozostali ze wszystkich sił stawią opór mongolskiej nawale. Może Mongołowie narobili sobie dawniej zbyt wielu wrogów; może teraz w jakiś tajemniczy sposób nadszedł dla nich czas zapłaty.

Oczywiście jego własne przedsięwzięcie trzeba było doprowadzić do końca. Czy jego broń jest dostatecznie silna, czy w ogóle zadziała? Ale miał zaufanie do swych technicznych umiejętności.

Jednakże osiągnąć cel to była zupełnie inna sprawa. Obserwował Czyngis-chana. W przeciwieństwie do Aleksandra był dowódcą, który przyglądał się walkom z tyłu i o zmierzchu wracał do swojej jurty; miał już prawie sześćdziesiąt lat i był do pewnego stopnia przewidywalny.

Jednak czy Kola, po tych trzech dniach, mógł jeszcze mieć pewność, która jest godzina? Czy mógł być pewien, że te ciężkie kroki, które teraz wyczuwał, to rzeczywiście człowiek, którego zamierzał uśmiercić? Jedyne, czego żałował, to fakt, że nigdy się tego nie dowie.

Kola uśmiechnął się, pomyślał o żonie i zwolnił urządzenie spustowe. Nie miał ani oczu, ani uszu, ale poczuł, jak ziemia zakołysała się.

Abdikadir oraz garstka Brytyjczyków i Macedończyków, stojąc do siebie plecami, odpierali ataki Mongołów, którzy kłębili się wokół, większość wciąż na koniach, wywijając mieczami. Amunicja już dawno mu się skończyła, odrzucił więc bezużyteczny karabin i walczył bagnetem, bułatem, lancą, oszczepem, wszystkim, co mu wpadło w rękę po poległych wojownikach z epok oddalonych od siebie o ponad tysiąc lat.

Kiedy bitwa zamknęła się wokół niego, na początku miał wrażenie, jakby jego życie stało się pełniejsze, jakby zawęziło się do tej chwili, do tego miejsca, tego wysiłku i bólu, a wszystko, co było przedtem, stanowiło jedynie prolog. Ale kiedy rosło zmęczenie, ów stan przerodził się w uczucie jakieś nierzeczywistości, jakby miał za chwilę zemdleć. Przerabiał to podczas szkolenia, nazywali to „strefą szumu", stanem, w którym ciało nie reaguje na ból, staje się niewrażliwe na gorąco i zimno i włącza się nowy rodzaj świadomości, rodzaj upartego autopilota. Ale i wtedy wcale nie było łatwiej wytrzymać.

Podczas gdy inni zostali wycięci w pień, ta mała grupka trwała, jak wysepka oporu w rozciągającym się wokół morzu krwi. Sam Abdikadir przyjmował cios za ciosem, ale wiedział, że już długo nie przetrzyma. Przegrywali bitwę i nic nie mógł na to poradzić.

Nagle nad polem bitwy rozległ się dźwięk trąbki i nieregularny łoskot bębna. To na chwilę odwróciło jego uwagę.

Z góry spadła na niego maczuga, wytrącając mu buławę z dłoni. Przeszył go ostry ból; miał złamany palec. Bezbronny, władając tylko jedną ręką, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z mongolskim jeźdźcem, który zawisł nad nim, ponownie unosząc maczugę. Abdikadir rzucił się do przodu, prostując zdrową rękę, którą wbił w udo Mongoła, mierząc w splot nerwowy. Jeździec zesztywniał i osunął się na ziemię, a jego koń odskoczył do tyłu. Abdikadir ukląkł i znalazł swoją buławę na przesiąkniętej krwią ziemi, po czym wyprostował się i ciężko dysząc, rozglądał się za kolejnym napastnikiem.

Ale nie było żadnego.

Mongolscy jeźdźcy gwałtownie zawracali, kierując się w stronę swego dalekiego obozu. Kiedy oddalali się galopem, od czasu do czasu któryś z nich zatrzymywał się, aby podnieść zrzuconego z konia towarzysza. Abdikadir stał, ciężko dysząc, ściskając swoją buławę i nie wierząc własnym oczom. Było to tak zaskakujące, jak przypływ, który nagle zmienia kierunek.

Gdzieś niedaleko ucha usłyszał trzask. Wiedział, co to było, ale jego umysł zdawał się pracować powoli, starając się wydobyć to z pamięci. Jakby uderzenie dźwiękowe. Kula. Odwrócił się, żeby spojrzeć.

Około pięćdziesięciu Mongołów na koniach wciąż szturmowało Bramę Isztar. Strzelał do niego ktoś z tej grupy, ktoś znajdujący się w jej środku.

Upuścił buławę. Świat zawirował mu przed oczami i zobaczył, jak przesiąknięta krwią ziemia pędzi mu naprzeciw.

Bisesa usłyszała wrzaski i ryki tuż przed jej stanowiskiem medycznym. Wypadła na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ruddy Kipling, z koszulą lepką od krwi, pośpieszył za nią.

Grupa mongolskich wojowników przedarła się przez linie obrońców i wlewała się przez bramę do środka. Macedończycy otoczyli ich, jak przeciwciała otaczają ognisko zakażenia, oficerowie wykrzykiwali rozkazy. Chociaż Mongołowie cięli na prawo i na lewo, już ich ściągano z koni.

Ale z walczącej grupy wyskoczyła pojedyncza postać i pobiegła główną aleją miasta. Była to kobieta. Macedończycy w ogóle jej nie zauważyli, a jeśli nawet, to nie potraktowali jej na tyle poważnie, aby próbować ją zatrzymać. Bisesa zobaczyła, że ma na sobie skórzaną zbroję i włosy związane z tyłu paskiem jasnopomarańczowego materiału.

— Fluoryzująca tkanina — mruknęła Bisesa. Ruddy powiedział:

— Co takiego?

— To musi być Sabie. Cholera, kieruje się do świątyni…

— Oko Marduka…

— Cały czas o to tylko chodziło. Ruszajmy!

Pobiegli aleją za Sabie. Zaniepokojeni macedońscy żołnierze przemknęli obok, śpiesząc do zagrożonej bramy, a zdumieni i przerażeni mieszkańcy cofnęli się ze strachu. Nad ich głowami unosiły się obojętnie Oczy, jak kamery telewizji użytkowej. Bisesa była zaszokowana ich liczbą.

Ruddy jako pierwszy wpadł do komnaty Marduka. Wielkie Oko wciąż unosiło się nad kałużą zastygłego złota. Sabie stała naprzeciw ogromnej kuli, dysząc, z potarganymi włosami opadającymi na mongolską zbroję, wpatrując się w swoje zniekształcone odbicie. Uniosła dłoń, by dotknąć Oko.

Ruddy Kipling zrobił krok w przód.

— Proszę pani, proszę stąd wyjść albo…

Jednym płynnym ruchem obróciła się, uniosła pistolet i strzeliła. Trzask wystrzału w starożytnej komnacie odbił się głośnym echem. Ruddy potoczył się w tył, uderzył w ścianę i osunął na ziemię.

Bisesa krzyknęła:

Ruddy! Sabie uniosła broń, mierząc w Bisesę.

— Nawet tego nie próbuj.

Ruddy spojrzał bezradnie na Bisesę, czoło miał pokryte potem, a grube szkła okularów pochlapane krwią. Trzymał się za biodro. Spomiędzy palców tryskała krew. Uśmiechał się głupawo.

— Dostałem.

Bisesa bardzo chciała do niego podejść. Ale stała nieruchomo w uniesionymi rękami.

— Sabie Jones.

— Stałam się sławna. — Gdzie jest Kola?

— Nie żyje… Ach. — Uśmiechnęła się. — Właśnie coś mi przyszło do głowy. Mongołowie odtrąbili odwrót. Myślałam, że to zwykły zbieg

okoliczności. Ale wiesz, co musiało się stać? Czyngis-chan nie żyje, a jego synowie, bracia i dowódcy spieszą na *auriltai,* aby rozstrzygnąć, kto weźmie główną nagrodę. Mongołowie mają taką samą strukturę społeczną jak stado szympansów. I podobnie jak u szympansów, kiedy samiec alfa ginie, wszystkie chwyty są dozwolone. A Kola wykorzystał to przeciw nim samym. — Pokręciła głową. — Trzeba podziwiać tego małego sukinsyna. Zastanawiam się, jak to zrobił. — Broń ani na chwilę nie zadrżała w jej dłoni.

Ruddy jęknął.

Bisesa starała się nie stracić koncentracji.

— Czego ty chcesz, Sabie?

— A jak myślisz? — Sabie wskazała palcem przez ramię. — Słyszeliśmy sygnały tego czegoś na orbicie. Cokolwiek tu się dzieje, to jest klucz — do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości…

— Do nowego świata. — Tak.

— Myślę, że masz rację. Badałam to. Oczy Sabie się zwęziły.

— W takim razie możesz mi pomóc. Co ty na to? Albo jesteś ze mną, albo przeciwko mnie.

Bisesa spojrzała prosto w Oko. Oczy jej się rozszerzyły i zmusiła się do uśmiechu.

— Najwyraźniej ciebie oczekiwało.

Sabie odwróciła głowę. Była to prosta sztuczka, ale próżność Sabie ją zgubiła — i Bisesa zyskała pół sekundy. Jednym kopnięciem roztrzaskała nadgarstek Sabie, wytrącając jej broń, a drugim powaliła ją na ziemię.

Ciężko dysząc, stała nad leżącą kosmonautką. Wydawało się Bisesie, że czuje jej zapach, smród mleka i tłuszczu, jak u Mongołów, do których przystała.

— Sabie, naprawdę myślałaś, że Oko przejmuje się tobą i twoimi ambicyjkami? Niech cię piekło pochłonie. — Spojrzała gniewnie na Oko. — A ty, widziałeś już wystarczająco wiele? Czy tego właśnie chciałeś? Czy już ci wystarczy naszych cierpień?…

— Biseso. — To był jęk, ledwie przypominający słowo. Podbiegła do Ruddy’ego.

36. Pokłosie

Hefajstion nie żył.

Aleksander wygrał wielką bitwę w niemal nieprawdopodobnych okolicznościach, w nowym świecie, przeciwko wrogowi z czasów późniejszych o ponad tysiąc lat. Ale jednocześnie stracił swego towarzysza, swego kochanka i swego jedynego prawdziwego przyjaciela.

Wiedział, czego wszyscy się po nim spodziewają w takiej chwili. Że pójdzie do namiotu i upije się do nieprzytomności. Albo że będzie całymi dniami w ogóle odmawiał jedzenia i picia, aż jego rodzina i przyjaciele zaczną się lękać o jego zdrowie. Albo też że każe zbudować niezwykle okazały pomnik, może przedstawiający majestatycznego lwa, pomyślał leniwie.

Aleksander postanowił, że nie uczyni żadnej z tych rzeczy. Oczywiście będzie opłakiwał Hefajstiona w samotności. Może każe obciąć grzywy i ogony wszystkim koniom w obozie. Homer pisał, jak Achilles wystrzygł swe konie na cześć zmarłego, ukochanego Patroklesa. Tak, tak właśnie Aleksander mógłby opłakiwać Hefajstiona.

Ale na razie było zbyt wiele do roboty.

Przeszedł przez przesiąknięte krwią pole walki i między namiotami i domami, w których leżeli ranni. Zaniepokojeni doradcy i towarzysze deptali mu po piętach, ponieważ Aleksander także doznał licznych ran. Oczywiście wielu cieszyło się, że go widzi. Niektórzy chwalili się swymi wyczynami podczas bitwy, a Aleksander słuchał cierpliwie i z poważnym wyrazem twarzy chwalił ich męstwo. Ale pozostali byli pogrążeni w szoku. Widział to już przedtem. Siedzieli, patrząc tępo, albo powtarzali te same historyjki bez końca. Dojdą do siebie, jak zawsze, tak jak ta skrwawiona ziemia, kiedy nadejdzie wiosna i znów zazieleni się trawa. Ale nic nie zdoła wymazać gniewu i poczucia winy tych, którzy przeżyli, podczas gdy ich towarzysze zginęli, tak jak ich Król nigdy nie zapomni Hefajstiona.

Ruddy leżał oparty o ścianę z bezwładnie opuszczonymi ramionami i przykurczonymi palcami. Jego drobne dłonie pokryte krwią wyglądają jak dwa kraby, pomyślała Bisesa. Krew tryskała z otwartej rany, tuż pod lewym biodrem.

— Dzisiaj wszędzie jest dużo krwi, Biseso. — Wciąż się uśmiechał.

— Tak. — Wyciągnęła z kieszeni tampon, próbując zatamować krwawienie. Ale krew nie przestawała płynąć. Strzał Sabie musiał przebić arterię udową, jedną z głównych dróg, którą krew dopływa do dolnych części ciała. Nie można go było nigdzie przenieść, nie mogła mu przeprowadzić transfuzji, nie mogła wezwać karetki.

Nie było czasu na sentymenty, musiała traktować Ruddy'ego jak uszkodzoną maszynę jak ciężarówkę z podniesioną maską, którą musi naprawić. Myślała rozpaczliwie. Zaczęła mu rozcinać nogawkę spodni.

— Spróbuj nic nie mówić — powiedziała. Wszystko będzie dobrze.

— Casey by powiedział, że gówno prawda.

— Casey ma na ludzi zły wpływ.

— Powiedz mi — szepnął.

— Co?

— Kim się stanę… albo kim mógłbym się stać?

— Nie ma na to czasu, Ruddy. — Odsłonięta rana ziała jak krwawy krater, z którego wciąż płynęła szkarłatna ciecz. — No, pomóż mi. — Chwyciła jego dłonie i przycisnęła je mocno do rany, wciskając własne palce w głąb rany aż po knykcie.

Zwinął się, ale nie krzyknął. Wydawał się okropnie blady. Krew utworzyła na podłodze świątyni małą kałużę, w której odbijało się roztopione złoto babilońskiego boga.

— Nie ma już czasu na nic, Biseso. Proszę.

— Będą cię kochali — powiedziała, nie przestając gorączkowo pracować. — Będziesz głosem narodu, głosem swego czasu. Staniesz się sławny na cały świat. I będziesz bogaty. Odmówisz zaszczytów, którymi będą cię nieustannie obsypywać. Pomożesz kształtować los swego narodu. Zdobędziesz nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Będą o tobie mówić, że głos twój słychać na świecie, ilekroć…

— Ach. — Uśmiechnął się i zamknął oczy. — Przesunęła palce. Krew znowu trysnęła równie mocno jak poprzednio; chrząknął.

— Te wszystkie książki, których nigdy nie napiszę.

— Ale one istnieją, Ruddy. Są w moim telefonie. Co do słowa. — Załóżmy, że tak jest, nawet jeśli to jest zupełnie bez sensu, bo ich autor nie dożyje chwili, gdy zostaną napisane… A moja rodzina?

Próba zatamowania krwotoku w taki sposób przypominała próbę zatkania pękniętej rury poduszką. Jedyne, co mogła zrobić, to znaleźć arterię udową i spróbować ją podwiązać.

— Ruddy, to będzie bolało jak diabli. — Zatopiła palce w ranie i rozwarła ją szeroko.

Wygiął się w łuk i zamknął oczy.

— Moja rodzina. Proszę. — Jego głos przypominał szelest suchych, jesiennych liści.

Zagłębiła się w ranę, przeciskając się przez warstwy tkanki tłuszczowej, mięśni i naczyń krwionośnych, ale nie mogła znaleźć arterii. Kiedy została przecięta, mogła się cofnąć w głąb ciała.

— Mogłabym rozciąć nogę — powiedziała. — I poszukać tej cholernej arterii. Ale utrata krwi… — Nie mogła uwierzyć, jak wiele krwi już wypłynęło z tego młodego człowieka; pokrywała mu nogi,

ramiona, podłogę.

— Wiesz, to boli. I jest mi zimno. — Wypowiadał słowa z widocznym trudem. Był na skraju wstrząsu.

Przycisnęła ranę.

— Będziesz miał długie małżeństwo — powiedziała szybko.

— Chyba szczęśliwe. I dzieci. Syna.

— Tak?… A jego imię?

— John. John Kipling. Będzie wielka wojna, która zniszczy Europę.

— Niemcy, jak sądzę. Zawsze ci Niemcy.

— Tak. John zgłosi się na ochotnika i będzie walczył we Francji. I zginie.

— Ach. — Twarz Ruddy'ego była teraz prawie pozbawiona wyrazu, tylko zadrgały mu usta. — Przynajmniej ominie go taki ból jak… a może nie. Znów ta przeklęta logika! Chciałbym to zrozumieć. — Otworzył oczy, a Bisesa ujrzała w nich odbicie niewzruszonego Oka Marduka.

— Światło — powiedział. — Światło poranka… Przycisnęła zakrwawioną dłoń do jego piersi. Serce rannego zatrzepotało i zatrzymało się.

Odmawiając pomocy, Aleksander sztywno wspiął się na szczyt Bramy Isztar. Popatrzył ponad równiną na wschód, gdzie wciąż płonęły ogniska Mongołów. Unoszące się w powietrzu kule, zwane przez ludzi Oczami, których tyle było wszędzie podczas bitwy, teraz znikły co do jednego, z wyjątkiem owej ohydy w Świątyni Marduka. Może ci obojętni na wszystko bogowie zobaczyli wszystko, co chcieli zobaczyć.

Trzeba było zorganizować trybunały. Okazało się, że ten dziwny Anglik, Cecil de Morgan, przekazywał informacje mongolskim szpiegom, informacje, dzięki którym Sabie Jones tak szybko znalazła drogę do Oka Marduka. Angielski dowódca Grove oraz pozostali, Bisesa i Abdikadir, domagali się prawa do osądzenia dwojga zdrajców, de Morgana i Sabie, zgodnie z ich zwyczajem. Ale Aleksander był królem i wiedział, że jest tylko jeden rodzaj sprawiedliwości, który zaakceptują jego ludzie. De Morgan i Sabie zostaną osądzeni w obecności całej armii, która zebrała się na równinie za miastem; ich los był przesądzony.

Uważał, że to jeszcze nie koniec tej wojny, nawet jeśli ów potężny wódz, Czyngis-chan, był martwy. Był pewien, że ostatecznie zdoła zniszczyć Mongołów. Ale dlaczego Macedończycy i Mongołowie mieliby walczyć na życzenie Bogów Oka, jak psy wtrącone do jamy? Byli ludźmi, nie zwierzętami. Może był jakiś inny sposób.

Bawiło go, kiedy Bisesa i pozostali nazywali siebie *nowożytnymi,* jak gdyby Aleksander i jego epoka stanowili wyblakłe opowieści z

dawno minionej przeszłości, opowiadane przez zmęczonego życiem starego człowieka. Z jego punktu widzenia te dziwne, patykowate, jarmarczne istoty z odległej i mało interesującej przyszłości były niczym. Była ich tylko garstka w porównaniu z ogromnymi tłumami Macedończyków i Mongołów. Och, ich rozmaite gadżety przydały się na krótko w trakcie bitwy z Czyngis-chanem, ale oni sami szybko ulegli wyczerpaniu i wtedy powrócono do najstarszej ze wszystkich broni, żelaza i krwi, dyscypliny i zwykłej odwagi. Nowożytni się nie liczyli. Było dla niego jasne, że serce nowego świata jest tutaj, gdzie jest on sam i ci Mongołowie.

Zawsze wiedział, że ten moment wahania nad rzeką Beas był wynikiem zaćmienia umysłu. Teraz miał to za sobą. Postanowił, że zleci Eumenesowi jeszcze raz zwrócić się do Mongołów, aby znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia. Gdyby pokonał Mongołów, byłby silny, ale gdyby się z nimi połączył, byłby jeszcze silniejszy. Z pewnością na tym poobijanym świecie nie było potęgi, która mogłaby się wtedy z nimi równać. A dysponując wiedzą, którą dostarczyła Bisesa i pozostali, możliwości, jakie niosła przyszłość, nie miały granic.

Tak myśląc i układając plany, Aleksander wystawił twarz na wiatr, który wiał ze wschodu, serca tego świata, w którym czas też nie miał granic.

CZĘSC PIĄTA
MIR

37. Laboratorium

Trudno było to nazwać klatką.

Pięć lat po pojawieniu się Nieciągłości i ich uwięzieniu małpoludy wciąż były zamknięte pod siatką maskującą, zwisającą luźno z unoszącego się w powietrzu Oka i przyciśniętą głazami. Nikt nie pomyślał o tym, aby zbudować coś lepszego, choć jakiś dziwak kazał pomalować głazy na biało; zawsze znalazł się ktoś, kto musiał się zająć jakąś bezużyteczną pracą.

Pod tą siatką Poszukiwaczka spędzała dni w zupełnej samotności, nie licząc szybko rosnącej Chwytaczki. Ta ostatnia miała teraz prawie sześć lat. Jako że jej młody umysł wciąż się formował, przywykła do tego zamknięcia. Poszukiwaczka nie potrafiła. Ale musiała je zaakceptować.

Żołnierze przychodzili raz dziennie; przynosili jej pożywienie i wodę i usuwali odchody. Czasami przytrzymywali ją i wpychali swe grube penisy w jej ciało. Poszukiwaczka nie przejmowała się tym. Nie robiono jej krzywdy i nauczyła się, aby pozwolić swym ciemiężcom robić, co chcieli, podczas gdy ona nie spuszczała oka z Chwytaczki. Nie wiedziała, dlaczego żołnierze to robią. Ale to, czy wiedziała, czy nie, oczywiście nie miało żadnego znaczenia, bo nie była w stanie im przeszkodzić.

Mogła się stąd wydostać. Podświadomie wiedziała to. Była silniejsza od wszystkich żołnierzy. Mogła rozerwać siatkę zębami i dłońmi, a nawet stopami. Ale od dnia uwięzienia, jeśli nie liczyć Chwytaczki, nie widziała żadnego przedstawiciela swego gatunku. Przez otwory w siatce nie widziała żadnych drzew, żadnego przyciągającego wzrok zielonego cienia. Gdyby się wydostała na zewnątrz, nie miałaby gdzie pójść; nie czekało na nią nic, poza pałkami, pięściami i kolbami karabinów. Przyswoiła sobie tę brutalną lekcję.

Będąc istotą pół zwierzęcą, pół ludzką, miała jedynie mgliste pojęcie o przyszłości i przeszłości. Jej pamięć była jak galeria obwieszona barwnymi obrazami: twarz matki, ciepło rodzinnego gniazda, przemożny zapach samca, który pierwszy ją posiadł, słodka męczarnia macierzyństwa, straszny bezwład jej pierwszego dziecka. A jej poczucie przyszłości było zdominowane przez niejasną wizję własnej śmierci, lękiem przed czernią czającą się za żółtymi oczami kotów. Ale w jej wspomnieniach nie było logiki ani porządku, jak większość zwierząt żyła teraźniejszością, bo jeśli teraźniejszości nie dało się przeżyć, przeszłość i przyszłość i tak nie miały żadnego znaczenia. A jej teraźniejszość, ta pozbawiona nadziei niewola, wypełniała całą jej świadomość.

Była jeńcem. I niczym więcej. Ale przynajmniej miała Chwytaczkę.

I wtedy, pewnego ranka, coś się zmieniło.

Pierwsza zauważyła to właśnie Chwytaczka.

Poszukiwaczka budziła się powoli, jak zawsze czepiając się swych postrzępionych snów o drzewach. Ziewnęła potężnie i rozprostowała długie ramiona. Słońce stało już wysoko i widziała jasne błyski przenikające przez otwory siatki.

Chwytaczka wpatrywała się w wierzchołek namiotu. Miała oświetloną twarz. Poszukiwaczka spojrzała w górę.

Oko świeciło. Wyglądało, jak miniaturowe słońce schwytane w siatkę.

Poszukiwaczka podniosła się. Stojąc obok siebie, matka i dziecko z oczyma utkwionymi w Oku podeszli bliżej. Poszukiwaczka uniosła dłoń w stronę Oka. Było poza jej zasięgiem, ale rzucało cienie ich obojga na zdeptaną ziemię. Nie wydzielało ciepła, tylko świeciło.

Poszukiwaczka dopiero co obudziła się i bardzo potrzebowała się wysiusiać, wypróżnić i pozbyć się nocnych kleszczy, dostać jeść i pić. Ale nie mogła się poruszyć. Po prostu stała z szeroko otwartymi oczami i uniesionym ramieniem. Oczy zaczęły ją szczypać od kurzu i zimna, ale była w stanie tylko mrugać.

Usłyszała ciche kwilenie. Poszukiwaczka nawet nie mogła się obrócić, żeby spojrzeć na Chwytaczkę. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło w ten sposób.

Dłoń trzymała przed twarzą. Nie uniosła jej świadomie; miała wrażenie, jakby patrzyła na dłoń kogoś innego. Palce zaciskały się i otwierały, a kciuk poruszał się tam i z powrotem.

Coś kazało jej unosić ręce i zginać je w ramionach, łokciach i nadgarstkach, uginała i prostowała nogi. Chodziła tam i z powrotem na tyle, na ile pozwalała jej siatka, najpierw w pozycji wyprostowanej, a potem na czworakach. Wkładała palce we wszystkie otwory swego ciała, dotykała wydatnej klatki piersiowej, badała kształt czaszki, a nawet miednicy. Można było odnieść wrażenie, że robi to ktoś inny, obcesowo badając jej wygląd.

Małpoludy na chwilę zostały uwolnione z władzy Oka. Ciężko dysząc, głodne i spragnione, wyciągnęły do siebie ręce. Ale wtedy niewidzialny uścisk powrócił.

Tym razem, kiedy światło zaczęło pulsować nad ich głowami, Chwytaczka usiadła i zaczęła badać ziemię, kopiąc w pyle. Znalazła gałązki i kawałki trzciny. Pocierała o siebie gałązki, rozszczepiała i składała trzciny.

Tymczasem Poszukiwaczka podeszła do siatki i zaczęła się wspinać. Proporcje jej ciała były takie same jak jej człekokształtnych przodków i potrafiła się wspinać lepiej niż którykolwiek z ludzi. Ale

kiedy wdrapała się na siatkę, opanował ją lęk, bo wiedziała, że nie powinna tego robić.

I rzeczywiście, po chwili podbiegł jeden z żołnierzy.

— Ej, ty! Złaź stamtąd!

Kolba karabinu walnęła ją w twarz. Nawet nie zdołała krzyknąć. Mimo że wciąż znajdowała się we władzy Oka, spadła z siatki i z trzaskiem uderzyła w ziemię. Z ustami pełnymi krwi próbowała unieść głowę.

Zobaczyła Chwytaczkę, która siedziała na ziemi. Podniosła kawałek trzciny i zawiązała na niej węzeł. Nigdy dotąd Poszukiwaczka nie była świadkiem niczego podobnego.

Znów została zmuszona do powstania, pomimo kapiącej z ust krwi i znów utkwiła spojrzenie w Oku.

Niejasno zdała sobie sprawę, że znowu dzieje się coś nowego. Świecenie Oka nie było już jednorodne, jaśniejsze poziome pasy na tle szarego tła przypominały układ linii szerokości geograficznej na kuli ziemskiej. Linie te przecinały „równik" Oka i znikały w biegunie północnym. Po chwili pojawił się w taki sam sposób następny układ linii, tym razem pionowych, wybiegających z bieguna po jednej stronie równika i ginących po drugiej stronie. Teraz zabłysnął trzeci układ linii, biegnących pod kątem prostym do dwóch pierwszych. Zmieniająca się bezgłośna gra szarych prostokątów była piękna, urzekająca.

I wtedy pojawił się czwarty układ linii. Poszukiwaczka próbowała wyśledzić, dokąd biegną, ale nagle poczuła w głowie ostry ból. Krzyknęła.

I znów niewidzialne ręce ją uwolniły i opadła bezwładnie na ziemię. Nasadą dłoni potarła załzawione oczy. Dopiero teraz poczuła ciepło po wewnętrznej stronie ud. Oddała mocz tam, gdzie stała, i dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy.

Chwytaczka wciąż stała drżąca, ale wyprostowana, wpatrując się w falujące światła, które tworzyły skomplikowane układy cieni na jej twarzyczce. Piąty układ linii, a potem szósty, znikający gdzieś w nieokreślonym kierunku…

Chwytaczka zesztywniała z głową wygiętą do tyłu, chwytając palcami powietrze, po czym upadła jak kloc drewna. Poszukiwaczka złapała dziecko i położyła je na mokrych od moczu kolanach. Sztywność opuściła Chwytaczkę i teraz była tylko kupką bezwładnego futerka. Poszukiwaczka pogłaskała ją i pozwoliła się ssać, chociaż jej zwiotczałe piersi już od lat nie wytwarzały pokarmu.

A Oko cały czas je obserwowało, rejestrując więź między matką i dzieckiem, wysysając z małpoludów wszelkie uczucia. Wszystko to było częścią testu.

Chwila wytchnienia była krótka. Wkrótce Oko znów zabłysło

równym, perłowym blaskiem i znów jakby niewidzialne dłonie poruszały kończynami Poszukiwaczki. Odepchnęła dziecko i jeszcze raz wstała, unosząc twarz w stronę niesamowitego światła.

38. Oko Marduka

Bisesa przeniosła się do Świątyni Marduka. Zabrała ze sobą siennik i koce i kazała sobie dostarczać jedzenie; zainstalowała nawet pochodzącą z Ptaka chemiczną toaletę. Teraz w tym miejscu spędzała większość czasu sama, jeśli nie liczyć towarzystwa telefonu oraz złowieszczej bryły Oka.

Czuła, że coś tam jest; czuła jakąś obecność w tej nieprzenikalnej kryjówce. Było to wrażenie wykraczające poza bezpośrednie doznania zmysłowe, uczucie, jak gdyby ją wepchnięto do pokoju z zawiązanymi oczami, a mimo to była w stanie określić, czy miejsce, w którym się znalazła, jest otwarte, czy zamknięte.

Ale to nie było wrażenie obecności innej osoby. Czasami czuła jedynie jakby czujność, jak gdyby Oko nie było niczym więcej niż wielką kamerą. Ale czasami wydawało jej się, jakby coś mignęło wewnątrz Oka. Czy istniał Obserwator, który, mówiąc w przenośni, stał za wszystkimi Oczami na całym świecie?

Czasami miała wrażenie, że kryje się za tym cała hierarchia inteligentnych istot, konstruktorów Oka, gdzieś w niemożliwym do wyobrażenia kierunku, które filtrują i klasyfikują jej działania, jej reakcje, jej własne ja.

Spędzała coraz więcej czasu, badając te wrażenia. Unikała wszystkich, swych towarzyszy z dwudziestego pierwszego wieku, a nawet biednego Josha. Jednak szukała u niego pocieszenia, kiedy było jej zimno albo kiedy czuła się wyjątkowo samotna. Ale potem, choć żywiła do niego prawdziwą sympatię, czuła się winna, jak gdyby go wykorzystywała.

Starała się nie zastanawiać nad tymi uczuciami, starała się nawet nie rozstrzygać, czy kocha Josha, czy nie. Miała Oko i to był środek jej świata. Musiał być. I nie chciała dzielić się z nikim ani z niczym, nawet z Joshem.

Próbowała do badania Oka wykorzystać fizykę.

Zaczęła od prostych pomiarów geometrycznych, takich jak te, które wykonał Abdikadir na mniejszym Oku, na Granicy Północno-Zachodniej. Zastosowała instrumenty laserowe, aby się przekonać, że i dla tego obiektu słynne *pi* nie równa się około trzech i jednej siódmej, jak nauczał Euklides oraz szkolne podręczniki geometrii i jak utrzymywała reszta świata, tylko po prostu trzy. Podobnie jak pozostałe Oczy i to było intruzem gdzieś z zewnątrz.

Poszła dalej. Wraz z grupą Macedończyków i Brytyjczyków wróciła na Granicę Północno-Zachodnią i do miejsca katastrofy Małego Ptaka. Miesiące kwaśnych deszczów zniszczyły niemal wszystko. Mimo to znalazła nadające się do użytku czujniki

elektromagnetyczne, pracujące w świetle widzialnym, podczerwonym i ultrafioletowym — elektroniczne oczy satelitów szpiegowskich z dwudziestego pierwszego wieku — i rozmaite czujniki chemiczne przeznaczone do wykrywania materiałów wybuchowych i tym podobnych. Wygrzebała przyrządy, części składowe, okablowanie, wszelki nadający się do użytku sprzęt, w tym ową małą chemiczną toaletę.

Po czym rozstawiła swój sprzęt w świątynnej komnacie. Zbudowała prowizoryczne rusztowanie wokół Oka i zainstalowała czujniki wydobyte z Ptaka, które miały obserwować nieznany obiekt pod wszystkimi możliwymi kątami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na koniec wypełniła komnatę tej starożytnej babilońskiej świątyni plątaniną kabli i przecinającymi się wiązkami promieni podczerwonych; wszystkie dane były wysyłane do interfejsu, na którym spoczywał jej telefon. Jednak dysponowała niewielką ilością energii elektrycznej, miała tylko baterie z Ptaka i małe ogniwa zasilające same przyrządy. I odtąd czujniki z dwudziestego pierwszego wieku wpatrywały się w ten nieprawdopodobnie zaawansowany obiekt w świetle kopcących lamp, w których płonął tłuszcz zwierzęcy.

Udało jej się uzyskać nieco informacji.

Czujniki promieniowania, podrasowane liczniki Geigera, przeznaczone do wykrywania zakazanej broni jądrowej, wykryły ślady wysokoenergetycznych promieni X i cząstek o bardzo wysokiej energii, które emitowało Oko. Wyniki te były zachęcające i jednocześnie trudne do zinterpretowania, Bisesa podejrzewała bowiem, że jest to jedynie drobny ułamek całego widma egzotycznego promieniowania o wysokiej energii wysyłanego przez Oko, przekraczającego zdolności detekcyjne prymitywnych liczników Geigera, pochodzących z Ptaka. Promieniowanie to musiało być związane z ogromnym wydatkiem energii, być może potrzebnej do odkształcenia przestrzeni, umożliwiającego utrzymanie Oka w nieprzyjaznym środowisku.

Poza tym był problem czasu.

Wysokościomierz wydobyty z Ptaka wykorzystała do pomiaru Oka. Promienie lasera ulegały odbiciu w stu procentach; powierzchnia Oka działała jak doskonałe zwierciadło. Ale wiązki promieniowania odbitego charakteryzowały się mierzalnym przesunięciem dopplerowskim. Jego wielkość zdawała się wskazywać na oddalanie się powierzchni Oka z prędkością przekraczającą sto kilometrów na godzinę. Każdy punkt powierzchni, jaki poddawała próbie, dawał taki sam rezultat. Zgodnie z tymi wynikami Oko ulegało implozji.

Oczywiście widziane gołym okiem Oko spoczywało nieruchomo, unosząc się w powietrzu, tak jak zawsze. Niemniej jednak w pewnym kierunku, którego nie była w stanie zdefiniować, jego gładka

powierzchnia poruszała się. Podejrzewała, że w jakimś sensie istnienie Oka rozciągało się w kierunkach, których sama nie potrafiła dostrzec, a jej przyrządy zmierzyć.

A jeżeli tak jest, pomyślała, może jest tylko jedno Oko, a pozostałe to jedynie projekcje, jak palce wystające ponad powierzchnię stawu.

Ale czasami myślała, że wszystkie te eksperymenty przeprowadza tylko po to, aby oderwać się od głównego problemu, czyli swego intuicyjnego poglądu co do natury Oka.

— Może po prostu jestem antropomorficzna — powiedziała do telefonu. — Dlaczego w ogóle miałby w tym uczestniczyć umysł taki jak mój?

— David Hume rozważał ten problem — mruknął telefon. — *Dialogi o religii naturalnej*… Hume pytał, dlaczego mielibyśmy poszukiwać „umysłu", jako siły sprawczej wszechświata. Oczywiście miał na myśli tradycyjne pojęcia Boga. Może porządek, jaki postrzegamy, po prostu pojawia się. „Z tego co wiemy *a priori,* materia może zawierać źródło porządku, który rodzi się sam z siebie, tak jak umysł". Napisał to dobre sto lat wcześniej, niż Darwin dowiódł, że organizacja wyłania się z pozbawionej umysłu materii.

— Więc naprawdę myślisz, że antropomorfizuję?

— Nie — odparł telefon. — Nie znamy żadnego sposobu, w jaki mógłby powstać taki obiekt, poza inteligentnym działaniem. Założenie, że jest za to odpowiedzialny umysł, to prawdopodobnie najprostsza hipoteza. Zresztą może twoje doznania są odbiciem jakiejś fizycznej rzeczywistości, nawet jeżeli nie pochodzą od twoich zmysłów. Twoje ciało, twój mózg to wielce skomplikowane struktury. Może subtelna elektrochemia, która stanowi podstawę funkcjonowania twojego mózgu, jakoś ulega wpływom tego czegoś. To nie telepatia — to może być rzeczywiste.

— A ty wyczuwasz, że coś tutaj jest?

— Nie. Ale przecież nie jestem istotą ludzką — westchnął telefon.

Czasami podejrzewała, że Oko celowo dostarcza jej te wrażenia.

— To tak, jak gdyby przesyłało do mnie informacje, bit po bicie. Ale mój umysł, mój mózg po prostu nie jest w stanie tego wszystkiego przyjąć. Jak gdybym próbowała przesłać nowoczesne oprogramowanie wirtualnej rzeczywistości do maszyny różnicowej Babbage'a…

— Rozumiem to porównanie — sucho powiedział telefon.

— Bez obrazy.

Czasami po prostu siedziała w towarzystwie Oka i pozwalała błądzić myślom.

Nie przestawała myśleć o Myrze. W miarę upływu czasu, kiedy miesiące zamieniały się w lata, a Nieciągłość, to pojedyncze, wyjątkowe zdarzenie, oddalało się w przeszłość, czuła, że pogrąża się

coraz głębiej w tym nowym świecie. Niekiedy w tym ponurym, starożytnym miejscu jej wspomnienia dotyczące Ziemi z dwudziestego pierwszego wieku wydawały się absurdalne, prawie jarmarczne, jak jakiś fałszywy sen. Ale uczucie utraty Myry nie zbladło.

Nawet nie mała wrażenia, że Myrę jej odebrano, że nadal żyła w jakiejś innej części świata. Nie przynosiło jej pocieszenia, kiedy wyobrażała sobie, ile lat miałaby teraz Myra, jak musiałaby wyglądać, jak postępowałaby jej edukacja, co mogłyby robić razem, gdyby ponownie się połączyły. Żadna z tych zwykłych sytuacji nie miała tutaj zastosowania, ponieważ nie mogła wiedzieć, czy ona i Myra znajdują się w tym samym czasie. Było nawet możliwe, że istniało wiele kopii Myry w licznych podzielonych światach, a w niektórych spośród nich mogły przecież istnieć kopie jej samej, więc jak miała się z tym czuć? Nieciągłość była zdarzeniem nadludzkim, ale utrata, z powodu której cierpiała, także była nadludzka, a ona nie znała sposobu, jak się z tym uporać.

Kiedy tak leżała w nocy na swoim posłaniu, rozmyślając, czuła, że Oko ją obserwuje, że wysysa jej żal. Wyczuwała ten umysł, ale nie było w nim żadnego współczucia, żadnej litości, tylko iście olimpijski spokój.

Zrywała się na nogi i waliła obojętne Oko pięścią albo ciskała w nie kawałkami babilońskiego gruzu.

— Czy tego właśnie chciałeś? Czy dlatego tu się zjawiłeś i zrujnowałeś nasz świat i nasze życie? Czy przybyłeś tutaj, żeby złamać mi serce? Dlaczego po prostu nie odeślesz mnie do domu?…

Czuła, że Oko jakoś chłonie jej słowa. Miała wrażenie, jakby znajdowała się w wielkiej katedrze, a jej cichutkie krzyki były zupełnie daremne.

Ale czasami myślała, że ktoś jej słucha.

A bardzo rzadko miała wrażenie, że z litości czy też z jakiegoś innego powodu jej błagania mogą zostać wysłuchane.

Pewnego dnia telefon szepnął:

— Już czas.

— Czas na co?

— Muszę przejść w tryb bezpieczny.

Spodziewała się tego. Telefon posiadał pamięć podręczną, zawierającą bezcenne i niezastąpione dane, nie tylko jej obserwacje dotyczące Oka i zapis wydarzeń związanych z Nieciągłością, lecz także ostatnie skarby starego, już nieistniejącego świata, w tym dzieła biednego Ruddy'ego Kiplinga. Ale danych tych nigdzie nie można było przesłać ani wydrukować. Kiedy spała, zostawiała telefon grupie Brytyjczyków, którzy pod nadzorem Abdikadira ręcznie kopiowali rozmaite dokumenty, wykresy i mapy. Było to lepsze niż nic, ale obszerna pamięć telefonu była już i tak prawie całkowicie zapełniona.

Tak czy owak Bisesa i telefon uzgodnili, że kiedy poziom naładowania baterii spadnie do pewnej krytycznej wartości, telefon powinien się wyłączyć. Będzie zużywał jedynie niewiele energii do ochrony danych przez czas prawie nieograniczony, dopóki nowa cywilizacja Mira nie będzie na tyle zaawansowana, aby uzyskać dostęp do jego bezcennych zasobów. — Wtedy przywrócę ci życie — obiecała.

Było to zupełnie logiczne. A teraz właśnie nadeszła ta chwila i Bisesa miała zostać sama. W końcu telefon był jej towarzyszem od dwunastego roku życia.

— Musisz wcisnąć odpowiednie klawisze, żeby mnie wyłączyć — powiedział telefon.

— Wiem. — Trzymała to małe urządzenie przed sobą i oczyma zamglonymi przez napływające łzy znalazła właściwą kombinację klawiszy. Zatrzymała się przed wciśnięciem ostatniego z nich.

— Przykro mi — powiedział telefon.

— To nie twoja wina.

— Biseso, boję się.

— Nie powinieneś. Jeżeli będzie trzeba, to cię zamuruję i pozostawię archeologom.

— Nie o to mi chodzi. Nigdy mnie dotąd nie wyłączano. Myślisz, że będę śnił?

— Nie wiem — szepnęła. Wcisnęła klawisz i świecąca zielono w mroku komnaty powierzchnia telefonu pociemniała.

39. Poszukiwania

Po sześciu miesiącach wyprawy badawczej w południowych Indiach Abdikadir powrócił do Babilonu.

Eumenes zabrał go na wycieczkę po odradzającym się mieście. Było zimno. Choć właśnie był środek lata — według babilońskich astronomów, którzy cierpliwie śledzili ruch gwiazd i słońca na nowym niebie — wiał zimny wiatr i Abdikadir zadygotał.

Po wielu miesiącach spędzonych z dala od swoich Abdikadir był pod wrażeniem ostatnich osiągnięć: mieszkańcy miasta musieli pracować ciężko. Aleksander zaludnił opustoszałe miasto swymi oficerami i weteranami i uczynił jednego ze swych generałów współgubernatorem miasta, razem z jednym z babilońskich wysokich urzędników z czasów przed pojawieniem się Nieciągłości. Eksperyment wydawał się funkcjonować, a nowi mieszkańcy, mieszanina macedońskich wojowników i babilońskich ważnych osobistości, dawali sobie radę zupełnie nieźle.

Wiele dyskutowano o tym, co zrobić z terenem na zachodnim brzegu rzeki, który obrócił się w gruzy. Dla Macedończyków był to nieużytek, dla nowożytnych miejsce poszukiwań archeologicznych, które pewnego dnia być może dostarczą jakichś wskazówek co do wielkiego przemieszczenia w czasie, które podzieliło to miasto na dwie części. Oczywistym kompromisem było pozostawienie tego na razie tak jak jest.

Ale pod murami miasta armia Aleksandra zbudowała wielką naturalną przystań na tyle głęboką, aby mogła przyjmować statki oceaniczne, które budowano z miejscowego drewna w pośpiesznie utworzonych suchych dokach. Wzniesiono nawet małą latarnię morską, oświetlaną lampami oliwnymi, z wypolerowanymi tarczami, które służyły za lustra.

— To fantastyczne — powiedział Abdikadir. Stali na murze nowo wybudowanej przystani, wysoko nad małymi statkami, które kołysały się na wodzie.

Eumenes powiedział, że Aleksander zdaje sobie sprawę, iż szybki transport i efektywna łączność są kluczem do zjednoczenia imperium.

— Król przekonał się o tym na własnej skórze — powiedział Eumenes sucho. W ciągu pięciu lat nauczył się mówić łamaną angielszczyzną, a Abdikadir trochę się oswoił z greką; przy odrobinie dobrej woli mogli się teraz porozumiewać bez pośrednictwa tłumacza. Eumenes ciągnął: — Szybkość poruszania się Aleksandra przez Persję zależała w znacznej mierze od jakości tamtejszych dróg. Kiedy dotarliśmy do końca tych dróg, daleko na wschodzie, żołnierze piechoty wiedzieli, że nie posuną się dalej, niezależnie od jego

niepohamowanych ambicji. I musieliśmy się zatrzymać. Ale ocean to droga bogów i nie wymaga budowy.

— Mimo wszystko nie mogę uwierzyć, że dokonaliście tak wiele i to tak szybko… — Abdikadir, widząc przejawy tej pracowitości, poczuł się trochę winny. Może nie było go zbyt długo.

Był bardzo zadowolony ze swojej wyprawy. W Indiach on i jego grupa wyrąbali ścieżkę przez gęstą dżunglę, napotykając po drodze wszelkiego rodzaju egzotyczne rośliny i zwierzęta, ale tylko niewielu ludzi. Podobne ekspedycje wysłano na wschód, zachód, północ i południe Europy, Azji i Afryki. Praca nad przygotowaniem mapy tego nowego i bogatego świata wydawała się wypełniać pustkę w sercu Abdikadira po utracie własnego świata, oraz przezwyciężyć uraz po masakrze podczas ataku Mongołów. Może badał świat zewnętrzny, żeby się uwolnić od burzy w świecie wewnętrznym i może zbyt długo uchylał się od swych prawdziwych obowiązków.

Odwrócił się i spojrzał na południe, gdzie lśniące kanały nawadniające przecinały pola zieleni. To było prawdziwe zadanie tego świata: produkcja pożywienia. W końcu była to kolebka rolnictwa i kiedyś te sztucznie nawadniane pola dostarczały jedną trzecią żywności perskiego imperium. Z pewnością nie było lepszego miejsca, aby znów zacząć uprawiać ziemię. Ale Abdikadir już obejrzał pola i wiedział, że sprawy nie idą dobrze.

— To skutek tego paskudnego zimna — wyjaśnił Eumenes. — Astronomowie mogą sobie to nazywać środkiem lata, ale ja jeszcze nie widziałem takiego lata… A poza tym ta plaga szarańczy i innych owadów.

Program naprawczy przedstawiał się rzeczywiście imponująco, chociaż rozwijał się powoli. Dążenie do uratowania Babilonu przed Mongołami należało do dawno minionej przeszłości i wydawało się, że w najbliższej przyszłości nie istnieje realna perspektywa ponownego zagrożenia z ich strony. Ambasadorowie Aleksandra donosili, że Mongołowie byli zaszokowani nagłym wyludnieniem południowych Chin — pięćdziesiąt milionów ludzi jakby rozpłynęło się w powietrzu. Wojna z Mongołami była wielką przygodą, ale także wydarzeniem odwracającym uwagę od codzienności. Kiedy bitwa została wygrana, wśród Brytyjczyków, Macedończyków i załogi Małego Ptaka pojawiło się uczucie głębokiego zawodu i wszyscy w Babilonie nagle stanęli w obliczu niemiłej prawdy, że była to kampania, z której nikt nigdy nie powróci do domu.

Minęło trochę czasu, zanim znaleźli nowy cel: budowa nowego świata. A Aleksander, pełen energii i niezłomnej woli, odgrywał kluczową rolę w realizacji tego celu.

— Nad czym pracuje sam Król?

— Nad tym. — Eumenes uroczystym gestem wskazał oficjalną

część miasta.

Abdikadir zobaczył, że oczyszczono tam spory teren i położono fundamenty pod budowę czegoś, co wyglądało jak nowy ziggurat. Gwizdnął.

— To wygląda jak przyszły konkurent wieży Babel.

— Może tak będzie. Teoretycznie ma to być pomnik Hefajstiona, ale jego ważniejszym przeznaczeniem ma być upamiętnienie utraconego świata. Macedończycy zawsze pielęgnowali sztukę grzebania zmarłych! Myślę, że ambicją Aleksandra jest zbudowanie czegoś, co mogłoby konkurować z potężnymi grobowcami, które kiedyś widział w Egipcie. Ale biorąc pod uwagę to, co się dzieje na polach, trudno zapewnić siłę roboczą potrzebną do realizacji takiego przedsięwzięcia.

Abdikadir przyglądał się pięknie rzeźbionej twarzy Greka.

— Mam wrażenie, że chcesz mnie o coś prosić. Eumenes uśmiechnął się.

— A ja mam wrażenie, że masz w sobie coś z Greka. Chociaż królewska żona, Roksana, powiła syna — chłopiec ma teraz cztery lata — mamy więc zapewnionego dziedzica, dobro Aleksandra w ciągu najbliższych lat ma dla nas wszystkich zasadnicze znaczenie.

— Oczywiście.

— Ale to — powiedział Eumenes, mając na myśli stocznie i pola — mu nie wystarcza. Król to skomplikowany człowiek. Ja to wiem. Oczywiście jest Macedończykiem i pije jak prawdziwy Macedończyk. Ale potrafi też chłodno kalkulować, jak Persowie i jest mężem stanu o zdumiewającej przenikliwości.

— Ale mimo całej swej mądrości Aleksander ma serce wojownika i istnieje rozziew między jego instynktami wojennymi a zamiarem zbudowania imperium. Myślę, że on sam nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę. Urodził się, by walczyć z ludźmi, a nie z szarańczą pustoszącą pola czy mułem zapychającym kanał. Spójrzmy prawdzie w oczy: niewielu jest tutaj ludzi, którzy chcieliby walczyć! — Grek pochylił się w stronę Abdikadira. — Prawda jest taka, że kierowanie Babilonią przekazał kilku bliskim sobie ludziom. To znaczy mnie, Perdiccasowi i kapitanowi Grove. — Perdiccas był jednym z oficerów Aleksandra z długim stażem i jego bliskim współpracownikiem; po śmierci Hefajstiona został dowódcą piechoty i otrzymał tytuł, który Hefajstion piastował do chwili śmierci, a który znaczył mniej więcej tyle co „wezyr”. Eumenes mrugnął. — Widzisz, oni potrzebują mojej greckiej pomysłowości, a ja potrzebuję Macedończyków do pracy. Oczywiście każdy z nas ma swoich zwolenników, zwłaszcza Perdiccas! Istnieją kliki i spiski, jak zawsze. Ale dopóki Aleksander nad nami dominuje, współdziałamy całkiem nieźle. Wszyscy potrzebujemy Aleksandra, a Nowy Babilon potrzebuje Króla. Ale…

— Nie po to, aby się tutaj kręcił, nie mając nic do roboty i wykorzystując siłę roboczą do budowy pomnika, podczas gdy trzeba uprawiać ziemię. — Abdikadir się uśmiechnął. — Chcesz, żebym go zabawiał?

Eumenes powiedział bez zająknienia:

— Tak bym tego nie określił. Ale Aleksander chciałby wiedzieć, czy ten większy świat, który nam opisywałeś, nadal istnieje. Myślę też, że pragnie odwiedzić swego ojca.

— Ojca?

— Swego boskiego ojca, Ammona, który jest zarazem Zeusem, w jego sanktuarium na pustyni.

Abdikadir gwizdnął.

— To będzie długa podróż. Eumenes uśmiechnął się.

— Tym lepiej. No i jest jeszcze Bisesa.

— Wiem. Wciąż zamknięta z tym przeklętym Okiem.

— Jestem pewien, że to, co robi, jest nieocenione. Ale nie chcemy jej utracić: was, nowożytnych, jest zbyt niewielu. Zabierz ją ze sobą. — Eumenes znowu uśmiechnął się. — Dowiedziałem się, że Josh powrócił z Judei. Może on zdoła ją jakoś rozerwać…

— Szczwany lis z ciebie, Sekretarzu.

— Każdy robi to, co musi — powiedział Eumenes. — Chodź. Pokażę ci stocznie.

Komnata świątynna stanowiła królestwo kabli, przewodów i części z rozbitego helikoptera; niektóre z nich były poszarpane, bo wycięto je pośpiesznie z wraku, czy nawet osmalone ogniem, który wybuchł po katastrofie. Oko znajdowało się w sercu tej plątaniny, jak gdyby Bisesa starała się je uwięzić, a nie zbadać. Ale wiedziała, że Abdikadir uważa, iż to ona została uwięziona.

— Nieciągłość była zdarzeniem fizycznym — stanowczo oświadczyła Bisesa. — Nieważne, jak potężna energia się za tym kryje. Jest fizyczna, a nie magiczna czy nadprzyrodzona. Więc można to wyjaśnić na gruncie fizyki.

— Ale — powiedział Abdikadir — niekoniecznie *naszej* fizyki.

Rozejrzała się z roztargnieniem po komnacie, żałując, że nie ma telefonu, który pomógłby jej to wyjaśnić.

Abdikadir i Josh, który wybałuszywszy oczy wyglądał na wystraszonego, usadowili się w kącie komnaty. Bisesa wiedziała, że Josh nie znosił tego miejsca, nie tylko z powodu budzącego grozę Oka, ale dlatego, że to Oko mu ją odebrało. Josh popijał gorącą herbatę z mlekiem, podczas gdy Bisesa próbowała przedstawić swoje teorie na temat Oka i Nieciągłości.

Powiedziała:

— Przestrzeń i czas zostały rozerwane podczas pojawienia się Nieciągłości, rozerwane i ponownie połączone. Tyle wiemy i w

pewnym sensie jesteśmy w stanie zrozumieć. Przestrzeń i czas są realne. Na przykład czasoprzestrzeń można zagiąć za pomocą dostatecznie silnego pola grawitacyjnego. Jest sztywne jak stal, ale jeśli można to zrobić…

— Ale jeśli czasoprzestrzeń jest rzeczywista, z czego się składa? Jeżeli przyjrzeć się jej naprawdę dokładnie — albo jeżeli wystarczająco ją zagniemy — można zobaczyć jej ziarnistą strukturę. Naszym zdaniem przestrzeń i czas przypominają gobelin. Podstawowymi elementami tego gobelinu są maleńkie struny. Struny te drgają, a mody owych drgań to cząstki i pola energii, które obserwujemy, oraz ich właściwości takie jak masa. Struny mogą drgać na wiele sposobów — jak gdyby wygrywają rozmaite melodie — ale niektórych z nich, tych odpowiadających najwyższej energii, nie widziano od chwili narodzin wszechświata.

— No dobrze. Struny wymagają przestrzeni, w której drgają, nie naszej własnej czasoprzestrzeni, która stanowi muzykę tych strun, lecz pewnego elementu abstrakcyjnego, *stratum.* W wielu wymiarach.

Josh zmarszczył brwi, wyraźnie starając się nadążyć.

— Mów dalej.

— Budowa stratum, jego topologia, określa sposób zachowania strun. Tak jak płyta rezonansowa skrzypiec. Jeśli się nad tym zastanowić, to piękny obraz. Topologia jest właściwością wszechświata w wielkiej skali, ale decyduje o zachowaniu materii w skali najmniejszej z możliwych.

— Teraz wyobraźmy sobie, że w płycie rezonansowej wycinamy otwór — zmieniamy strukturę stratum. Wtedy następuje przejście, zmiana sposobu, w jaki drgają struny.

Abdikadir powiedział:

— A konsekwencje takiego przejścia w obserwowanym przez nas świecie…

— Drgania strun rządzą istnieniem cząstek i pól, które składają się na nasz świat i określają jego własności. Jeśli więc nastąpi takie przejście, własności te ulegają zmianie. — Wzruszyła ramionami. — Na przykład może się zmienić prędkość światła. — Opisała swoje pomiary przesunięcia dopplerowskiego światła odbitego od Oka Marduka; może miało to coś wspólnego z przejściami w stratum.

Josh pochylił się do przodu z poważną miną.

— Ale Biseso, co z przyczynowością? Mamy tego buddyjskiego mnicha, którego opisywał Kola, żyjącego z własnym, młodszym ja! A jeśli ten starzec udusiłby chłopca, czy ów lama przestałby istnieć? No i jest też biedny Ruddy — martwy, więc na zawsze pozbawiony możliwości napisania powieści i wierszy, które jak twierdziłaś, są zapisane w twoim telefonie! Co mówi na ten temat twoja fizyka strun i płyt rezonansowych?

Westchnęła i potarła twarz.

— Mówimy o rozerwanej czasoprzestrzeni. Reguły są inne. Josh, czy wiesz, co to jest czarna dziura?… Wyobraź sobie, że jakaś gwiazda zapada się i staje się tak gęsta, że jej pole grawitacyjne ogromnie rośnie, nawet najpotężniejsza rakieta nie może go pokonać, w końcu nawet samo światło nie jest w stanie tego dokonać. Josh, czarna dziura to rozdarcie w gobelinie czasoprzestrzeni. I w dodatku takie rozdarcie pochłania informacje. Jeśli do czarnej dziury wrzucę jakiś przedmiot — kamień albo ostatni egzemplarz dzieł zebranych Szekspira, to bez znaczenia — niemal wszystkie informacje z nim związane zostają bezpowrotnie utracone, poza masą, ładunkiem i spinem.

— Powierzchnie graniczne między fragmentami Mira pochodzącymi z różnych epok z pewnością nie przypominają horyzontu zdarzeń czarnej dziury. Ale stanowią rozdarcia czasoprzestrzeni. I może informacje zostają utracone w taki sam sposób. Właśnie dlatego zasada przyczynowości zostaje złamana. Myślę, że nasza nowa rzeczywistość tu, na Mirze, zaczyna się zrastać. Tworzą się nowe związki przyczynowe. Ale te nowe związki są częścią tego świata, tej rzeczywistości i nie mają nic wspólnego ze starym… — Potarła zmęczone oczy. — Tyle byłam w stanie wymyślić. To przygnębiające, prawda? Nasza najnowocześniejsza fizyka dostarcza nam jedynie metafor.

Abdikadir powiedział łagodnie:

— Musisz to zapisać. Niech Eumenes przydzieli ci sekretarza, żeby to wszystko spisał.

— Po grecku? — głucho roześmiała się Bisesa.

Josh rzekł:

— Rozmawiamy o tym, *jak*. Ale wcale nie jestem bliższy zrozumienia, *dlaczego*.

— Och, był w tym jakiś cel — powiedziała Bisesa. Spojrzała na Oko z urazą. — Tylko jeszcze tego nie rozgryźliśmy. Ale oni tam są, gdzieś tam — za Okiem, za wszystkimi Oczami — i obserwują nas. Może się nami bawią.

— Bawią? Powiedziała:

— Widzieliście, jak Oko w klatce przeprowadzało doświadczenia na tych małpoludach? Biegały wokół tej cholernej siatki, jak szczury z wszczepionymi do głów drutami.

Josh powiedział:

— Może Oko próbuje… — rozłożył ręce — pobudzić małpoludy. Podnieść poziom ich inteligencji.

— Spójrz im w oczy — chłodno powiedziała Bisesa. — To nie ma nic wspólnego z podnoszeniem czegokolwiek. Oni wysysają te nieszczęsne stworzenia. Oczy nie są tutaj, by coś dawać, Są tu po to,

by brać.

— Nie jesteśmy małpoludami — powiedział Abdikadir.

— Nie. Ale może testy, jakie na nas przeprowadzają, są po prostu bardziej subtelne. Może szczególne właściwości Oka, takie jak jego nieeuklidesowa geometria, stanowią jedynie przeznaczoną dla nas zagadkę. Myślicie, że fakt, iż znaleźli się tutaj jednocześnie Aleksander i Czyngis-chan, to zwykły zbieg okoliczności? Dwaj najwięksi wodzowie w historii Eurazji wpadli na siebie przypadkiem? Oni śmieją się z nas. Może w tej całej cholernej historii tylko o to chodzi.

— Biseso. — Josh wziął ją za ręce. — Wierzysz, że Oko to klucz do wszystkiego, co się tu dzieje. Ja także. Ale pozwalasz, aby ta praca cię niszczyła. I co to da?

Zaniepokojona spojrzała na niego i na Abdikadira.

— Co wy dwaj knujecie?

Abdikadir powiedział jej o planowanej przez Aleksandra wyprawie do Europy.

— Zabierz się z nami, Biseso. To dopiero będzie przygoda!

— Ale Oko…

— Wciąż tu będzie, kiedy wrócisz — powiedział Josh. — Możemy kogoś wyznaczyć do prowadzenia dalszych obserwacji.

Abdikadir powiedział: Małpoludy nie mogą opuścić swojej klatki. Jesteś istotą ludzką. Pokaż im, że nie są w stanie nad tobą panować. Chodź.

— Co za bzdura — powiedziała zmęczonym głosem. A po chwili dodała: — Casey.

— Co?

— Casey powinien się tym zająć. Nie jakiś Macedończyk. I nie jakiś Brytyjczyk, który byłby jeszcze gorszy, bo myślałby, że coś z tego rozumie.

Abdikadir i Josh wymienili szybkie spojrzenia.

— Musi się zgodzić, jeśli tylko nie ja mu to przekażę — szybko powiedział Josh.

Bisesa popatrzyła na Oko.

— Ja tu wrócę, sukinsyny. I dobrze traktujcie Caseya. Pamiętajcie, że wiem o was więcej, niż im dotąd powiedziałam…

Abdikadir zmarszczył brwi.

— Biseso? Co masz na myśli?

To, że może znam drogę do domu. Ale nie mogła im tego powiedzieć, jeszcze nie teraz. Wstała.

— Kiedy wyruszamy?

40. Miksundra

Podróż miała się rozpocząć w Aleksandrii. Mieli pożeglować wzdłuż brzegu Morza Śródziemnego, wyruszywszy z Egiptu, popłyną na północ, a potem na zachód, wzdłuż południowego skraju Europy, aż do Cieśniny Gibraltarskiej i z powrotem, wzdłuż północnego skraju Afryki.

Nic, co czynił ten Król, nie grzeszyło skromnością. W końcu był to Aleksander Wielki. I wyprawa wokół Morza Śródziemnego, które jego doradcy obdarzyli nieco złośliwym mianem „Jeziora Aleksandra", nie stanowiła wyjątku.

Aleksander był ogromnie rozczarowany, kiedy się przekonał, że miasto, które założył u ujścia Nilu, jego Aleksandria, zostało przez Nieciągłość unicestwione. Ale niezrażony tym kazał swym oddziałom rozpocząć budowę nowego miasta na planie tego, które znikło. A swym inżynierom dał zadanie zbudowania nowego kanału między Zatoką Sueską a Nilem. W międzyczasie zarządził pośpieszne przygotowanie tymczasowego portu w Aleksandrii i rozkazał, aby statki, które zbudował w Indiach, pożeglowały przez Zatokę Sueską, po czym zostały rozebrane na części, które miano przetransportować drogą lądową.

Ku zdumieniu Bisesy minęło zaledwie parę miesięcy, kiedy flota zebrała się ponownie w Aleksandrii, gotowa do wyruszenia w drogę. Po dwudniowym festiwalu składania ofiar i zabaw w miasteczku namiotowym, w którym mieszkali budowniczowie miasta, flota wypłynęła na morze.

Na początku Bisesa, po raz pierwszy od pięciu lat z dala od Oka Marduka, uznała, że podróż jest osobliwie relaksująca. Spędzała dużo czasu na pokładzie, patrząc na przesuwającą się przed jej oczyma krainę albo słuchając zawiłych międzykulturowych dyskusji. Nawet ocean budził jej ciekawość. W jej czasach Morze Śródziemne, które dochodziło do siebie po dziesięcioleciach zanieczyszczania, stało się skrzyżowaniem rezerwatu dzikich zwierząt i parku, odgrodzonego od reszty świata wielkimi niewidzialnymi barierami elektryczności i dźwięku. Teraz znów było dzikie; widziała pląsające w wodzie delfiny i wieloryby. Raz wydało jej się, że widzi podłużny kształt ogromnego rekina, większego niż jakiegokolwiek z jej świata, była tego pewna.

Jednak nigdy nie było ciepło. Rankami często czuła w powietrzu mróz. Wydawało się, że każdego roku jest coraz zimniej, choć trudno było mieć co do tego pewność; żałowała, że na samym początku nie pomyśleli o rejestrowaniu zmian klimatu. Ale pomimo chłodu przekonała się, że musi unikać słońca. Brytyjczycy zaczęli nosić na głowach zawiązane chusteczki do nosa i nawet brązowi Macedończycy

mieli oparzenia słoneczne. Na królewskich statkach zainstalowano grube daszki, a lekarze Aleksandra eksperymentowali z maściami z oślego masła i soku palmowego, w nadziei powstrzymania palących promieni słońca. Burze, które nawiedzały Ziemię w pierwszym okresie po wystąpieniu Nieciągłości, dawno minęły, ale klimat był wyraźnie rozregulowany.

Nocami także było dziwnie. Aleksander i jego towarzysze pili przez całą noc. A Bisesa siedziała w ciemności na pokładzie, patrząc na przesuwający się ląd, na którym na ogół nie było widać żadnych świateł. Jeśli niebo było czyste, przyglądała się delikatnie odmienionym gwiazdozbiorom. Często widywała zorze, wielkie ściany i kotary światła, wyraźnie trójwymiarowe struktury unoszące się nad mrocznym światem. Nigdy nie słyszała, aby obserwowano zorze na tych szerokościach geograficznych i miała nieprzyjemne podejrzenia, co też mogą zwiastować. Nieciągłość nie miała charakteru kosmetycznego i mogła wniknąć naprawdę głęboko w materię świata.

Czasami towarzyszył jej Josh. A czasami, jeśli Macedończycy zachowywali się cicho, znajdowali jakiś ciemny kąt i kochali się albo po prostu przytulali do siebie.

Ale przez większość czasu trzymała się sama. Podejrzewała, że jej przyjaciele mają rację, że istniało niebezpieczeństwo, iż zatraci się w Oku. Musiała ponownie zadomowić się w świecie, a nawet Josh stanowił tutaj przeszkodę. Jednak wiedziała, że go rani.

Rzekomym celem wyprawy było zbadanie nowego świata i Aleksander co kilka dni wysyłał ludzi w głąb lądu. Wybrał do tego celu niewielką grupę Irańczyków i Greków z kolonii; byli wysoce ruchliwymi, elastycznymi żołnierzami, pełnymi inicjatywy i odwagi. Do każdej grupy włączano kilku Brytyjczyków i podczas każdego wypadu towarzyszyli im mierniczy i kartografowie.

Jednakże pierwsze doniesienia były niewesołe. Od początku badacze informowali o różnych osobliwościach: dziwnych formacjach skalnych, wyspach pełnych niezwykłej roślinności i jeszcze bardziej niezwykłych zwierząt. Ale te wszystkie cuda stanowiły aspekty świata natury, nie pozostały prawie żadne ślady działania ludzi. Na przykład starożytna cywilizacja Egiptu zniknęła całkowicie. Wielkie bloki monumentalnych budowli wciąż tkwiły nietknięte w pokładach piaskowca, a w Dolinie Królów nie było śladu istot ludzkich i tylko kilka płochliwych stworzeń przypominających szympansy, które Brytyjczycy nazywali małpoludami, kryło się w kępach drzew.

Żegluga wzdłuż wybrzeża Judei stanowiła prawdziwą odmianę. Nie było śladu Nazaretu ani Betlejem i żadnego śladu Chrystusa czy Jego Męki. Ale w pobliżu miejsca, gdzie znajdowało się Jeruzalem, rozpoczęła się mała rewolucja przemysłowa kierowana przez brytyjskich inżynierów. Josh i Bisesa zwiedzili odlewnie i place

budowy, gdzie rozradowani inżynierowie i spoceni macedońscy robotnicy oraz paru bystrych greckich praktykantów budowali zbiorniki ciśnieniowe, takie jak wielkie kotły i prowadzili doświadczenia nad prototypowymi elementami do parowców i fragmentami torów kolejowych. Inżynierowie uczyli się porozumiewać w archaicznej grece, przetykanej takimi technicznymi terminami jak *wał korbowy* czy *ciśnienie pary*.

Podobnie jak gdzie indziej, wszędzie panował pośpiech, aby zakończyć budowę, zanim zostaną zapomniane umiejętności pierwszego pokolenia z czasów przed pojawieniem się Nieciągłości. Ale okazało się, że sam Aleksander, król-wojownik, odnosi się dosyć sceptycznie do spraw technologii. By zrobić na nim wrażenie, trzeba było skonstruować prototyp. Przypominał on trochę słynne *aelolipile* — w utraconych czasach stanowiły one mechaniczną nowość w Aleksandrii — i był zwyczajnym naczyniem ciśnieniowym z dwiema skośnymi dyszami, którymi wydobywała się para i które kręciły się w kółko jak zraszacz do trawników. Ale Eumenes natychmiast dojrzał nowe możliwości tego urządzenia.

Była to jednak ciężka praca. Brytyjczycy mieli tylko niewiele potrzebnych narzędzi, a infrastrukturę przemysłową, w tym kopalnie węgla i rudy żelaznej, trzeba było zbudować dosłownie od zera. Bisesa uważała, że może minąć dwadzieścia lat, zanim będzie możliwe skonstruowanie silników równie wydajnych i silnych jak, powiedzmy, maszyna parowa Jamesa Watta.

— Ale to znów się zaczyna — powiedział Abdikadir w całym królestwie Aleksandra pojawią się pompy pracujące w coraz głębiej drążonych kopalniach i parowce przemierzające kurczące się Morze Śródziemne, a wielkie sieci kolejowe przetną całą Azję i dotrą do stolicy Mongołów. To nowe Jeruzalem będzie warsztatem nowego świata.

— Ruddy byłby tym zachwycony — powiedział Josh. — Maszyny zawsze robiły na nim wielkie wrażenie. Są jak nowa rasa w nowym świecie, mówił. Mówił też, że transport to cywilizacja. Jeśli kontynenty będzie można połączyć za pomocą parowców i pociągów, może na tym nowym świecie nie będzie już wojen ani różnych narodów, oprócz jednego cudownego narodu, ludzkości!

Abdikadir powiedział:

— Myślałem, że powiedział, iż podstawą cywilizacji jest kanalizacja.

— To też!

Bisesa czule wzięła Josha za rękę.

— Twój optymizm jest jak działka kofeiny, Josh.

Skrzywił się.

— Potraktuję to jako komplement. Abdikadir powiedział:

— Ale nowy świat w ogóle nie będzie przypominał naszego świata. Ich, Macedończyków, jest bez porównania więcej niż nas. Jeśli powstanie nowe państwo obejmujące cały świat, jego językiem będzie grecki… o ile nie mongolski. I może być państwem buddyjskim…

W świecie pozbawionym mesjaszy dziwna bliźniacza para buddystów w świątyni w głębi Azji budziła coraz większe zainteresowanie zarówno Macedończyków, jak i Mongołów. Kolista droga życia lamy wydawała się doskonałą metaforą Nieciągłości i dziwnego stanu powstałego potem świata, jak również religii, którą lama uosabiał.

— Och — powiedział Josh — szkoda, że nie mogę przeskoczyć o dwa lub trzy stulecia w przód, aby zobaczyć, co wyrośnie z nasion, które dzisiaj siejemy!…

Ale kiedy podróż trwała dalej, takie sny o budowaniu imperiów i ujarzmianiu światów okazały się zupełnie błahe.

Grecja była pusta. Bez względu na to, jak starannie badacze Aleksandra przeczesywali gęste lasy pokrywające większą część terytorium kraju, nie natrafiono na żaden ślad wielkich miast, Aten, Sparty czy Teb. Prawie nie było śladów ludzi, tylko kilku prymitywnie wyglądających członków jakiegoś plemienia, powiedzieli badacze, a poza tym, jak ich określili, jacyś „podludzie". Bez wielkiej nadziei na sukces Aleksander wysłał oddział na północ, do Macedonii, aby się dowiedzieć, co pozostało z jego rodzinnego kraju. Zwiadowcy powrócili dopiero po kilku tygodniach, przynosząc złe wieści.

— Wygląda na to — powiedział Abdikadir ze smutkiem — że w Grecji jest teraz więcej lwów niż filozofów.

Ale nawet lwom nie powodziło się najlepiej, ponuro zauważyła Bisesa.

Wszędzie, gdzie się znaleźli, widzieli ślady zniszczeń ekologicznych i ogólnego upadku. Greckie lasy zmarniały, okalały je porośnięte krzakami łąki. W Turcji tereny leżące w głębi lądu były całkowicie pozbawione życia, wszędzie widać było tylko rdzawą ziemię. — Czerwona jak na Marsie — powiedział Abdikadir po powrocie z jednego ze zwiadów. A kiedy przeszukiwali wyspę, którą kiedyś nazywano Kretą, Josh zapytał: — Zauważyliście, jak mało tu ptaków?

Trudno było mieć pewność co do rozmiarów tego, co przepadło, przede wszystkim dlatego, że nie było sposobu, aby się dowiedzieć, co przeniknęło przez Nieciągłość. Ale Bisesa podejrzewała, że zaczęło się wielkie wymieranie. Mogli tylko snuć przypuszczenia co do jego przyczyn.

— Samo wymieszanie wszystkiego musiało spowodować wielkie szkody — powiedziała.

Josh zaprotestował:

— Ale mamuty w Paryżu! Tygrysy szablastozębny w rzymskim Koloseum! Mir to składanka rozmaitych fragmentów, podobnie jak kalejdoskop, a wrażenie jest wspaniałe.

— Tak, ale ilekroć zmieszasz ze sobą rozmaite populacje, dochodzi do wymierania, kiedy istniał pomost lądowy między Ameryką Północną i Południową, kiedy ludzie przewozili szczury i kozy tu i tam, rodzima fauna i flora uległy zniszczeniu. I tak też musiało być tutaj. Stworzenia z głębi epoki lodowcowej występują obok gryzoni z nowożytnych miast, żyjąc w klimacie, który nie odpowiada żadnemu z nich. Wszystko, co przetrwało Nieciągłość, stara się unicestwić sąsiada albo samo zostaje unicestwione.

— Tak jak my — wściekle powiedział Abdikadir. Nic mogliśmy wytrzymać razem, prawda?

Bisesa powiedziała:

— Muszą następować zderzenia, może to wyjaśnia tę plagę owadów, objaw szwankującej ekologii. Choroby są przenoszone także przez stare granice. Jestem nieco zaskoczona, że dotąd nie mieliśmy żadnej epidemii.

Abdikadir powiedział:

— My, ludzie, jesteśmy zbyt rozproszeni. Ale mimo wszystko może mamy szczęście…

— Jednak nie słychać śpiewu ptaków! — narzekał Josh.

— Ptaki są wrażliwe, Josh — powiedziała Bisesa. — Ich siedliska, takie jak podmokłe tereny i plaże, łatwo ulegają zniszczeniu w wyniku zmian klimatu. Brak ptaków to zły znak.

— Więc jeżeli sytuacja jest tak trudna dla zwierząt… — Josh walnął zaciśniętą pięścią w szynę. — Musimy coś z tym zrobić. Abdikadir się roześmiał, ale po chwili spoważniał.

— Co mianowicie?

— Wyśmiewasz się ze mnie — powiedział Josh czerwony na twarzy. Zamachał rękami. — Powinniśmy zgromadzić zwierzęta w ogrodach zoologicznych albo w rezerwatach. To samo dotyczy roślin i drzew. Także ptaków i owadów, zwłaszcza ptaków! A potem, kiedy wszystko się uspokoi, będziemy mogli znów wypuścić zwierzęta na wolność…

— I tak powstanie nowy Eden, co? — powiedziała Bisesa. — Kochany Josh, wcale nie wyśmiewamy się z ciebie. I powinniśmy przedstawić twój pomysł zebrania okazów fauny i flory Aleksandrowi: jeśli przywrócono do życia mamuta i niedźwiedzia jaskiniowego, zachowajmy kilka z nich. Ale chodzi o to, że to wszystko jest bardziej skomplikowane, przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. Chronić ekosferę, a tym bardziej ją naprawiać, nie jest tak łatwo, zwłaszcza że nigdy nie wiedzieliśmy, jak funkcjonuje. Wcale nie jest statyczna, podlega wielkim, dynamicznym cyklom… Wymieranie jest

nieuniknione, występuje także w najkorzystniejszych warunkach. Bez względu na to, jak się będziemy starać, nie zdołamy zachować wszystkiego.

Josh powiedział:

— Więc co mamy robić? Po prostu opuścić ręce i pokornie poddać się wyrokom losu?

— Nie — powiedziała Bisesa. — Ale musimy pogodzić się z naszymi ograniczeniami. Jest nas tylko garstka. Nie zdołamy ocalić świata, Josh. Nawet nie wiemy, jak by to można zrobić. Dobrze, jeżeli ocalimy samych siebie. Musimy być cierpliwi.

Abdikadir powiedział ponuro:

— Tak, cierpliwi. Ale Nieciągłość zadała światu straszliwe rany w ciągu ułamka sekundy. Żeby się zabliźniły, trzeba milionów lat…

— I to nie ma nic wspólnego z losem — powiedział Josh. — Jeśli bogowie Oka byli na tyle uczeni, aby rozerwać przestrzeń i czas, czy nie mogli przewidzieć, co się stanie z naszą ekologią?

Zapadło milczenie, a w oddali powoli przesuwały się gęste, zmarniałe i groźne dżungle Grecji.

41. Zeus-Ammon

Włochy wydawały się równie opustoszałe jak Grecja. Nie znaleźli żadnego śladu miast-państw, które pamiętali Macedończycy, czy nowoczesnych miast z czasów Bisesy. U ujścia Tybru nie było śladu wielkich urządzeń portowych zbudowanych za czasów imperium rzymskiego, które obsługiwały wielkie statki przewożące ziarno, zapewniając zaopatrzenie temu nadmiernie rozrośniętemu miastu.

Aleksander był zaintrygowany opisem, w jaki sposób Rzym, za jego czasów zaledwie ambitne miasto-państwo, pewnego dnia zbudował imperium, które dorównywało jego własnemu. Dlatego zebrał kilka statków rzecznych i ułożywszy się pod jaskrawym, fioletowym daszkiem, poprowadził całą grupę w górę rzeki.

Siedem wzgórz Rzymu można było rozpoznać natychmiast. Ale samo miejsce było niezamieszkane, poza paroma szpetnymi warowniami, które przysiadły na Palatynie, gdzie w przyszłości miano wznieść pałace cezarów. Aleksander uznał to za wielki żart i wspaniałomyślnie postanowił darować życie swym historycznym konkurentom.

Spędzili noc, rozbiwszy obóz na pobliskiej bagnistej nizinie, która kiedyś miała się stać Forum Romanum. Na niebie zapłonęła kolejna oszałamiająca zorza, na widok której Macedończycy wydali okrzyk podziwu.

Bisesa nie była geologiem, ale zastanawiała się, co musiało się stać głęboko w jądrze Ziemi, kiedy z zasadniczo odmiennych fragmentów powstawała nowa planeta. Jądro Ziemi stanowiła wirująca bryła żelaza wielkości Księżyca. Jeżeli szew sięgał samego środka Mira, we wnętrzu tej poskładanej byle jak miniaturowej, wewnętrznej planety muszą powstawać turbulencje. Prądy w warstwach zewnętrznych, w płaszczu, także musiałyby zostać zaburzone w wyniku wytrysków płynnej magmy, wysokich na setki kilometrów i nieustannie zderzających się ze sobą. Być może skutki takich głębokich burz są teraz odczuwalne na powierzchni planety.

Pole magnetyczne planety wytwarzane przez wielkie, żelazne, wirujące jądro, musiało ulec dramatycznej zmianie. Może to tłumaczyło te zorze i wadliwe działanie kompasów. Dawniej to pole magnetyczne chroniło kruche organizmy żywe przed deszczem promieniowania kosmicznego — ciężkich cząstek pochodzenia słonecznego i promieniowania resztkowego po wybuchu supernowych. Zanim pole magnetyczne powróci do dawnego stanu, pojawią się defekty wywołane promieniowaniem: nowotwory i liczne mutacje, z których większość będzie szkodliwa dla zdrowia. A jeśli warstwa ozonowa także została zniszczona, zwiększone natężenie

promieniowania ultrafioletowego może tłumaczyć silniejsze działanie promieni słonecznych i wyrządzi dalsze szkody wszystkim organizmom żywym znajdującym się na powierzchni Ziemi.

Ale istniały także inne odmiany życia. Pomyślała o gorącej biosferze, dawnych ciepłolubnych organizmach, które przetrwały od najwcześniejszych czasów istnienia Ziemi, pozostając w pobliżu podmorskich kanałów wulkanicznych i głęboko wewnątrz skał. Promieniowanie ultrafioletowe na powierzchni nie będzie dla nich problemem, ale jeśli świat został rozszczepiony do samego jądra, ich dawne królestwo musiało zostać podzielone, tak jak na powierzchni. Czy tam, w głębi skał, także trwa powolne wymieranie, tak samo jak na powierzchni? I czy we wnętrzu tego świata też zagrzebane są Oczy, które obserwują to wszystko?

Flota żeglowała dalej, obserwując południowe wybrzeże Francji, a następnie wschodnie i południowe wybrzeże Hiszpanii, zmierzając w stronę Gibraltaru.

Było niewiele śladów człowieka, ale w skalistym terenie południowej Hiszpanii zwiadowcy natknęli się na ludzi krępej budowy ciała, z krzaczastymi brwiami i obdarzonych wielką siłą, którzy na widok Macedończyków umknęli. Bisesa wiedziała, że obszar ten był jedną z ostatnich enklaw neandertalczyków, gdy *Homo sapiens* posuwał się na zachód przez terytorium Europy. Jeżeli byli to rzeczywiście późni neandertalczycy, mieli powody, żeby mieć się przed ludźmi na baczności.

Aleksander był znacznie bardziej zaintrygowany samą cieśniną, którą nazywał Słupami Heraklesa. Ocean rozciągający się za tą bramą nie był całkiem nieznany w czasach Aleksandra. Dwa stulecia przed Aleksandrem Kartagińczyk imieniem Hanno, żeglując na południe, opłynął zachodnie wybrzeże Afryki. Istniały także nie do końca udokumentowane doniesienia o badaczach, którzy skierowali się na północ i odkryli dziwne, chłodne krainy, gdzie lód tworzył się latem, a słońce nie zachodziło nawet o północy. Aleksander wykorzystał nowo nabytą wiedzę o kształcie świata; takie dziwy były łatwe do wyjaśnienia, jeśli przyjąć, że poruszamy się po powierzchni kuli.

Aleksander marzył, żeby stawić czoło wielkiemu oceanowi po drugiej stronie cieśniny. Josh był za tym całym sercem, pragnąc nawiązać kontakt ze społecznością Chicago, która mogła być niezbyt odległa w czasie od jego własnej epoki. Ale sam Aleksander był bardziej zainteresowany dotarciem do nowej wyspy na środku Atlantyku, o której meldował Sojuz; był poruszony opisami Bisesy podróży na Księżyc i powiedział, że podbić kraj to jedno, ale być pierwszym człowiekiem, którego stopa tam stanie, to coś zupełnie innego.

Ale nawet Król miał ograniczenia. Przede wszystkim jego małe

statki nie były w stanie żeglować dłużej niż przez kilka dni bez konieczności zawijania do brzegu. Spokojna perswazja doradców przekonała go, że nowy świat na zachodzie może poczekać. I z mieszaniną niechęci i oczekiwania Aleksander zgodził się wracać.

Flota pożeglowała z powrotem wzdłuż południowego brzegu Morza Śródziemnego. Podróż niczym się nie wyróżniała, wybrzeże Afryki było najwyraźniej niezamieszkane.

Bisesa znów zamknęła się w sobie. Tygodnie spędzone z wyprawą Aleksandra oderwały ją od intensywnych przeżyć związanych z badaniem Oka i dały czas na zastanowienie się nad tym, czego się dowiedziała. Teraz pustka zarówno morza, jak i lądu sprawiła, że tajemnice związane z Okiem znów odżyły w jej umyśle.

Abdikadira zwłaszcza Josh próbowali jakoś ją z tego wyrwać. Pewnej nocy, kiedy siedzieli na pokładzie, Josh szepnął:

— Wciąż nie rozumiem, skąd to wiesz. Kiedy patrzę na Oko, nie czuję nic. Jestem gotów uwierzyć, że każde z nas posiada wewnętrzne poczucie istnienia innych, że umysły, samotne wyspy na wielkim, mrocznym oceanie czasu, potrafią się odszukać. Dla mnie Oko to wielka tajemnica i najwyraźniej ośrodek budzącej grozę potęgi, ale to jest potęga maszyny, nie umysłu.

Bisesa powiedziała:

— To nie umysł, ale jakby kanał prowadzący do wielu umysłów. Oni są jak cienie na końcu ciemnego korytarza. Ale tam są. — Nie potrafiła słowami wyrazić tego rodzaju wrażeń, bo jak podejrzewała, żadna istota ludzka nie doświadczała dotychczas takich przeżyć. — Musisz mi zaufać, Josh.

Mocniej otoczył ją ramionami.

— Ufam ci i wierzę. Inaczej nie byłoby mnie tutaj…

— Wiesz, czasami myślę, że te wszystkie plastry czasu, które odwiedzamy, to po prostu urojenia. Fragmenty snu.

Abdikadir zmarszczył brwi, a jego niebieskie oczy zajaśniały w świetle lamp.

— Co przez to rozumiesz? Usiłowała wyrazić swoje wrażenia.

Myślę, że w pewnym sensie jesteśmy zawarci w Oku. — Wycofała się na bezpieczny grunt fizyki. — Pomyślcie o tym w taki sposób. Podstawowe elementy naszej rzeczywistości…

— Maleńkie struny — powiedział Josh.

— Właśnie. One nie są jak struny skrzypiec. Mogą rozmaicie owijać się wokół ukrytego stratum, które jest jak ich płyta rezonansowa. Wyobraźmy sobie pętle strun unoszące się swobodnie na powierzchni płyty, podczas gdy inne są owinięte wokół niej. Jeśli zmienimy wymiary stratum — jeśli uczynimy je grubszym — energia owiniętych strun wzrośnie, ale energia oscylacyjna pętli zmaleje. A to będzie miało wpływ na obserwowalny wszechświat. Jeżeli taki stan

utrzyma się dostatecznie długo, dwa wymiary, długi i krótki, zamienią się miejscami… Są powiązane relacją inwersji przestrzennej…

Josh pokręcił głową.

— Pogubiłem się.

— Myślę, że ona mówi — powiedział Abdikadir — że w tym modelu fizyki odległości bardzo duże i bardzo małe są w pewnym sensie równoważne.

— Tak — powiedziała. — O to właśnie chodzi. Kosmos i cząstki subatomowe — jedno jest odwrotnością drugiego, jeśli spojrzeć na to we właściwy sposób.

— A Oko…

— Oko zawiera mój obraz — powiedziała — tak jak na mojej siatkówce znajduje się twój obraz, Josh. Ale myślę, że w wypadku Oka rzeczywistość mojego obrazu i obrazu świata to coś więcej niż sama projekcja.

Abdikadir zmarszczył brwi.

— Więc zniekształcone obrazy w Oku nie są jedynie cieniem naszej rzeczywistości. I manipulując tymi obrazami, Oko jakoś jest w stanie kontrolować to, co się dzieje w świecie zewnętrznym. Może właśnie w ten sposób wywołało Nieciągłość. Czy tak właśnie myślisz?

— Jak lalki voodoo powiedział Josh oczarowany tym pomysłem. — Oko zawiera świat voodoo… Ale Abdikadir niezupełnie ma rację, prawda, Biseso? Oko niczego nie robi. Powiedziałaś, że choć Oko jest cudownym narzędziem, jest tylko narzędziem. I że wyczuwałaś, jakąś obecność poza nim, która nim kieruje. Więc Oko nie jest żadnym demonicznym bytem. To jedynie… jedynie…

— Panel sterowania — szepnęła. — Zawsze wiedziałam, że jesteś bystry, Josh.

— Ach — powoli powiedział Abdikadir. — Zaczynam rozumieć. Wierzysz, że masz w jakiejś mierze dostęp do tego panelu. Że możesz wpływać na Oko. I to cię przeraża.

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

Josh powiedział oszołomiony:

— Ale jeśli możesz wpływać na Oko, o co je poprosiłaś?

Ukryła twarz.

— Żeby pozwoliło mi wrócić do domu — wyszeptała. — I myślę…

— Co?

— Myślę, że mogłoby. Tamci zaszokowani zamilkli. Ale w końcu powiedziała to i teraz wiedziała, że jak tylko ta wyprawa dobiegnie końca, musi jeszcze raz stanąć twarzą w twarz z Okiem, znowu rzucić mu wyzwane albo próbując, umrzeć.

Kilka dni przed dotarciem do Aleksandrii flota przybiła do brzegu. W tym miejscu, jak zapewniali geografowie Aleksandra, znajdowało

się Paraetonium, miasto, które kiedyś odwiedził, chociaż teraz nie pozostał po nim nawet ślad. Tam spotkał ich Eumenes. Powiedział, że pragnie towarzyszyć Królowi, kiedy ten idzie śladami najważniejszej pielgrzymki swego życia.

Aleksander kazał zwiadowcom spędzić wielbłądy, które były objuczone zapasami wody na pięć dni podróży. Szybko utworzyła się niewielka grupa licząca nie więcej niż dwanaście osób, w tym Aleksander, Eumenes, Josh i Bisesa oraz kilku członków ochrony. Macedończycy ubrali się w długie beduińskie szaty; byli tu już przedtem i wiedzieli, czego oczekiwać. Nowożytni poszli za ich przykładem.

Wyruszyli na południe, w głąb lądu. Podróż miała trwać kilka dni. Posuwając się wzdłuż granicy Egiptu i Libii, szli łańcuchem zerodowanych wzgórz. Kiedy zesztywnienie członków ustąpiło, a mięśnie i płuca zaczęły reagować na ruch, Bisesa zdała sobie sprawę, iż monotonny chód sprawił, że opuściły ją natrętne myśli. Dodatkowa terapia, pomyślała. W nocy spali w namiotach, owinąwszy się swymi beduińskimi szatami. Drugiego dnia złapała ich gorąca burza piaskowa. Potem wędrowali wąwozem zasłanym muszelkami i krainą pełną skał wyrzeźbionych przez wiatr, a na koniec równiną pokrytą grubym żwirem.

W końcu dotarli do małej oazy. Były tam palmy, a nawet ptaki, przepiórka i sokół, które ocalały pośród wymarłej podmokłej niziny. Nad całym miejscem górowała surowa, zrujnowana cytadela, a w pobliżu źródeł stały małe, na wpół zarośnięte sanktuaria. Nie było żadnych ludzi, żadnych oznak zamieszkania, tylko malownicze ruiny.

Otoczony strażnikami Aleksander ruszył naprzód. Minął zniszczone fundamenty nieistniejących budynków i dotarł do schodów, które prowadziły do czegoś, co kiedyś było świątynią. Kiedy wchodził po tych zniszczonych schodach, wyraźnie drżał. Zbliżył się do gołej, pokrytej pyłem platformy i ukląkł z pochyloną głową.

Eumenes mruknął:

— Kiedy byliśmy tutaj, miejsce było stare, ale nie zrujnowane. Bóg Ammon przybywał tu w swej świętej łodzi niesionej na ramionach sług, a dziewice śpiewały pieśni o jego boskości. Król wchodził do najświętszego sanktuarium, niewielkiego pomieszczenia pokrytego pniami palm, gdzie zasięgał rady wyroczni. Nigdy nie wyjawiał pytań, które zadawał, nawet mnie, nawet Hefajstionowi. I to właśnie tutaj Aleksander zdał sobie sprawę ze swej boskości.

Bisesa znała tę historię. Podczas pierwszej pielgrzymki Aleksandra Macedończycy utożsamili libijskiego boga z głową barana, Ammona, z greckim Zeusem, a Aleksander dowiedział się, że jego prawdziwym ojcem jest Zeus-Ammon, a nie macedoński król Filip. Od tej chwili przez resztę życia nosił Ammona w swym sercu.

Król robił wrażenie zdruzgotanego. Może miał nadzieję, że to sanktuarium jakoś przetrwało Nieciągłość, że to miejsce, najświętsze ze wszystkich, może zostało oszczędzone. Ale tak się nie stało i zastał tu jedynie piętno nieubłaganego czasu.

Bisesa mruknęła do Eumenesa:

— Powiedz mu, że nie zawsze tak było. Powiedz mu, że w dziewięć stuleci później, kiedy miejsce to stało się częścią Imperium Rzymskiego, a chrześcijaństwo zostało uznane za oficjalną religię Imperium, wciąż istniała grupa wyznawców, tu, w tej oazie, która nadal oddawała cześć Zeusowi-Ammonowi i samemu Aleksandrowi.

Eumenes poważnie skinął głową i ostrożnie przekazał te wiadomości z przyszłości. Król coś odpowiedział i Eumenes wrócił do Bisesy.

— Mówi, że nawet bóg nie jest w stanie pokonać czasu, ale dziewięćset lat powinno wystarczyć każdemu.

Grupa została przez cały dzień w oazie, aby odzyskać siły i napoić wielbłądy, po czym wróciła na brzeg morza.

42. Ostatnia noc

W tydzień po powrocie do Babilonu Bisesa oznajmiła, że wierzy, iż Oko Marduka odeśle ją do domu.

Informacja ta spotkała się z ogólnym niedowierzaniem, nawet ze strony jej najbliższych przyjaciół. Wyczuła, iż Abdikadir uważa, że to tylko pobożne życzenia, że jej wrażenia związane z Okiem i kryjącymi się za nim istotami to czysta fantazja, że wszystko to nie jest niczym więcej niż to, w co sama chce wierzyć.

Jednakże Aleksander postawił jej proste pytanie:

— Dlaczego ty?

— Bo o to poprosiłam — odparła po prostu. Rozważył jej słowa, skinął głową i pozwolił odejść. Jednak wszyscy jej towarzysze, nowożytni, Macedończycy i Brytyjczycy, zaakceptowali jej szczerość i pomagali w przygotowaniach do podróży. Zaakceptowali nawet podaną przez nią datę. Nadal nie miała żadnych dowodów i nawet nie była pewna, czy poprawnie interpretuje swe niejasne wrażenia wyniesione z kontaktów z Okiem. Ale wszyscy traktowali ją poważnie, co jej pochlebiało, nawet jeśli niektórzy trochę gadali, że będzie jej głupio, jeśli Oko wystawi ją do wiatru.

Kiedy nadszedł ostatni dzień, Bisesa usiadła z Joshem w komnacie Marduka; milczące Oko unosiło się nad ich głowami. Przywarli do siebie. Przed chwilą kochali się na przekór beznamiętnemu spojrzeniu Oka, ale nawet to nie zdołało wyprzeć jego obrazu z ich świadomości. Wszystko, czego teraz pragnęli, to wzajemna pociecha.

Josh szepnął:

— Myślisz, że ich w ogóle obchodzi to, co uczynili, świat, który rozbili na kawałki, ludzie, którzy zginęli?

— Nie. Być może takie emocje interesują ich z czysto akademickiego punktu widzenia. Nic ponadto.

— Więc są gorsi ode mnie. Jeżeli widzę zabite dziecko, potrafię się tym przejąć, odczuwam ból.

— Tak, Josh — powiedziała cierpliwie — ale nie obchodzą cię miliony bakterii, które każdej sekundy giną w twoim brzuchu. My nie jesteśmy bakteriami, jesteśmy złożonymi, niezależnymi istotami, obdarzonymi świadomością. Ale oni tak nad nami górują, że dla *nich* jesteśmy niczym.

— Więc dlaczego mieliby odesłać cię do domu?

— Nie wiem. Przypuszczam, że dlatego, że to ich bawi. Spojrzał na nią spode łba.

— To, czego oni chcą, nie ma znaczenia. Jesteś pewna, że ty tego chcesz, Biseso? Nawet jeżeli wrócisz do domu, co będzie, jeśli Myra cię nie chce?

Obróciła się, żeby na niego popatrzeć. W mrocznym świetle lampy jej oczy wydawały się ogromne, skóra bardzo gładka, wyglądała tak młodo.

— To śmieszne.

— Czy rzeczywiście? Biseso, kim jesteś? Kim jest ona? Po pojawieniu się Nieciągłości wszyscy mamy rozłupane ja, należące do różnych światów. Może jakiś fragment ciebie samej mógłby wrócić do jakiegoś fragmentu Myry…

Dotknięta do żywego wybuchła gniewem, dając upust skomplikowanym uczuciom, jakie żywiła do Myry i Josha.

— Nie wiesz, o czym mówisz.

Westchnął.

— Nie możesz wrócić, Biseso. To by nic nie znaczyło. Zostań tutaj. — Chwycił jej dłonie. — Mamy tu do zbudowania domy, pola, które trzeba uprawiać i wychowywać dzieci. Zostań tu ze mną Biseso, i urodź mi dzieci. Ten świat już nie jest jakimś obcym artefaktem, to nasz dom.

Nagle złagodniała.

— Och, Josh. — Przyciągnęła go do siebie. — Kochany Josh. Chcę zostać, uwierz mi. Ale nie mogę. Nie chodzi tylko o Myrę. To jest szansa, Josh. Szansa, jakiej nie dali nikomu innemu. Bez względu na ich motywy muszę ją wykorzystać.

— Dlaczego?

— Bo mogę się czegoś dowiedzieć. Dlaczego to się stało. O nich. O tym, co możemy z tym zrobić w przyszłości.

— Ach. — Uśmiechnął się smutno. — Powinienem był wiedzieć. Mogę dyskutować z matką ojej miłości do dziecka, ale nie mogę stanąć na drodze jej żołnierskim obowiązkom.

— Och, Josh…

— Weź mnie ze sobą. Wyprostowała się, zaskoczona.

— Tego nie oczekiwałam.

— Biseso, jesteś dla mnie wszystkim. Nie chcę tu zostać bez ciebie. Chcę ci towarzyszyć, gdziekolwiek pójdziesz.

— Ale ja mogę zginąć — powiedziała łagodnie.

— Jeśli zginę u twego boku, umrę szczęśliwy. Po cóż jest życie?

— Josh, nie wiem, co powiedzieć. Ciągle cię ranię.

— Nie — odparł łagodnie. — Myra zawsze tu jest, jeśli nie między nami, to u twego boku. Rozumiem to.

— Nikt przedtem nie kochał mnie w taki sposób. Znowu się objęli i przez chwilę nie przerywali milczenia. Potem powiedział:

— Wiesz, oni nie mają imienia. — Kto?

— Te złowrogie istoty, które to wszystko uknuły. To nie Bóg ani bogowie…

— Nie — powiedziała. Zamknęła oczy. Wyczuwała ich nawet w

tej chwili, jak powiew z wnętrza starego, ginącego drzewa, suchego, szeleszczącego i dotkniętego rozkładem. — Nie są bogami. Pochodzą z tego wszechświata, tu się urodzili. Ale są starzy, ogromnie starzy, tak starzy, że przekracza to granice naszej wyobraźni.

— Żyli zbyt długo.

— Być może.

— Więc tak ich nazwiemy. — I uniósłszy głowę, wyzywająco spojrzał na Oko. — Pierworodni. I niech ich piekło pochłonie.

Ażeby uczcić osobliwą podróż Bisesy, Aleksander rozkazał przygotować wspaniałą ucztę. Trwała trzy dni i trzy noce. Były zawody lekkoatletyczne, wyścigi konne, muzyka i tańce, a nawet ogromne *battue* w mongolskim stylu; opowieści o nim wywarły wrażenie nawet na Aleksandrze.

Ostatniego wieczoru Bisesa i Josh byli gośćmi honorowymi na wystawnym bankiecie w pałacu zarekwirowanym przez Aleksandra. Król uczynił Bisesie zaszczyt, występując w postaci Ammona, swego boskiego ojca, w ozdobnych pantoflach, z rogami na głowie i fioletowej pelerynie. Był to wieczór pełen zgiełku i pijaństwa, jak z okazji ostatniego występu klubu rugby. Około trzeciej nad ranem alkohol zwalił z nóg biednego Josha, którego szambelanowie Aleksandra musieli odnieść do sypialni.

W świetle pojedynczej lampy oliwnej Bisesa, Abdikadir i Casey siedzieli obok siebie na drogich sofach, a u ich stóp płonęło małe ognisko.

Casey popijał z wysokiej szklanicy. Wyciągnął ją w stronę Bisesy.

— Babilońskie wino. Lepsze niż ten macedoński zajzajer. Chcesz trochę?

Uśmiechnęła się i odmówiła.

— Myślę, że jutro powinnam być trzeźwa. Casey chrząknął.

— Z tego co wiem o Joshu, jedno z was rzeczywiście powinno.

Abdikadir powiedział:

— Więc jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy pozostali z dwudziestego pierwszego wieku. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byliśmy we trójkę.

Casey powiedział:

— Ani razu od dnia katastrofy helikoptera.

— W taki sposób o tym myślicie? — zapytała Bisesa. — Nie od dnia, kiedy świat się rozleciał, ale od dnia, gdy straciliśmy Ptaka?

Casey wzruszył ramionami.

— Jestem zawodowcem. Straciłem swój statek. Kiwnęła głową.

— Jesteś porządnym człowiekiem, Casey. Daj mi to. — Wyrwała mu kubek i pociągnęła wina. Było mocne, miało smak starego, prawie zwietrzałego trunku pochodzącego z jakiejś dobrej winnicy.

Abdikadir obserwował ją swymi jasnymi oczyma.

— Josh rozmawiał ze mną dziś wieczór, zanim upił się tak, że w ogóle nie mógł mówić. Myśli, że coś przed nim ukrywasz — nawet teraz — coś, co dotyczy Oka.

— Nie zawsze wiem, co mu powiedzieć — odrzekła. — To człowiek z dziewiętnastego wieku. Chryste, on jest taki młody.

— Ale nie jest dzieckiem, Bis — powiedział Casey. — Ludzie młodsi od niego umierali za nas, walcząc z Mongołami. I wiesz, że jest gotów oddać za ciebie życie.

— Wiem.

— Więc — powiedział Abdikadir — o czym mu nie chcesz powiedzieć?

— O moich najgorszych podejrzeniach.

— To znaczy?

— O faktach, które mieliśmy przed oczyma od pierwszego dnia. Słuchajcie, nasz kawałek Afganistanu — i niebo ponad nim, które uratowało Sojuz to wszystko, co przeniknęło przez Nieciągłość z naszych czasów. I choć szukaliśmy z całych sił, nie znaleźliśmy niczego z czasów późniejszych. Byliśmy ostatnimi próbkami, jakie pobrano. Czy to nie wydaje wam się dziwne?

Dlaczego trwająca dwa miliony lat historia miałaby się kończyć na nas?

Abdikadir kiwnął głową. — Ponieważ jesteśmy ostatni. Po nas nie ma już nic do próbkowania. To był nasz ostatni rok, nasz ostatni miesiąc, nawet nasz ostatni dzień.

— Myślę — powoli powiedziała Bisesa — że coś strasznego musi się zdarzyć owego ostatniego dnia, strasznego dla całego rodzaju ludzkiego albo dla świata. Może dlatego nie powinniśmy się przejmować paradoksami czasu. Powrotem i zmianami historii. Bo po nas Ziemia nie będzie już miała żadnej historii, którą można by zmieniać…

Abdikadir powiedział:

— I może to jest odpowiedź na pytanie, które mi przyszło do głowy, kiedy przedstawiałaś swoje poglądy dotyczące rozdarcia czasoprzestrzeni. Takie rozdarcie pochłonęłoby bez dwóch zdań ogromne ilości energii. Czy taki właśnie los czeka Ziemię? — Zamachał rękami. — Jakaś gigantyczna katastrofa. Wyzwolenie ogromnej ilości energii, w obliczu której Ziemia byłaby jak płatek śniegu w palenisku, burzy, która rozerwałaby samą strukturę przestrzeni i czasu…

Casey zamknął oczy i pociągnął łyk wina.

— Chryste, Bis. Wiedziałem, że zepsujesz nam humor.

— I może to jest główny powód pobierania próbek — dokończył Abdikadir.

Dotychczas nie pomyślała o tym.

— Co masz na myśli?

— Biblioteka za chwilę spłonie. Co wtedy robisz? Przebiegasz galerie, chwytając, co zdołasz. Może budowa Mira to ćwiczenie z ratowania zbiorów.

Nadal nie otwierając oczu, Casey powiedział:

— Albo z plądrowania.

— Co?

— Może ci Pierworodni nie są tu tylko po to, aby rejestrować koniec. Może go spowodowali. Idę o zakład, że o tym także nie pomyślałaś, Bis.

Abdikadir powiedział:

— Dlaczego nie mogłaś tego powiedzieć Joshowi?

— Bo jest pełen nadziei. Nie mogłam jej zburzyć.

Przez chwilę siedzieli w napiętym, złowieszczym milczeniu. Potem zaczęli rozmawiać o swoich planach na przyszłość.

Abdikadir powiedział:

— Myślę, że Eumenes uważa mnie za użyteczne narzędzie w swym nieustannym dążeniu do rozerwania Króla. Zaproponowałem zorganizowanie wyprawy do źródeł Nilu. Wydaje się, że Pierworodni zachowali fragmenty ludzkości jako istotnej odmiany różniącej nas od potomków szympansów. Ale kim byli ci potomkowie? Jakie cechy tych włochatych przodków Pierworodni uznali za ludzkie? Oto nagroda, którą chcę skusić Aleksandra…

— To ambitny pomysł — powiedziała Bisesa. Jednak w głębi duszy wątpiła, czy Aleksander dałby się na to nabrać. To jego światopogląd miał kształtować najbliższą przyszłość. I to był sen o bohaterach, bogach i mitach, nie zaś poszukiwanie rozwiązań problemów naukowych. — Mam wrażenie, że gdziekolwiek byś się nie udał, zawsze znajdziesz jakieś miejsce dla siebie, Abdi.

Uśmiechnął się.

— Myślę, że zawsze miałem skłonność do safizmu. Wewnętrzne poszukiwanie wiary. To, gdzie jestem, nie ma znaczenia.

— Szkoda, że nie czuję tak samo — powiedziała poważnie. Casey powiedział:

— Jeśli o mnie chodzi, nie chcę spędzić życia w parku rozrywki Jamesa Watta. Próbuję ożywić jakiś inny przemysł — elektryczny, może nawet elektroniczny…

— On chce powiedzieć — powiedział Abdikadir sucho — że zostanie nauczycielem.

Casey trochę się skrzywił, po czym postukał się w swą wielką głowę.

— Po prostu chcę mieć pewność, że to, co mam tutaj, nie umrze wraz ze mną i ci biedni durnie nie będą musieli odkrywać wszystkiego na nowo.

Bisesa ścisnęła go za rękę.

— W porządku, Casey… Myślę, że będziesz dobrym nauczycielem. Zawsze myślałam o tobie jak o zastępczym ojcu.

Casey, klnąc po angielsku, grecku i nawet po mongolsku naprawdę robił wrażenie. Bisesa wstała.

— Chłopaki — przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale myślę, że powinnam się trochę przespać.

Wszyscy odruchowo się poderwali i objęli rękami, z głowami tuż obok siebie, kuląc się jak piłkarze.

Casey powiedział:

— Potrzebujesz jakiegoś strzelca?

— Mam już takiego… Jeszcze jedno — szepnęła Bisesa. — Wypuśćcie małpoludy. Jeżeli ja mam wydostać się z tej klatki, one także powinny.

Casey powiedział:

— Obiecuję… Żadnych pożegnań, Bis.

— Tak. Żadnych pożegnań. Abdikadir powiedział:

— *Po co dano nam życie, żeby je tak odbierać?*… Casey chrząknął.

— Milton. *Raj utracony,* prawda? Wyzwanie rzucone Bogu przez szatana.

Bisesa powiedziała:

— Nigdy mnie nie przestaniesz zadziwiać, Casey. Pierworodni nie są bogami. — Uśmiechnęła się chłodno. — Ale zawsze podziwiałam szatana.

— Pieprzyć to — powiedział Casey. — Pierworodnych trzeba zatrzymać.

Po długiej chwili odeszła, a oni zostali ze swoim winem.

Bisesa odszukała Eumenesa i poprosiła o pozwolenie opuszczenia bankietu.

Eumenes siedział wyprostowany i z pozoru trzeźwy. Powiedział swą nieco koturnową angielszczyzną:

— Doskonale. Ale łaskawa pani, tylko pod warunkiem, że wolno mi będzie towarzyszyć pani przez chwilę.

W towarzystwie kilku strażników ruszyli główną ulicą Babilonu. Wstąpili do domu zarekwirowanego przez kapitana Grove'a. Grove objął ją i życzył szczęścia. Bisesa i Eumenes poszli dalej, opuszczając mury miasta przez Bramę Isztar i zmierzając w stronę miasteczka namiotowego armii.

Noc była pogodna i chłodna, na niebie świeciły nieznane gwiazdy, a zza wysoko wypiętrzonych, żółtawych chmur wyglądał sierp księżyca. Kiedy Bisesę rozpoznano, powitano ją okrzykami. Z okazji wyjazdu Bisesy Król obdarował żołnierzy dodatkowymi racjami wina i mięsa. Wyglądało na to, że nikt w obozie nie śpi, oświetlone lampami namioty jarzyły się w mroku i zewsząd słychać było muzykę i

śmiechy.

— Wszystkim im jest przykro, że nas opuszczasz — mruknął Eumenes.

— Dzięki mnie mają tę ucztę.

— Nie powinnaś, hm, lekceważyć swego udziału. Wszystkich nas ciśnięto w ten popękany, nowy świat. Dzieliły nas wzajemne podejrzenia, a nawet brak zrozumienia, a wasza trójka z dwudziestego pierwszego wieku stanowiła najmniejszą i najbardziej samotną grupę. Ale bez waszej pomocy nawet sztuczki Aleksandra mogły nie wystarczyć do pokonania Mongołów. Staliśmy się przedziwną rodziną.

— Właśnie, czyż nie? Przypuszczam, że to nam coś mówi o odporności ludzkiego ducha.

— Tak. — Zatrzymał się i stanął przed nią a na jego twarzy malował się ponury gniew, który widziała już przedtem. — A tam, gdzie się udajesz, tam, gdzie staniesz naprzeciw wroga, któremu nawet Aleksander nie byłby w stanie się przeciwstawić, znowu będzie ci potrzebna ta odporność. W interesie nas wszystkich.

Karmiąca matka, żona jakiegoś żołnierza, siedziała na niskim stołku przed jednym z namiotów z dzieckiem przy piersi. Twarz dziecka była blada, jak tarcza księżyca. Matka zobaczyła, że Bisesa się jej przygląda i uśmiechnęła się.

Eumenes powiedział:

— Babilońscy astronomowie postanowili, że Nieciągłość ma być uważana za początek nowej rachuby czasu, nowego kalendarza, faktycznie jako początek jednego z potężnych cykli, Wielkich Lat. Tego dnia wszystko zaczęło się od nowa. A pierwsze dzieci, które zostały poczęte na Mirze, już przyszły na świat. Nie istniały w żadnym świecie, z którego pochodzimy, nie mogły istnieć, bo niektórzy spośród ich rodziców pochodzą z różnych epok, ale ich przeszłość nie jest pęknięta jak nasza; zawsze istniały tylko tutaj. Zastanawiam się, co zrobią kiedy dorosną.

Wpatrywała się w jego twarz, w rysujące się na niej cienie w niepewnym świetle księżyca.

— Rozumiesz tak wiele — powiedziała. Uśmiechnął się rozbrajająco.

— Jak powiada Casey, podobnie jak wszyscy starożytni Grecy jestem bystry jak brzytwa i bardzo z tego dumny. Czego się spodziewałaś?…

Uścisnęli się trochę sztywno. A potem wrócili do miasta.

43. Oko Marduka

Kiedy następnego ranka Bisesa zjawiła się w Świątyni Marduka, Abdikadir już na nią czekał, a Casey pracował, sprawdzając czujniki. Byli tu z jej powodu; była wzruszona ich wiarą w nią samą i spokojna, bo znała ich umiejętności.

Oko unosiło się w powietrzu, niewzruszone jak zawsze.

Był tam też Josh. Podczas gdy Bisesa założyła swój połatany kombinezon, Josh miał na sobie pomięty flanelowy garnitur i koszulę oraz, zupełnie bez sensu, krawat. Ale w końcu, pomyślała, nie mieli pojęcia, przed czym dziś staną, dlaczego nie zaprezentować się możliwie najlepiej?

Ale Josh twarz miał bladą, a pod oczami głębokie cienie.

— W nieskończoność z bólem głowy! cokolwiek się wydarzy, na pewno nie będę się czuł gorzej.

Bisesa była dziwnie niecierpliwa, rozdrażniona.

— Do roboty — powiedziała. — Masz. — Podała mu mały plecak.

Popatrzył na niego podejrzliwie.

— Co w nim jest?

— Woda. Suche racje żywnościowe. Trochę lekarstw.

— Myślisz, że będziemy tego potrzebowali? Biseso, udajemy się do Oka Marduka, nie na pieszą wycieczkę po pustyni.

— Ona ma rację — warknął Abdikadir. — Dlaczego nie przewidywać tego, co możemy? — Wziął plecak i wepchnął go w ręce Josha. — Trzymaj.

Bisesa powiedziała do Josha:

— Jeśli masz zamiar przez cały czas narzekać, zostawię cię tutaj.

Jego zbolała twarz rozjaśniła się uśmiechem.

— Będę grzeczny.

Bisesa rozejrzała się wokół.

— Powiedziałam Eumenesowi i Grove'owi, żeby trzymali wszystkich z daleka. Wolałabym, żeby ewakuowali całe to cholerne miasto, ale przypuszczam, że to mało realne… Czy nie zapomnieliśmy czegoś? — Tego ranka była w łazience, umyła zęby, proste codzienne czynności, ale zastanawiała się, gdzie i kiedy będzie miała następną okazję, żeby się doprowadzić do ładu. — Abdi, zaopiekuj się moim telefonem.

Abdikadir powiedział łagodnie:

— Tak jak obiecałem. I jeszcze jedno. — Podał jej dwa kawałki papieru, babilońskiego pergaminu, starannie złożone i zapieczętowane. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu…

— To od ciebie?

— Ode mnie i od Caseya. Jeśli to możliwe, jeśli zdołasz odnaleźć

nasze rodziny…

Bisesa wzięła papiery i włożyła je do wewnętrznej kieszeni kombinezonu.

— Dopilnuję, żeby je dostali.

Casey kiwnął głową. Po chwili zawołał:

— Coś się dzieje. — Poprawił słuchawki i postukał w elektromagnetyczny czujnik wydobyty ze środka zniszczonego radia helikoptera. Spojrzał na Oko.

— Nie widzę żadnej zmiany. Ale sygnał przybiera na sile. Wygląda na to, że ktoś cię oczekuje, Biseso.

Bisesa chwyciła Josha za rękę.

— Lepiej zajmijmy miejsca.

— Gdzie? — Lekki wiaterek zmierzwił mu opadające na czoło włosy.

— Nie mam zielonego pojęcia — odparła. Czule poprawiła mu włosy. Ale wietrzyk powiał znowu, owiewając mu twarz; wietrzyk, który wiał nie wiadomo skąd w kierunku środka komnaty.

— To Oko — powiedział Abdikadir. Fruwały wokół niego kawałki papieru i trzepotały kable. — Ono robi wdech. Biseso, przygotuj się.

Wietrzyk przeszedł w wiatr wiejący w kierunku środka pomieszczenia, był tak silny, że walił Bisesę w plecy. Ciągnąc Josha za sobą i potykając się, ruszyła w stronę Oka. Unosiło się nieruchomo jak zawsze, odbijając jej zniekształcony obraz, a fruwające w powietrzu kawałki papieru i źdźbła słomy przylgnęły do jego powierzchni.

Casey odrzucił na bok słuchawki.

— Cholera! To był ostry pisk, przepalił obwody. Ktokolwiek nadaje ten sygnał, to nie ja…

— Już czas — powiedział Josh.

Tak jest, pomyślała. Na jakimś głębszym poziomie świadomości sama w to nie wierzyła. Ale teraz to się działo. Przebiegł ją dreszcz, serce zabiło mocniej; dziękowała Bogu, że czuje silną dłoń Josha.

— Spójrzcie — powiedział Abdikadir.

Po raz pierwszy od chwili, gdy je ujrzeli, Oko się zmieniało.

Błyszcząca powierzchnia Oka pulsowała jak powierzchnia rtęci, przebiegały przez nią fale i zmarszczki.

Potem zapadła się, jak błona balonu, z którego nagle spuszczono powietrze.

Bisesa zdała sobie sprawę, że patrzy w głąb lejka o srebrzysto-złotych ścianach. Wciąż widziała swoje odbicie z Joshem stojącym obok, ale ich obrazy były popękane, jak gdyby powstały w wyniku odbicia od odłamków rozbitego lustra. Wydawało się, że ów lejek jest tuż przed jej twarzą, ale zgadywała, że gdyby obeszła komnatę dookoła albo wspięła się ponad Oko czy też spuściła niżej, widziałaby ten sam lejkowaty kształt o świetlistych ścianach zbiegających się ku

środkowi.

To nie był lejek, żaden zwykły trójwymiarowy obiekt, lecz deformacja otaczającej ją rzeczywistości.

Spojrzała przez ramię. Powietrze było teraz pełne iskier, które pędziły w stronę jądra implodującego Oka. Abdikadir wciąż tam był, choć wydawało się, że odsuwa się coraz dalej, a jego obraz był dziwnie rozmazany: przywarł do futryny i leżąc na ziemi, obracał się i cofał, jednak działo się to nie sekwencyjnie lecz jednocześnie. Przypominało to klatki wycięte z filmu i poskładane na chybił trafił.

— Niech was Allach prowadzi — zawołał. — Idźcie, idźcie… — Ale jego głos ginął w szumie wiatru. A potem burza światła przeszła w istną zamieć i przestała go widzieć.

Wiatr targał nią i omal nie przewrócił na ziemię. Starała się myśleć analitycznie. Próbowała liczyć oddechy. Ale miała wrażenie, że jej myśli rozszczepiły się, zdania, które usiłowała sklecić, rozpadały się na pojedyncze słowa, sylaby i litery, które mieszały się ze sobą. To Nieciągłość, pomyślała. Najpierw dała o sobie znać w skali planety, rozłupując wielkie płyty krajobrazu. Ale dotarła także do tego pomieszczenia, tnąc życie Abdikadira na kawałki, a teraz wciskała się do jej głowy, bo w końcu nawet jej świadomość była zanurzona w czasoprzestrzeni…

Popatrzyła na Oko. Światło wlewało się do jego wnętrza. W tych ostatnich chwilach znowu uległo zmianie. Lejek przeszedł w szyb, który ciągnął się do nieskończoności, ale był to szyb, który urągał prawom perspektywy, jego ściany bowiem nie zmniejszały się z odległością, ale miały wciąż te same pozorne rozmiary.

To była jej ostatnia świadoma myśl, zanim światło zalało ją całkowicie i wypełniło, pozbawiając nawet poczucia własnego ciała. Przestrzeń przestała istnieć, czas się zatrzymał, a ona była tylko pyłkiem, upartą, pozbawioną umysłu duszą. Ale przez cały czas zdawała sobie sprawę z ciepłej dłoni Josha spoczywającej w jej własnej dłoni.

Było tylko jedno Oko, chociaż miało liczne projekcje w czasoprzestrzeni. I spełniało wiele funkcji.

W ramach jednej z nich stanowiło bramę.

Brama otworzyła się. I zamknęła. W chwili czasu zbyt krótkiej, aby można ją było zmierzyć, przestrzeń otworzyła się i obróciła wokół siebie samej.

I wtedy Oko znikło. Komnata świątynna znów była pusta, jeśli nie liczyć plątaniny zniszczonego sprzętu elektronicznego i dwóch mężczyzn oraz ich wrażeń tego, co zobaczyli i usłyszeli, wrażeń, którym nie byli w stanie uwierzyć ani ich zrozumieć.

CZĘŚĆ SZÓSTA
W OKU CZASU

44. Pierworodni

Długie oczekiwanie dobiegało końca. Na kolejnym świecie narodziła się inteligencja i uciekała ze swej planetarnej kolebki.

Istoty, które obserwowały Ziemię tak długo, nigdy nie były nawet trochę podobne do ludzi. Ale kiedyś miały ciało i krew.

Narodziły się na planecie jednej z pierwszych gwiazd, monstrum bogatym w wodór, samotnym światełku we wciąż pogrążonym w mroku wszechświecie. Te pierwsze gwiazdy rozwijały się bujnie w młodym i bogatym w energię wszechświecie. Ale planety, owe tygle, w których rodziło się życie, były rzadkością, ponieważ ciężkie pierwiastki, które stanowiły ich tworzywo, dopiero miały powstać we wnętrzu gwiazd. Kiedy rozglądały się wokół, nie widziały żadnych istot podobnych do siebie, żadnych umysłów, które odbijałyby się w ich własnych.

Pierwsze gwiazdy świeciły wspaniale, ale szybko gasły. Ich nikłe pozostałości zasilały zasoby gazów w galaktyce i wkrótce pojawiło się nowe pokolenie długożyciowych gwiazd. Ale tych, którzy utknęli między umierającymi protogwiazdami, dręczyła straszliwa samotność.

A kiedy patrzyli w przyszłość, widzieli tylko powoli narastający mrok, ponieważ każde pokolenie gwiazd powstawało coraz trudniej z pozostałości poprzedniego. Miał nadejść dzień, gdy w Galaktyce zabraknie paliwa do budowy kolejnej gwiazdy i ostatnie światełko zamigocze i zgaśnie. A potem nieuchronne kleszcze entropii zadławią kosmos i wszystkie biegnące w nim procesy.

Pomimo swojej potęgi istoty te nie były poza zasięgiem czasu.

Uświadomienie sobie tej samotności doprowadziło do wieku szaleństwa. Dziwne i piękne imperia powstawały i upadały, wybuchały straszliwe wojny między istotami zbudowanymi z metalu i ciała, dziećmi owego zapomnianego świata. Wojny spowodowały zużycie znacznej części rezerw energetycznych Galaktyki i doprowadziły do wyczerpania, a nie do rozwiązania.

Ci, którzy ocaleli, smutni ale mądrzejsi doświadczeniem, zaczęli opracowywać plany na nieuchronną przyszłość, niekończącą się przyszłość wypełnioną zimnem i mrokiem.

Powrócili do porzuconych machin wojennych. Starożytne machiny skierowano do realizacji nowego celu: pozbycia się odpadów, a jeśli trzeba, ich kauteryzacji. Ich twórcy zrozumieli teraz, że jeśli się zamierza przenieść w daleką przyszłość choćby jednanie świadomości, nie wolno powodować żadnych niepotrzebnych zakłóceń, żadnych strat energii, żadnych zaburzeń strumienia czasu.

W ciągu milionów lat wojen machiny zostały doprowadzone do perfekcji. Wykonywały swe zadania bez zarzutu i miały tak działać

bez końca. Czekały, niezmienne, przeznaczone do jednego jedynego celu, gdy nowe światy i nowe formy życia powstaną na gruzach starych.

Wszystko to było pełne najlepszych intencji. Pierworodni, którzy narodzili się w pustym wszechświecie, cenili życie nade wszystko. Ale aby zachować życie, czasami trzeba je zniszczyć.

45. Po drugiej stronie Oka

To nie przypominało przebudzenia. To było nagłe pojawienie się, brzęk czyneli. Oczy miała szeroko otwarte, wypełniało je oślepiające światło. Wciągnęła powietrze głęboko do płuc, poczuła dotyk ziemi i wydała stłumiony okrzyk, kiedy dotarła do niej świadomość własnego ja.

Leżała na plecach. Nad nią było coś niezwykle jasnego — słońce, tak, słońce, była na dworze. Ramiona miała rozłożone, znajdowały się daleko od ciała, palce wbiła w ziemię.

Przekręciła się na brzuch. W nogach, rękach i klatce piersiowej powoli powróciło czucie. Oślepiona słońcem prawie nic nie widziała.

Równina. Czerwony piasek. W oddali zerodowane wzgórza. Nawet niebo wydawało się czerwone, choć słońce stało wysoko.

Josh był koło niej. Leżał na plecach, z trudem łapiąc powietrze, jak ryba wyrzucona na nieznaną plażę. Poczołgała się do niego po piasku.

— Gdzie jesteśmy? — wydyszał. — Czy to dwudziesty pierwszy wiek?

— Mam nadzieję, że nie. — Kiedy mówiła, czuła suchość w gardle. Ściągnęła plecak i wydobyła flaszkę wody. — Napij się.

Pił wodę z wdzięcznością. Na czole perlił mu się pot i wsiąkał w kołnierz.

Zagłębiła dłonie w ziemi. Była pokruszona, martwa i sucha. Ale coś w niej błyszczało, jakieś fragmenty, które lśniły w świetle słońca. Wygrzebała je i położyła na dłoni. Były to kawałki matowego szkła, wielkości monety, o nierównych brzegach. Strzasnęła je z dłoni. Kiedy odgarnęła więcej ziemi, wszędzie widziała kawałki szkła, leżała cała warstwa.

Na próbę uklękła i wyprostowała się — w uszach jej dzwoniło, ale nie zamierzała zemdleć — jedna stopa, potem druga. Wstała. Teraz lepiej widziała pobliski krajobraz. Była to zwykła równina, pokryta mieszaniną szkła i piasku, która rozciągała się aż po horyzont, gdzie zniszczone wzgórza oparły się wieczności. Razem z Joshem znajdowała się na dnie płytkiego wklęśnięcia terenu; ziemia wokół nich nieznacznie wznosiła się w stronę odległej o dobry kilometr krawędzi, nie wyższej niż kilka metrów.

Stała na dnie krateru.

Pomyślała, że to skutek eksplozji jądrowej. Kawałki szkła mogły powstać podczas wybuchu małej bomby jądrowej; beton i ziemia stopiły się, tworząc coś w rodzaju szkła. Jeżeli tak było, nic więcej nie pozostało, jeżeli było tu miasto, nie pozostały po nim żadne betonowe fundamenty, żadne kości ani nawet popiół, tylko te kawałki szkła.

Krater wyglądał na stary, zniszczony, a kawałki szkła były zagrzebane głęboko. Jeśli tędy przeszła wojna, musiało to być dawno temu.

Zastanawiała się, czy utrzymała się jeszcze jakaś radioaktywność. Ale jeśli Pierworodni zamierzali zrobić jej jakąś krzywdę, mogli ją po prostu zabić, a jeśli nie, z pewnością uchroniliby ją przed tak oczywistym niebezpieczeństwem.

Kiedy oddychała, w klatce piersiowej czuła ból. Czy to skutek rzadkiego powietrza? Czy było w nim za mało tlenu, czy może za dużo?

Nagle zrobiło się nieco ciemniej, choć na czerwonawym niebie nie było żadnych chmur. Spojrzała w górę. Coś z tym słońcem było nie tak. Jego tarcza była zdeformowana. Wyglądało jak liść, z którego wydarto wielki kawał.

Josh stał obok.

— Mój Boże — powiedział.

Zaćmienie postępowało szybko. Zaczęło się robić chłodniej, a w ostatniej chwili Bisesa dostrzegła pędzące po ziemi smugi cienia. Poczuła, że oddycha wolniej, a serce bije spokojniej. Jej ciało, reagując na dawne, pierwotne rytmy biologiczne, przystosowywało się do ciemności, przygotowywało się na nadejście nocy.

Ciemność osiągnęła maksimum. Panowała kompletna cisza.

Słońce otaczał jasny pierścień. Centralny krąg cienia miał ząbkowane brzegi, zza których prześwitywało Słońce. Ten krąg to z pewnością był Księżyc, wciąż poruszający się miedzy Ziemią i Słońcem, którego cień przesuwał się po tarczy Słońca. Blask Słońca był na tyle osłabiony, że Bisesa dostrzegła koronę, czyli wyższe partie słonecznej atmosfery, które miały postać strzępiastej otoczki wokół owego podwójnego dysku.

Ale zaćmienie nie było całkowite. Księżyc nie był wystarczająco duży, aby zasłonić świecącą tarczę Słońca. Gruby pierścień światła na niebie stanowił zaskakujący i niesamowity widok.

— Coś jest nie tak — mruknął Josh.

— Geometria — powiedziała. — Układ Ziemia-Księżyc… ulega zmianom w czasie. Podobnie jak Księżyc wywołuje pływy na ziemskim oceanie, Ziemia odkształca skalistą powierzchnię Księżyca. Od chwili swego powstania te dwa światy powoli oddalały się od siebie, jedynie kilka centymetrów rocznie, ale po dostatecznie długim okresie czasu Księżyc znalazł się wyraźnie dalej od Ziemi niż kiedyś.

Josh zrozumiał istotę tego, co się stało.

— To jest przyszłość. Nie dwudziesty pierwszy wiek, ale bardzo odległa przyszłość… może miliony lat odtąd.

Przeszła parę kroków po równinie, wpatrując się w niebo.

— Próbujecie nam coś powiedzieć, prawda? To opustoszałe, zniszczone przez wojnę miejsce, gdzie jestem? W Londynie, Nowym

Jorku, Moskwie, Pekinie, Lahore? I dlaczego przenieśliście nas do tego właśnie miejsca i czasu? Żeby pokazać nam to zaćmienie?… Czy to wszystko ma coś wspólnego ze Słońcem? — Dokuczało jej gorąco, kurz i pragnienie; była zdezorientowana i nagle ogarnęła ją wściekłość. — Nie zadawajcie mi tych zagadek pełnych efektów specjalnych. Niech was diabli, przemówcie do mnie! *Co ma się wydarzyć?*

Jak gdyby w odpowiedzi, nad jej głową pojawiło się Oko co najmniej tak wielkie jak Oko Marduka. Faktycznie poczuła podmuch powietrza wywołany jego nagłą materializacją.

Wzięła Josha za rękę.

— No to ruszamy znowu… Cały czas trzymaj ręce blisko siebie.

Ale Josh patrzył przed siebie rozszerzonymi oczyma, piasek przywarł do jego pokrytej potem twarzy.

— Biseso?

Zrozumiała natychmiast. Nie widzi Oka. Tym razem zjawiło się dla niej, tylko dla niej, nie dla Josha.

— Nie! — Chwyciła Josha za rękę. — Nie możecie tego zrobić, wy pieprzone sukinsyny!

Josh zrozumiał, o co chodzi.

— Biseso, wszystko w porządku. — Dotknął jej brody i obróciwszy ku sobie, pocałował. — Już dotarliśmy dalej, niż mogłem sobie wyobrazić. Może nasza miłość przetrwa w jakimś innym świecie i może kiedy wszystkie możliwości zleją się w jedno na krańcach czasu, połączymy się ponownie… — Uśmiechnął się. — To wystarczy.

Oko przeobraziło się w lejek, a potem w rodzaj korytarza. Iskierki światła pędziły przez równinę, zbierając się wokół niej i gnając w górę.

Kurczowo uczepiła się Josha i zamknęła oczy.

Posłuchajcie. Uczyniłam wszystko, czego żądaliście. Dajcie mi to jedno. Nie zostawiajcie go tutaj na pewną śmierć. Wyślijcie go do domu, wyślijcie go z powrotem do Abdiego. O to jedno was proszę…

Zerwał się gorący wiatr, wiejąc ku górze, w kierunku wylotu lśniącego szybu. Coś ją szarpnęło, wyrywając z ramion Josha. Szamotała się, ale Josh ją puścił.

Uniosła się z ziemi i teraz patrzyła na niego z góry.

Wciąż się uśmiechał.

— Wyglądasz jak wstępujący do nieba anioł. Do widzenia, do widzenia… — Znów ogarnęło ją palące światło. W ostatnim momencie zobaczyła, jak słaniając się na nogach, ląduje w pomieszczeniu wypełnionym przewodami i sprzętem elektronicznym, a ciemnoskóry mężczyzna podbiega, aby go złapać.

Dziękuję. Brzęk czyneli.

46. Chwytaczka

Z nadejściem ranka Poszukiwaczka poderwała się ze snu, gwałtownie otwierając oczy.

Po raz pierwszy od lat nie było siatki, która odgradzała ją od nieba. Wydała okrzyk i zwinęła się, osłaniając córkę.

Zmusiła się do otworzenia jednego oka. Nadal nie było siatki, tylko wszędzie wokół goła ziemia, kilka bruzd i śladów. Żołnierze znikli. I zabrali klatkę.

Była wolna.

Usiadła. Chwytaczka obudziła się, pomrukując i przetarła oczy. Poszukiwaczka rozejrzała się dookoła. Wokół rozciągała się skalista równina pozbawiona śladów życia, jeśli nie liczyć paru kępek trawy. W oddali wyłaniały się zza horyzontu ośnieżone góry, błękitne i przesłonięte poranną mgiełką. U ich podnóża dostrzegła pas zieleni. Obudził się w niej dawny duch. Las. Jeżeli uda im się tam dotrzeć, może napotka swych pobratymców.

Ale wiatr zmienił kierunek, wiał teraz z północy i poczuła w nim zapach lodu. Struchlała. Nagle zatęskniła za zapachem gotowania, terkotaniem maszyn i wysokimi głosami żołnierzy. Spędziła zbyt wiele czasu w tej klatce, teraz jej brakowało.

Jednakże Chwytaczka nie odczuwała wahań, jakie miotały jej matką. Ruszyła przed siebie na czworakach jak szympans, badając pokrytą kamieniami ziemię. Wydawała się mieć bardziej zwartą konsystencję niż goła, ubita ziemia, która stanowiła podłogę klatki. Znalazła kamień, który łatwo mieścił się w jej dłoni, a obok suchą trzcinę, którą z łatwością wyginała we wszystkie strony.

Ściskając kamień, Chwytaczka wyprostowała nogi i stanęła. Spojrzała badawczo w stronę gór.

Od północy zbliżał się chłód. Nowa wyspa wulkaniczna na Atlantyku spowodowała zmianę kierunku Golfsztromu, prądu z południa, który od tysięcy lat sprawiał, że północna Europa była nienormalnie ciepła. Utrata jego wpływu już się odbiła na rolnictwie krajów leżących daleko na południu, takich jak Babilonia. Teraz miało być jeszcze gorzej. Tego roku jesień miała nadejść wcześnie, a w środku zimy potężne arktyczne burze rozszaleją się nad kontynentami i w ciągu kilku dni spadnie więcej śniegu, niż dotychczas gromadziło się w ciągu czterech czy pięciu lat.

Przez dwa miliony lat przed pojawieniem się Nieciągłości lód pojawiał się i znikał, wycofując się do swojej twierdzy na biegunach, a jego skomplikowanymi cyklami rządził ruch Ziemi wokół Słońca. Nowy świat, Mir, posklejany z fragmentów starego, najpierw oscylował niepewnie, ale gdy owe oscylacje uległy wytłumieniu,

ustalił się nowy układ cykli, który przyczyniał się do rozprzestrzeniania się lodu. W ciągu zaledwie dziesięciu lat utworzyły się czapy lodowe, które w ciągu następnego dziesięciolecia sięgnęły aż do Londynu, Berlina i Manhattanu.

Jeszcze później miały nadejść bardziej drastyczne zmiany. Od czasu swego powstania planeta nieustannie stygła, a dopływ ciepła z jej wnętrza dostarczał energii prądom płynącym w płaszczu, na którym unosiły się kontynenty. Teraz Nieciągłość spowodowała zaburzenia w głębi płynnego wnętrza Mira. W końcu ustali się nowy układ prądów, ale na razie sytuacja była taka, jakby garnek z wrzącą wodą zamknięto ogromną pokrywą.

Pod samymi kontynentami materiał płaszcza zaczął się wydymać i unosić. Ziemia i tak nigdy nie była dokładnie sferyczna. Teraz na Mirze zaczęły się tworzyć wybrzuszenia, jak bryły błota przyklejone do wirującego bąka. Z czasem skorupa i górne warstwy płaszcza oderwą się od jądra i zdeformowana planeta będzie musiała wrócić do równowagi, odsuwając owe bryły od osi obrotu. Kiedy główne kontynenty przesuną się w stronę równika, prądy oceaniczne znów zmienią kierunek, poziom mórz podniesie się lub obniży o setki metrów, powodując dramatyczne zmiany klimatu.

W ciągu długich podziemnych perturbacji na Mirze istoty żywe będą przeżywać ciężkie chwile. Ale ludzie są mobilni. Mieszkańcy Chicago już się przygotowywali do wielkiej migracji na południe. Wielu ludzi przeżyje.

Podobnie jak wiele małpoludów. Chwytaczka była już nie tą samą istotą co przed badaniem, jakie jej zafundowało Oko. Sondowanie jej ciała i umysłu miało w zamierzeniu jedynie zarejestrować jej zdolności, ustalić jej miejsce w szerokim spektrum możliwości życia na tym błękitnym świecie. Ale Chwytaczka była bardzo młoda, a maszyna, która ją badała, bardzo stara i już nie tak doskonała jak niegdyś. Badanie było niezdarne. I na wpół uformowany umysł Chwytaczki został pobudzony.

Ten posklejany świat miał przez długi czas pozostać zdominowany przez człowieka, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ale nawet ludzie nie mogą się przeciwstawić pochodowi lodu. W zmieniającym się, niebezpiecznym świecie było mnóstwo miejsc, które należało spenetrować. Mnóstwo miejsca dla istot posiadających potencjał. I nie było żadnego szczególnego powodu, dla którego ten potencjał nie mógłby zostać wykorzystany dokładnie tak jak przedtem. Na Mirze było mnóstwo miejsca dla czegoś innego. Może czegoś lepszego.

Chwytaczka zważyła w dłoni ciężki kamień i mgliście wyobraziła sobie, co można z nim uczynić. W ogóle nie odczuwała strachu. Teraz to ona była panem świata i nie była całkiem pewna, co ma teraz

zrobić.

Ale coś wymyśli.

47. Powrót

Bisesa wydała stłumiony okrzyk i zatoczyła się. Stała na nogach.

Grała muzyka.

Spojrzała na ekran ścienny, na którym widniał powiększony obraz niesamowicie pięknego młodzieńca, który coś śpiewał cicho do staromodnego mikrofonu. Tak, był niesamowicie piękny, był to bowiem syntetyczny gwiazdor, kwintesencja niewypowiedzianych tęsknot nastolatek.

— Mój Boże, wygląda jak Aleksander Wielki. — Bisesa ledwie zdołała oderwać wzrok od jaskrawych barw poruszających się na ekranie. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak bezbarwny był Mir.

Ekran powiedział:

— Dzień dobry, Biseso. To twoje zwykłe budzenie. Śniadanie czeka na dole. A oto dzisiejszy skrót najważniejszych wiadomości…

— Zamknij się — powiedziała głosem zachrypłym od pyłu pustyni.

— Oczywiście — zaśpiewał miękko syntetyczny młodzieniec. Rozejrzała się wokół. To była jej sypialnia w jej londyńskim mieszkaniu. Wydawała się mała, zagracona. Łóżko było duże, miękkie, zasłane.

Podeszła do okna. Jej wojskowe buty pozostawiały na dywanie ślady czerwonego pyłu. Tuż przed wschodem słońca niebo było jeszcze szare, ale już się pojawiała linia dachów miasta na tle nieba.

— Ekran.

— Tak, Biseso?

— Jaki dziś dzień?

— Wtorek.

— Data!

— Ach. Dziewiąty czerwca 2037 roku. Dzień po katastrofie helikoptera.

— Powinnam być w Afganistanie. Ekran zakaszlał.

— Przyzwyczaiłem się do nagłych zmian twoich planów, Biseso. Pamiętam jak raz…

— Mama?

Głosik był cichy, zaspany. Bisesa odwróciła się.

Była boso, widać było jej brzuszek, piąstką przecierała jedno oko, włosy potargane, dopiero co obudzona ośmiolatka. Miała na sobie ulubioną piżamę, na której hasały postacie z kreskówek, choć teraz była już na nią o dwa numery za mała.

— Nie mówiłaś, że wracasz do domu. W Bisesie coś pękło. Wyciągnęła ręce. — Och, Myra…

Myra cofnęła się.

— Dziwnie pachniesz.

Zaszokowana Bisesa spojrzała na siebie. W swym zniszczonym pomarańczowym kombinezonie, pokrytym piaskiem i przesiąkniętym potem, tak nie pasowała do otoczenia, jakby miała na sobie skafander kosmiczny.

Zmusiła się do uśmiechu.

— Chyba powinnam wziąć prysznic. A potem zjemy śniadanie i wszystko ci opowiem…

Światło nieznacznie się zmieniło. Odwróciła się do okna. Nad miastem wisiało Oko, unosząc się jak balon zaporowy. Nie potrafiła powiedzieć, jak daleko było ani jakie było duże.

Nad dachami Londynu wschodziło złowrogie słońce.

notes

Przypisy

1

Fragment *Henryka VW.* Szekspira w tłumaczeniu Leona Ulricha.